TADEUSZ KUBIAK

WIERSZE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

FAMA

JERZY ZAGÓRSKI

WIERSZE

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

STYCZEŃ

STEPHAN HERMLIN

HEINE

CHRISTO BOTEW

DZIEŃ ŚWIĘTEGO JERZEGO

Z POEZJI MALAJSKIEJ

DZIESIĘĆ PANTUNÓW

TWÓRCZOŚĆ 6

TWÓRCZOŚĆ

CZERWIEC 1956

6

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XII CZERWIEC 1956 Nr 6

SPIS TREŚCI

Tadeusz Kubiak
CZY TO ŚWIAT... DO WARSZAWIANKI SPOTKANEJ W GÓRACH
WESTCHNIENIE NA WIOSNĘ
Str. 5

Jarosław Iwaszkiewicz
FAMA
Str. 8

Jerzy Zagórski
GAZELA NA 19-LECIE ŚLUBU CZY TYLKO GŁUCHA ROZPACZ...
Str. 18

Wanda Borudzka
SIERPIEŃ KSIĘŻYC SAMOTNOŚĆ OJCZYZNA
Str. 20

Aleksander Ścibor-Rylski
STYCZEŃ
Str. 22

Stanisław Czachorowski
MISTRZOWIE PŁASKIEGO SERCA
CHAGALL CEZANNE GAUGUIN VAN GOGH
Str. 99

Stanisław Szenic
GOETHE I MARIA SZYMANOWSKA
Str. 102

Christo Botew
DZIEŃ ŚWIĘTEGO JERZEGO
(przełożył *Artur Marya Swinarski*)
Str. 116

Stephan Hermlin
NIEMIECKI POETA — HEINE
(przełożyła *Maria Wisłowska*)
Str. 118

Z poezji malajskiej
DZIESIĘĆ PANTUNÓW
(przełożył i opracował *Robert Stiller*)
Str. 128

Jan Błoński
KIM JESTEŚ, POETO?
Str. 132

Paweł Hertz
Z DZIENNIKA LEKTURY
Str. 141

Wśród książek
POETA OBRAZU — *Michał Głowiński*
Str. 145
MORALISTYKA, DOWCIP I PAMFLET — *Janusz Sławiński*
Str. 150
POETA I NIEŚMIERTELNOŚĆ — *Zbigniew Pędziński*
Str. 155
PROPOZYCJE DYGATA — *Henryk Bereza*
Str. 159
PO OBU STRONACH RAMPY — *Eugeniusz Żytomirski*
Str. 164
„HAMLET" W NOWYM SPOJRZENIU — *Piotr Grzegorczyk*
Str. 172
Na widnokręgu
Z PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 176
MICKIEWICZOWSKA SESJA NAUKOWA PAN — *Maciej Żurowski*
Str. 178
„MOSKWA LITERACKA" — *Z. F.*
Str. 180
KILKA GŁOSÓW PISARZY RADZIECKICH — *Józef Spinc*
Str. 182
„ŚMIERĆ W RZYMIE" WOLFGANGA KOEPPENA — *Zdzisław Najder*
Str. 186
NIEWINNOŚĆ POLITYCZNA — *ab*
Str. 188
ANGLOSASI NA ANTYPODACH — *Julian Stawiński*
Str. 191
WOLTERIAŃSKA ŚMIERĆ WOLTERA — *Jerzy Parvi*
Str. 195
Noty
Str. 199
Książki nadesłane
Str. 206

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-06.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 2804/c z dnia 8.5.1956 r.
Nakład 6150 egz. Druk ukończono w czerwcu 1956 r. B-7-25868

Tadeusz Kubiak

CZY TO ŚWIAT...

Czy to świat jest zajazdem
przydrożnym, pełnym zgiełku,
pośpiechu, śmiechu, przekleństw,
pogróżek, urągania
i czułości w oparach.

To świat jest tym zajazdem,
czy też zajazd przydrożny
jest jak świat pełen gości.

Napoju, jadła, dymu,
świętojańskiego chleba,
rajskich jabłek i ptaków,
trucizny w białym szkle,
martwych ozorów krowich,
świńskich łbów na półmiskach,
gorzkich wnętrzności bydląt,
słodkiego jadu ludzi,
kości na stół rzucanych,
kart lecących jak liście,
do ostatniej koszuli.

Czy można za posiłek,
spożyty w gronie łotrów,
za brudną noc przespaną
do narodzin jutrzenki
w jednym łóżku z hieną,
rzucić na stół pieniądze,
choćby nawet to był
ostatni grosz przy duszy,
której skrzydła złamane.

Czy można się odwrócić
plecami i wyjść stąd,

i odejść jak najszybciej,
jak nadalej, najdalej.

Czy nie będzie to jeszcze
jedna z póz heroicznych,
którą się rozkoszują
anielsko dobrzy głupcy,
na przekór sprytnym łotrom,
tym tam z diabłem za skórą.

Gdy zobaczą, jak wracam
w odzieniu poszarpanym
przez psy, które właściciel
zajazdu spuszcza nocą,
z głową w deszczu i wietrze,
w butach zbrukanych błotem,
wybuchną wśród pogróżek
i czułości w oparach
śmiechem pustym jak szkło.

Z ironią spojrzy na mnie
żmija, z którą spędziłem
brudną noc w jednym łóżku,
i łotr, z którym spożyłem
obiad przy jednym stole,
traktując się obłudnie
lukrecją i piołunem.

Aby nie widzieć tego,
wystarczy przymknąć oczy.
Aby nie słyszeć, zakryć
uszy dłońmi i zapaść
w ciszę jak kamień w wodę.

DO WARSZAWIANKI SPOTKANEJ W GÓRACH

W pantofelkach srebrnych,
jak z morskiej piany,
jak z mgły,
wdziera się na szczyt,
mroczny i zły,
góry pod wieczór miedzianej.

Nagle stanęła w blasku
wieczoru i zgasła.

To ona biegła przed dziesięciu laty
po czarnych górach spalonego miasta.

Dokąd biegnie dziś
w pantofelkach srebrnych,
bezdomna do dziś,
nad przepaścią po głazach,
jak po schodach spalonych?
do jakich czarnych drzwi,
na jaki złoty szczyt?

Górny i durny w życiu nasz udział.
Dokąd biegnie, nieszczęsna?

Dokąd biegniesz? Nieszczęście nie chodzi po górach,
ale po ludziach.
Szuka wspomnień, współczucia.

Popiół spada na góry.
Góry stoją w chmurach.
Chmury stoją w górach.

WESTCHNIENIE NA WIOSNĘ

Po tylu wiekach,
po tylu zbrodniach,
po tylu głodach i urodzajach,
po tylu wojnach, zdradach,
po tylu
pieniach miłosnych w wiosennych gajach,

po tylu latach, że pamięć o nich,
zatarta,
pośród zwalonych potęg,
jest jak oblicze dumnego władcy,
ledwo widoczne ze złotych monet,

znów związujemy coś z czymś,
łączymy,
chwytamy coś,
lepimy z powietrza,
na ziemi, która o całe niebo,
tylko o niebo wiosenne lepsza.

Tadeusz Kubiak

Jarosław Iwaszkiewicz

FAMA

(OPOWIADANIE NIEPOWAŻNE)

Dnia 21 maja 1952 roku o godzinie 10 minut 23 rano posąg Famy, pochodzący z Zamku Warszawskiego, a znajdujący się obecnie w dużym hallu Muzeum Narodowego, zatrąbił trzy razy. W momencie tym znajdowały się w pobliżu posągu cztery osoby: Franciszek Posag, woźny, lat 54, prof. Stanisław Wolski, zasłużony historyk sztuki, lat 76, Tosiek Tralka, zwany „Herkulesem", uczeń szkoły dramatycznej, lat 19, oraz panna Holländer, kompozytorka, lat 42. Posag, schodząc z górnego piętra na dół do ubikacji, znajdował się najbliżej figury, zachowującej się w tak niezwykły sposób, on też najwyraźniej widział, jak Fama poruszyła ręką, przytknęła trąbę do warg i wydała przenikliwy odgłos. Powtórzyła ten gest trzykrotnie, co własnymi oczami oglądał zdumiony Franciszek. Profesor znajdował się w sali gotyckiej, pochylony nad ołtarzem z Nawiedzeniem; pisał on pracę o wpływie polskiej rzeźby dolnopomorskiej i szczecińskiej na sztukę Leonarda da Vinci i właśnie ten ołtarz, co prawda pochodzący z gór Świętokrzyskich, ale zawierający w sobie wpływy mistrza Jana, nadwornego rzeźbiarza księcia Kaźka szczecińskiego, wnuka Kazimierza Wielkiego — był jedną z zasadniczych podstaw jego tezy. Profesor, mimo że pogrążony bez reszty w kontemplacji dolnego fałdu szaty świętej Elżbiety, który był podstawą wszystkich jego dowodzeń, usłyszał jednak dziwny, ostry, choć dźwięczny odgłos trąby i z chyżością, na którą mógł się zdobyć w tym wieku, podążył do hallu, aby stwierdzić przyczynę niezwykłej muzyki. Zdążył jeszcze ujrzeć moment, kiedy Fama po raz trzeci podnosiła trąbę do ust; dźwięk tego instrumentu „słyszany z bliska" wstrząsnął nim do głębi. Tosiek Tralka znajdował się na piętrze, raz po raz spoglądając w dół, na drzwi hallu, gdyż czekał na Basię Górską, koleżankę z innej szkoły, która umówiła się z nim na randkę w muzeum o godzinie dziesiątej minut piętnaście. Basia nie przychodziła, Tosiek wyglądał przez balustradę, a jednocześnie cofał się co chwila ze strachu, aby Basia nie spostrzegła, że się niecierpliwi, i nie pomyślała sobie Bóg wie czego. Gdy Fama zaczęła trąbić, w pierwszej chwili nie zorientował się, co się dzieje i jeszcze spoglądał na dół. Dopiero lekki okrzyk, raczej chrząkające syknięcie, jakie wydał woźny, zwróciło jego uwagę. Wtedy dopiero spojrzał na posąg i zbaraniał. Panna Holländer wchodziła dopiero do muzeum. Ona też kierowała się do sali rzeźb gotyckich:

radio zamówiło u niej kompozycję, która miała dowieść, iż realistyczni rzeźbiarze dolno i górnośląscy, dolno i górnopomorscy, a zwłaszcza szczecińscy, tworząc swoje ołtarze nie mieli bynajmniej na myśli osób z legend chrześcijańskich, tylko sobie współczesnych chłopów i robotników, i rzeźbili ich w pozach ówczesnych tańców ludowych, tańców, oczywiście, polskich, ale dziś już zaginionych, których jedynym śladem były owe rzeźby. Panna Holländer w swych kompozycjach miała te tańce odtworzyć i zarazem nawiązać do realizmu średniowiecznej sztuki polskiej. Nie był to orzech trudny do zgryzienia dla naszej realistycznej kompozytorki, twórczyni pieśni masowych, tak popularnych, jak *Zobowiązania, Przodownik i Przodownica, Serce Sokorskiego* itd. Mimo to weszła do muzeum dość zamyślona ważąc trudność swego zadania, nie zwróciła więc uwagi na to, co się tam dzieje. Z tego zamyślenia obudził ją dźwięk trąby, nie zwróciłaby może i na to uwagi, gdyby nie to, iż brzmienie tego sygnału wydało się jej fałszywe. Panna Holländer, która miała słuch absolutny, wyraźnie usłyszała: cis-Cis, as, as, as! Zżymnęła się na te przykre tony, a tu po raz drugi: cis-Cis, as-as-as! Podniosła wtedy oczy i spostrzegła, jak posąg podnosi po raz trzeci trąbę do warg, a Posag stoi przed nim gapiąc się do góry.

— Co pan się gapisz? — zawołała — trzymaj ją pan i już! Przecież to skandal!

— Trzymaj pani sama — filozoficznie westchnął woźny, kiedy już przebrzmiało ostatnie „as".

W tym momencie cała czwórka świadków znalazła się przed spokojnie stojącym rokokowym posągiem.

— To skandal — powtórzyła panna Holländer już nieco słabszym głosem.

— Trzeba to zbadać naukowo — po chwili milczenia powiedział profesor.

— Dać znać do gazet — dorzucił Tosiek.

— Do partii — powiedziała panna Holländer.

— Zaraz, zaraz — zaoponował woźny Franciszek. — Za to, co się dzieje w muzeum, odpowiedzialny jest przede wszystkim dyrektor. A może to dyrektor założył jej taką sprężynkę? Dyrektor wszystko wie.

— Idźmy zatem do dyrektora — powiedziała kompozytorka swą poprawną polszczyzną.

Ruszyli. Spostrzegli, że w długim przedpokoju, gdzie było dużo woźnych szatniarzy, paru gości, wszystko szło trybem normalnym. Nikt nic nie zauważył.

Panna Holländer spojrzała po swych towarzyszach.

— Koledzy — powiedziała poważnie — na razie ani pary z ust! — Wszyscy skinęli głowami.

Tosiek nadął nawet swą herkulesową pierś i potoczył wzrokiem. Pomimo swego bardzo niskiego wzrostu był jeszcze wyższy od panny Holländer.

Po chwili byli już w gabinecie dyrektora, który, przyzwyczajony do niejednej już delegacji, nie zdziwił się bynajmniej składem towarzystwa, które stanęło przed jego biurkiem. Poprosił, aby usiedli, i chciał poczęstować ich papierosami. Panna Holländer jednak odmówiła:

— Ja bym poprosiła raczej o szklankę wody — dodała.

— Pani się zmęczyła? — spytał dyrektor. — Dzień jest raczej chłodny.

— Nie posiadam się z oburzenia — wykrzyknęła nagle kompozytorka i chciała opowiadać dalej, lecz nie dał jej dojść do słowa woźny Posag. Huknął pięścią w biurko przed nosem dyrektora, aż ten spojrzał na niego zdziwiony, i krzyknął:

— Panie dyrektorze, trąbi! Fama trąbi!

Dyrektor z przestrachem rzucił okiem w stronę profesora. Ten wysoki, poważny starzec z długą siwą brodą kiwał jednak potakująco głową.

— Tak, panie dyrektorze — dodał po chwili jak gdyby ze smutkiem — słyszeliśmy wszyscy: Fama trąbi.

— To niesłychane, niesłychane — ciskała się nerwowo malutka i okrągła kompozytorka — to niedopuszczalne. To dyrekcja powinna załatwić natychmiast w swojej kompetencji, po swojej własnej linii.

Dyrektor wzruszył ramionami i już ich nie rozkurczył, bowiem Tosiek powiedział rzeczowo:

— Panie dyrektorze, posąg Famy w hallu Muzeum Narodowego trąbi w swoją trąbę.

— Czyście poszaleli? — syknął dyrektor.

A wtedy cała czwórka powiedziała jak jeden mąż:

— Widzieliśmy, słyszeliśmy wszyscy.

I tutaj po kolei zdali dyrektorowi relację, której już nie będziemy powtarzać. Wiemy już, jak się to zdarzenie odbyło i jak na nie zareagowali członkowie domniemanej delegacji.

Dyrektor, wysłuchawszy opowiadań w najwyższym zdumieniu, gdy nastało milczenie, nie wiedział, co powiedzieć. Chciał mówić, lecz zaczął się jąkać i zatkało go.

— Ja... ja... jak? — powiedział i potem bezradnie patrzył na każdego po kolei. Obejrzał całą dziwaczną galerię tkwiącą przed jego biurkiem: starego profesora, woźnego z purpurowym nosem, małego blondasa — kandydata na aktora, i pulchną muzyczkę. Mimo wpatrywania się w ich twarze nie znajdował nic do powiedzenia. Zapanowało chwilowe milczenie.

Wreszcie odezwał się znowu bardzo trzeźwo Tosiek:

— Panie dyrektorze, my nikomu o tym nie powiemy.

— Ani słowa — zwróciła się do niego panna Holländer — nikt nie śmie o tym wiedzieć. — Po czym popatrzyła zimno na dyrektora:

— To się już chyba nie powtórzy — dodała.

Dyrektor rozłożył ręce.

Do tej pory nie odezwał się ani słowem. Powzięcie tej dziwacznej wiadomości odebrało mu mowę. Z inicjatywy panny Holländer Tosiek zostawił swój adres dyrektorowi, adresy innych świadków niezwykłego zdarzenia znane były w administracji muzeum. Raz jeszcze złożywszy przyrzeczenie kompletnego milczenia, zebrani rozeszli się wyrażając swe spodziewanie, że dziwny fakt już się nie powtórzy.

Nadzieje te, niestety, okazały się płonne. Nazajutrz Fama zatrąbiła dwa razy. Raz o godz. 6.18 rano, gdy w pobliżu był tylko woźny Franciszek Posag, drugi raz już po zamknięciu muzeum, gdy dyrektor wraz ze swym pomocnikiem znajdował się jeszcze w gabinecie, na górze. Tym razem dźwięk trąby był tak donośny, że dyrektor od razu zrozumiał, jakie to echo

rozlega się po pustych salach muzeum. Jego pomocnik zaniepokoił się, skąd pochodzi to brzmienie, ale dyrektor zagadał go czym prędzej:

— To pewnie straż ogniowa pojechała na Pragę — powiedział.

— Ależ nie, straż ogniowa trąbi inaczej — zapewnił pomocnik i podszedł do okna — to jak gdyby zabrzmiało coś w samym muzeum!

— Zdawało się to panu — autorytatywnie wyjaśnił dyrektor i skonfundowany pomocnik zamilkł, uśmiechnął się tylko pod wąsem.

Na trzeci dzień Fama milczała. Dyrektor wezwał jednak wtajemniczonych do swojego gabinetu na godzinę 11-tą i złożył im relację z przebiegu wczorajszego dnia.

— Wczoraj posąg zatrąbił dwa razy, obawiam się, że to się będzie powtarzało — zakończył swoją opowieść dyrektor — i wezwałem tu was na naradę, abyśmy się zastanowili, co należy począć. Jeżeli wieść o trąbieniu dojdzie do Ministerstwa Kultury i Sztuki, kto wie, jak się to może skończyć.

— Trąbi cholera tak głośno, że na ulicy słychać — ponuro powiedział woźny.

— A w sąsiednim domu czy może być słychać? — zaniepokoiła się panna Holländer.

Dyrektor muzeum spojrzał na nią badawczo.

— O jakim domu pani myśli?... — spytał poważnie.

Panna Holländer nie odpowiedziała.

Wszyscy członkowie „Komitetu" byli dzisiaj w bardzo złych humorach. Każdego z nich, powiedzmy nawiasem, spotkała wczoraj wielka przykrość. Tosiek miał dosyć Basi, zresztą miał i przykrości szkolne, profesor miał atak kamieni nerkowych, Franciszek pokłócił się z panną Bernhard, a pannę Holländer doszły głosy, że w Ministerstwie Kultury oskarżono ją o lewactwo.

Toteż profesor Wolski odezwał się z pewnym zniecierpliwieniem:

— Po cóż nas pan wezwał, panie dyrektorze, cóż my na to możemy poradzić?

Dyrektor nie zdążył odpowiedzieć na to pytanie, gdyż w tej chwili cały gmach muzeum napełnił się silnym odgłosem srebrzystej trąbki. Dźwięki nie ustawały ani na chwilę i wzmagały się stopniowo. Szyby zadrżały.

— To ona! — zawołał Franciszek i wszyscy zerwali się do biegu.

Z gabinetu dyrektora trzeba było przebiec korytarzem, potem trzy piętra w dół. Pierwszy, oczywiście, biegł Tosiek, za nim dyrektor muzeum. Spoglądając na zegarek wołał w biegu:

— Jedenasta dwadzieścia dwie, tym razem jedenasta dwadzieścia dwie...

Za nim toczyła się jak kula panna Holländer, na schodach wszystkie składniki jej pulchności podskakiwały rytmicznie.

— As, as, as, as! — wołała zeskakując ze schodka na schodek — as, as, as, as — liczyła nuty trąbki. I nagle zawołała przypominając sobie swój lwowski akcent:

— Ta cóż to znaczy? C, dzisiaj gra C — nie Cis!

Z tym okrzykiem wpadli do szatni i do hallu.

— Drzwi zamknąć — wołał w przelocie dyrektor — nie wpuszczać i nie wypuszczać nikogo.

Speszeni szatniarze tłumnie rzucili się do wykonania rozkazu, ku dyrektorowi leciał z głębi drugiego skrzydła przerażony jego pomocnik, wymachując rękami:

— Psiakrew! — zaklął Tosiek.

Do Famy dostać się było nie podobna. Otaczał ją zwarty tłum dzieci.

— Co to jest? Co to jest? — wołała zdyszana panna Holländer.

Jakaś przerażona kobiecina w szarym płaszczu i fiołkowej woalce na głowie oddzieliła się od stłoczonych dzieci.

— My jesteśmy wycieczka szkoły podstawowej w Klimontowie — zawołała.

— Rozejść się, rozejść się — wołał nadbiegły Franciszek.

A posąg trąbił w najlepsze.

W godzinę potem w gabinecie dyrektora zgromadziło się znowu to samo towarzystwo, pomnożone o pomocnika dyrektora i zapłakaną nauczycielkę z Klimontowa. Mimo jej błagań dzieci nie wypuszczono i muzeum było zamknięte na cztery rygle.

Zebrani zasiedli wkoło okrągłego stołu stojącego w rogu gabinetu i przez chwilę milczeli. Wreszcie dyrektor bezradnie spojrzał po wszystkich i załamując ręce powiedział:

— Co robić?

— Do Bezpieczeństwa — syknęła bezapelacyjnie panna Holländer.

— Za nic w świecie — odpowiedział dyrektor.

— Nie można — dodał jego pomocnik poważnie — trzeba to ukryć jak najstaranniej.

— Niech tu przyjdzie ktoś z Ministerstwa Kultury i Sztuki — zaproponował profesor Wolski.

— Dobrze! — ucieszył się dyrektor — zaraz zadzwonię.

I nie czekając na aprobatę podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Po chwili już rozmawiał.

— Hallo! To pani sekretarka? To ja, tak, to ja... muszę zaraz rozmawiać z panem ministrem. Tu się stało nieszczęście w muzeum, wielkie nieszczęście. Musi zaraz ktoś przyjechać... tak?... tak?... tak... tak... aha... tak... za godzinę? Dobrze, za godzinę...

Położył słuchawkę i popatrzył smętnie na towarzyszy niedoli. Minister w Łomży, wiceminister w Chodzieży, kierownik wydziału na zebraniu, dyrektor Lisek nie może opuścić ministerstwa... Kazali zadzwonić za godzinę.

— Dyrektorze — powiedział cierpliwie pomocnik — wy nie tak robicie. Jeszczeście się nie nauczyli?

To mówiąc podniósł słuchawkę i nakręcił ten sam numer.

— Hallo — powiedział — tu mówi zastępca dyrektora Muzeum Narodowego. Chciałem się spytać, czy wyście dostali zaproszenie na nasze dzisiejsze zebranie? Wysłane przed tygodniem. Nie wie pani? Bo tu panowie już się zebrali, czekają, a delegata od was nie ma. W jakiej sprawie? W jakiej sprawie... Planowanie tematów malarskich na rok 1956. Tak, tak, zaraz po sześciolatce... no, tak, trzeba myśleć o przyszłości. Kto jest? Profesor Wolski, pani Holländer... tak, pani Holländer, tam będą i tematy muzyczne. Malarze lubią instrumenty muzyczne, trzeba im ustępować w ich zamiłowaniach do tema-

tów, tak, tak... Dyrektor Lisek? Doskonale. Zaraz będzie? Dobrze, my poczekamy z otwarciem zebrania. Nie szkodzi, nie szkodzi... my już przyzwyczajeni.

— Dyrektor Lisek będzie za chwilę — dodał odkładając słuchawkę.

— To świetnie — zauważyła panna Holländer — mam z nim do pomówienia.

Jakoż po pół godzinie zjawił się dyrektor Lisek. Wyświeżony, spokojny. Że muzeum jest zamknięte i że wpuszczono go wyjątkowo — nie zauważył. Nie pomiarkował nic po zebranych, chociaż nauczycielka z Klimontowa płakała cicho.

W tym momencie odwołano woźnego Franciszka. Żona po niego przyszła. Panna Holländer skoczyła do oczu dyrektorowi Liskowi:

— Skąd lewactwo? Jak to lewactwo? Co to znaczy? Dlaczego?

Dyrektor Lisek uśmiechnął się z całym spokojem.

— Moja panno Henryko, koleżanko, słuchajcie! Wasze *Tango kurpiowskie* na fortepian ma melodię w lewym ręku. Dlaczego? Po co? Jeżeli melodia jest dostatecznie postępowa, to słuchacz to i tak zrozumie, nawet i w prawym ręku. Nie potrzeba tego podkreślać...

— Tak — wtrącił tu nagle swoim niskim, robionym basem Tosiek Tralka — a jak ja zagrałem na popisie szkolnym Bolesława Śmiałego...

— Tak, tak — przerwał mu w pół słowa zirytowany już dyrektor Lisek — bo jeżeli Bolesław Śmiały jest niższy wzrostem od biskupa, to widz odczuwa sympatię do biskupa...

— Ależ ja grałem tak — Tosiek podniósł swój herkulesowy łokieć do wysokości ucha... — a potem Motykowska napisała w gazecie...

— Drodzy państwo — z rozpaczą w głosie przerwał dyrektor — zebraliśmy się tu w innej sprawie.

I tu dopiero opowiedział zdumionemu przedstawicielowi Ministerstwa Kultury i Sztuki o całej historii z trąbieniem. Dyrektor Lisek opanował swoje zdziwienie i starał się stanąć na wysokości sytuacji.

— Czy pan zarządził, aby nikt nie został z muzeum wypuszczony?

— Ależ oczywiście.

Tu przemagając swe onieśmielenie nauczycielka w fioletowej woalce wtrąciła swoje:

— Panie dyrektorze, dzieci głodne, ja muszę na pociąg. One nie mają gdzie nocować... ja nie mam pieniędzy... — i łzy znowu poczęły ją dławić.

— No, tutaj się zarządzi zbiorowe żywienie dzieci. Trzeba zatelefonować do centrali gastronomicznej... Ile jest dzieci?

— Sześćdziesięcioro — wyjąkała nauczycielka.

— Tak, więc sprowadzi się sześćdziesiąt nakryć, sześćdziesiąt zup...

— A my? — spytał Tosiek, bardzo już głodny.

— No, to osiemdziesiąt.

— Tak, ale ci, co przywiozą obiad, nie będą mogli już opuścić muzeum, ponieważ się dowiedzą, że Fama trąbiła — wtrącił pomocnik dyrektora.

— To trudno.

— A kolacja? — spytał Tosiek, którego sprawy wyżywienia zawsze mocno interesowały.

— Przyjadą inni.

— Ależ w ten sposób muzeum będzie się napełniało coraz szczelniej — powiedział z jeszcze większą rozpaczą dyrektor.

— Musimy jednak tak postąpić — stwierdził nieubłaganie dyrektor Lisek.

— Aż Fama przestanie trąbić? — spytał profesor Wolski.

— A jeżeli ta wasza Fama nigdy nie przestanie trąbić? Do sądnego dnia? — płaczliwie powiedziała opiekunka dzieci.

— Nauczycielka w Polsce Ludowej nie może wierzyć w sądny dzień — zrobiła uwagę panna Holländer.

— Zaraz, zaraz — przerwał jej dyrektor Lisek, łącząc palce obu rąk przed swoim nosem — musimy się zastanowić, ile kalorii potrzebują dzieci. Czy piętnaście gramów mięsa wystarczy dla dzieci? Musimy przedłożyć kosztorys wyżywienia do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego.

— Dobrze! — krzyknął dyrektor — ale wtedy musimy powiedzieć, dlaczegośmy dzieci zamknęli w Muzeum.

— Co to będzie, jak oni się dowiedzą! — westchnęła panna Holländer.

W tej chwili wpadł Franciszek.

— Panie dyrektorze — zawołał od progu — na pomoc! Dzieci szaleją! Rozbiegli się po całym muzeum. Dziewczynki bawią się w gospodarstwo korecką porcelaną, a chłopcy w policjantów i złodziei — policjanci mają na głowie greckie wazy zamiast hełmów, a złodzieje przepasali się słuckimi pasami... A najmłodsze zasiusiali całą toaletę.

Wszyscy ruszyli na dół. Z trudnością pozbierano dzieci po salach, odebrano im muzealne przedmioty, zgromadzono je w hallu. Woźni utworzyli kordon na schodach, aby dzieci nie puszczać na górę. Krzyk był, gwar i hałas niebywały. Trwało to z godzinę. Fama trąbiła przez ten czas parę razy, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Tylko dzieci pokładały się ze śmiechu.

Wreszcie uspokoiło się wszystko. Dzieci przycichły i usiadły na posadzce. Wyglądały jak zbite stado kuropatw. Niektóre zaczęły zasypiać.

Dyrektor Lisek przez ten czas znikł. Wezwano go na inne posiedzenie. Inni członkowie „Komitetu Ratowania Sztuki Polskiej" nie mieli już siły iść na górę. Usiedli wszyscy przy szatni, przy wojłokowych pantoflach, i spoglądali bezradnie jedni na drugich.

Pani nauczycielka z Klimontowa, rozdawszy co słabowitszym dzieciom własne bułeczki z olbrzymiej torby, którą dźwigała w ręku, przysiadła też na krzesełku ze zrezygnowanym wyrazem twarzy. O zbiorowym wyżywieniu zatrzymanych w muzeum dzieci już się nie mówiło.

Wówczas od grupy najstarszych chłopców, którzy się zatrzymali na schodkach przed kordonem woźnych, oddzielił się jeden uczeń i podszedł do nauczycielki:

— Psze pani, psze pani — zaseplenił z cicha — ja pani coś powiem.

— Dziecko kochane — ucieszyła się nagle nauczycielka i twarz jej się rozpromieniła jak słońce zza chmur wyzierające — nie mnie, nie mnie. Powiedz panu dyrektorowi.

To mówiąc popchnęła malca ku dyrektorowi muzeum, który siedział ze zwieszoną głową w ponurym zamyśleniu. Ustawił jednak swoje krzesło w ten sposób, iż przez drzwi wejściowe mógł od czasu do czasu zerkać niespokojnie w stronę zamarłego posągu.

— Panie dyrektorze, panie dyrektorze — zawołała nauczycielka — on ma panu coś do powiedzenia. To nasz „szkolny racjonalizator", Gabryś Ponowa. On wszystko potrafi, to jest inicjator walki z chrabąszczami w Klimontowie, on czyści kominy, on zracjonalizował naszą straż ogniową... Już ja go znam, on ma sposób — no mów, mów, chłopcze... — posunęła małego jeszcze bardziej w stronę zasępionego dygnitarza.

Oczy wszystkich z ciekawością i niedowierzaniem zwróciły się na Gabrysia.

Był to chłopiec lat dwunastu, wysoki i chudy, rudawy i piegowaty, ostrzyżony na jeża. Miał duże, niebieskie oczy o zaczerwienionych powiekach, zadarty nosek, którym pociągał przy mówieniu, i grube, wypukłe wargi. Ubrany był w króciutkie spodenki, z których sterczały cienkie, patykowate, bardzo opalone nogi, w sweterek trawiastego koloru i wypłowiałą perkalową koszulinę.

Stanął przed dyrektorem i nieco sepleniąc zapytał:

— O ile się domyślam, towarzyszu dyrektorze, to macie kłopot z tą figurą, co trąbi. Czy ona trąbi niezależnie od was?

Dyrektor z głębokim podziwem obrzucił spojrzeniem patykowatą figurkę.

— Zupełnie niezależnie — odpowiedział z westchnieniem.

— I wy nie wiecie, co z tym począć? — pytał dalej Gabryś.

Wszyscy obecni ze zdumieniem słuchali tonu tych pytań. Przysuwali też swoje krzesła stopniowo w ten sposób, że Gabryś po chwili znalazł się w środku koła ciekawych. Nauczycielka z Klimontowa znowu ocierała łzy, tym razem łzy dumy.

— Bo wy nie chcecie, aby świat się dowiedział, że w waszym muzeum dzieją się rzeczy mistyczne i irracjonalne? — jednym tchem wyrecytował Gabryś.

— No, tak! — odpowiedzieli tym razem wszyscy zgodnym chórem.

— No, to ja będę, zdaje się, miał sposób — powiedział Gabryś, specjalnie szepleniąc na obu „s" w słowie „sposób".

— Chłopcze, czy ty się nie łudzisz? — ze smutkiem spytał profesor Wolski. — Na pewne rzeczy nie ma sposobu.

Ale Gabryś nie słuchał profesora. Jak niepowstrzymany potok mówił dalej, jak gdyby wydawał znakomicie wyuczoną, ale niedobrze rozumianą lekcję:

— Podług trzeciej zasady dialektycznej, jeżeli nie da się opanować pewnego przeciwstawiającego się nam zjawiska, należy to zjawisko podporządkować sobie, zużytkowując na rzecz naszych celów, jak turbinę wodną. Towarzysz Stopczyk w przemówieniu swym z dnia 10 lutego roku 1950 w Opatowie powiedział: jeżeli zjawisko nie poddaje się naszym celom, należy je przechrzcić tak, aby z nami współdziałało. Proponuję przechrzcić zjawisko zachodzące w Muzeum Narodowym i, że się tak wyrażę, zracjonalizować je.

Gabryś przerwał, a wszyscy milczeli pogrążeni w zbaraniałym zdumieniu.

— Jaka jest trzecia zasada dialektyki? — spytał szeptem Tosiek pannę Holländer.

— Nie wiem — jeszcze ciszej odpowiedziała kompozytorka.

Milczenie przerwał profesor Wolski:

— Ten mały dobrze mówi: należy przechrzcić. U nas też tak się robi. Jak ten stary Feigenfeld, dobry malarz, ale chłop prosty, od pługa, nic nie rozumie, twierdzi, iż trzeba malować tak, jak się czuje — jak ten stary Feigenfeld wystawił obraz *Chmury w Loing-sur-Marne*, nawet dobry obraz, medalem złotym w Paryżu odznaczony, to myśmy go nazwali *Murarze na rusztowaniu* i bardzo się wszystkim podobał, czwartą nagrodę dostał na wystawie i Sokorski chwalił, i *„Ogoniok"* go reprodukował. A obraz został ten sam...

W tej chwili Fama zadudniła. Ale wszyscy byli tak zajęci Gabrysiem, że machnęli rękami. Dzieci tylko, już prawie zasypiając, odwróciły ku niej niechętne głowiny.

— No, i dobrze — powiedział rzeczowo pomocnik dyrektora, kiedy trąba przestała ryczeć i ostatnie jej echo odbiło się gdzieś o szklany dach gmachu — a cóż ty przechrzcisz?

Gabryś nie namyślał się ani chwili:

— Ja bym jej dał taki napis: „Nawet posągi grzmią na cześć sztuki socrealistycznej" — i niech sobie trąbi.

— Dziecko, ty jesteś genialny — zawołał dyrektor.

— Pewnie chcesz zostać ministrem? — spytała panna Holländer.

— Nie, ja chcę być aktorem — stanowczo wyrzekł Gabryś.

— No, oczywiście — powiedział sam do siebie Tosiek — bo szepleni.

W mig Franciszek przyniósł kawałek czerwonego płótna, co został z transparentu pierwszomajowego. Wszyscy, nawet nauczycielka z Klimontowa, wycinali z białego papieru litery, które rysował w pośpiechu profesor Wolski. Nie przeszły trzy kwadranse, a transparent był gotowy. Z tryumfem poniesiono go do hallu i umieszczono nad posągiem. Dla przymocowania go dyrektor poświęcił ostatnie pluskiewki w muzeum, które były zarazem ostatnimi pluskiewkami w Warszawie.

— Panie dyrektorze — zrobił skromną uwagę Franciszek Posag — a czym będziemy potem przybijać?

— Gwoździami prehistorycznymi — odpowiedział rzeczowo pomocnik dyrektora.

W momencie, kiedy napis przybijano nad figurą, Fama podniosła rękę z trąbą ku wargom, ale nie zatrąbiła. Ręka jej powoli opadła i znieruchomiała w zwykłej pozie.

— To jest figura realistyczna — powiedział Gabryś — piersi odrobione jak prawdziwe. Tylko w pasie wąska, ale to od sznurówki. Nasze kobiety nie są już takie. Ta rzeźba jest osadzona w historii.

Tosiek, nadając cały aksamit swemu głębokiemu głosowi, raz jeszcze odczytał napis:

„Nawet posągi grzmią na cześć sztuki socrealistycznej".

— Co za poczucie rzeczywistości — powiedziała panna Holländer.

— Teraz można drzwi muzeum otworzyć jak najszerzej, niech przychodzą, niech oglądają — zawołał zarażony patosem otoczenia dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.

— To znakomity pomysł — dorzucił profesor Wolski.

I rzeczywiście. Pomysł był znakomity. Od chwili zawieszenia tego napisu Fama przestała trąbić.

Sandomierz, 30 maja 1952

Jarosław Iwaszkiewicz

Jerzy Zagórski

GAZELA NA 19-LECIE ŚLUBU

Nasz związek nie ma dwudziestu lat, więc się czasem wydaje za młody,
Żeby świat ocenić. — Jaki wiek mają wichry, ziemie i wody?

Czytasz wszystko, co wpadnie do rąk, choć odróżniasz w sztukach doskonale.
Prostak jestem — jam księgi kładł pod poduszkę, gdym jeszcze był młody.

Coraz mniejszą choinkę co rok nasze dzieci, rosnąc, wybierały,
Fryzjer z głową mą pracy miał mniej. Czegóż, czegóż to są dowody?

Ale gdzież, ale gdzież jest ten czas? Czy złodzieje nam go wykradli,
Czy jak wino do beczki ktoś wlał, do piwnicy stoczył przez schody?

Fermentuje, fermentuje płyn. Smak uzyska słodki czy wytrawny,
Niech kiperzy ocenią to. Cóż obchodzą nas ich zachody?

Kiedy wnuki otoczą nas, nie spytamy, czy odejść pora,
Lecz o statkach posłyszą baśń, co łamały skostniałe lody.

To pociecha, że kroplą jest wiek, że godzina bywa stuleciem,
Że gwiazd milion nie waży nic i co wiosnę kwitną ogrody.

Ile bólu zadałaś — wiesz, ilem ja ci wyrządził szkody...
O przyczyno radości mej, o sprawczyni życia urody!

3—5.I.1956

CZY TYLKO GŁUCHA ROZPACZ...

Czy tylko głucha rozpacz w człowieku
Ma być świadectwem naszego wieku?

Czy z pogwałconych gniewem stuleci
Sprawiedliwości gołąb wyleci?

Czy zmieni z kłamstwem w historii wartę
Niesfałszowane słowo otwarte?

Jeśli się takie pytanie szerzy,
Może odpowiedź do nas należy?

9.IV.1955

Jerzy Zagórski

Wanda Borudzka

SIERPIEŃ

Dzień się kończył, dzień się zaczynał
pogodą.

Ranek kwitł, dojrzewał, czerwieniał
jagodą.

Koniczyną
różowy wiatr płynął
nad wodą.

Z gwiazd, jak z liści, opada niebo — to sierpień,
dokwitamy, dojrzewamy — do cierpień.

Sierpień 1939

KSIĘŻYC

— Z prawej strony ukaż mi się, proszę!
Z lewej strony zgina sierp swój zimny,
takim sierpem w maju trawy koszę.
Srebrne będzie. Srebrne i zielone
w sercu moim zatopione ostrze.

SAMOTNOŚĆ

Na wodzie spokojnej
nie błyska nóż, krew z żyły przeciętej nie tryska,
serce po burzy jest wolne,
śpiewając fala podaje je fali.
O, nareszcie całe się zanurzy.

Spieniło się. Boja jęknęła. Księżyc znowu jest
krzywym nożem,
woda nie położy,
wyrzuci na brzeg,
na kamieniste łoże.

Zwlokę się. Otrę krew.
Życie się zagniewało. Widać — zasłużyłam na gniew.

OJCZYZNA

Znowu w nadwodnej zieleni
głos słowiczy trysnął strumieniem,
dzwonieniem, drżeniem.

Woda przy brzegu pluszcze,
miętę w srebrnych dłoniach trzyma, nie puszcza.

Moja zielona ojczyzno,
raz jeszcze do mnie się przyznaj.
Kiedy śmierć mnie zdusi za gardło,
nie daj, żebym umarła
na rozpalonych kamieniach.

Połóż mi na oczy i usta
tatarakową zieleń,
uchyl wierzbowej zasłony,
wodą z daleka pluśnij...

Powiem śmierci: — Skończone. Puść mnie.

1953—55

Wanda Borudzka

Aleksander Ścibor-Rylski

STYCZEŃ

I

Lipień był małą rzeczką o wodzie leniwej i gęstej. Trudno też uwierzyć, aby sam wyżłobił sobie tę rozległą dolinę, której dnem ściekał. Dawniej musiało tędy płynąć coś większego, jakaś rzeka na miarę Bugu albo Warty. Zostały po niej ciemne łąki, gdzie latem rosła trawa niezdrowa i kwaśna, gdzie pleniły się skrzypy i rdesty, a pod stopami mlaskały mokradełka. Zimą wiatr spychał tu śniegi ze wzgórz okolicznych.

Od północnego wschodu zamykały dolinę pasma łagodnych pogórków, ciągnące się aż ku dalekiej Wiśle. Za to drugi brzeg Lipnia był stromy i poszarpany szczelinami, spomiędzy których jak palce wysuwały się łyse skarpy. W jarach szumiała głogowa plątanina, przetykana karłowatymi drzewkami, a wyżej, na skraju urwiska, rozciągał się Łęczynek, miasto odpustów i powiatowego handlu.

Wyzwolono je trzynastego stycznia z rana, lecz Otryna zdążył tam ze swoimi dopiero na wieczór. Raz, że mieli daleko, z górą trzydzieści kilometrów, a dwa, że śnieg im przeszkodził — głęboki, koniowi wyżej kolan, i przetarty tylko na szosach. Jechało ich pięciu, jeśli nie liczyć woźnicy, do którego należały sanie. Otryna siedział obok, lub raczej zamiast niego, na koźle, rozparty wygodnie i nie ciekaw, jak sobie tamten radzi; czort z nim, chce, niech jedzie na dyszlu.

Ludzie po wsiach z ciekawością przypatrywali się jego twarzy: krótkiemu czołu, na wpół schowanemu pod futrzanką, brwiom grubym na palec i pokrytym kropelkami potu, bo Otryna łatwo się zgrzewał; szerokim, spękanym policzkom i zębom, ściemniałym od tytoniu na kolor gliny, a odsłoniętym w szybkim oddechu. Niżej piętrzył się biały kożuch, zdarty z jakiejś niemieckiej wachy, a ściągnięty parę razy rzemieniami na krzyż. O piersi obijała się pepesza z magazynkiem, wygiętym ku przodowi, i rękojeścią, wyślizganą od częstego używania. A jeszcze niżej widać było świńskie buty z garściami słomy, wyłażącej z cholew.

Tamtym czterem tylko głowy wystawały z sanek, a jednemu ponadto kolba karabinu trzymanego leśnym sposobem, to znaczy lufą na dół.

Dojechawszy do miasteczka zwolnili. Uliczki były tu ciemne, widocznie z braku prądu. Na jezdniach tłoczyły się gromady mężczyzn, od których zajeżdżało monopolką lub złym buraczanym bimbrem. Przed saniami rozstępowali się le-

niwie, czasem trzeba było wołać na nich kilkakroć, zanim odwrócili głowy i poschodzili na bok. Sylwetki ich zacierały się w mroku. Rozmowy prowadzili półgłosem, mało kto śmiał się czy żartował, w powietrzu wyczuwało się niepokój.

Jakiś człowiek, korzystając z tego, że sanie na chwilę się zatrzymały, podszedł bliżej i oparł się piersią o brzeg półkoszka. Widać było, że usiłuje coś w ciemności wypatrzyć. Potem trzasnął zapalniczką i zobaczywszy u Otryny pistolet, zdmuchnął szybko płomyczek.

— Nie radzę panom dalej jechać. Na rynku stoją bolszewicy.

Otryna złapał go za klapę wełnianej kurty.

— To co z tego?

— Rozbroją was — odparł tamten już z mniejszą pewnością w głosie.

— Czekaj, pokaż się! A tyś co za jeden?

Ale tamten chwycił się oburącz za klapę i szarpnąwszy odskoczył tyłem w ciemność.

Ruszyli dalej z podźwiękiwaniem orczyków i miękkim szelestem płóz. W mroku przesuwały się koło nich nieruchome świetliki papierosów Czasem doleciało z boku głośniejsze słowo, kichnięcie, skrzyp obuwia. Nagle koń szarpnął się gwałtownie. Z przodu jakiś starczy, kobiecy głos, przerywany zadyszką, zaczął krzyczeć:

— Weź go krócej! Stratuje nas, bydlak! Uważaj, ludzi nie widzisz?...

Woźnica, ściągając lejce do piersi, wychylił się z sanek.

— A co wy tam, mateczki, niesiecie? Konik się was wystraszył.

Kobieta powtórzyła głucho:

— Wystraszył się. Nas się wystraszył, mój Boże Święty...

Otryna, uniósłszy się z kozła, wyjrzał furmanowi przez ramię. O krok od niego ciemniały dwie kobiece postacie, od których bił zapach dymu i zgorzałej benzyny. Między nimi wisiało w powietrzu coś wielkiego, ciężkiego. Ta, która przed chwilą krzyczała, zaczęła teraz prosić gorącym, wezbranym łzami szeptem:

— Kochaneczku, jeżeli się bardzo nie śpieszysz, pomóż. Ciało niesiemy. Niedaleko, za Lipień... Ale my stare, nam ciężko.

— Zabity?

— Spalony. Tam, u Benedyktynek, setkami leżą... Mojego poznałam tylko po zębach... I już się go konie boją.

Otryna, nie chcąc wprost odmawiać, milczał. Po małej chwili kobiety, zrozumiawszy jego milczenie, odeszły ze swym ciężarem w dół ulicy. Sapanie ich zwolna się oddalało, gorzka woń rozpływała się w powietrzu.

— Batem go! — krzyknął Otryna, wskazując konia brodą. — Szybciej do cholery! Słyszałeś, co powiedziały? Może... — i nie dokończył.

Pierwszego robotnika z biało-czerwoną wstążką na ramieniu zobaczyli dopiero przed magazynem „Społem", kiedy z przedmieścia Mursze mieli wjechać do środka miasta. Stał w bramie, zasłaniając sobą niewielki ogieniek, rozniecony na kamieniach. W lewej dłoni trzymał obrzynek, a kciukiem prawej głaskał stalową kulkę, błyszczącą na rączce zamkowej.

Otryna polecił woźnicy zatrzymać konia, a sam zwrócił się do tamtego:

— Pozwól no, obywatelu!

— Pozwalam.

— Macie już tutaj jaką władzę?
— Zależy, jakiej szukasz.
— Nie bój się. Tej, co trzeba.
— Diabli cię wiedzą, którą ręką powozisz.
— Lewą, lewą.

Robotnik wyciągnął z ognia płonącą deszczułkę i osłaniając ją sobą od wiatru, zbliżył się do zaprzęgu. Był to młodzik, może dwudziestolatek, szczupły i mizerny.

— Powiadasz: lewą. A opaska gdzie?
— Ty mnie nie ucz, smarku. Ja po szkole.
— Skąd jedziecie?
— Od Siekierna.
— Bechowcy?
— Nie zgadłeś. Cóż to, swoich nie poznajesz? Brak ci węchu. Pierwsza Brygada Ziemi Kieleckiej.
— Nie kręć. Brygada przeszła za Wisłę.
— Dzięki nam przeszła. Do tej pory się jeszcze liżemy.
— Trzeba było tak gadać od początku.
— To co, powiesz?
— Jest komitet.
— Rejonowy?
— Teraz powiatowy.
— Gdzie?
— Na rynku. W „Arbeitsamcie". Trafisz?

Woźnica nachylił się Otrynie do ucha:

— Już ja wiem, byłem tam na jesieni.
— To jazda.
— A ty się nie gniewaj — mówił robotnik, trzymając się sani za brzozową kłonicę i odprowadzając ich parę kroków. — Tu, bracie, taki bigos, że nie poznasz, kto z kości, a kto z mięsa. Godzinę temu magazyn rozbili, musiałem strzelać... A opaskę mógłbyś założyć.

Został w tyle, przekładając obrzynek z lewej ręki do prawej. Widzieli, że brał go przez materiał, wciągając dłoń do rękawa; z pewnością przemarzł.

Na rynku stały ciężarówki, z wygaszonymi światłami, ale gotowe do drogi, warczące. Ich wielkie, brezentowe budy przyprószone były śniegiem. Kręciła się koło nich garść Rosjan i trochę cywilów, skorych do szybkiego handelku.

Z prawej strony, wciśnięta między liche kamieniczki, stała średniowieczna budowla, wąska i ciężka jak spichlerz. Kiedyś mieściło się w niej seminarium duchowne czy może raczej jakiś urząd kościelny, ale od czasów pierwszej wojny były tu już tylko różne „pomoce", „głodne kuchnie" i „pośredniaki". Teraz na drzwiach budynku ktoś uwiązał do klamki dużą, kolejarską lampę, która schodzącym się towarzyszom miała wskazywać drogę. W jej błękitnym świetle widać było trzy litery, wyciągnięte wapnem na deskach: PPR. Wartownika nie było albo też schował się przed mrozem do sieni. Świeciło się tylko w jednym okienku, krzywo zasłoniętym jesionką.

Skakali w śnieg, który z chrzęstem zapadał się pod nimi.

— Wy też chodźcie się ogrzać — zapraszał woźnicę Otryna. — Ja przy koniu kogoś postawię.

— Czas niespokojny. Sam zostanę.

— Jak chcecie, ojciec.

— A no, wolałbym, panie naczelniku. Sowietów się boję... Konia mam przecie tylko tego jednego...

Zostawili go na dworze i tupiąc weszli do sieni. Śnieg odpadał im od obcasów i układał się białymi podkowami na kamiennej posadzce. Z prawej strony widać było światło, przeciekające szparami skroś nieszczelne drzwi.

Otryna w wielkim pośpiechu, nie myśląc nawet o pukaniu, otworzył je i znalazł się w ogromnej izbie o ceglanym sklepieniu i ścianach, bielonych tylko do połowy. W krzywych niszach, a także w odleglejszych kątach, zbierała się tu gęsta ciemność; za to środek pokoju tonął w ostrym, suchym blasku. Na kamiennej posadzce syczała ciężka karbidowa lampa, lakierowana na szaro i niczym nie osłonięta. Z palnika jej trzaskał biały ognik, łopatkowaty, spłaszczony na końcu. Pod nakrętką bulgotały banieczki wody.

Obok lampy, odwrócony tyłem do drzwi, stał tylko jeden samotny człowiek. Na tle tej sporej, opustoszałej izby wydawał się bezradny i niewielki. Widać było, że trze ręce, jak ktoś, kto ma tyle do roboty, że nie wie, od czego zacząć. W pewnym momencie wykonał drobny ruch, jakby chciał podejść do powielacza leżącego na stole, zaraz jednak przystanął. Był pełen wahania i rozterki, co chwila decydował się na coś i natychmiast zmieniał decyzję nie ruszając się z miejsca.

— Brzostek! — zawołał nań od progu Otryna.

Tamten odwrócił się gwałtownie. W świetle lampy błysnęła jego drobna twarz o wrażliwych ustach, które gęsto kąsał ostrymi ząbkami, podobnymi do ziarnek słonecznika. Był to rzeczywiście Ignacy Brzostek, jeden z instruktorów politycznych Brygady. Ostatni raz widzieli się podczas bitwy pod Gruszką, gdzie Brzostek został ranny w płuco. Mimo że od tej chwili minęły niespełna cztery miesiące, Otryna poznał go z pewnym trudem: widocznie tamten musiał całą jesień ciężko chorować. Teraz, zobaczywszy Otrynę, uniósł brwi ze zdziwieniem:

— Łukasz? — zawołał unosząc lampę nad głową. — A cóż ty, bracie, nie w mundurze? Chodź no tu bliżej, kochany! Gadaj, gdzie nasi? Przydacie się jak jasna cholera!

— Więcej nas nie ma — mruknął Otryna, pokazując kciukiem za siebie, na stłoczonych u drzwi towarzyszy. — A z mundurem, to coś ty, na głowę upadł? Znajdź takiego krawca, żeby w jeden dzień uszył i to jeszcze na wozie! Mundur! Popatrz na swoje porteczki! To już ja lepiej wyglądam.

— Czego się złościsz? Gdzie Brygada?

— Bo ja wiem? Pewno za Wisłą.

— Zaraz... A ty?

— Ja spod Siekierna. Przeleżałem zimę u chłopów. Już ze mnie miarkę brali dla stolarza, ale jakoś wylazłem.

Brzostek jakby przygasł. Uściskał Otrynę, ale czoło ponownie ściągnęło mu się w ostre fałdy. Kryjąc rozczarowanie, skinął na Otrynowych ludzi, zaglądających z sieni:

— Wejdźcie, towarzysze. Zimno leci.

— Napalone? — zapytał któryś z nadzieją.

Brzostek wzruszył ramionami.

— Niemcy wczoraj palili. — Podszedł z lampą bliżej i szybko obejrzał przybyłych.

— Obywatel mnie poznaje? — zapytał nieśmiało jeden z nich.

— Tak, tak — mruknął nieuważnie Brzostek. — Wszyscy uzbrojeni? To dobrze. Zaraz przyjdzie komendant milicji. Na razie siadajcie.

Pokój zaczął zaciągać się parą mroźnych oddechów. Szeleściły odrywane bibułki, zapałki skrobały po siarce pudełek, częstowano się machorką z gumowych pęcherzy.

Otryna odciągnął Brzostka na bok i powiedział, ściszając słowa:

— Ty się z tym komendantem nie śpiesz. Myśmy nie do policji przyjechali.

— Dobra, dobra. Pogadamy jutro.

— Co znaczy jutro? Jutro to on mi ludzi porozsyła i gdzie ja ich będę zbierał?

Brzostek spojrzał nań czujnie i ostro.

— Taak? A ty co chciałeś z nimi robić?

— Powiedz, żeby nam wypisali kartkę do wojska.

— Jaką kartkę? — pytał Brzostek coraz chłodniej.

— Skierowanie czy co...

— Do wojska?

— A coś myślał? W policjantów i złodziei będziemy się bawić? To nie dla nas. Za Niemcem trzeba posuwać, bo później za dużo będzie tego nadganiania.

— Przestań bredzić! — przerwał mu nagle Brzostek. — Czyś ty już do monopolu zaglądał? Nie widzisz, co się dzieje? — Twarz zaczęła mu drgać histerycznie, oczy rozszerzyły się z gniewu, wydawało się, że wybuchnie przekleństwami. Natychmiast jednak opanował się i na wpół spokojnym głosem rzucił w stronę ludzi Łukasza: — Wszystkie graty zostawcie tutaj. Zaraz pójdziecie do roboty.

— Widać, że się nie dogadamy — powiedział lekceważąco Otryna. — No, nic, prowadź do głównego.

— Do kogo?

— Bo ja wiem? Do szefa sztabu. Albo jeszcze lepiej — do sekretarza rejonowego.

— Posłuchaj no, bratku...

— Nie. My się tylko pokłócimy. Tobie zachciało się rządzić, a ja akurat nie mam nastroju do słuchania. Dawaj towarzysza Pawła.

Brzostek chwilę mrugał powiekami bez słowa, potem zaś położył rękę na ramieniu Otryny.

— No, tak — szepnął. — To ty jeszcze nic nie wiesz... — Przez moment milczał, jakby dobierał właściwe wyrazy, aż wreszcie rzekł drewnianym, trochę nierównym głosem: — Oni wszyscy u Benedyktynek... Ktoś ich sypnął... Cały komitet... Niemcy wszystkich spalili.

I po malutkiej pauzie dodał:

— Ja zostałem sam jeden.

Z sieni doleciały ich odgłosy kroków. Do pokoju wszedł krępy, barczysty mężczyzna o ruchach odmierzonych i spokojnych. Na jego kanciastej twarzy topiły się resztki śniegu i wilgoć spływała mu po szyi za kołnierz. Ubrany był w czarny, sukienny mundur wojsk pancernych z wiszącymi tu i owdzie nitkami po wyprutych odznakach. Tylko klamry na pasie nie zdążył zaklepać, błysz-

czała więc nadal napisem *Gott mit uns*. Człowiek ten obrzucił wszystkich powolnym spojrzeniem, po czym odwrócił się i zawołał w głąb sieni:

— *Herein!*

Do pokoju wsunął się niewielki żołnierz „Wehrmachtu" z rękami założonymi na karku i bez butów. Stał krzywo na zewnętrznych brzegach bosych stóp, przebierając zbielałymi palcami.

— *Macht die Türe zu* — rzucił mu przez ramię człowiek w czarnym mundurze. Był to komendant milicji, Kocaj, do wczoraj — kamernik z wapiennika.

Brzostek przedstawił mu Otrynę i jego żołnierzy.

— Mało — uśmiechnął się Kocaj — podając każdemu po kolei dłoń o paznokciach szerokich jak dłuta. Z Otryną witał się dłużej: przez moment ściskał jego prawicę oburącz, przyglądając mu się starannie, jakby uczył się jego rysów na pamięć. Znał ze słyszenia tego chłopskiego partyzanta, ale z nim samym jeszcze się nigdy nie spotkał. — Mało was — powtórzył — ale dobre i to. Zabierajcie się, pójdziemy...

— A ten? — zapytał Brzostek, częstując Niemca papierosem.

— Sam podszedł do wartownika. Ludzi się bał, że wykończą...

Niemiec palił nerwowo, trzymając w dalszym ciągu jedną rękę na karku. Otryna podszedł doń gwałtownie i wyszarpnąwszy mu papierosa, roztarł go butem na podłodze.

— Ogień zaprószycie — powiedział z niezadowoleniem Kocaj. — Gorący z was patriota!

Tupiąc i dopinając pasy wyszli do sieni. Został tylko Otryna, którego Brzostek zatrzymał przy sobie.

Ten ostatni, krzywiąc się, zaczął spacerować między drzwiami a oknem, ukrytym w głębokiej wnęce. Ból stawów przeszkadzał mu w chodzeniu, lecz Brzostek, zdenerwowawszy się, nie mógł spokojnie usiedzieć. Nie patrząc na Otrynę, mówił nadmiernie rzeczowo i oschle:

— Dobrze, że masz podwodę. Wystawię ci papiery i rano pojedziesz do Wierzchocka.

— Zaczekaj, Ignacy...

— Nie jestem ciekaw! — uciął Brzostek. — Powiedziałem, że pojedziesz do Wierzchocka. Tam w ogóle nie ma nikogo z naszych, a gmina — wiesz, jaka cholerna; było nie było, twoje strony rodzinne.

— Ja — zaczął porywczo Otryna i jakby się zakrztusił. W tonie jego było tym razem coś nowego, co kazało Brzostkowi przystanąć. — Mnie się do domu nie śpieszy. Ja... U mnie... — I tu znowu głos mu się zerwał.

Brzostek chwilę milczał, kłując go wzrokiem, później podjął swoje głośniej i ostrzej. Sypał teraz poleceniami jak z rękawa, instruował Łukasza i uczył, nie dając mu nawet dojść do głosu. Ważniejsze sprawy powtarzał po kilkakroć, wciąż wracając do nich od nowa i ze szczególnym naciskiem akcentując słowo „władza". Widać było, że musiał tą władzą obdzielić już dziś paru ludzi, bo mówił szybko i niemal bez namysłu. „Milicja — podkreślał — milicja, rada narodowa, komitety folwarczne, dwory, magazyny." Łukasz miał coś tam zabezpieczać i zakładać, werbować i agitować, a także wykonywać dziesiątki innych rzeczy. „Jak już wszystkie majątki obrobisz, to dziedziców zostaw, nie ruszaj. Przyjdą instrukcje z Lublina, to się zobaczy, co trzeba. A teraz — byle nie

rozkradli. Bo potem będziesz miał kłopot z siewem.“ Wszystko to zaś mówił przesadnie stanowczo, jak człowiek, szarpany straszliwą niepewnością.

Nagle Otryna przerwał mu, wybuchając udanym, brzydkim śmiechem:

— Cudne, Ignacy! Naprawdę! Ależ z ciebie wesołek! Chcesz, dam ci pięć groszy i zrób to jeszcze raz od początku! — Zanosił się bulgoczącym rechotem, a oczy stawały mu się coraz węższe z gniewu. — Dobre! Ekonoma zrobić z Otryny! Posterunkowego na gminie! Z partyzanta! Z największego „jędrusia“ w Górach Świętokrzyskich! Przede mną Niemcy w samej Warszawie w pory robili! A ty mnie — na gminę! Dobre!

I naraz krzyknął:

— Gówno!

Stali naprzeciw siebie ciężko dysząc: Otryna pełen nienawiści, a Brzostek — zmieszania.

— Ja idę na front, rozumiesz? — wrzeszczał Otryna. — Przez pięć lat zbierał się we mnie apetyt! Zdechnę teraz bez dobrej przekąski! Niech raz Otryna będzie górą! Niech zobaczy, jakie to smaczne! Ile oni naszych ludzi narżnęli? Nie, ja też chcę do Berlina! Pogospodarować u nich troszeczkę!

Brzostek pochylił się przed nim napięty i rozkraczony, jak wiewiórka przydybana na ścieżce. Małe oczka chodziły mu z pośpiechem. Z twarzy jego znikła poprzednia fałszywa stanowczość, zamiast niej pojawił się wyraz niepokoju.

— Łukaszu — powiedział niemal szeptem. — Słuchaj. Nas w całym powiecie jest tylko paru. Gdyby nie Sowieci... Na Sowietach tu wszystko stoi. Inaczej, wiesz sam... — Wykonał blady gest ręką w stronę milczącej ulicy. Czuł przez mury to zaczajone, niechętne miasto, pełne ukrytej broni i groźne. Jeszcze dalej rozciągał się olbrzymi, przyspany śniegiem powiat, a w nim setki wsi, tysiące twarzy, hektary lasów... I tylko gdzieniegdzie, jak maleńka kropeczka, tkwił tam pojedynczy, samotny peperowiec. — A przecież to, co ma być zrobione... Ta cała rewolucja... Przecież my w paru musimy to zrobić... Nie Rosjanie... Od nich nikt tego nie zechce. I dlatego...

Ręka lekko mu drgnęła. Zamilkł. Łukasz także się nie odzywał; łykał tylko coś, bezbarwnie chrząkając. Potem, odszukawszy swoją czapkę, zaczął ją czyścić rękawem i długo w niej poprawiał podszewkę. Wreszcie mruknął:

— Ale to wszystko, coś mi kazał... Te komitety, rady, komisje... Tyle tego... Gdzież ja jeden dam radę?

— Ja wiem, że nie potrafisz — szepnął Brzostek. Znowu wydawał się bezradny i mały na tle tej wielkiej, mrocznej, klasztornej izby. — Ale każdy z nas musi próbować... Ile mu się uda.

II

Następnego dnia po południu Otryna pojechał do Wierzchocka, zaopatrzony w polskie papiery i rosyjskie *„udostowierenije“*. Droga wiła się pośród spłaszczonych wzniesień, które wiatr wyszlifował gładko, na kość. Białe pola opadały ku drodze długimi ukosami. Gdzieniegdzie, jak czarny grzybek, stało w śniegu pasemko krzaczków. Bokami, u granic widnokręgu, wlokły się niebieskie cienie lasów. Piekło słońce.

Do celu podróży dotarli u schyłku dnia, ale jeszcze za światła.

Wierzchock leżał na dnie wielkiej, wapiennej misy, otoczonej ze wszystkich stron pagórkami i przeciętej zygzakiem Lipnia. Było to niewielkie miasteczko, ot, trochę domków z kredowego kamienia, dużo płotów, kościół i synagoga, a wszystko z pewnością takie same, jak przed pięciuset laty, kiedy miejscowość shańbiła się zamordowaniem błogosławionego Adaukta, to znaczy niskie i brudne.

W jednym z niewielu dostatniejszych domów mieściła się knajpa *Pod Trzema Królami* i ona to zwróciła uwagę Otryny, gdy tylko zajechali na rynek. Był to pierwszy niezamknięty lokal, na jaki natrafili od wczoraj.

Łukasz zastał w nim kilkunastu ludzi, odzianych półwojskowo, półcywilnie, obwieszonych rozmaitym sprzętem i niewątpliwie już podpitych. Nieduża salka na dwa stoliki była nimi wypełniona po brzegi. Niektórzy siedzieli, podparci łokciami, inni otaczali bufet. Jeden z nich, pochylony nad ladą, wypinał ku drzwiom wąskie siedzenie, okryte szarym kożuszkiem. Na prawym biodrze lśniła mu jasna, cielęca kabura pistoletu; szła od niej czarna smycz, zawiązana pod kołnierzem. Jeśli chodzi o broń, to posiadali ją wszyscy i to w dużej ilości. Ze stołów zwieszały się poczerniałe rzemienie „kabeków", leżących pomiędzy szklankami. Jakiś rozchełstany mężczyzna ładował magazynek od erkaemu. Podłużne naboje znikały jeden po drugim w otworze magazynka; jęczała naciskana sprężyna.

Wejście Otryny początkowo nie zwróciło niczyjej uwagi. Dopiero po chwili ten i ów zaczął zniżać głos i odwracać się na krześle, frontem do sierżanta. Zwolna wszyscy milkli i na koniec knajpę zaległa cisza.

Otryna, starając się zachować zwyczajny wyraz twarzy, przyglądał się im spod przymrużonych powiek. Narodowcy? Wojsko pana Toporka? Nie było to wykluczone: NSZ miał tutaj silną bazę; lecz czy narodowcom opłacałoby się wychodzić na światło dzienne? Wątpliwe. A zresztą po co mieliby to robić? Milczenie przedłużało się. Łukasz czuł, że powinien podejść i zapytać o dowódcę, ale zarazem bardzo nie chciało mu się oddalać od drzwi. „Za dużo ich na mnie jednego — dumał, uśmiechnięty ostrożnie, z jedną ręką na klamce, a drugą na pętelce kożucha, tuż obok zamka pepeszy. Ruszę się — od tyłu mnie zajdą."

I zawołał, pozostając na miejscu:

— Kto tutaj starszy?

Od bufetu odezwał się wątły, chuderlawy człowieczek w okularach:

— A wy do kogo?

Otryna przyjrzał mu się nieznacznie: twarz cienka jak sierpik, z wygiętym podbródkiem, ustka blade, na szyi wytłuszczony krawat w grochy; marynarka widać przerabiana, bo z dwiema kieszeniami na piersiach. „Inteligent" stwierdził Otryna i wymijająco odparł:

— Ja tak sobie. Z komendą bym chciał pogadać.

— A skąd jesteście?

— Trudno powiedzieć jednym słowem. I stąd, i stamtąd...

— Niejasno się wyrażacie.

— Ja nie bardzo rozgarnięty, wybaczcie...

Mężczyzna z czarną smyczą, przewieszoną przez szyję, nachylił się do tamtego i oczyma wskazał mu rękaw Otryny, gdzie widniała biało-czerwona opaska

z literami MO. „Zaczyna się!“ pomyślał sierżant i powolutku przesunął palce ku rękojeści automatu. Lecz w tejże minucie „inteligent“ serdecznie zawołał:

— Czy nie przyjeżdżacie czasem z Łęczynka, towarzyszu?

Fala radości zalała Otrynę. „Towarzyszu! To znaczy, że nasi!“ Miał ich ochotę uściskać. „Sprawdzę tylko i jeszcze dziś nocą jadę na front!“ Jedno go tylko zastanowiło: skąd ich aż tylu? Partii tutaj nie było — czyżby się tak przez zimę rozrosła? A może bechowcy? Ale nie, tamci sobie nie „towarzyszują“. W rachubę mogli co najwyżej wchodzić pepesiacy, ale to już rodzina. Odpowiedział:

— Pewno że z Łęczynka!

— Milicja?

— Zgadza się.

— Co tam słychać, mój drogi? Chodźcie tu bliżej, prosimy!

Otryna, rozpromieniwszy się, podszedł w stronę szynkwasu, gdzie stał jego rozmówca. Przedstawili się sobie. Tamten, o ile sierżant dobrze usłyszał, nosił nazwisko Pielewicz. Ku zdziwieniu Łukasza nawet nie drgnął, poznawszy, z kim ma do czynienia. „Żeby tutejszy nic o mnie nie słyszał?“ uniósł brwi Otryna.

— Bardzo dobrze, że ktoś do nas zajrzał. Stworzyliśmy tu posterunek milicji i czekamy na instrukcje. Dodzwonić się do was nie można, pewno telefon zerwany... Rozbierzcie się, siadajcie! — mówił szybko Pielewicz, poprawiając okulary. Brał je przy tym oburącz i silnie utykał ich boczki za uszami. — Jesteście z PPR?

— Sporo macie tych milicjantów — rzekł wymijająco Łukasz. — Alowcy?

— Palowcy.

— Że jak?

— Palowcy.

— Nie słyszałem jakoś.

— No, Polska Armia Ludowa...

Na twarzy Otryny pojawił się odcień podejrzliwości.

— Krajową to znam, Ludową także. Ale takiej jeszcze nie widziałem.

— No, to wreszcie widziecie.

— A właściwie co z was za wojsko? Przy partii jakiej jesteście czy przy czym?

— Podlegamy CKL-owi. Centralnemu Komitetowi Ludowemu.

— Aha...

Pielewicz wypogodził się.

— To już obiło wam się o uszy, prawda?

— Nie miałem okazji. A biorąc politycznie: wy za kim?

— Przepraszam, nie rozumiem pytania.

— No, za Londynem czy za Lublinem?

— Moi drodzy... Nasza koncepcja, przynajmniej dotychczas, była koncepcją porozumienia. Przy sposobności chętnie was objaśnię. Byliśmy za nawiązaniem...

— To jak, za Londynem czy za Lublinem? — uparcie powtórzył Otryna.

— Uznajemy Rząd Tymczasowy.

— Uznajecie?

— Owszem.

— To starczy.

Wydobył papierki wręczone mu przez Brzostka i nie komentując ich treści

w żaden sposób, przedłożył je Pielewiczowi. Ten podszedł z nimi do okna i śpiesznie przeczytał.

— Wynikałoby z tego, że jesteście naszym zwierzchnikiem?

— Chyba.

— Bardzo się cieszę. Bardzo! — Uścisnął Otrynę i zapytał: — Czy każecie zrobić zbiórkę?

— Jasne!

Pielewicz krzyknął cienkim, nienawykłym do komendy głosem:

— Baczność! Ustawcie się na dworze!

„Któż tak wydaje rozkazy? — uśmiechnął się Otryna. — Ustawcie się! Też forma! W ten sposób mówi się do dzieci w szkole. Grzecznie ci palowcy obchodzą się ze sobą. Komisariat urządzili w knajpie, a drylu nie ma u nich żadnego!...“

W czasie gdy milicjanci oporządzali się i wybiegali z hałasem na rynek, Pielewicz powtórnie zapewniał Otrynę o swej wielkiej radości.

— Nie myślcie, że jestem zazdrosny! Będę naprawdę lojalny i gwarantuję wam lojalność naszych chłopców. Będziecie zadowoleni z posterunku! Przekonacie się wkrótce!

„Sympatyczny, choć cudak — szacował go Otryna. — Ciekawe, czy jego chłopcy przypadną Brzostkowi do gustu... Zawsze to nie partia, a koncepcja. Było nie było, różnica jest.“ Nieco zawiedziony, lecz pełen dobrych myśli, wyszedł z Pielewiczem przed knajpę.

Palowcy prężyli się w równiutkim dwuszeregu, but w but i pierś w pierś, jak pod sznurek. „Komendę mają nijaką, ani ciepłą, ani zimną — rozważał Otryna — ale wymusztrowani jak należy.“ Powiódł spojrzeniem po stojących i skubnął wargę z uznaniem.

Na prawym skrzydle stał ten ze smyczą, o naszywkach kaprala, prawdopodobnie zastępca Pielewicza. Był to nieduży, kanciasty człowiek w borsuczej czapie i kożuszku pokrytym gabardiną. Buty miał godne zazdrości: z wysokimi, lśniącymi „szklankami“ i cholewą, ciasno dopasowaną w łydce. Reszta ludzi wyglądała raczej pospolicie. Niektóre twarze wydawały się Otrynie znajome z widzenia, zwłaszcza jedna, należąca do szczupłego milicjanta, który stał na końcu. Kiedy Pielewicz niezdarnie dokończył raportu, Otryna poprosił go:

— Każcie wystąpić temu ostatniemu.

— Rozkaz! — odpowiedział Pielewicz i zaczął: — Strzelec... — po czym zająknął się, jakby zapomniał nazwiska. Wyciągnąwszy palec w kierunku chłopaka, dokończył: — Chodź tutaj!

„Ma ich tylko trzynastu i nie zna każdego na pamięć?“ zdziwił się Otryna. Nie zdradzając swych uczuć, zadał milicjantowi kilka pytań, ale niczego nie zdołał ustalić. Widocznie dotychczas nigdy się nie spotkali.

Po tej całej ceremonii Otryna udał się na miasto, aby załatwić część spraw, zleconych mu przez Brzostka. Na odchodnym zastępca Pielewicza szepnął coś swemu dowódcy i ten zwrócił się do sierżanta:

— Czy pozwolicie, że zaprosimy was na maleńką kolację? Chcielibyśmy uczcić... Wspólnie uczcić, rozumiecie?

Otryna przystał na jego propozycję i tak jak się umówili, odwiedził bar wieczorem.

Oba stoły były teraz zestawione i nakryte wspólnym obrusem. Założono je

obficie zimnym jadłem i rozmaitymi dodatkami w rodzaju korniszonów czy grzybków. Później, już po paru kolejkach, wjechał bigos, a wreszcie i pieczona gąska. Otryna, solidnie wygłodzony, nie żałował sobie niczego, a palowcy dotrzymywali mu kroku. Atmosfera zaczęła robić się ciaśniejsza, bardziej swojska. W powietrzu zawisła ostra woń alkoholu, niedostatecznie przetrawionego z sokiem. Syczały niedopałki, gaszone na talerzach. Rozchodził się swąd czyjejś przypalonej papierosem kurtki. Wycierano rękawami wilgoć z twarzy i rozpinano się aż do koszul. Zapachniało potem.

Otryna, korzystając z tego, że Pielewicz wyszedł za potrzebą, przysunął się do jego zastępcy. Mała, koścista twarz kaprala pobladła już od wódki, czarny wąsik, podobny do klamerki, zatłuścił się bigosem.

— Powiedzcie coś o tym waszym PAL-u.

— Według rozkazu.

— No, to w kłusa!

— A co mam mówić?

— Teorię jakąś macie?

— Jesteśmy organizacją demokratyczną. To znaczy... No, demokratyczną.

— A tak coś bliżej?

Kapral błysnął nieufnie białkami oczu.

— Co znaczy „bliżej"?

— Na przykład z tym porozumieniem... Kogo z kim chcecie porozumiewać?

— Pan to chyba wie lepiej! Ja się polityką nie zajmuję. Nie wtrącam się.

— Żarty sobie stroicie! Co z was za członek, żeby nie wiedzieć!

— Nie dowierza mi pan?

Pośpiesznie odwinął połę żakietu i ze skośnej kieszeni, zaciąganej na zamek błyskawiczny, wydobył jakiś papier.

— Zobaczcie, to moje zaświadczenie.

„Cóż mu tak pilno legitymować się przede mną?" myślał Otryna, przeglądając dokument, wystawiony na nazwisko Dunajca Józefa, data urodzenia 1924, Wierzchock... U dołu wielka pieczęć z sierpem, młotem, mieczem i bodajże jeszcze krzyżem. Otryna stłumił uśmiech: tylko koniczyny brakuje! Oddał kapralowi zaświadczenie i objął go silnie.

— Ani mi w głowie nie dowierzać! Morowe z was chłopaki!

— Morowe, prawda? — odezwał się za nimi głos Pielewicza, wionącego zimnem. — Mówię wam, towarzyszu, z takimi... Ech, można ruszyć z posad bryłę świata! — I wepchnął się między Dunajca i Otrynę.

— Macie do czynienia z robotnikami? — zapytał ten ostatni, nawiązując do słów Pielewicza.

— Rzecz prosta! Jestem socjalistą!

Otrynę to zirytowało. Gdzie ich teraz nie ma, tych socjalistów! Socjaliści-akowcy, socjaliści-alowcy, socjaliści-palowcy! „Jak pchły!" pomyślał z pasją. „Ludzkie, psie, kocie, a wszystkie gryzą!" Ale zganił się za to: „Brzostek powiedziałby, że front rozbijam." Nalał Pielewiczowi tęgą szklaneczkę, sobie drugą i trącili się.

— Za socjalizm!

— Byle nie za rzekomy! — tchnął mu w ucho Pielewicz, rozgrzany piciem i serdecznym ściskiem, panującym przy stole. — Pojmujecie mnie, prawda?

Otryna nie pojmował, lecz przytaknął.

— Nie za r z e k o m y! — podkreślił jeszcze raz Pielewicz. Okulary zaszły mu mętem, anemiczne ustka często łapały oddech. „Gruźlik chyba! — nasunęło się Otrynie. — Jeszcze od niego coś złapię! Nie powinien tyle pić, bo kopyta wyciągnie!“ Ale nalał od nowa.

— Jeszcze go raz; za socjalizm!

— Słusznie! Ale za ten, który przyjdzie! Bo tamten, wiecie... — tu wykonał jakiś gest w stronę okna i nie dokończył zdania. — Czy mieliście w ręku książkę *Terroryzm i komunizm* niejakiego towarzysza Lwa; nazwiska chyba nie muszę wymieniać?... Nie? I nawet nie wiecie, o kim mówię?... Mniejsza o to... Pewnego dnia wszystkie imperializmy... Wszystkie, słyszycie?... Pewnego dnia imperializmy załamią się! Wszystkie, co do jednego! Z t a m t y m włącznie!...

— Jasne! — zachłysnął się Otryna, trzeźwiejąc równocześnie w środku i nadstawiając ucha. Tu nareszcie uchwycił coś znajomego. Jeszcze nie był pewien, ale czuł, że jest tuż, o milimetr od jakiejś p e s t k i. „Raz lekko nagryźć i stuknę o nią zębami!“ Przyoblekając twarz pijackim uśmiechem, śledził każde słowo Pielewicza, który mówił o jakimś powołaniu i misji.

— Były dwie wielkie rewolucje, Francuska i Październikowa... Obie się wyrodziły... Czas na trzecią, ostatnią! Tutaj... My, klasy robotnicze... My, europejscy socjaliści... — I zaczął liczyć na palcach: — Francuska SFIO, to raz. Angielska Labour Party, to dwa. Włoska... We Włoszech... — Coś mu z tymi Włochami nie wyszło. Widać był już nazbyt pijany. Przeszedł więc do wniosków ogólnych: — Czeka nas rewolucja socjalistyczna Europy, która zmiecie... Zmiecie...

— Kogo? — obojętnie zagadnął Otryna.

Lecz Pielewicz zaśmiał się głośno i poklepał go znacząco po kolanie.

— My, Polacy, zawsze dogadamy się ze sobą w tej sprawie. Zaraz to poczułem. Czy mogę was pocałować?

Wychylając się to nad prawym, to nad lewym ramieniem Pielewicza, Otryna zerkał ku milicjantom. Mimo że rozmowa o rewolucji i zmiataniu odbywała się dosyć głośno, nikt się jej nie przysłuchiwał. Kapral Dunajec, który siedział blisko i dlatego nie mógł się z niej zupełnie wyłączyć, ziewał znudzony, starając się łapać strzępki jakichś partyzanckich wspomnień, snutych po drugiej stronie stołu. Ci, którzy znaleźli się w bezpieczniejszej odległości od Pielewicza, gadali jeden przez drugiego, nie fatygując się nawet spoglądaniem na swego ideowego przywódcę.

Otryna skojarzył to z niedawnymi obserwacjami: z tym, że Pielewicz nie ma pojęcia o dowodzeniu, a ludzie są doskonale wymusztrowani. Że tenże Pielewicz nie zna ich po nazwisku. Że Dunajec nie potrafi ani słowa wydukać na temat CKL-owskiego programu, a przecież niegłupi, bystro patrzy!... Zresztą, cóż z niego za kapral! Toż to najpewniej przebrany oficerek, który — dla niepoznaki — naszył sobie dwie belki na ramionach! I Otryna coś nagle zrozumiał: przecież to jasne jak słońce, Pielewicz i oni — to dwie różne parafie! Ten cały PAL to worek. Chcieliby w nim sprzedać jakiegoś kota, tylko — jakiego?

— Zaśpiewajmy! — ryknął serdecznie i wstając narobił rumoru. — Coś naszego, od serca! Coś dla patriotów!

Uczynił się zgiełk. Propozycję Otryny przyjęto z zadowoleniem. Wiadomo, Polacy, wypiwszy, lubią sobie pośpiewać. Spierano się jeszcze jakiś czas o ko-

lejność piosenek, wreszcie poszedł *Rozmaryn, Morze, nasze morze* i coś tam jeszcze — wszystkie nijakie, ogólnie znane, bez wyrazu. Otryna jeszcze zwlekał. „Nie za wcześnie, bo ich spłoszę!“ przestrzegał się w myśli.

Otaczały go czerwone, buchające gorączką twarze. Sklejone czupryny sterczały ku górze lub — na odwrót — zwisały milicjantom do oczu. Co drugi dyrygował pięścią, nie z potrzeby, bo i tak nikt na niego nie zważał, lecz z upodobania, dla siebie. Niektórzy kołysali do taktu pełnymi kieliszkami, lejąc wódkę po stole. I naraz Otryna, wyczuwszy właściwy moment, zaintonował:

Hej, po drodze dmie wichura...

Przez jedną sekundę wszystko ważyło się, wisiało na włosku. „Jeżeli nie podchwycą — myślał Otryna — to wszystko przepadło. Dalej już sam nie umiał — znał tylko pierwszą linijkę zasłyszanego niegdyś tekstu... Naraz liczne głosy równo, składnie, z wprawą, podjęły:

Słota, błoto, ładny kram!
Lecz cóż znaczy dla piechura,
Choćby nawet diabeł sam!

Otryna poczuł bicie pulsu w skroniach. Śpiewając dalej — samą tylko melodię — z szerokim uśmiechem na twarzy i zimnym błyskiem w oczach, pomyślał: akowcy.

III

Nazajutrz po wieczornym pijaństwie Łukasz ocknął się późno. Zbudził go dźwięk, od którego zdążył odwyknąć: jedyny w Wierzchocku dzwon, zakopany podczas okupacji i teraz wydobyty, bił na Anioł Pański. Spiżowe din-don kołysało się za oknami, to głośniejsze, to cichsze, zależnie od tego, czy wiatr wzmagał się, czy przycichał. Wtórowały mu szczerbatym dźwięczeniem szybki w mieszkaniu knajpiarza, gdzie sierżant stanął na nocleg.

Leżąc na wyboistej sofce Otryna długo i mozolnie zastanawiał się, co czynić. Nie wiedział, jaki kurs partia przyjęła w stosunku do PAL-u: bądź co bądź, nie było to podziemie, palowcy działali legalnie i jawnie... Czuł, że bez Łęczynka nie wolno tu niczego zaczynać. Sprawa samych żołnierzy Dunajca też nie wydawała mu się prosta. Należało najpierw ukradkiem wywiedzieć się, czy wczorajsze podejrzenia w ogóle były słuszne. W razie pomyłki można by napytać gminie brzydkiego kłopotu. Ale na tym nie koniec. Jeśliby nawet z ludzi Dunajca wyleźli rasowi akowcy, to i wtedy trzeba by zachować ostrożność. Łukasz pamiętał, że jest ich tu więcej niż ta jedna drużyna; więcej i to gorszych, bo ukrytych. Trudno było zgadnąć, co zamierzają — rozładować się czy zostać w konspiracji? Po ewentualnym aresztowaniu Dunajca na ujawnienie reszty szkoda by nawet liczyć. Rozbrojenie takiej trzynastki też nie należało do bagatelek. Mając dobrą broń, mogli się przebić i wtedy zamiast niepewnego posterunku w Wierzchocku Łukasz miałby od razu całkiem pewną bandę w lesie!

Rozumiał, że chwilowo i Brzostek też mu niewiele pomoże. Później, jeżeli nic się nie wydarzy, trzeba będzie akowców po jednym, po dwóch rozesłać na inne posterunki, a Dunajca gdzieś łagodnie przesunąć, chociażby do straży pożarnej. Z biegiem czasu wszystkich stopniowo pozwalnia się do cywila... Ale na razie trzeba było czekać. Jednego tylko sierżant był całkiem pewien: że nie wolno mu dłużej zostawać sam na sam z obcym oddziałem. Należało jak najwięcej własnych ludzi ściągnąć do Wierzchocka i wymieszać z Dunajcowymi. W tym celu postanowił wybrać się do rodzinnych Szczerc i zwerbować tam do służby co uczciwszych chłopów.

Szczerce leżały u podnóża gór Świętokrzyskich, a dokładniej mówiąc — na skraju pasma Połomickiego, o sześć kilometrów na północ od Wierzchocka. Otaczało je głuche bezdroże, pocięte jarami i lesiste. Jedyny szlak, jaki łączył wieś z gminą, wlókł się krętymi zygzakami pośród osypisk czerwonego piaskowca i pordzewiałych wapieni. Gdzieniedzie mostek z bierwion, gdzieniegdzie kamienna kapliczka, krzyżyk stoczony przez czerwie, samotna strzecha, kierat — poza tym nic, pustka. Ziemia nieurodzajna, piach. Ludzi mało.

Wioska liczyła niespełna dwieście gospodarstw, rozrzuconych wzdłuż drogi, która w tym miejscu pięła się po łagodnej pochyłości. Im wyżej, tym gorsze było miejsce pod zagrodę. Ostatnie chaty, pobudowane już na tak zwanej Górce, u skraju sośniaka, nie miały studzien; wody tutaj nie było. Wożono ją furmankami, w beczkach i liczono się z nią starannie — na kubki, nie na wiadra. Dlatego też górczańskie ogródki były niklutkie, mizerne, ot, byle w nich wyrosło trochę pietruszki do zupy... Górka była też upośledzona pod innym względem. Rok rocznie biły tu błyskawice, płonęły domy; zostawały gorące zgliszcza, nie tykane tygodniami aż do przybycia urzędników z „asekuracji". Jakieś rudy musiały leżeć pod trzeszczącą, iglastą ściółką i one z pewnością przyciągały pioruny. Podczas każdej większej burzy strachliwsi uciekali na dół, aby przeczekać zły czas u sąsiadów. Lecz zniszczeni odbudowywali się na starym miejscu od nowa. „Kiedyś się to skończy — mówili — nie będzie wiecznie bić w tę jedną Górkę, bo i po co?" Lecz nie kończyło się — stwierdzali to każdej kolejnej wiosny.

Nisko, przy wjeździe do wsi, nieco na prawo od drogi stała niewielka gorzelnia, wymurowana za czasów króla Sobieskiego i do dziś jeszcze we wsi nazywana przez niektórych p r o p i n a c y j ą. Gorzelnia miała ściany niemal że katedralne, drzwi kute z blachy i okienka małe, że flaszki nie podasz. Wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże, a tu chodziło o wódeczkę! „To i dobrze — chwalili chłopi. — Może by się znalazł niejeden, co by chciał targować na migi i pięścią płacić... A tak — bez pokusy się obejdzie." Od trzystu lat zatem spirytus cykał sobie spokojnie, najpierw żytni, a później ziemniaczany, ale zawsze tęgi i drogocenny. Co dnia, po skończonym cyklu, wieś napełniała się przejmującym, winnym zapachem: to dworski beczkowóz odstawiał do majątku wywar, służący bydłu za paszę.

Tuż za wyłysiałym parkiem stał dworek pana Wołoki, nieduży, właściwie parterowy, z małym tylko pięterkiem, którego okna wystawały z blaszanego dachu. Jeszcze dalej ciągnęły się zabudowania folwarczne: kamienny spichrz, długie, pełne szelestu obory i stajnie, stodoły na podmurówce, bielone chlewy, dwie wozownie, dworska i gospodarcza... A z boku, ni to przynależny do dworu, ni do chlewu, szarzał długi budynek, który zamieszkiwali oficjaliści.

Sanie, wiozące milicjantów, przybyły tu z Wierzchocka wczesną nocą, o tej porze, kiedy w Szczercach już spano. Przed wjazdem do wsi Otryna kazał pogasić papierosy i zabronił prowadzenia rozmów.. Chciał możliwie bez zwracania czyjejkolwiek uwagi przedostać się do swoich i tam zasięgnąć pierwszych informacji. Nie wiedział, czy właściciel jest nadal we dworze i czy nie kwaterują u niego Rosjanie. Chodziło mu też o paru narodowców, a zwłaszcza o ich przywódcę, Tatarczuka, który pełnił u Wołoki funkcję rządcy. Otryna bał się spłoszyć ich jawnym przybyciem.

Dlatego sunęli jak ćmy, nie odzywając się i nie paląc tytoniu. W płytkim świetle gwiazd widać było, jak koń równo potrząsa łopatkami i zadem. Błyszczały wyślizgane rzemienie lejc, ciemniały na tle śniegu szpice końskich uszu. Czasem zasyczał gorący nawóz, padając w puszystą wełnę drogi, lub zgrzytnęła bukowa rozwora... Odprowadzał ich nieprzerwany psi szczekot.

Otryna wjeżdżał do wsi zły i nastroszony. W zadumie gryzł górną wargę, wciągając ją głęboko do ust. Z popękanej skóry wyciskał kropelki soli i łykał je głośno, ze wstrętem. Co parę minut obracał głowę i spod czapki spozierał na dwóch zabranych ze sobą milicjantów, którzy szeptali, odsunąwszy się w głąb sani. Potem znowu wracał do swych roztrząsań, kogo ze wsi można będzie bez dłuższych namów ściągnąć do miasta. Naliczył takich niewielu, toteż ulgi nie poczuł. Najlepsi już stąd poszli — jedni byli teraz za Wisłą, a drudzy leżeli po rozmaitych polankach. „No, nic — pocieszał się w duchu. — Wiec tu jutro zwołamy! W pałacu! O ziemi się im powie i manifest przeczyta! Posłyszą — pół wsi pójdzie za nami!“ I uspokojony znowu zapominał o szepczących towarzyszach.

Gospodarstwo Otrynów mieściło się u krańca wioski, lecz jeszcze nie na Górce. Trzeba było dłuższy czas dobijać się do okien, zanim w drzwiach stanął stary Otryna. Witali się w ciemnościach, po omacku, z trudem odnajdując swoje twarze i zawadzając łokciami o grabie i miotły.

— Zaraz, zaraz, Łukaszu, bo mi spodnie opadną! — szeptał ojciec Otryny zanikającym ze wzruszenia głosem. — Boże miły, a myśmy się bali, że Sowieci!... Twój koń? — wtrącił nagle z nadzieją, nadsłuchując parskania z dworu. — Idź dalej, ja wprowadzę.

— Nie mój, podwoda, tatku.

— Nie? To niech oni już sami, bo zimno...

Głos jego dolatywał z dołu, rozmazany w Łukaszowym kożuchu, do którego stary przyciskał głowę.

Od progu Łukasza owionął ten szczególny, domowy zapach, którego niesposób odnaleźć w szerokim świecie: woń parzonych w łupinie ziemniaków, gorącej ospy, kurzych piór, stygnącego popiołu. Sunąc ręką po ścianie, bielonej równo, lecz mimo to popstrzonej okruszkami wapna, przyschniętego gdzieniegdzie, Otryna znalazł lampę i zdjął ją z gwoździa. Wisiała w tym samym miejscu, co przed laty, tylko numer był inny, mniejszy.

Po chwili zapłonęło maślane światło. Płomyk chwiał się i dygotał. Od ciągłego trzaskania drzwiami przeciąg buszował po kuchni. Milicjanci grzecznie otrząsali śnieg z butów przy pomocy brzozowej miotełki. Furman jeszcze krzątał się przy wozie, odpędzając psa kopniakami. Co raz to ktoś wchodził i wychodził.

— Gdzie uwiązać konia? Stajni nie macie? — dopytywał pogardliwy, zachrypły głos zza okna.

— Pan Bóg nie łaskaw, musielim się obejść bez konia — tłumaczył mu z gniewną pokorą stary. — Może by razem z krówką?

— To i owsa nie macie.

— Jutro chyba pożyczę, ale dziś już przypóźno...

Mimo że Otryny do domu nie ciągnęło i mógłby jeszcze długo obywać się bez niego, teraz oparłszy się dłońmi o ciepły piec do chleba, milczał przejęty.

— Zapalić można? — zagadywali milicjanci, popychając się i rozglądając za krzesłem.

— Uważaj, kaczkę zdusisz pod stołem!

— Przydałoby się coś na ząb...

— A bimberku u was nie produkują?

„Miejskie synki!" uśmiechnął się krzywo Otryna i już chciał im przygadać, gdy do kuchni weszła matka. Oboje rodziców kręciło się teraz wokół gości, nie bardzo wiedząc, co z nimi począć.

Stary Otryna był niewielki i podobny do żuczka. Wydawało się, że twarz trzyma mu się na samych tylko kościach, bo wszystko, co nie było na nich rozpięte, osiadło i zaklęsło w głąb czaszki: usta, oczy, policzki... A matka miała oblicze duże, pełne, wyklepane na łapu-capu, ot, byle w nim nie zabrakło tego, co najkonieczniejsze, brody czy skroni, lecz bez tej całej obróbki, dzięki której twarze stają się piękne, ciekawe lub choćby tylko różne. Aż dziw, że bieda może tak rozmaicie ukształtować wygląd człowieka: jednego wysuszy jak owada, a drugiego rozedmie, rozleje...

Nagle Otryna chwycił słuchem jakieś szmery i stuki za drzwiami. Czerwieniąc się aż po kark i czując, że rumieniec oblewa mu także piersi, podniósł oczy na matkę.

— Tam... Czy jest ktoś jeszcze?

— Ciężko nam było, bardzo ciężko — wmieszał się szparko ojciec. — Matka choruje, wiesz... I dlatego właśnie... Sam rozumiesz... My sobie rady nie dajemy...

Jeden z milicjantów obrzucił Otrynę zaciekawionym spojrzeniem, lecz ten nic nie powiedział. „Więc jest! — powtarzał sobie w myśli. — Odważyła się. Znowu jest. Ależ bezczelna!" Odwrócił się tyłem do drzwi i rysował ścianę paznokciem. „Po co przyszła? Może myślała, że nie wrócę? Suczka, wstydu nie ma!" To ją właśnie miał na myśli, kiedy mówił Brzostkowi, że się nie śpieszy do domu. Ją i Rożniaka, znajomka z Tężycy. Latem, gdy Brygada szamotała się w okrążeniach, padło kilku ludzi szczereckich; któryś z nich musiał mieć przy sobie papiery albo go Niemcy poznali po czymś innym, dość że ostro zabrali się do wsi. Otryna bał się, że mu żonę wygarną, przysłał jej więc polecenie, żeby się gdzieś tymczasem przytaiła, mało tego, sam nawet doradzał Tężycę, bo to i niezbyt daleko, ze Szczerc dwie godziny piechotą — i bardziej w górach, w razie czego zobaczyć się łatwiej. Miała tam zresztą z a c z e p i e n i e, w Tężycy mieszkali przecież jej rodzice. Dorota spędziła u nich całą jesień i wtedy właśnie było coś między nią a Rożniakiem. Jakieś słuchy o tym doszły w końcu do Otryny. Sam nie mógł tego sprawdzić, bo o ruszeniu się z oddziału mowy nawet nie było — wciąż tylko nurkowali między obławami, zaszczuci do ostatka — ale kazał wywiedzieć się o wszystko ran-

nemu koledze, który szedł do Wierzchocka. Ten wrócił w listopadzie, bardzo zakłopotany: Dorota wprawdzie zaprzeczyła pogłoskom, lecz zrobiła to niedbale, z zupełną obojętnością, ot tak, byle zbyć: chcecie, to wierzcie, a nie, to możecie się wypchać. Ludzie zaś plotkę potwierdzili. I teraz, po tym wszystkim, wracała jakby nic do domu? Otryna splunął na podłogę i rozmazał ślinę razem z popielatym, kurzym śladem.

Właśnie wtedy weszła Dorota i przywitawszy się z gośćmi zwyczajnie, wzięła się do rozpalania pod kuchnią. Jadowity, pośpieszny ogień skakał po iglastych łapkach i oświetlał jej główkę, gładko przyczesaną, podobną do laskowego orzecha, oraz brwi, duże, wygięte jak strzemiona i wilgotne. „Pośliniła je przed wejściem" domyślił się Otryna, zerknąwszy z boku i poznał w tym drobiazgu całą Dorotę — taką, jaką ją przed rokiem zostawił. Kobieta krzątała się przy kuchni ze spuszczonymi powiekami, a w kątach jej ust leżał zdawkowy uśmieszek. Krótką spódnicą śmiało zamiatała po kolanach milicjantów, żadnego jednak nie obdarzyła spojrzeniem. Kładąc pod kuchnię kłęby suszu, podobnego do kolczastego drutu, tyle że łamliwego, nie klękała, lecz swobodnie nachylała się, rozsuwając nogi w oficerskich butach z cholewami. „Niemieckie, kawaleryjskie — rozpoznał je Łukasz po miękkiej harmonijce nad obcasem. — Ciekawe, od kogo je ma? Od Rosjan?..."

Korzystając z tego, że Dorota wykonuje wszystkie czynności nie podnosząc wzroku, przypatrywał się jej z niechęcią. Była od niego dziesięć lat młodsza, ale różnica na pewno wydawała się większa. „Jej to nic rady nie da! — oburzał się, jakby tknięty zazdrością. — Tam, u nich, dziadowanie zupełne, ani ziemi, ani chałupy! Komorniki! A jaka z niej klaczka wyrosła!" Wzięła go chęć złapać ją za ramię, podprowadzić do drzwi i przegonić; powściągnął się tylko przez wzgląd na swych towarzyszy. „My już od pary — myślał gniewnie. — Każde na swój kłębek zwija. I nitka nie ta sama. Na boczek ją odciągnę i powiem, żeby się wynosiła." Z rosnącą niecierpliwością czekał na jej pierwsze spojrzenie, aby go nie przeoczyć i z miejsca pokręcić głową odmownie: niech wie zawczasu, że nic z tego! Żeby się nie narzucała z przeprosinami!

Lecz Dorota, pewnie wstydząc się obcych, panowała nad twarzą starannie i pilnie. Żadne z uczuć, jakie musiały ją męczyć — a więc lęk, żal czy też skrucha — nie przenikało przez maskę obojętności. Gdyby nie rodzice, spłoszeni jak kundle, można by przypuścić, że z nią nic się w ogóle nie stało. „Nauczyła się już udawać! — pomyślał zawistnie Łukasz. — A no, dobra, i ja także nie gorszy." Zebrał siły i stłumiwszy drżenie ust zwrócił się do ojca:

— Dziedzic wyjechał?

— Nie ze wszystkim. Trochę rzeczy to powysyłał i panią dziedziczkę także...

— Dokąd?

— Pewno do miasta.

— Do Wierzchocka?

— Ee, chyba że już prędzej do Łęczynka.

— A on sam?

Ojciec zakręcił się niespokojnie.

— Syneczku, powiedziałbyś lepiej, co tam na świecie? Wojna skończona? Złapaliście onego Hitlera?

— To jak, dziedzica nie ma, czy jest?

— Dziedzic, niby, został.
— We dworze?
— Podobno, że tak. Ja tam nie zachodzę, to nie wiem...
— Radzieccy tu byli?
— Lepiej nie mówić!
— Bo co?
— Ja przecież nic, broń Boże. Powiadam, że byli.
— Dziedzica nie ruszali?
— A co im pan zawinił, żeby mieli go ruszać? Gorzelnią się najwięcej zajmowali. Picie tu było jak w Sodomie, szkoda, żeś nie mógł widzieć! Wczoraj nowy zacier kazali przyrządzić, pewno znowu przyjadą.
— A... z Tatarczukiem co?
Stary ściągnął kolana, prześwitujące skroś łatanych portek. Położył na nich kurze, pomarszczone ręce, ale zapanować nad nimi nie mógł: drżały mu i górne, i dolne kończyny. Oczka, umieszczone głęboko po obu stronach nosa, mrugały często i z lękiem.
— Tatku, pytałem się o rządcę!
Tamten pobladł i nerwowo rzucił wzrokiem na milicjantów. „Boi się Tatarczuka! — myślał Otryna z litością, lecz także i z gniewem. — Wszyscy się go boją. I zawsze się bali... Pora zrobić koniec z tym strachem! Póki ten Boruta się kręci, trudno będzie zwerbować kogoś do milicji..."
— Powiecie czy nie?
— Łukaszu, mój synku... Zostawiłbyś pomstę Panu Bo...
— Nie o pomstę idzie. Tatarczuk uciekł?
— Tak... Chyba...
— Niech ojciec weźmie się w kupę!
— Synku, po co ci się w to mieszać? Wiesz, co Tatarczuk potrafi? On nie takich... Oho! A zresztą jego nie ma. Już go ruscy zamiarowali wywieźć; musiał ktoś wskazać. Ale czy im co dał, czy przetłumaczył, nie wiem. Puścili.
— I ten skurwysyn zniknął?
— Prze-epadł!
— A wyście pozwolili?
— Co tam stare wypominać! Było, nie ma i dobrze... Męki ludzkiej nie wrócisz.
— Tato, prawda to?
— A niech mi krowa padnie, jeżeli zełgałem!
Otrynie przywidziało się, że Dorota od jakiegoś czasu śmieje się pobłażliwie, lecz nie był pewien z kogo. Z ojca czy z niego? Przed chwilą zaczepiła się o wiklinowy kosz na drzewo i teraz, odwrócona tyłem, spokojnie przebierała w palcach uniesiony brzeg spódnicy, starając się jakoś wciągnąć wywleczoną nitkę. A może chciała lepiej słyszeć, co mówiono o Tatarczuku? Jedno pewne: nie krępował jej wzrok milicjantów, którzy, poszturchując się kolanami, zerkali ku jej łydkom. Kiedy ojciec zapewnił Łukasza o nieobecności rządcy we wsi, przerwała swoje zajęcie i wyszła do sionki, a potem wróciła z naręczem oszronionych polan. Jeden z milicjantów żartobliwie wyciągnął nogę, zagradzając jej przejście. Myślał, że kobieta przeskoczy nie przewidzianą przeszkodę, ale ona stanęła w progu i wpatrzyła się w nią z lekkim zdziwieniem. Jej brwi, szerokie jak dwa sierpy, uniosły się drwiąco i chłopak cofnął

stopę pod krzesło. „Zmieniła się chyba? — myślał Otryna, zapominając na moment o rządcy. — Cichsza jakby, jeszcze słowa nie powiedziała...“ Patrzył, jak obojętnie przesuwa wąskie plecki przed nosami mężczyzn, jak zwinnie wykręca się w biodrach, przechodząc przez ciaśniejsze miejsca — bo kuchnia była przecież mocno wypchana ludźmi — i nagle ten jej spokój wydał mu się podejrzany. Czyżby myślała, że on o niczym nie wie?

Matka, tkwiąca w kącie jak sterta, odezwała się szybko i niespokojnie:

— Kawy się napijecie? Bo a r b a t y, wiadomo, jak w wojnę, nie mamy...

Popili czarnego napoju z fajansowych kubeczków i Otryna zadecydował niecierpliwie:

— Spać! Od świtu zaczynamy. Niech ojciec pokaże, skąd wziąć słomy. Rozściele się obywatelom w kuchni.

Dorota nie czekając niczyjej zgody poszła ku drzwiom. Już z sieni zawołała przez ramię:

— Może który z panów pomoże? Mam sama nosić?

Obaj milicjanci ruszyli nie zwlekając. Na tym noszeniu słomy zeszło im trochę czasu i Otryna z wściekłością zaczął chodzić po kuchni. Później opanował się: cóż go to obchodzi? „Wygoniłem i kwita! Nie mój zasmarkany interes.“ Nie mogąc jednak znaleźć sobie miejsca w kuchni, zajrzał do pokoju. Nie był w nim już od roku, ale nic się tam nie zmieniło: dwa wielkie wiśniowe łóżka, po jednym przy każdej z bocznych ścian; bielejące w mroku pędzelki wielkanocnych bazi; zapach roślin, zasuszonych od Matki Boskiej Zielnej; tupot uciekających myszy...

Gdy wrócił, jego towarzysze rozkładali już słomę na kuchennej polepie. Kichali przy tym; tępy kurz wstawał ze snopków i trzymał kuchnię w szarym tumanie. Dorota kwartą wody zalewała żar w piecu. Szumiało maleńkie pogorzelisko, pryskały ostatnie świetliki. Nie wiadomo, czy zorientowała się, że mąż stanął w progu, dość że zapytała, odwrócona dalej profilem i wpatrzona w stygnące fajerki; a pytanie jej było skierowane nie specjalnie do niego, lecz raczej tak w ogóle, bezosobowo:

— Jak Łukaszowi pościelić? Tutaj czy z ojcem?

I po raz pierwszy tego wieczora twarz jej drgnęła.

Łukasz zatrzymał się nieruchomy i nagle mokry od potu. A więc wiedziała, że on z nią spać nie zechce! Wiedziała! Zaciskając palce na skrzypiącej, rozeschniętej futrynie, wyjąkał:

— Niech ojciec śpi, jak mu wygodniej... Ludzie położą się w kuchni, a ja — w stodółce...

— Dlaczegóż to w stodółce? — zatroskała się matka obłudnie, lecz Łukasz ostro uciął:

— Bo tak, przywykłem.

Obie z matką zaczęły wybierać mu jakąś pościel. Otryna, pijąc wodę z wiaderka, uniesionego jedną ręką do ust, machał drugą przecząco. Parskając, wyjaśnił im za chwilę:

— Co znajdziecie, to im dajcie. Ja mam kożuch. Obejdę się.

Coś mu tam jednak odłożyły, jakąś pożółkłą poduszkę, cerowaną płachtę i derkę. Chciał wziąć to sam, lecz Dorota już się z tym całym tobołkiem wepchnęła do sionki. Szarpnął ją szorstko za łokieć, kobieta jednak pokręciła głową poważnie i wyszła.

— Mam z tobą do pomówienia.

— To już! — rozkazał Otryna, przystając w śniegu przed domem. Zmarszczony czekał: „Oho, już się rozpoczyna! Ale próżna robota, my — to dwie rzeki, płyniemy w przeciwną stronę."

Żona milcząc odeszła i znikła w szopce. Ruszył za nią, jedną ręką wlokąc kożuch po śniegu, a drugą przytrzymując automat. W drzwiach od stodółki zatrzymał się i zniżonym, przygłuchym głosem zawołał:

— Czegoś chciała?

Nie usłyszał odpowiedzi, a nawet przez chwilę nie mógł się zorientować, w której stronie szukać Doroty. Był pewien, że stoi tuż obok, że zaraz rzuci mu się na szyję i zacznie go przebłagiwać. Wciągnął głowę w ramiona i zarzucił automat na plecy. Czuł potrzebę bicia tak dotkliwą, jak głód, jak pragnienie. Aż dyszał od tego. Łakomie zacisnął prawy kułak. „Uderzę — nos jej wgniotę. Ale tak, żeby szpetna została na zawsze!" Odurzony nienawiścią czekał na atak kobiety. Nic takiego jednak nie zaszło. A raczej — w ogóle nic nie zaszło. Nad sobą, nieco z prawej strony, gdzieś w głębi, usłyszał przewracanie słomy i płaski dźwięk strzepywanego płótna. Po prostu — Dorota sposobiła mu posłanie na górce.

— Masz jaką latarkę? — zawołała.

Zwłóczył z odpowiedzią. Wreszcie odezwał się z trudem:

— Nie mam.

— To chodź, pokażę ci, żebyś nie poprzewracał wszystkiego. Pamiętasz, gdzie stoi drabina?

Pamiętał. Za chwilę, posuwając się na kolanach, bo stryszek był niewysoki, dotarł do żony i dłonią wymacał legowisko. Nie odzywając się wyjął z zanadrza chustkę, owinął w nią zamek pepeszy i położył broń obok wezgłowia, okręcając rzemień wokół poduszki. Czekał na pierwsze słowo kobiety, ażeby coś z nią wreszcie zrobić. Ale to słowo nie przychodziło.

— No? — warknął wreszcie, nie mogąc wytrzymać napięcia.

— Zaraz, coś mi wpadło do oka. Już. Więc słuchaj: jeżeli chcesz schwytać tego Tatarczuka, to nie śpij za długo.

— Że co?

— Byłam na wieczór w czworakach i przechodziłam koło oficyny. U Tatarczukowej pachniało świeżym ciastem, rozumiesz?

— Nie.

— No, pomyśl, piekła chleb. Widać rządca przyjdzie tej nocy. On już tu wpadał, mówili mi fornale.

Niespodziewanie Łukasz zaczął wrzeszczeć, sam nie rozumiejąc, dlaczego to robi; ale unosił się coraz okropniej, krtań dygotała mu od ryku, czuł, że jeszcze chwila, a coś mu tam w środku trzaśnie.

— Ty durna babo! Ty idiotko! Ty krowo! Czemuś wcześniej nie mówiła? Wcześniej! Słyszysz? Wcześniej! Wcześniej! — Zatchnął się, zgubił głos na moment i umilkł. Włochatą dłonią obtarł wargi. Później dodał głucho: — Od razu trzeba nam było lecieć do dworu...

— A skądże — odparła Dorota. Ton jej był spokojny; nie wydawała się ani trochę zdziwiona wybuchem Łukasza. — A skądże.

— Nie wymądrzaj się. Idziemy.

— Ależ nie. Jeżeli Tatarczuk przyjdzie, to dobrze po północku. Przedwczoraj

też tak przychodził. Najpewniej zastaniecie go przed świtem. Śpij, ja cię na czas obudzę.

Otryna, słaby jak po wymiotach, osunął się w słomę. Głowa mu opadała, palcami gniótł oczy, swędzące od pyłu. Jeszcze czekał, jeszcze miał nadzieję, że Dorota coś powie. Usłyszał tylko „dobranoc", ale też jakieś nadjedzone, lekceważące, bo Dorota mówiła ze źdźiebełkiem w ustach. Potem został sam.

Bezmyślnie słuchał szmerów w słomie. Niżej, za przepierzeniem z desek, chrobotał łańcuch i słychać było, jak koń rozdmuchuje sieczkę. Nad głową potrzaskiwała strzecha, przywalona pokrywą śniegu. Łukasz leżał pod nią pusty jak ryba, z której wszystko wyjęto. Koło drugiej nad ranem zasnął i natychmiast — tak mu się przynajmniej zdawało — ocknął się. Dorota, zanurzona w ciemności, nawoływała go półgłosem:

— Wyjrzyj, coś mi się zdaje, że będzie czwarta, może później... Czas wstawać, jeżeli chcecie go złapać.

Łukasz, ociągając się, wylazł spod przykrycia i odsunąwszy luźną deskę popatrzył w przestwór. Znajome mu zbiory gwiazd zeszły już z nieba lub też kładły się bokiem na szczyty Gór Świętokrzyskich. Zimne powietrze lało się na stryszek kubłami.

— Ubierz się, ja tymczasem zagrzeję wam mleka — powiedziała Dorota. Usłyszał, jak skrzypią pod jej stopami szczeble drabiny i z tym ponownie zadrzemał.

Po jakiejś pół godzinie otworzył oczy, ogarnął się, dociągnął pasa, zdmuchnął plewy z pepeszy i poszedł do kuchni.

Stał w niej ciężki zaduch naftowego kopcia. Milicjanci i furman żartowali ochoczo, śmiech trząsł się pośród bielonych ścian, obsypywały się drobiny majeranku, którego pęk sterczał zza belki pułapu, szeleściły podeszwy po resztkach uprzątniętej już słomy. Dorota, pogrążona w zajęciach, przesuwała się między ludźmi bez słowa, nie słuchając, co do niej mówią.

W kwadrans później grupa Łukasza skierowała się w stronę dworu.

IV

Opuściwszy zagrodę Otrynów przecięli szosę na ukos i ciasnym przesmykiem pomiędzy cudzymi szopami wydostali się na pole za wsią. Łukasz nie chciał prowadzić swych towarzyszy prosto, bojąc się, że w dworskim szpalerze Tatarczuk mógł kogoś postawić na straży. Zachodzili więc majątek od tyłu, szerokim łukiem omijając dwór i gorzelnię. Księżyca już nie było, ale śnieg sam jarzył się jakimś własnym, złym światłem. Po przejściu ludzi zostawały w nim głębokie, czarne doły, ciągnące się krzywym szlakiem, gęsiego. Mróz trzymał potworny. Zimne powietrze rozsadzało płuca. Milicjanci nabierali go przez szaliki, podciągnięte na usta i zmoczone oddechem. Jeden tylko Łukasz kroczył rozpięty, szorując połami kożucha po śniegu i gnąc zeschnięte kępy ostu. Wypełniony był dziwną goryczą i bólem, do którego nie chciał się przyznać przed sobą. Coraz odwracał głowę i rzucał za siebie jakieś słowo lub nawet całe zdanie, na które nie czekał odpowiedzi. Prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno, czy w ogóle jest przez kogoś słuchany. Głuszył coś w sobie tym bezustannym gadaniem, zasypywał coś, dusił.

— Dzisiaj... — mówił — dzisiaj kończy się... Stara niewola się kończy... Chłopska krzywda... Pańskie rządzenie... Wyzysk... Kończy się, co? Powinniśmy orać w tego dziedzica!.. Powozić w Tatarczuka!.. Jak oni nam, tak my im.... Na krzywy kołek krzywa dziura!

I wybuchał udanym śmiechem, który mu stygł na twarzy. W połowie pola przestał zagadywać do swych towarzyszy i tak już wszyscy w milczeniu podeszli do folwarku.

Z obory doleciał ich gęsty, tłusty zapach krowieńca i dźwięk bydlęcego sapania. Żaden z psów nie przyczepił się do nich — widać Rosjanie musieli je wystrzelać. Po przekątnej przeszli dworski dziedziniec i wreszcie ujrzeli oficynę.

Łukasz zawahał się i przyciągnął milicjantów do siebie.

— Wiecie, po kogo idziemy, słyszeliście? To zdrajca, Polakami handlował, chłopską krew sprzedawał na litry!

— Według rozkazu, panie sierżancie.

— No, żebyście wiedzieli!

— Tak jest.

Przykre uczucie ogarnęło Otrynę. Nigdy jeszcze nie chodził na akcję z niepewnymi ludźmi, a ci — diabeł ich wie, jak postąpią. Może się na przykład przyłączą do Tatarczuka? Dodał raz jeszcze z naciskiem:

— K o r a b o l a n t, pamiętajcie!

Osłonięty płaszczami milicjantów zapalił wozową lampę i wsunął ją pod kożuch. Potem zwrócił się do czarnego chłopaka, który nocą kręcił się koło Doroty:

— Zajdziesz od tyłu. Trzecie i czwarte okno — jego. Stań dalej, za drzewem, żeby cię czasem nie sprzątnął. Może strzelać. Gdyby uciekał, nie ganiaj za nim, tylko od razu ciach! Żałować go nie żałuj. Po ciemku dobrze widzisz?

— Niezgorzej.

— A ty — za mną.

Rozeszli się. Pusto huknęła beczka, o którą potknął się pierwszy z milicjantów, okrążając węgieł budynku. Otryna ruszył z drugim tuż przy samym murze, odnalazłszy go dłonią w ciemności. Blaszana rynna sparzyła go jak rura od piecyka. Wreszcie stanął u schodków i wymacał je stopą. Dobijali się z pięć minut, samymi tylko nogami, gdyż ręce mieli zajęte.

Wpuściła ich Tatarczukowa. Zaczęli przebiegać duszne pokoiki, w których pachniało pelargoniami i tłuszczem do skór; rządca zapuszczał nim swoje siodła. Łóżko Tatarczuka było puste, lecz rozgrzebane. Otryna, wetknąwszy dłoń pod kołdrę, stwierdził, że trzyma się tam świeże, ludzkie ciepło. Zresztą milicjant kopnięciem wyrzucił spod krzesła buty do konnej jazdy i pokazał Otrynie kurtkę, rozpiętą na poręczy. A zatem rządca był tu jeszcze w momencie ich przyjścia!

Nagle spoza oficyny padł strzał i zaraz po nim rozległ się krzyk. „Tam, ten milicjant!..“ błysnęło Otrynie w mózgu. Runął przez pokoje, wywracając wszystko, co mu stanęło na przeszkodzie. „Wypuścił go, wypuścił, palowiec przeklęty! Powie, że strzelał, ale nie trafił!“

Lecz obawy jego okazały się bezpodstawne. W śniegu kotłowały się dwa kształty, ciemniejszy — milicjanta i jaśniejszy — rządcy.

We trzech obezwładnili Tatarczuka z łatwością. Stał teraz przed nimi

z rękoma wyłamanymi do tyłu, odziany w samą tylko bieliznę i owczy serdak. Mięśnie na rękach, grube jak warkocze, grały mu stygnącym wysiłkiem, klatka piersiowa chodziła w szybkim oddechu. Był to niski, ale krzepki, nie łykiem szyty człowiek. Jaegerowskie kalesony opinały go ciasno. „Ależ samiec! — myślał z odrazą Łukasz, po raz pierwszy widząc rządcę w tym stroju. — No nic, nie będziesz ty się więcej byczył!" Podniósł lampę i poświecił Tatarczukowi w oczy.

— Jak zdróweczko, panie rządco? No, dzień dobry! Nie słyszy pan? — i zapragnął od razu na przywitanie walnąć go w te żuchwy, w te zbyt krótkie wargi, odsłaniające zdrowe dziąsła, w ten półpański, załamany nos.

Tatarczuk, nim osiadł we wsi na stałe, był wachmistrzem w Grudziądzu, w słynnym Centrum Wyszkolenia Kawalerii. Nawet teraz, sponiewierany walką i wymięty, miał jeszcze w sobie ten podoficerski f a s o n, który tak podniecał Łukasza. „Już ja z ciebie soczku wycisnę! — myślał wściekle Otryna, szukając w kieszeniach postronka i nadsłuchując zasapanego śmiechu milicjantów. — Skubałeś, aż cię wyskubali! — powtarzał. — Skończyło się babci sranie!"

Związawszy rządcę, bo w ciemności mógłby im gdzieś poskoczyć, przetrząsnęli jego mieszkanie, lecz bez rezultatów: nic podejrzanego tam nie było. Tymczasem zrobił się świt. Z szarości wystąpiły najpierw szczyty dachów i czuby lip, a potem — krok za krokiem — tuman zaczął się cofać, aż rozpłynął się w parku. Szyby zakwitły jasnym, puszystym mleczem. O wpół do siódmej wzeszło zimne słońce.

Otryna zdawał się czekać tylko na to. Dotychczas nieuważnie rozglądał się po mieszkaniu, butem grzebał w koszulach, wyrzuconych na podłogę, lufą parabellum strącał ze ścian obrazki, omijając jedynie wizerunki świętych. Teraz ożywił się i poderwawszy rządcę z krzesła zaczął go popychać ku drzwiom.

— Idziemy! — krzyknął na swoich niecierpliwie i zniknął za drzwiami. Tatarczuk potykał się: krótki powróz, łączący mu kostki, pozwalał tylko na stawianie małych kroczków. Ze schodków stoczył się i upadł głową w śnieg.

— Uważaj! — mruknął, wygrzebawszy się z zaspy. — Mógłbyś nogi rozwiązać.

Ale Łukasz nie słuchał. Podprowadził Tatarczuka pod dzwon, wiszący u narożnika stajni, pod daszkiem. Tu stanął, rozkraczył się i krzyknął:

— Dzwoń!

— Jak? — spytał rządca i brodą wskazał za siebie, przypominając Łukaszowi o skrępowanych rękach.

— Dzwoń, bo uderzę!

— Ale jak?

— Zębami.

Tatarczuk wahał się. Opuścił na piersi krótko przystrzyżoną głowę i spode łba przypatrywał się Otrynie.

— Dzwonisz? — zasyczał sierżant. Podrzucił w powietrzu pistolet, złapał go za cienką lufę i potrząsnął kolbą.

Rządca powoli wykonywał półobrót. Z ociąganiem się, opornie szukał wargami sznura, wiszącego u serca dzwonu. Łapał go przez chwilę, niby to nie mogąc z nim sobie poradzić, aż wreszcie wziął w usta węzeł, kołyszący się

na końcu. Zapadła cisza. Otryna czekał. Czekali milicjanci. Wydawało się, że czeka też cała wieś, gmina, powiat...

Nagle odezwało się pierwsze dźwięknięcie — niepewne, słabe.

— Nie tak dzwoniłeś co rano! — wrzasnął Otryna. — Ciągnij, a nie — to żegnaj się z zębami!

Silne, częste dźwięki zaczęły rozchodzić się mosiężnymi kręgami. Mrowie wron poderwało się z gołych drzew szpaleru i napełniło powietrze krakaniem. Dzwon bił raz po raz, nierówno, lecz głośno.

— Słuchajcie, ludzie, słuchajcie! — krzyczał Otryna. Oczy mu lśniły, uśmiech rozciągnął usta od ucha do ucha, kosmyk spoconych włosów opadał wzdłuż nosa aż na górną wargę. — Jaśnie panom dzwonimy tu na pochówek! Dziedzicom! Szlachcicom!... Udepczemy mogiłkę! Nie ruszą się więcej!... Obywatele, jazda na pogrzeb!..

Z czworaków zaczęli pokazywać się ludzie, pojedynczo, po dwóch, trzech... Trzymali się z boku; nie podchodzili bliżej.

Otryna śmiał się na głos, krztusząc się i zataczając. Skinął na swoich:

— Teraz uwaga! Fornale się zejdą! Pilnujcie, żeby zaraz sądu nie było! Trzeba będzie zasłonić bydlaka, bo rozszarpią. Zechcą pluć, niech plują, ale bić nie pozwólcie!

Szare postacie zbliżały się lękliwie, pozorując swe kroki jakimiś zajęciami. To ktoś podszedł do pompy, to ktoś inny otworzył drzwi stajni tuż obok. Aż wreszcie grupkę, stojącą pod dzwonem otoczył krąg służby folwarcznej. Byli to ludzie cisi, ogłuszeni wiecznymi wymysłami, przygięci do ziemi. Kości mieli spaczone krzywicą, wargi białe. Okrycia ich składały się po większej części ze szmat, starych, końskich derek i worków. Niektóre z kobiet, niepewne, co ten dzwon oznacza, stały z cynkowymi wiadrami, jakby zatrzymane przypadkiem w połowie drogi do obory. Otryna poznawał dójki, nocnych stróżów, stangretów, fornali, stelmaszych pomocników, ogrodnika, świniarza... Temu małżowina uszna zwisa jak u królika — to rządca mu ją naderwał. Tamten ma dolną szczękę krzywą, wytrąconą z zawiasów — to rządca mu ją tak osadził. „Modelował on ludzi, jak mu gust podszepnął!“ — myślał wściekle Łukasz. — Decydował, kto ma o jedno oczko za wiele! Popatrzeć strasznie, ile szpików z nich powysysał, ile płuc namarnował, a wszystko dla tej pańskiej kieszeni, żeby dziedzic sam rączką nie musiał dotykać brudnego!“

— Obywatele! — zaczął, ale zgubił wątek, nim padło drugie słowo. Zamierzał powiedzieć o przyjaźni polsko-radzieckiej, o reformie, władzy ludu, Lublinie i wezwać do wybrania komitetu, lecz zatracił się, zmieszał. W oczach ludzi nie znajdował niczego, na co czekał: ani nadziei, ani uciechy. Oblicza były nieprzychylne, pełne frasunku. Nie rozumiał dlaczego. Może im kto coś głupiego naklepał, antychrysta zrobił z niego, z Otryny? Czekał chwilę bezradnie, potem zaś począł bąkać: — Cóż wy tak, obywatele, cichutko?.. Nie cieszycie się?.. Podejdźcie bliżej, bardzo proszę... O ziemi sobie pogadamy, którą wam władza ludowa... Godzina wybiła... — I tym razem ugrzązł na dobre. Martwe milczenie zebranych odjęło mu mowę. Nagle, zamiast kontynuować przemówienie, obrócił się do Tatarczuka.

Rządca stał w gaciach i zaplamionym półkożuszku bez rękawów, przebierając w śniegu stopami, obleczonymi w wełniane skarpety. Na pozór czynił wrażenie pokonanego; wrażenie człowieka, który już nigdy nie podniesie

się z upadku. Ale tylko na pozór. Bo równocześnie oblizywał się szorstkim, kocim językiem i uważnie przepatrywał szeregi służby, jakby wykonywał jakieś ćwiczenie pamięciowe.

Ludzie szepcząc zaczynali się rozchodzić. Ci, co jeszcze tkwili w miejscu, patrzyli sobie pod nogi, wkrótce jednak i oni się wycofali. Zostało dwóch: jeden młody, tego Otryna z twarzy nie pamiętał, i jeden podżyły, siwiutki, nazwiskiem Ściernik. Wydawało się, że chcieliby coś powiedzieć, ale słowa utykają im w gardle. „Może choć oni nie zawiodą!“ pocieszał się Otryna. Lecz na próżno. Obaj, spostrzegłszy, że są sami, zawrócili i znikli w drzwiach stajni.

Wykręcił się w stronę milicjantów i stwierdził, że niczego nie rozumieją. Spluwali, patrząc ku czworakom niechętnie i z odrobiną ironii. Czuło się, że w tym niedawnym, milczącym konflikcie stali po stronie sierżanta. Widać było jednak, że nie orientują się w tym, co zaszło. A Łukasz orientował się i to dobrze. Wiedział: tamci ludzie się b a l i. Bali się, że Tatarczuk zanotuje sobie w pamięci, kto patrzył, kto się śmiał, kto głos zabierał. Rządca pokonał ich tym jednym bacznym spojrzeniem. „Przyrósł im strach do pleców jak skóra! — obruszył się Otryna. — Od dziecka nic, tylko oglądaj się chyłkiem na boki. Kiedyż oni nauczą się patrzeć prosto?“ Spotkał wzrok Tatarczuka, pogardliwy, zwycięski, i zawrzał gniewem. Przywoławszy jednego z milicjantów, zapytał:

— Ty, jak cię wołają?

— Migułko.

— Skocz, Migułko, na jednej nodze do kancelarii. Nie wiesz gdzie? O tam, w narożniku oficyny. Mapy trzeba zabezpieczyć, szkice, żeby mierniczy nie musiał szukać. A ja z a b e z p i e c z ę pana rządcę.

Migułko spuścił oczy i milczał przez parę sekund, ale nic nie powiedział.

Łukasz wziął Tatarczuka do małej, cugowej wozowni, która mieściła się obok stajen. Przed wejściem postawił drugiego milicjanta, tego samego, który ujął rządcę o świcie: krępawego chłopaka o brwiach rozsypanych w jedną grubą linię od skroni do skroni, bez przerwy nad nosem.

Sam rozsiadł się w środku na porzuconym siedzeniu od bryczki. Tatarczukowi kazał stanąć o krok dalej, tyłem.

Światła tu było niewiele. Błyszczał w nim żółty brek z żelaznymi ławkami o pozdzieranych poduszkach. Na wielkiej korbie hamulca ktoś zawiesił ceratowy fartuch, który szeleścił, poruszając się od przeciągu. Dwa jesionowe dyszle opierały się pochyło o ziemię tuż u nóg Tatarczuka. Pachniało zleżałą morską trawą i mazią do kół.

Otryna powiedział z cicha, tak żeby głos jego nie mógł przedostać się na zewnątrz:

— My teraz, panie rządco, sami. Sztuczek nie warto próbować. Ja się nie zlęknę.

— Co tu gadać! Rób swoje bez krępacji.

— Niech pan słucha. Dla pana i tak wszystko jedno. Pan się od stryka nie wywinie... Ja wiem, kto ludzi wydawał Toporkowi.

— To już, wieszaj. Masz lejce tam, w kącie.

— Bez dowcipów!

— Czemu? Teraz ty, Otryna, jesteś górą, ale jak będzie dalej, to jeszcze zobaczymy.

— Ja już widzę: będzie pan dyndał... Za szyjkę. Ze mną nie ma co, języka szkoda... Niech pan rządca powie, kto jeszcze we wsi narodowy.

Tatarczuk nie kwapił się z odpowiedzią. Stał, milcząc, i raz tylko zimno przeskoczyło mu po skórze, kiedy usłyszał jakieś szczękanie za sobą. Ale Otryna nie przygotowywał mu żadnych niespodzianek, po prostu bawił się porzuconym okuciem orczycy. Myślał nawet: „Swołocz z niego wielka, ale bojący to on nie jest."

— Powie pan?

— Nie powiem.

— To chcecie ludzi dalej straszyć?

— Nie trzeba, sami robią w pory.

— Więc jak? Nie?

— Nie.

Łukasz podniósł się. Jeszcze nad sobą panował, ale przychodziło mu to z trudem. Przez sekundę żałował, że wspomniał o stryczku. A może się z nim potargować? „Powiesz, wyrok ci się zamieni, na dożywocie chociażby." Ale wzdrygnął się: nie, w bujanie to on z Tatarczukiem nie będzie się bawił. Zrobił krok naprzód i pokonał w ten sposób odległość, jaka ich dzieliła. Szarpnięciem obrócił rządcę do siebie.

— Gadać w tej chwili!

— Wypchaj się.

— Gadać!

Tatarczuk zwęził oczy i spojrzał zezem.

— Ty się przypadkowo nie zapominaj, Otryna... Nie jesteś sam... Masz we wsi rodzinę...

I nagle jakaś nitka, trzymająca Łukasza na wodzy, pękła. Cały gniew, jaki zebrał się w nim ostatniej nocy, wybuchnął nagle płomieniem. Otryna złapał Tatarczuka za przód koszuli, szarpnął i uderzył.

„Co ja robię?" przeraził się. Partyjny, milicjant i bije! Ale nie przestał. Coś ostrego skaleczyło mu napięstek; z pewnością zęby tamtego. Okładał go dalej. „Muszę! — powtarzał sobie. — Muszę od niego wydobyć te nazwiska!" Majaczyły mu poszarzałe, zalęknione twarze służby folwarcznej i czuł, że póki we wsi są narodowcy, to ten strach do końca nie pryśnie. Wstydził się. Bił ze spuszczonymi oczyma i dygoczącym sercem. Coś męczącego, wstrętnego tłukło mu się w skroniach i uszach.

Nagle światło bluznęło do środka. Łukasz puścił rządcę i w tejże chwili ucichło to, od czego pękała mu głowa. Zrozumiał — to był krzyk Tatarczuka.

W drzwiach stał Migułko.

— Obywatelu sierżancie...

— Czego?

— Tu są mapy... Ale może przeszkadzam?

— Stul gębę — burknął Łukasz i przywołał czarnego milicjanta sprzed wejścia.

— Wrzuć gada do komórki, tam, w kącie. I siadaj tu, oka z drzwi nie spuszczaj. Jak twoje nazwisko?

— Patka.

— No, pamiętaj, Patka! W nocy się spisałeś, nie zepsuj tego teraz...

— Rozkaz. Niech się pan sierżant nie obawia: ja na judaszów jestem cięty!

Otryna wyszedł z Migułką na gumno. Wczesne słońce rzucało od budynków długie, błękitne trapezy cieni. Spod śniegu sterczał kocioł starej lokomobili koloru piernika. Powietrze pełne było dalekiego budzenia się wsi.

Sierżant rzucił okiem na Migułkę i nie poznał go. Dotychczas nie zwracał nań większej uwagi: ot, szeregowiec, jakich wielu. Lecz teraz w tamtym zaszła jakaś zmiana. Jego długa, nijaka twarz ściągnęła się ostrym grymasem, obojętne usta stwardniały. Nie patrząc na Łukasza powiedział głucho:

— Tu ma obywatel papiery.

— Dziękuję. Chcesz jeszcze czego?

— Nie, obywatelu sierżancie.

— No, to w porządku.

— Tak jest, obywatelu sierżancie. W porządku. — I cofnął się nie podnosząc wzroku.

V

Zostawiwszy Migułkę na dziedzińcu, Otryna poszedł w stronę czworaków. Ledwie jednak zdążył zrobić parę kroków, doleciało go porozumiewawcze psyknięcie. Obejrzał się. Oba dziedzińce były puste — i ten większy, otoczony czworobokiem zabudowań folwarcznych, i ten mniejszy, który rozciągał się między stajnią a dworem. Tylko jakaś wyleniała kawka kręciła się po śniegu, podziurawionym śladami stóp i podobnym przez to do plastra.

Ale psyknięcie powtórzyło się. Dolatywało najwyraźniej z uchylonych wrót stajni. Łukasz zawrócił.

Objęła go woń końskiego nawozu i desek, przesiąkniętych uryną, a także suchy zapach siana. Lecz w boksach nie było koni, z wyjątkiem jednej siwej klaczki, która teraz, w półmroku, wydawała się szaroniebieska. Po chwili dojrzał dwóch ludzi, opartych o drewnianą przegrodę. Byli to ci, którzy na samym końcu odeszli od dzwonu: Ściernik i tamten drugi, młodszy.

— To wyście wołali?

— Niby my.

— No?

Ściernik zaczął klepać się po biodrach, szukając czegoś do palenia. Wyjął blaszankę po tytoniu fajkowym „Kapitan“, ofiarowaną mu kiedyś przez dziedzica; odemknął i zaprosił Otrynę:

— Spróbuj naszego samosieja. Gruby, ale mocny. Tylko papierka nie mamy. Kręcimy taki c y ga r w liściu...

— Teraz toście gościnni...

— Nic, nic, zaraz...

— Co zaraz? Trzeba było przedtem!

Ściernik podszedł do drzwi, wyjrzał i przymknął uchyloną wrotnicę. Krok jego był człapiący: stary nie podnosił nóg, wlokąc trepami po ziemi. Kolana jego stale pozostawały nieco ugięte, jakby nie mogły udźwignąć ciężaru szerokiej postaci. Ale obfitość kształtów była złudna: Ściernik w rzeczywistości miał ciałko wysuszone, malutkie, a jego okazały wygląd brał się stąd, że stary wypychał sobie odzienie warstwami siana. „Mnie trzęsie — tłumaczył. — Przed wojną co innego — worki dostawaliśmy ciepłe, konopne. A dziś — sam papier.“

— My cię znamy, Łukaszu... — zaczął, lecz ten wpadł mu w słowo.
— My, my!.. Jakie my?.. Co za jeden, ten młody?
— To Dylowy syn; wiesz, tego Dyla, co go Toporek przystrzelił.
Otryna wziął młodzika za łokieć i wykręcił do światła. Zobaczył wąską twarz, szpiczastą jak u kani, i śmiałe oczy. „Twardy — ocenił go Otryna, ale jeszcze nie kąsał. No nic, niech raz chwyci, to już z zębów nie puści...“
— Gadajcie.
— Ty, Łukaszu, tak jakoś do nas... Nie popędzaj; z serca byśmy chcieli... Mówią, że ziemię będziecie dawać.
— Nic wam nie damy! Gnojki jesteście!
— No, no, pewnie... Ale z tą ziemią jak, prawda?
— Chciałem o tym powiedzieć, aleście się rozeszli.
— My tak, przez ostrożność...
— Dla ostrożnych morgów zabraknie.
— Pogniewałeś się, Łukaszu... A tu u nas każdy aż piszczy, tak by się chciało tego własnego gruntu...
— Przecież po to przyjechaliśmy! Ale wy byście woleli tak: tyłem stanąć, minę zrobić zamyśloną i tylko kieszeni uchylić. Niech Otryna sam wepchnie parcelkę; myśmy niewinni.
Ściernik zgodliwie kiwał białą głową.
— O to, to...
— Dobrze mówię?
— Oj, bardzo dobrze!.. Tyłem stanąć i niech Otryna... To, to właśnie!
— I ty też tak myślisz?
Dyl, do którego zwrócone było to pytanie, uśmiechnął się z zażenowaniem. Otryna jeszcze nie zdążył ochłonąć po niedawnych zajściach z Tatarczukiem i służbą, poza tym wciąż drążyło go wspomnienie nocnej rozmowy z żoną; poczuł więc z miejsca nowy przypływ złości.
— Ech, wy, trusie! Podzielimy grunt między innych i basta! A cóż to, nie ma więcej wsi w okolicy? Sami przyjdą, ręce wyciągną!
Tamci dwaj wymienili między sobą jakieś znaki, niejasne dla Łukasza i Ściernik rzekł cichutko:
— Trudno się z tobą dogadać... Nie jak chłop kombinujesz, odwykłeś od nas... Już myśleliśmy, że nas rozumiesz, a ty znowu...
Niepokój przeniknął Otrynę. Zaczął sobie zdawać sprawę, że tamci dwaj prowadzą z nim jakąś grę, tylko nie mógł odgadnąć jaką. Wyraźnie na coś czekali, niecierpliwiąc się po swojemu, to znaczy powściągliwie i skrycie. Ale na co? Zaczął niepewnie:
— Chcecie ziemi, to proszę, chodźcie, spiszemy inwentarz, policzymy...
— Tak nie da rady.
— Dlaczego?
— Tatarczukowi ludzie nas pokrzywdzą.
— Więc na cóż to całe gadanie?
— Przypomnij sobie, jak mówiłeś: że my tyłem i że ty niby... Na siłę... Gdybyś tak nas przymusił...
— To wy sami z siebie nie chcecie? — zaczął Otryna i nagle zrozumiał: oczywiście, że chcieli! Byli skłonni mu pomóc, z jednym tylko zastrzeżeniem: aby zachować pozory przymusu. Że ustępują pod naciskiem, niechętnie, na

rozkaz, a nie z dobrawoli!.. Poczuł dławiącą, zimną pasję. Hamując się, warknął:

— Napluć na was, tchórze! Duszyczki macie jak burchle, mięciutkie! To inni głowy kładli, a wam szkoda ryzykować paluszka? A już specjalnie ten młody! Ojca mu ubili, a on sam... Ech, klajster! Wstyd mi za niego!

Przeciągnął ukradkowym spojrzeniem po Dylu i dojrzał, jak tamtemu usta się zatrzęsły, a twarz leciutko pobladła. Ściernik też musiał to zauważyć, bo szybko, udając pokorę, zagadał:

— Pewno, kiepscy z nas ludzie, nie to, co ty... Boimy się, bardzo boimy...

Otryna znowu poczuł, że z Dylem coś się dzieje. Chłopak nie chciał dzielić strachu ze starym. Wstydził się. Wzrokiem wypraszał u Ściernika jakieś przyzwolenie, jakąś zgodę, czy chociażby krótkie „rób, co chcesz", lecz stajenny mu bezdźwięcznie, samym tylko ruchem warg odmawiał. Otryna wiedział, że w tej chwili obaj wydzierają sobie chłopaka. Pragnął mu pomóc, lecz nie bardzo domyślał się, w jaki sposób to zrobić. Krzyknąć? Wygonić starego na gumno? A jeżeli pociągnie to skutek odwrotny? Jeżeli chłopaka zmrozi i odstręczy? Zduszonym głosem zaczął:

— My tam, w lesie, nieraz mówiliśmy o jego tacie. Że do końca się trzymał, ani pisnął! A przecie na haku go wlekli, za żebro! To był człowiek! Ten by pomógł i to sam z siebie, bez przymuszania!

— Boimy się, kochaneczku! — rozpaczliwie szeptał Ściernik. — Ty pojedziesz, a oni...

— Kto?

— No, wiesz...

— Ba, żebym wiedział! Ale mnie dawno we wsi nie było! Nie orientuję się, kto trafił do NSZ-u! Podajcie nazwiska! Już my was uwolnimy od strachu!

Ściernik coś mruczał wykrętnie, polubownie, a zarazem starał się wcisnąć między Otrynę i Dyla. Siedzeniem odpychał chłopaka, łokciem go poszturchiwał i trącał. Otryna chwycił stajennego za szmatę na piersiach i krzyknął:

— Kto? Kogo brać? Zarybka? Gadaj, a nie to się wynoś!

Niespodziewanie Dyl wtrącił półgłosem:

— A jakby powiedzieć, to co? Weźmiecie ich?

— Weźmiemy.

— O wszystkich to ja sam nie słyszałem...

— On w ogóle o niczym nie ma pojęcia! — gorączkowo zawołał Ściernik. — Ty, Łukaszu, nie zważaj, co on tam klepie!

— Odsuń się!.. Więc jak? — zwrócił się Otryna do chłopaka. — Powiesz?

Dyl toczył z sobą wewnętrzną walkę. Na delikatnej, dziecinnej, lekko obrzmiałej skórze nad górną wargą pokazało mu się sreberko potu. Cienkie, na wpół przeźroczyste powieki drgnęły mu raz i drugi. Otryna świdrował go wyczekującym spojrzeniem, nie zwracając uwagi na stajennego, który stawał na palcach i usiłował zasłonić sobą Dyla przed Łukaszem.

— Powiesz?

— Dobrze.

— No?

— Zarybka, owszem, też się boją. Ale jest jeszcze jeden. Nie znacie go, bo nowy. Stangret Faleński. Duży, trochę rudy.

Otryna poczuł taką ulgę, jakby po całonocnym marszu ściągnął z nóg

saperki. Zarybek i Faleński! W porządku! No, przynajmniej ci na długo pożegnają się z rodzinną wioską! Od razu ich trzeba wygarnąć, póki nie zdążą gdzieś się zaszyć... W pierwszym odruchu chciał pożegnać się i zaraz wybiec. Powściągnął się jednak. Nie zmieniając wyrazu twarzy, zapytał:

— Faleński? Tak?.. A pokazałbyś mi go?

— Mógł, rzecz jasna, poprzestać na podanym już opisie. Znał wszystkich, więc jednego obcego odszukałby z łatwością, zwłaszcza jeśli ten był rudy. Zapragnął jednak zmusić Dyla do zajęcia wyraźnego stanowiska: niech się przy wszystkich opowie za władzą, niech stanie obu nogami po tej stronie. Jeżeli cofnie się teraz, to i później kto wie, czy nie zechce kołować. A tak — nie będzie już miał odwrotu. „Ach, żeby mi się udało — myślał — miałbym nareszcie kogoś, kto by się zajął folwarkiem!“ I naparł:

— Pokażesz?

— Mógłbym — wyjąkał Dyl.

— To idziemy.

— Od razu?

— A na co czekać?

Ściernik nie zdobył się na protest. W milczeniu wsunął dłoń pod pasek zgrzebła i ruszył w kąt, do kobyłki, która oglądała się trwożnie, łyskając porcelanowymi białkami oczu. Łukasz odpiął agrafkę i ściągnąwszy opaskę z rękawa, podał ją Dylowi.

— Nakładaj.

— Po co?

— Za władzę tutaj będziesz.

I wyszli.

Migułko oczekiwał ich siedząc na brzegu koryta, pełnego sinych języków lodu. Wierzbową witką obtłukiwał sopelki, wiszące u pompy. Łukasz ostrym, niechętnym tonem wyjaśnił mu, o co chodzi i poprowadził go wraz z Dylem do czworaków.

Szli śpiesznie, rozrzuceni szeregiem, skracając sobie drogę przez czerwone zarośla świdwy, którymi wysadzany był skraj parku. Sadź sypała im się na ramiona i karki jak sól. Wreszcie zobaczyli przed sobą poczwórne budynki ze złej, błotnistej cegły, od dawna nie powleczonej wapnem. Za płotkami z chrustu czerniały sterty leśnego suszu, którym palono w piecach. Wspólne kominy, tkwiące po jednym na środku każdego dachu, cedziły w niebo rzadki, krztuszący zapach spalenizny.

Przed jednym z czworaków stała na drodze gromadka ludzi i bez ożywienia prowadziła rozmowę. Zobaczywszy zbliżającą się trójkę, zamilkła. Łukasz natychmiast domyślił się Faleńskiego w posępnym, ryżym człowieku, który stał tyłem do płotu i przerzuciwszy ramiona za jego skraj, pachami opierał się na trzeszczącym ogrodzeniu. Usta miał wielkie, wypięte do przodu i sterczące jak u szczupaka; uśmiech leniwy, oczy — czujne. Zobaczywszy nadchodzących poprawił się i uwolnił ręce.

Dyl szedł prosto na Faleńskiego, jakby chciał go wcisnąć w głąb chruśniaka. Zatrzymał się dopiero na krok przed stangretem. Z policzków odpłynęła mu krew, chłopięce brwi ściągnęły się niezdarnie, jak do płaczu. Faleński dłonią zaczął szukać czegoś za sobą, może kołka, ale nie zdążył. Dyl rzekł piskliwie:

— Ten.

I Otryna w tym samym momencie wdusił Faleńskiemu lufę pistoletu w środek brzucha; głęboko, aż wyczuł, że stal oparła się na czymś zwięźlejszym niż jelita. Faleński wykrzywił się, skręcił.

— Ręce na kark! — wrzasnął Łukasz. I zapragnął: „Niech skoczy na mnie, niech spróbuje!“ Palec już mu dygotał na wygiętym języczku spustowym. „Ruszy się, rąbnę! — myślał Otryna, marząc, by tak się stało. — Zdrajca! — tętniło mu w uszach. — Swoich braci, fornali panom odsprzedał!“ Lecz Faleński posłusznie uczynił, co mu kazano; uśmiechnął się tylko z przymusem:

— Cóż pan tak na mnie jak Niemiec?

— Milczeć!

Za plecami Łukasza rozwlokła się cisza. W tej ciszy obszukano stangreta i skrępowano mu dłonie na plecach. Nie zwlekając Otryna poszedł do wsi; za nim ruszyli tamci dwaj, a między nimi Faleński. Należało działać szybko, zanim wiadomość się rozejdzie i Zarybek zdąży gdzieś czmychnąć.

Wieś pachniała siwym, sosnowym dymem, który gryzł w oczy i gorzko smakował w ustach. Po raz pierwszy palono do syta, nie oglądając się na leśników i gajowych. Cała droga była gęsto zasypana łuskami brązowej kory, trocinami, suchym igliwiem. Skrzypiały sanie, na których zwożono drzewo z lasu. Kto nie miał konia, sapał pod trzymetrowym klocem, dźwiganym na ramieniu i grzązł w zaspach po kolana. Biały kurz sypał się z pletniaków, za które niedbale przerzucano pniaki. Łamały się wyschnięte kikuty malw, przygniecione ciężarem. Pod ścianami chałup, ogaconych jesiennymi liśćmi, rosły zapasy opału.

Na drodze zbierały się grupki chłopów i kobiet, wystających przed furtkami jak w święto, mimo iż był to wtorek. Niektórzy pozdrawiali Łukasza dobrodusznie; większość odprowadzała go milczącymi oczyma.

Otryna i jego ludzie maszerowali wyciągniętym krokiem, rozdeptując sine koleiny, wyżłobione w śniegu. Obejście Zarybka znajdowało się w połowie Szczerc, opodal sklepiku. Na parę metrów przed nim Otryna przywołał milicjanta Migułkę i patrząc nieprzyjaźnie w jego chytrą, krościastą twarz wydał mu rozkaz okrążenia zagrody od tyłu. Sami weszli frontem, zostawiając za sobą niedomkniętą furtkę, która kołysała się z jękiem.

„Byle go dostać — myślał Otryna. — Byle nam nie uciekł, bandyta!” Wdeptując w śnieg resztki pośladu, wysypanego kurom przed drzwiami, dobiegł do schodków i wtargnął do chaty. Było to stare, biedackie domostwo, przeżarte grzybem i cuchnące pleśnią. Nie było w nim podłóg, lecz tylko wychodzona polepa, bura od wilgoci i przytrząśnięta zbutwiałym tatarakiem. Nikogo tu nie zastali, ani Zarybka, ani też jego żony.

Naraz Dyl, który stał ze stangretem koło okna, wykrzyknął:

— Panie Otryna, on tam... Ucieka!

Łukasz poskoczył do okna i przez otworek, z dawna już wychuchany w szronie, zobaczył jakąś postać bez czapki, biegnącą po śniegu. „A milicjant? Czemu go puścił?” pomyślał Otryna i lufą parabellum wytłukł dziurę w szybie. Zarybek sadził po nachylonym polu, kierując się do strumienia. „Skoczy w wądół i tyle go zobaczę!” przestraszył się Otryna. Opierając broń na zębatym brzegu szyby nawlókł chłopa na muszkę i wystrzelił dwukrotnie, raz po raz. Pistoletem rzuciło, brzęknęły szklane okruchy.

Zarybek po drugim strzale niezwłocznie przystanął, odwrócił się na pięcie

i zaczął podnosić ręce. Otryna spostrzegł to w ostatniej chwili, kiedy już ściągał spust do pierwszego oporu. „Czy mogłem na czas nie zauważyć tego? — zastanowił się w ułamku sekundy. Czy mogłem omylić się i w pośpiechu walnąć jeszcze raz? Człowieka szkoda, ale dla wsi lepiej..." I ostro szarpnął palcem.

Po tym wystrzale Zarybek zatrząsł się i kucnął w śniegu. „Od jednego gminę uwolniłem — pomyślał Otryna, uśmiechając się w futrzany kołnierz skąpo, wstydliwie. Tego już z sądu nie wykręcą, obejdzie się bez mecynasa."

Był jednak w błędzie. Zarybek został wprawdzie trafiony, lecz niegroźnie, w ramię. Wstał właśnie, przytrzymując się milicjanta, który podszedł tymczasem do szopy. Łukasz powoli odwracał się od okna, pokraśniały na licu i zmieszany. Spotkał proste jak drut spojrzenie Dyla. „Zauważyłeś?" spytał go wzrokiem, ocierając czoło palcami. Lecz tamten wykręcił się tyłem i nic nie rzekł.

Zarybka przyprowadzono do kuchni. Był to niski, karłowaty chłopina, prawie bez czoła; włosy zaczynały mu się zaraz nad brwiami i stroszyły na wszystkie strony. Kiedy Łukasz opatrywał mu rękę, Zarybek skarżył się pogodnie:

— Przyprawiłeś mnie pieprzem, sąsiedzie, a niechże cię!... Dobrze bijesz, wyszkolili cię w lesie...

— W NSZ-ach byłeś?

— Cóż zrobić, przydarzyło się...

— Dlaczego się nie zapierasz?

— A no, trudno, kto siał, ten zbiera...

— Czego tam szukałeś?

— Bieda w domu, sąsiedzie... Żyta odsypali meterek, to i poszedłem...

— To za chlebek wszystko byś zrobił?

— Takie czasy; jak masz brzuch, to jeść musisz...

— A pomyślałeś, że chłopów każą zabijać?

— Co tam myśleć, świat już tak urządzony, że się ludzie widelcami zjadają... Nie ja ciebie, to ty mnie... Każdy żyje, jak potrafi...

Adresów żadnych nie znał; o innych narodowcach, poza Tatarczukiem i Faleńskim, także nie wiedział. Słuchali go z obrzydzeniem, lecz nie bez uczucia litości. Po krótkiej rewizji Otryna doszukał się kilku granatów, zawiniętych w płachtę i uwiązanych w niej na strychu, pod kalenicą. Wtedy litość mu przeszła. Wyobraził sobie, jak te ciężkie, niemieckie trzonkowce wpadają przez okno na posterunek, jak rwą peperowcom twarze i wyłuskują oczy... Pożałował zmarnowanej okazji. „Na sześćdziesiąt kroków — i pudło! Dawno nie strzelałem, ręka mi się zastała, a szkoda!.."

— Chodź — powiedział do Faleńskiego i zaprowadził go do pokoju.

Stangret przystanął obok drzwi w pozie niedbałej, ironicznej. Granatowa kurtka lamowana zatłuszczoną tasiemką, leżała na nim gustownie, do figury. Macając Otrynę wzrokiem, zaczął z cicha:

— Pan łebski człowiek, ale i ja niegłupi. Jakby pan zechciał, moglibyśmy się dogadać.

— Nazwisko? Imię? Data urodzenia?

— Ech, wie pan... Mówią u nas: kto klatkę kupuje, ptaszka potrzebuje... Ale co dla mnie za interes ptaszka odgrywać? Umówmy się: ja panu lepsze

kanarki ofiaruję. Cena mała: ot, pożegnamy się i każdy pójdzie w swoją stronę...

— Cóż to za kanarki? Narodowe?

— E, nie. Z tego stadka nie znam więcej nikogo prócz rządcy. Ale jego już pan przyskrzynił.

— No, to?...

— Ja mam inny towar. Akowców panu podsypię... Spisywaliśmy tak, od wszelkiego wypadku... No co, zgodzimy się?

Otryna poczuł, że jeszcze chwila, a zrobi coś nieobliczalnego. Rezygnując z przesłuchania, krzyknął cudzym, piskliwym głosem:

— Wy-prowadzić!...

I szybko splótł ręce na plecach.

W kuchni milicjant Migułko ziewał, dokładając do ognia rosochatych gałęzi i grzejąc dłonie nad płytą.

VI

Reszta dnia zeszła Otrynie na spisywaniu dworskiego dobytku, dosyć zresztą znacznego i rozkradzionego tylko w małym stopniu. „Jest za co karku nadstawiać!" myślał z nikłą, rodzącą się dopiero radością. Zwolna zaczął już nawet podżartowywać z fornali, przemykających pośpiesznie i chyłkiem, a równocześnie czynił pewne przygotowania na wieczór. Przede wszystkim podpędził gorzelanego, któremu kazał przed zmierzchem dostarczyć do dworu parę beczek wódki. Wziął też na siebie odpowiedzialność za ubój kilku tęgich prosiaków i zarządził, by w dworskiej kuchni przygotowano z nich obfitą kolację. Na godzinę piątą wyznaczony był wiec całej szczereckiej ludności.

Krótko przedtem Łukasz zaszedł rozmówić się z Wołoką, którego przez cały dzień świadomie lekceważył. „Nie on już tu pan, meldować mu się nie trzeba" mówił drwiąco, odwracając się tyłem, ilekroć w oknie dostrzegł majaczącą sylwetkę ziemianina.

Dziedzice nie zawsze bywali rodowi, z dziada pradziada, lub choćby po tatusiu. Pan Wołoka wywodził się na przykład w prostej linii od komornika, który mu za parę groszy wystukał szczerecki majątek. Mimo iż fakt ten zaszedł dawno, przed z górą dziesięciu laty, w czasie wielkiego kryzysu — na wsi mówiło się w dalszym ciągu, że z niego „jaśnie pan po wekslu", albo inaczej, że „dziedzic skarbowy", od tej Izby, która ściągała podatki i która swego czasu wystawiła majątek na licytację.

Wołoce zresztą nie brakowało obywatelskiego wyglądu. Ogromny, o policzkach wypukłych jak dwa boby, o wywiniętej dolnej wardze, która mu pogardliwie zwisała na brodę, o zasępionych oczach, na które zawsze, jak u żółwia, opadały mu zbyt ciężkie powieki — budził szacunek całą swoją postacią. Nawet jego sposób siadania na krześle — namaszczony, majestatyczny, szeroki — przypominał Batorego pod Pskowem, choć rodziła go przypadłość nagminna u krawców i urzędników, a uśmierzana na osobności czopkami.

Otryna zaszedł doń w porze podwieczorku. Wołoka siedział przy gdańskim stole, którego mała cząstka była zakryta obrusikiem, złożonym we czworo,

reszta zaś, naga i pusta, czerniała sfalowanym fornierem. Chrupał właśnie sucharki, maczane w dżemie i zapijał je łykami herbaty, gdy ujrzał wchodzącego. Podniósłszy się z krzesła otarł serwetką każdą wargę z osobna i przywitał Łukasza poufale.

— Proszę, proszę — wołał basem, czyniąc szeroki gest w stronę stołu i mrugając przy tym żartobliwie. — Stefanio, jeszcze jedną herbatę. A może pan wolałby czarną kawę? Ale na to trzeba by z kwadrans poczekać... Co do rozbierania się, to zbytnio nie radzę, bo tu chłodno. — I pokazał na sobie ciepłą, brunatną bonżurkę, włożoną na sweter. — Ale niech się pan chociaż rozepnie.

Zachowywał się nie jak obszarnik czekający na parcelację, lecz odwrotnie, jak ktoś, kogo przysłano tutaj Łukaszowi do pomocy. „Najgorsze za nami! — zdawał się mówić, uśmiechnięty pogodnie i niemal szczęśliwy. — Teraz jeszcze tylko parę tygodni i wreszcie odetchniemy."

— Zaraz będzie herbatka — powtarzał. — A kto wie, może się tu gdzieś utaiła resztka araku? Spenetrujemy kredens, a nuż coś się znajdzie? — Mówił o tym kredensie jak tymczasowy lokator, nie obznajmiony z sekretami domu; można by dać głowę, że zatrzymał się tu przejazdem, podobnie jak w tej chwili Otryna.

— Nie fatygujcie się! — powiedział mu Łukasz z wysiłkiem. Rozumiał, że trzeba natychmiast przerwać tę dwuznaczną sytuację, w jaką dziedzic usiłował go wciągnąć, ale nie wiedział, jak to zrobić. Doznawał pomieszanych uczuć: nienawiść szła w nim o lepsze z dziwnym, smakowitym zadowoleniem. Wstyd mu było, ale te dziedzicowe zabiegi potrącały w nim jakąś miłą strunkę, łechtały... Posłuchałby jeszcze z chęcią, dałby się głaskać, zapraszać... Niech się pan koło chłopa zakręci, niech na tylnych nóżkach poskacze... Ale czuł, że to niedobra zabawa: ani się spostrzeżesz, jak coś dziedzicowi przy tych igraszkach ustąpisz...

Wyminął Wołokę i podszedł do ściany. Oblepiała ją zielonkawa tapeta, mocno już spłowiała od światła. Tylko w jednym miejscu ciemniał duży prostokąt — metr na dwa — z hakami przy górnym brzegu.

— Gdzie obraz? — krzyknął Otryna, siląc się na ton nieprzyjemny, chamski.

Dziedzic uśmiechnął się smutno, jakby i jego martwiło zniknięcie cennego płótna. „Żona — skarżył się, rozkładając ręce. — Pan chyba sam rozumie..."

— Nie szkodzi — powiedział złowróżbnie Otryna. — Już my z was i te obrazki wydusimy.

Wołoka starał się zatuszować nietakt Łukasza. Był pełen dobrej woli i pojednawczych nastrojów: kiwając pobłażliwie ogromną, ciężką głową, szukał tytoniu i fajek. Postawił ich na stole cały tuzin w rogowym kubku, wykończonym srebrnymi okuciami. Później odemknął czerwone, blaszane pudło z „Virginią". Zapachniało figami i miodem. „Proszę" zachęcał bez słowa.

Otryna wołał przez ramię sztucznym, nieswoim głosem:

— Posadzimy was chyba, obywatelu obszarniku. Wyszabrowaliście f o r t e p i a n o...

Znowu ten uśmiech, pełen wyrozumiałości... I Łukasz nagle, z pośpiechem wyszedł z jadalni, zostawiając dziedzica sam na sam z fajkami.

We dworze gościła pustka. Co tu było droższego, to już wywędrowało do Łęczynka, zostały tylko krzywe, zużyte, porysowane meble, lecz i tych star-

czyło, żeby roześlić Łukasza. „Żyło sobie nasze państwo, żyło!" Te pokoje, obite niebieskimi szmatkami, te portiery, zaciągane na sznurek, te schowki w piecach na herbatę czy ziółka, te gumowe worki na ciepłą wodę i porcelanowe nocniki w komórce — każda rzecz osobno jątrzyła go i piekła. „Ściernikowi — worek z papieru! — rozmyślał — A sobie piórka! I jaka to chytra robota: przecież wprost ci niczego nie brali, bo delikatni, chowani! Już to bez nich się załatwiało — samo! Kto inny im chłopa podciągał na deskę i krew puszczał! A oni przez ścianę ssali, po omacku, na ślepo, tylko w gardziołkach grało! Świat mieli tak przypasowany, że chcesz, czy nie chcesz, a musisz łykać! Oj, to sztuka, taki mus sobie urządzić!..." I klnąc nienawistnie deptał pieski z malowanej porcelany.

Przed zapadnięciem zmroku zgromadził na parterze wszystkie naftówki, jakie udało mu się odszukać we dworze: malutkie, czeladne lampki numer siedemnasty z drucianym uchem do wieszania i blaszanym krążkiem na boku, oraz wielkie lampy, którymi świecono „na pokojach". Te miały knot szeroki na kilka palców i zwijany w rurkę, a przykrywało się je abażurami z mlecznego szkła lub jedwabiu... O zmroku zaczął je wszystkie zapalać i rozmieszczać po apartamentach na dole. Dwór zajaśniał jak za najlepszych czasów pańskiego karnawału.

Para dziewczyn, popędzanych przez Łukasza, hajcowała we wszystkich piecach, aż kafle zaczynały się rozsuwać i zapachniało ciepłym kurzem, zebranym na wierzchu, pod sufitami. Olchowe drzewo płonęło, choć mokre, przewody huczały gorącym oddechem, na mosiężne blachy, przybite do podłogi, pryskały czerwone ogieńki.

Wołoka, szurając wełnianymi bamboszami, przechadzał się w milczeniu, pełen uczynnej gotowości. Czasem zgasił jakiś węgielek, który potoczył się zbyt daleko i przypalał gołą posadzkę; czasem podkręcił knota lub też doradził, skąd jeszcze można przynieść krzeseł.

— Są przecież takie plecione, ogrodowe, na strychu. Chce pan, poślę dziewczynę, niech zniesie. — I nie zrażając się lodowatym chłodem Łukasza, zagadywał go wciąż od nowa: — Czy pan sądzi, że ja jestem przeciwny? Historii nie można zatrzymać, uświadomiłem to sobie wcześniej niż przyjaciele z mojej sfery... Można by dyskutować nad szczegółami, lecz zasada...

Otryna przerwał mu ten monolog:

— Obywatel pójdzie teraz na górę, jako niepożądany. Zebranie tu będzie.

— Z chęcią, ale dlaczego? Byłoby mi przyjemnie uczestniczyć, zobaczyć... To akt dziejowej konieczności... Obiecuję się nie odzywać!

Piętrzył się przed Łukaszem uśmiechnięty przymilnie i grzecznie. Wory policzków obsuwały mu się aż na szyję; skubał je palcami często, nerwowo. Otrynie ten gest wydał się znajomy. Przez chwilę szukał w pamięci, aż znalazł: Wołoka podszczypywał się tak sprzedając tuczniki. Zwłaszcza wtedy, gdy świnie były podlejszej klasy lub niezupełnie zdrowe. Był to objaw niepokoju, napięcia i czujności. Łukasza on zastanowił: nad czym pan dziedzic mógłby teraz kombinować? Targować coś chce? Wypraszać u chłopów? Chyba nie; wie przecież, że mu nie dadzą zabrać nic prócz rzeczy osobistych. A zresztą i do tego daleko, tymi sprawami zajmą się specjalni pełnomocnicy rolni... I nagle przejrzał Wołokę: on chciał tylko być. Liczył na swoją obecność: że spojrzy tak, jak Tatarczuk z rana, zapamięta twarze, a reszta sama się doko-

na. Ludzie, wychowani w odwiecznej uległości, przygną się, skamienieją...

Pchnął Wołokę ramieniem:

— Marsz na górę!

— Ależ...

— Milczeć! A zejdziecie — zastrzelę!

Koło szóstej na zajeździe przed dworem zaczęły się zbierać gromadki ludzi, lecz tylko szwagier Otryny, Parkosz, wszedł do środka; reszta szumiała w mroku za oknami.

Parkosz był od lat pomocnikiem wiejskiego kowala. Muskularną twarz pokrywała mu łuszczasta, opalona przy kuźni skóra. Wszedł półuśmiechnięty, pokazując kilka nadpsutych zębów, jakie mu jeszcze tkwiły w dziąsłach. Resztę, mimo młodego wieku, pogubił już w czerstwym chlebie. Uściskali się powściągliwie i dopiero wówczas Parkosz ściągnął z prawego barku rzemień mauzera.

— Podobno trzeba zdawać? Ja już wojnę skończyłem, a wolę zdać tobie niż bolszewikom. Bierz.

Jednakże jeszcze długo trzymał w dłoniach starą broń o drzewie wypolerowanym przez ludzkie ręce, o jakichś znakach czy nacięciach na kolbie, wyrzynanych tam przez kolejne pokolenia żołnierzy.

— Obejrzyj, wszystko w porządku, raka nie ma.

Z trzaskiem wyjął zamek i pod światło dał Łukaszowi zajrzeć do lufy. Ślimacze skręty gwintów lśniły czarną czystością.

— Tylko wyciora brakuje, ale już dawno gdzieś się zapodział, jeszcze pod Kutnem. Tu masz drut, którego używałem do czyszczenia lufy... Wazeliny, co zostało, też przyniosłem. I patrony...

Wyszukał w kieszeni sześć łódek z nabojami i jeszcze dwie sztuki luzem.

— Trzydzieści dwa, tak zapisz... Bagnetu nie było.

Nie mógł się jakoś rozstać z karabinem; to rzemień skracał, to celownik przesuwał w górę i w dół... Widać było, że to pożegnanie go boli. Od trzech lat był w akowskim plutonie i w jego składzie bił się przeciw Niemcom. Odniósł w tym okresie kilka poważnych ran; utykał, nie dosłyszał. A ta broń towarzyszyła mu od jeszcze dawniejszego czasu, od samej kampanii trzydziestego dziewiątego roku...

— Łukaszu... — powiedział łamiącym się głosem. — Opiekujcie się nim... Ja... Od chwili, kiedy go pobrałem we wrześniu... Ani na jeden dzień... On pierwszy raz w obce ręce...

I odwrócił się. Otryna znał go i darzył zaufaniem. „On nie z tych — polityków, co sobie wrogów na paluszkach odliczali, który pierwszy, a który drugi. On żołnierz!" Przez ostrożność jednak zapytał:

— A twoi — pozwolili ci?

— Nie pytałem.

— Jakże to tak; dezerterujesz?

— Nie ciągnij za język, nie warto. Niemców nie ma, to, po mojemu, już i my na nic... Teraz tylko do kuźni.

— A reszta? Wszyscy broń zdadzą?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Na przykład Mizera; przyniesie?

— Chyba przyniesie.

— Karabin?

Parkosz spoważniał i zbył Otrynę milczeniem. Ten radził mu przyjaźnie:

— Zerwij ze wszystkim! Pamiętaj! Żebyś się nie dał podmówić! Palucha nie pchaj między drzewo a korę! Urwiemy!

— A co ty mnie tak przestrzegasz? — zapytał przeciągle Parkosz. Oczy mu nagle ostygły, twarz powlokła się chłodem. — Postraszyć chcesz?

— Nie, ja z dobrego serca... Będziesz się trzymał z daleka, to nikt cię palcem nie ruszy.

— Obserwować będziecie?

— Specjalnie to nie. Ale uważaj! Nie mieszaj się!

— Taak... Tak... No, zostań z Bogiem.

Spojrzawszy na Łukasza obco i niemal wrogo, wyszedł. Drzwi za nim silnie trzasnęły; naprószyło się nieco wapna, kurz wstał ze szczelin w futrynie.

Otryna, pomilczawszy chwilę, wyszedł na dwór. Prosto nad nim, powyżej gwiazdy polarnej, pieniła się Droga Mleczna, mżąca słabym blaskiem. Po obu jej stronach gorzały dalekie ognie, rozsypane w zygzaki i łuki. Płonęły latarnie Woźnicy, głusząc światło najbliższych im gwiazd. Drobne, złote siemię, rozpryskane garściami po czarnej wydmie nieba, migotało, jarzyło się, łyskało...

Dokoła Otryny szeptem rozmawiali ludzie, których on, nie przywykłszy do mroku, nie widział. Czuł za to ich oddechy, ścięte mrozem, i woń machorki, włóczącą się wokół twarzy. Spokój, zamącony rozmową z Parkoszem, znowu nadpłynął doń szeroką falą. Niewidoczny w ciemnościach uśmiech przebiegł mu po twarzy. „Ech, wy moi dziedzice! — pomyślał z dziwnym wzruszeniem, wdychając gęsty, chłopski zaduch. — Spodnie u was po cholewach, a ślady bose... Drapiecie się po głowach, aż trzeszczy, bo weszki macie — z biedy... Czy tak powinni wyglądać właściciele majątku?"

Któryś z nich rozniecał ogień w fajce, osłaniając zapałkę dłońmi, złożonymi w muszlę. Między palcami cedziło mu się żurawinowe światło. Pachniały łodygi tytoniu, usiekane pół na pół z koniczyną. „Dość już tych dziadowskich mieszanek! — myślał Otryna wesoło. — Teraz palić będziecie jak ludzie!" I zaczął witać się z nimi serdecznie.

— Chłodnawo dzisiaj! — mówił, a liczne głosy przytakiwały mu:

— Niczego sobie, mrozik trzyma, nie puszcza...

— Podobnież do Czterdziestu Męczenników pociągnie...

— A w mieście jak mówią? Późna wiosna będzie tego roku?

Otryna ściskał im palce, spękane jak szyszki i zziębnięte. Szukał Parkosza, lecz na darmo, już go tu widać nie było. Poczuł dziwne, nieprzyjemne ukłucie, ale stłumił je w sobie. Obszedłszy mniej więcej wszystkich, a przynajmniej co ważniejszych lub bardziej znajomych, zaczął chłopów zapraszać do dworu:

— Na wiec, obywatele, na wiec! Czekamy już na was! Co tu marznąć, chodźcie do środka, tam dobrze napalone.

Przychylny gwar nagle opadł, jakby podcięty kosą. Jakiś nieśmiały, pełen wahania głos zagadnął Łukasza:

— A pan? Co powie?

— Nie można by pogadać gdzie indziej?

— My nie woda, nie zamarzniemy... Powiecujmy sobie choć tutaj... Po co zaraz do dworu?

— Gdzie kogo nie proszą, tam go kijem wynoszą...

Tępe, ciężkie milczenie workiem rozciągnęło się nad ciżbą. Łukasz przełknął samo tylko powietrze, bo śliny w suchych ustach nie było, i rzekł:

— Obywatele! Powiedziałem — do dworu, znaczy — do dworu!

Czekał. Przykre uczucie zawodu wypełniło mu piersi i podchodziło do ust. Zaczął namawiać, zachęcać, starając się panować nad głosem, ale dźwięk jego znowu nabrał ostrzejszych odcieni. „Za długo chodzili przy dyszlu! — myślał. — Kantar do gęby im przyrósł!" Czuł rosnącą złość. Powściągał ją jeszcze przez chwilę, aż nie wytrzymał. Chwycił najbliższego chłopa za ramiona i brutalnie rzucił ku schodom.

— Jazda! Nie przystawaj, Piotrowszczak! Marsz do środka! Gazem!

I obejrzał się za Migułką i Dylem, którzy, odstawiwszy aresztantów pod Patkową opiekę, przystanęli teraz na ganku. Krzyknął:

— Pomóżcie no obywatelom!

We trzech zaczęli ludzi zagarniać od brzegu. Zrobiło się trochę szumu, niezbyt jednak gniewnego. Chłopi, gdyby naprawdę zamierzali stawiać opór, mogliby się przecież w jednej minucie rozproszyć. Ale nie, żaden się nie uchylał, nie cofał, przeciwnie — pozwalali się wpędzać do dworu, burcząc tylko pod nosem dla zachowania pozorów i protestując niemrawo. „Gdybyś tak nas przymusił... dźwięczały Otrynie w uszach niedawne słowa Ściernika. Ci też chcieli zostać przymuszeni, bodaj na oko, na niby! „A pokąd że będzie tego przymuszania? — pytał Łukasz sam siebie. — Jeszcze zechcą, żeby im przemocą obsiewać nadziały!.." Przejął go dotkliwy niepokój: może naprawdę nie da rady bez bata? Chyba że zajdzie coś takiego, co ich wzburzy, poruszy... Ale co?

Dębione kożuszki, cerowane jesionki, kurtki i przeróżne szmaciane okrycia falą popłynęły na ganek, a stamtąd — przez wielką, czarną sień, pełną koźlich rogów — do salonu, jadalni i gabinetu. Recepcyjne pokoje na parterze zapełniły się tłumem. Drzwi pomiędzy nimi otwarto na przestrzał, aby każdy mógł słyszeć, co będzie się mówiło w jadalni, nawet gdyby sam nie znalazł w niej miejsca. Powietrze od razu wypełniło się popielatą parą, wonią owczych kłaków i babim potem. Siadać nie bardzo było na czym; większość stała, szurając drewnianymi podeszwami i stukając żelazem podkówek. Skrzypiały parkiety, nienawykłe do takich zgromadzeń, wycierały się po ścianach plecy, filowały naftowe światła. Ten i ów rozglądał się ciekawie, lecz ukradkiem. Otryna liczył ich spod oka. Mało, myślał, pół wsi najwyżej. A gdzie reszta? Brakowało mu do rachunku nie tylko akowców — Parkosza czy Mizery, lecz także wielu innych, głównie zaś gospodarzy. Jedynie służba folwarczna gniotła się po kątach w komplecie. Mimo to jednak był zadowolony.

— Cicho! — zawołał. — Obywatele chłopi! Sąsiedzi! Teraz będzie odczytany Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. O reformie... Obywatele! Teraz... Dla was... — Przyciągnął Dyla i zapytał go szeptem: — Ty, do szkoły chodziłeś?

— Chodziłem.

— Czytasz gładko?

— Ujdzie od biedy.

— Masz papierek. Czytaj, ale bez jąkania i głośno.

Podczas gdy chłopak starannie recytował treść manifestu, odbitą na powielaczu, gdy pokonywał ustęp za ustępem, akcentując gromkie słowo „rodacy", występujące tam trzynaście razy, gdy od nowego Grunwaldu przez reformę dochodził do Polski wolnej, silnej, niepodległej, suwerennej i demokratycznej — Otryna dygotał z przenikliwej radości. Oto byli przed nim chłopi ze Szczerc, z ubożuchnej, bitej piorunami Górki, z pleśniejących czworaków... Stali w jaśniepańskiej jadalni, gdzie niedawno szlachcice wywijali mazura... Co się zmieniło? Przecież nie urośli, ręce nie zrobiły im się dłuższe, ani karki mocniejsze... A dziedzic? Czy schudł? Osłabł? Zmalał? Nie, to wszystko zostało po staremu. „Świat się przemienił! — myślał Łukasz, wstrzymując oddech z przejęcia. — Przedtem stał, krzywo, sztorcem, a teraz przewrócił się na płask i wszyscy żeśmy stanęli na równi... Zdawało się: panowie wysoko jak księżyc, a księżyca, wiadomo, zębami nie ukąsisz. A ot, przyszli ruscy i księżyc — brzdęk! Pod nogami leży! Okazało się — zwyczajna skorupa!

Dyl właśnie skończył i patrzył wyczekująco na chłopów. Ale ci oglądali się jeden na drugiego nieufnie; żaden nie chciał być pierwszym w klaskaniu, bo później wskażą, zamęczą... Pustym echem zatłukły się po pokojach samotne oklaski Otryny.

— Może coś jest niejasne? Może macie jakie pytania? — zaczepiał Łukasz słuchaczy, blednąc z każdą sekundą coraz mocniej. — Proszę, na wszystko odpowiemy...

— Dopraszam się... — szepnął mały jak bąk-ślepak chłopina o czerwonych powiekach, dręczonych jaglicą. Był to komornik Krupczatka, znany z tego, że nigdy nie zdejmował wytartej kamizelki na królikach. „Piersiowy jestem — mawiał z westchnieniem — to i przyodziewek muszę mieć solidniejszy. Może kiedy zbiorę gotóweczkę na zagraniczne karakule, które są ponoć najzdrowsze; a tymczasem starczyć mi musi zwierzę krajowe." Teraz, wyciągając rękę, powtarzał: — Dopraszam się, panie naczelniku...

— A ty czego mówisz takim językiem? Trzydzieści lat się znamy, gadaj zwyczajnie!

Krupczatka nachylił się i zapytał szeptem:

— A co będzie, jak się polski rząd o tym dowie?

Prysnęły śmieszki jak pestki. Tłumek zaszemrał. Łukasz długo i wyczerpująco opluwał emigrację londyńską, ale ciężki, pełen powątpiewania nastrój dalej wisiał nad zebranymi. Ludzie woleli patrzeć w zabłoconą podłogę niż w twarz mówcy. „Przymusić ich... — myślał Otryna. Ale jak? Do czego? Brał go strach, że odjedzie z niczym, nawet bez milicjantów, których miał tu zwerbować. — Jak ja skleję ten posterunek? — martwił się i denerwował. — Zeżrą mnie te wszy Dunajcowe!"

— Pogadamy jeszcze — powiedział. — Czasu dużo, wystarczy. Pozwólcie, że was teraz ugościmy, sąsiedzi.

W chwilę później na kredensach, stołach i parapetach okien pojawiła się wieprzowina. Przynoszono ją w zasmolonych od kopcia brytwannach, miedzianych rondlach i kotłach, tak jak ją zestawiono z ognia. Trzaskał rozpalony, brunatny tłuszczyk, woniało cebulką, duszoną z podrobami. Garściami sypały się sztućce: nierdzewne, od pańskiego stołu, i czarne, kuchenne, w drewnianych rączkach...

— Z cudzej skóry szerokie pasy kroisz... — przygadywali Łukaszowi znajomi.

— A cóż to za cudze? Manifestu nie zrozumieliście? Przecie to wasze!... Apetytu nie macie?

— Dlaczego nie? Głodnemu zawsze południe.

— Częstujcie się, prosimy. Na co czekacie?

— Jak już tak namawiasz... Wiadoma rzecz, dwóch głupich: jeden, co daje, a drugi, co nie bierze...

Gorzelany wtoczył dwie blaszanki spirytusu, każdą o pojemności pięćdziesięciu litrów. „Niemocny — zwierzał się Łukaszowi na ucho. — Sześćdziesiąt pięć, alem już nie dał rady, aparat mi nie nadążał... Tylko o zaświadczenie ośmielę się prosić, żeby pokazać Rosjanom, bo właściwie dla nich był ten zacier..." Dziewki przydźwigały w szaflikach piramidę fajansowych kubków, kieliszków do jaj z lipowego drzewa i co mniejszych garnczków, bo normalnego naczynia było za mało.

Otryna zanurzył w spirytusie cynkową kwartę i podniósł ją ku górze.

— Bracia moi kochani! A teraz już bez wiecu — na zdrowie!

I wychylił ją duszkiem. Chłopi, trącając się, przygryzając uśmiechy, podżartowując, sięgali kubkami w chłodną głąb blaszanek i długo wąchali napitek. Ruszały im się duże, spalone od niepogód nosy, mrużyły siwe oczka.

— Wypić nie grzech...

— Raz łyknąć, dwa razy się przeżegnać — ot i dobry uczynek!

— Ma ruski wyżłopać, chlapnijmy sobie my!

— No, to zdrówko!

Ale wszystkie te uwagi wymieniane były półgębkiem, niegłośno i jakby od niechcenia.

Łukaszowi myśli biegały gorączkowo. Rozruszać ich! za wszelką cenę! Niech się urżną, pokłócą, pobiją! Wszystko jedno, byle ten lód się stopił! Raz woda ruszy — nic już jej nie zatrzyma! To ich pierwszy dzień, jeszcze głów nie podnieśli. Karki im się zastały, zastygły. Nie tylko panów — siebie nawzajem się boją! Poczuł, że bezmiernie, z całego serca ich kocha — zaszczutych, biednych, pokornych... Ot, żeby można każdego rękami naprostować, wyciągnąć! Ale nie, rąk nie starczy, sami muszą! — „My przecież pojedziemy! Bez niańki zostaną! Na ile się dziś podniosą, na tyle przybędzie im wzrostu..." — Chwytał błyski oczu, gorące, życzliwe, ukryte jednak w trzech czwartych pod powieką. Napotykał krótkie, urwane uściski dłoni, wymieniane chyłkiem, w przejściu, gdzieś za stołem, czy za czyimiś plecami. Sprzyjali mu, byli z nim razem, a przecież tak się zaszywali w te swoje kożuchy, tak maskowali swe uczucia, że obcy niczego by się z nich nie domyślił.

Otryna dwoił się, troił. Rżnął scyzorykiem pieczone szynki, pruł na nich chrupką skórkę, rozdawał plastry na prawo i lewo.

— Jedzcie! Pijcie! To wasze! Tu wszystko, wszystko wasze! — wrzeszczał. Wlókł chłopów do blaszanek, własnoręcznie roznosił babom trunek, podniecał ludzi, zaczepiał, śmiał się, częstował ich kuksańcami, a jednak wszystko na próżno... „Czemu? — zastanawiał się. — Przecie najgorszych wyłapałem! O co chodzi? Ja coś tu chyba prześlepiam?"

I nagle zorientował się, że raz temu, raz innemu wzrok ucieka ku górze i niepewnie błąka się po suficie.

Przestał krzyczeć. W ściszonym gwarze, jaki szumiał dokoła, wyraźnie rozległo się równe „stuk-stuk-stuk", dobiegające z piętra... „Ktoś chodzi? — pomyślał. — Ale kto? Dziedzic był przecież w papuciach. A obcy? Czy mógłby tam wejść niezauważony? Ale nie, nawet gdyby ktoś przyszedł, to zachowywałby się cicho, ostrożnie..." I naraz pojął: właśnie że dziedzic! Specjalnie wciągnął buty, żeby go było słychać! Dziedzic! Odsunięty od wszystkiego, zepchnięty na bok, pokonany, dawał im znać o sobie. Krok jego wybijał monotonny, uparty rytm: najpierw sześć stuknięć w stronę okna, następnie znów sześć z powrotem. I od nowa... Później echo jego kroków umilkło, lecz Otryna nie dał się zwieść tej ciszy. Przeszedł do salonu i tu słuch jego ponownie uchwycił złowieszcze „stuk-stuk"... Wołoka pracowicie obsługiwał wszystkie sufity po kolei, a każdy jego przemarsz sypał na chłopskie głowy miałki piaseczek niepokoju...

Łukasz skinął na Dyla. Ten podbiegł, stukając Parkoszowym mauzerem przewieszonym przez plecy.

— Leć do mnie, do domu! — nakazał mu głuchym szeptem Otryna. — Niech mój furman natychmiast zaprzęga i podjeżdża!

Oczekując przybycia podwody przestał zagadywać do ludzi. Z czerpakiem, pełnym wódki, przysiadł na gdańskim bufecie, ogromnym jak karoca, i milczał, ciężko dysząc. „Pijany — pomyślał o nim milicjant Migułko, lecz mylił się. Otryna ważył w sobie decyzję, od której wiele miało zależeć... „Jeżeli mi nawet darują, że biłem rządcę, to tego mi już nie przepuszczą..." — rozważał, wpatrując się w srebrne kółka na powierzchni alkoholu. Widział w nich krzywe, rozciągnięte odbicie swojej twarzy i chyboczący się, czerwony odblask papierosa.

W kwadrans potem wycofał się na dwór, przed ganek. Wolał ukryć przed ludźmi moment przyjazdu sani. Zmiótłszy rękawem śnieg z poręczy, przerzucił przez nią nogi i przysiadł na kamiennej balustradzie. Siniała płaska szreń, rozciągająca się między domem i parkiem. Kładły się na nią prostokąty światła, płynącego z okien, i zmąconego ruchliwymi, chłopskimi cieniami. Wyżej huczały gołe konary lip, rozkołysane nocnym wiatrem.

Po przybyciu podwody Łukasz zabrał ze sobą Dyla i obaj cicho, na palcach wspięli się na piętro. W korytarzu przystanęli. Dziedzic dalej mozolnie i systematycznie przemierzał wszystkie izdebki; zza drzwi dobiegało skrzypienie jego obuwia i trzask podgryzionych przez myszy desek.

— Jak idzie? — zapytał ujrzawszy ich i uśmiechnął się życzliwie. Nie pamiętał już Łukaszowi niedawnego afrontu; wręcz przeciwnie, starał się okazać mu przychylność. — Próbowałem odnaleźć patefon; córki gdzieś go tu miały, ale w tym bałaganie... Może go zresztą wzięły ze sobą?... Żal mi, obywatele, bo już się cieszyłem, że wam zniosę. Płyty są i nawet szpilki... A patefon...

— Co obywatel życzy sobie stąd zabrać? — przerwał mu Łukasz.

Wołoka zastanowił się.

— W przyszłości?... Nie wiem, jak postanowicie w sprawie mebli... Do niektórych jestem przywiązany. Ale dalibóg...

— Nie w przyszłości! Teraz!

— Jak mam to rozumieć?

— Zwyczajnie. Obywatel za chwilę opuści te strony.

— Ależ kochany komendancie...

— Niech obywatel się namyśli. Daję pięć minut czasu.

Wołoka kiwał żubrzą głową. Przybliżywszy się do Łukasza rzekł półgłosem:

— Przepraszam, że ja tak po prostu... Przyzwyczajony jestem do ludzi interesu. Rozumiem was, oczywiście. Ale przecież moglibyśmy znaleźć jakieś wyjście. Niech pan pozwoli do drugiego pokoju...

Otryna spotkał wzrok Dyla, twardy i podejrzliwy. Krzyknął:

— Za pięć minut wyjazd! Więc jak — macie jakieś rzeczy, bagaże?

— Chce mnie pan eksmitować?

— Właśnie.

— Nic z tego nie wyjdzie. Ja słucham radia, znam lubelskie ustawy. Po pierwsze — decyzja należy do pełnomocnika powiatowego, a nie do jakiegoś sierżanta. Po drugie — wywłaszczonemu przysługuje termin trzydniowy. Prawda?

— Podetrzyjcie się przepisami! Ja tutaj rząd i ustawa!

Dziedzic ciągnął łagodnie:

— Obywatelu, przykro mi, ale pan łamie prawo...

Otryna zaniósł się brzydkim śmiechem.

— Zechce mi się, to was, obszarników, boso będę pędził! Tu, tu jest moje prawo! — wrzeszczał, uderzając otwartą dłonią po pepeszy. I niespodziewanie zawinął się na pięcie. — Dyl! Brać, co w szafach, w szufladach! Wyrzucać na schody! Już, bez gadania! Szybko, szybko!

Z tupotem pobiegł w dół, na parter i runął między chłopów.

— Ładować jaśnie pana na sanie!

Popychał ludzi, walił w kark, kto mu się wydawał oporny, za kołnierze wlókł ich do sieni. Wypatrzywszy za zegarem Ściernika, kopniakiem zapędził go do roboty. Rozejrzał się za ojcem i znalazłszy go, nie oszczędził. Przekrwionym, byczym okiem wybierał fornali, komorników, dożywotnich odróbkarzy, wiejskich rzemieślników i wyszarpywał ich z zamarłego tłumu. Jazda! Marsz na schody! Na ganek!

Z pięterka lawiną sypnęły się świńskie walizeczki z niklowymi rogami, szkockie pledy, wyładowane bielizną i ściągnięte trokami, kamgarnowe frencze, kurtki do polowania, skarpety zwinięte w jabłuszko... Napierw kilku, później już z tuzin, a wreszcie i parę dziesiątków chłopów brało udział w tej spazmatycznej wyprowadzce. Nosili pikowane kołdry i łowickie kilimki znad łóżek, przybrudzone jaśki i pudła do kapeluszy... Wiązali to i owo w zawiniątka, wpychając resztę do sani byle jak, na olaboga! Zrazu czynności swe wykonywali ociężale, niechętnie, przepraszając Wołokę psimi spojrzeniami. Potem coś nowego pojawiło się w ich gestach, jakaś werwa, jakiś odcień zadowolenia, a nawet rozkoszy. Ostatnie pakunki fruwały już przy akompaniamencie cmokań i śmiechów, wesoło. Już i żart czasem się sypnął, zjadliwa przygaduszka, drwina.

— Na jednym miejscu i grzybowi się sprzykrzy! Niech se pan trochę świata obejrzy!

— Nie ładujcie tak pełno, bo nam się dziedzic nie zmieści!

— Kolankiem upchamy!

— Co znowu! Przyciśniesz, brzuszek mu trzaśnie!

Wołoka z początku stał w mansardowym oknie bez ruchu, ślepy na wszystko, pokrzywdzony, wyniosły. Zatknąwszy kciuk prawej ręki za klapę bonżurki, pozostałymi palcami wybijał jakiegoś marszyka na brzuchu. Ale potem, jakby pogodzony z losem, opuścił swój wykusz i naciągnąwszy szubę oraz bobrową papachę zgodliwie dał się wsadzić do sanek.

— Odjeżdżać! — rozkazał Otryna.

Furman, wykręciwszy się na koźle, zapytał dokąd.

— A to już jak pasażerowi dogodnie! Ja-azda!...

Strzelił pędzelek bata. Sanie ze zgrzytem ruszyły, rysując w śniegu podwójną, głęboką bruzdę.

— Do nieprędkiego widzenia! — wołał któryś z fornali w ciemnościach.

— Dziury w moście życzymy!

— Patrzajcie, pan wybrał się na kulig!

— Jadzie, jadzie, kurier na indyku!

Dwór tętnił śmiechem. Pito teraz na umór. Tupot nóg mieszał się z brzękiem naczyń. Skądsiś przyplątały się organki. Coraz żwawiej odchylały się w tył głowy, a twarze znikały za denkami czerpaków. Jakiś podchmielony, rechoczący młodzik wciągał na spodnie koronkowy biustonosz pani dziedziczki i wykręcał siedzeniem na boki. Ktoś z powagą otworzył tom encyklopedii Gutenberga i wyrwawszy z niego stroniczkę, zwijał sobie papierosa. Ten sam drobniutki, cierpiący na jaglicę chłopina, który przed godziną drżał z lęku na myśl o „polskim rządzie", teraz przysunął do Łukasza gorącą twarz, całą w politurze potu, i krzyczał:

— Sąsiedzie! Niech sąsiad posłuchają! My do tej ziemi Jezus, Maria! Ja, na ten przykład, jeszcze nigdy nie miałem własnej morgi. Nigdy gruntu... Nawet i tyle, co w doniczce... Jeżeli dacie... Panie Boże Miłosierny! Ja za tę władzę ludową... co wieczór krzyżem będę leżał!

— Tanio, Krupczatka, tanio! — zadrwił któryś z chłopów, a ktoś inny wycedził z pogróżką:

— Patrz no, żebyś przy tym do kumuny nie trafił!

Krupczatka błynął zmętniałą, dużą łzą.

— Tanio? Dobrze! Niech obywatel sąsiad słuchają! Ja... chociaż każdą zimę siedzę po ciemku... a świeczkę kupię! I nie starynową! Nie! z pszczelego wosku!

Olbrzymi fornal, większy od Łukasza i mocno podpity, odtrącił Krupczatkę. Po suchym jak rogóżka obliczu chodził mu dreszcz, podrywający górną wargę i ukazujący szare krzemyczki zębów. Fornal mówił rwanym, chrypiącym głosem:

— Za tę ziemię... Słuchaj, co mówię! Za tę ziemię... onemu Bierutowi, coście go wspominali, oddaj ode mnie... od Zwolenia Konstantego... — i po chłopsku, z powagą, przygiął się do podłogi wyciągając dłonie przed siebie.

— Siły macie dość? — indagował Otrynę jeden z jego kumów, odziany w esesmańską kurtę o przydługich rękawach. — Dużo was, ludowych? Poradzicie? — I szturchał swych sąsiadów ironicznie, znacząco.

— Durniu! — wrzasnął Zwoleń. — A nie widziałeś, jak to rządcę tresowali? Jak dziedzic przed nimi kicał? Cisza-a-a!... Wypiję za ludowych! Za naszych, kochanych!... — I ryknął:

A nasym fornalickom, a dać chleba dwie skóry,
Bo wozieły psenice, wywaleły fury!...

W pierwszej chwili czerwone, dymiące twarze uśmiechnęły się pogardliwie. Była to pieśń dożynkowa, nie bardzo, jak się wydawało, na czasie. Lecz Dyl pierwszy zrozumiał Zwolenia i ledwie przesypały się liczne jak paciorki „oj-dana", nizane głuchym basem tamtego, już przyłączył się doń swoim krzykliwym, chłopięcym tenorkiem:

Bo jeden woła jedźmy, a drugi woła stójmy,
A trzeci sobie godo: papierosy polmy...

Nierówne, faliste, zbełtane głosy podjęły pieśń i pociągnęły ją dalej. Ruszały się kropidła wąsów, otwierały mokre usta, przytupywały obcasy. Potem izbę zamiótł oberek.

Przed północą Otryna zaczął się gubić, wszystko cofało się przed nim, zapadało jak w studnię. Daleko, na dnie, chybotały się oczy, chusteczki, organki. Zakręciła się przed nim żona, przemknęły skosem rogi pokoju. Wiedział, że spotkało go jakieś nieszczęście i że trzeba się ze wszystkich sił ratować. Na spodzie czaszki drżało mu jak strunka echo wczorajszych pytań Doroty: „Jak Łukaszowi pościelić, tutaj czy z ojcem?..." Szarpnął się. Chciał być wesoły. Za wszelką cenę wesoły! „Rewolucję robię, rewolucję!" wrzeszczał nieprzytomnie. Skądsiś, niby szczupak, wypłynęła na powierzchnię pamięci przestroga, dana mu przez Brzostka: „Więcej nie rób, dziedziców nie ruszaj... Przyjdą z Lublina... Przyjdą z Lublina..." W tym miejscu wszystko się rwało. Nie pamiętał, co miało przyjść z Lublina. Słowa Brzostka mieszały się ze strzępami pieśni dożynkowej; „Bo jeden woła jedźmy, a drugi woła stójmy..." „My nie będziemy stali!" — chciał zawołać, ale nie mógł, roześmiał się tylko na głos. „Bo jeden woła jedźmy... Bo jeden woła jedźmy... My zawsze będziemy wołać, zawsze będziemy jechać!... My nigdy nie staniemy!..."

VII

Następny dzień rozpoczął się mętną zadymką, która nadpłynęła od wschodu. Śnieg, drobny jak mgła, kurzył się na pagórkach i kręcił pomiędzy chatami. W południe zrobiło się niemal ciemno: w gęstym pyle, sypiącym z nieba, utonęło żebracze słońce. Ludzie z trudnością oddychali ciężkim, pełnym śniegu powietrzem i krzyczeli na siebie wytężonymi głosami. Dźwięk zamierał w głuchej, tępej wacie opadu; ginęło w niej również brzęczenie wiader i stukot pieńków, rąbanych na opał.

Otryna, niezwykle tego dnia rozdrażniony i gniewny, chciał wyjechać do Wierzchocka jak najwcześniej, ale mu się to nie udało. Chłopi, których miał wziąć ze sobą do milicji, zbierali się opieszale: żony i matki sposobiły im żywność na pierwsze dni służby, pakowały bieliznę w płachty, cerowały i obszywały odzienie. Ten i ów skoczył jeszcze do lasu po parę suchych świerków; któryś uznał za konieczne naprawić d r a b k ę w stajni. Jeden tylko Zwoleń, ten sam wysoki fornal, który poprzedniego wieczora zaintonował pieśń dożynkową w pałacu, gotów był zaraz z rana. „Ja tam nie gospo-

darz — śmiał się do Łukasza, nie zważając na jego niepokój. — Nawet psa nie mam własnego, to i obrządek na mnie żaden nie czeka. Wszystko, co moje, mógłbym schować za pazuchą. Sypiam w sieni na kołku, a dziurą się przykrywam."

Dopiero po południu załadowali się do ciężkich, parokonnych sani, wypożyczonych u sołtysa. Jechało ich, prócz Łukasza, dziesięciu: dwóch milicjantów od Dunajca, czterech ochotników ze wsi, furman i trójka aresztowanych. Do miasta przybyli o wczesnym zmroku, zanim jednakże odszukali Dunajca, zrobiło się całkiem ciemno. Kapral, zgodnie z poleceniem Otryny, przeniósł posterunek do nowego lokalu, przyzwoitszego niż knajpa „Pod Trzema Królami", a mianowicie do kamieniczki niejakiego Henzla — volksdeutscha i konfidenta gestapo, który uciekł stąd na parę dni przed ofensywą. Nieduży budynek, stojący przy bocznej ulicy, był opuszczony i ciemny, resztki szyb, wytłuczonych w dniu wyzwolenia, sypały się ze szczękiem przy każdym silniejszym podmuchu, wiatr szarpał i chrobotał ślepymi połówkami okien.

Zajechawszy na chodnik, stanęli tuż pod czarnym otworem sieni. W saniach zaczął się ruch; pod ciężarem ludzi, skaczących na ziemię, zatrzeszczały drewniane burty, ktoś wybiegł na spotkanie przybyłym dzwoniąc obcasami w kamiennej sionce. Odezwały się zachrypłe głosy. Witano się i klepano po plecach.

Łukasz zdjęty obawą, że mu narodowcy rozbiegną się tymczasem po ciemku, wywlókł na jezdnię wór słomy, służącej mu za siedzenie, wysypał ją w śnieg i zapalił. Biały ogień buchnął w uliczce, oświetlając mury i płoty. Konie w zaprzęgu niespokojnie przestąpiły z nogi na nogę, odwracając łby w stronę blasku; mignęły im wystraszone oczy. Chłopi, mrużąc gwałtownie powieki, wyciągali na śnieg swoje tobołki, powiązane szpagatem, któryś szukał w saniach zagubionej flaszki. Z mroku wynurzył się Dunajec, bez kurtki i kożuszka, w samych tylko bryczesach i w lotniczej popielatej koszuli z podwiniętymi rękawami. Zameldowawszy stan posterunku pokazał na aresztantów:

— Volksdeutsche?

— Gorzej.

Dunajec skinął głową.

— Prosimy do środka. Niech pan się już o nich nie martwi, sam się tym zajmę. — I widząc, że słoma raptownie dogasa, sycząc w wytopionej kałuży, krzyknął: — Światło! Szpiclów przywieźli!

Otryna zostawił go przy saniach, sam zaś ruszył kolebiącym się krokiem w głąb domu.

Milicjanci stali kwaterą w pokojach za sklepem, mniej uszkodzonych niż pomieszczenia frontowe: tylko grube, sztywne od kleju tapety wisiały u ścian, pozdzierane łapczywą ręką — widać ktoś już tu szukał tajnych skrytek czy schowków. W największym pokoju leżały obok pieca stosy połamanych sprzętów, jakieś wykrętne nóżki od foteli, drewniane esy-floresy, listewki, karnisze. Tęgi młodzik w czarnym pulowerze łamał je podeszwami i pchał w palenisko. Trzeszczały w ogniu forniery, strzykał gotujący się klej stolarski, pachniało politurą.

Zobaczywszy Łukasza, milicjant stanął w postawie zasadniczej.

— Bierz lampę! — rozkazał mu Otryna. — I chodź, pokaż, gdzie tu macie spiżarnię czy jakąś komórkę. Tylko żeby była bez okna.

— Rozumiem — rzekł milicjant; wielkie jak u konia policzki drgnęły mu w domyślnym uśmiechu. — Mamy coś takiego. Proszę, pan sierżant pozwoli. — Zdjął z szafy ciężką, drogową latarnię w metalowej koszulce i skinął grzecznie przed siebie.

Po trzech przeraźliwie skrzypiących schodkach spuścili się w jakąś mroczną i bardzo zimną czeluść. Dopiero po chwili Otryna zorientował się, że są w sklepie Henzla. Okno wystawowe było wyrwane z futryną; przez opuszczoną kratę Łukasz widział skrawek ulicy i paru milicjantów krzątających się wokół sani. Czasem biały promień latarki elektrycznej wpadał stamtąd do wnętrza i przemykał się po suficie, czasem wiatr wdmuchnął tu nieco śniegu.

Chłopak w swetrze prowadził Łukasza przez porozrzucane sterty żelastwa, depcząc arkuszową blachę nogami. Dźwięknęły potrącone talerze wagi, rozległ się szelest wysypywanych gwoździków. Potem zachrobotała sprężynowa kłódka.

Milicjant podniósł okutą klapę w podłodze i z grzmotem odwalił ją na bok.

— Pan sierżant łaskaw zajrzeć, czy starczy.

Otwór był prostokątny, nieduży. Łukasz, przyklęknąwszy na oba kolana, oparł się dłońmi o jego wyślizgane brzegi i zajrzał do środka. W pierwszym momencie poczuł tylko ostry zapach rdzy oraz nafty, lecz zobaczył niewiele: ot, parę ciemnych kształtów — beczek czy może blaszanek — i kilka plam jaśniejszych, owalnych, podobnych do główek kapusty albo raczej do masła w osełkach. „Bzdura! — żachnął się sam na siebie. — Skąd tutaj masło, kto by je trzymał w takim zakamarku!" Nagle odskoczył: jedna z tych plam poruszyła się i zmieniła pozycję. Zrozumiał. Były to ludzkie twarze.

Wyjąwszy lampę z rąk milicjanta, opuścił ją nieco niżej. Widział teraz wyraźnie kilku mężczyzn, siedzących w kucki na dnie loszku; głowy mieli uniesione pytającym gestem, oczy wlepione w światło. Dwóch było ubranych po cywilnemu i to nawet porządnie, w palta z bobrowym kołnierzem; trzeci miał złote skrzydełko „*Ostbahnu*" na kolejowym uniformie. Po chwili Łukasz dostrzegł jeszcze jednego, zawiniętego aż po uszy w pikowaną kołdrę.

— Jacy to ludzie? — spytał cicho.

— Niemcy.

— Skąd?

— Rozmaicie. Ten w kołdrze to oficer. Mundur zostawiliśmy dla pana sierżanta, zobaczy pan, co za kamgarn! A cywile obydwaj z kripo.

Łukasz zmierzył wzrokiem piwniczkę i uznał, że pomieści w niej jeszcze Tatarczuka z kompanią.

— Dobra. Narzuć im trochę słomy, bo zmarzną. Idziemy.

W pokoju za sklepem zrobiło się tymczasem pełno. Dunajec stał rozkraczony na środku i uważnie przeglądał jakieś papiery, podczas gdy jeden z jego ludzi świecił mu przez ramię oksydowanym reflektorem. Matowo błyskał pierścionek z orzełkiem, zdobiący rękę kaprala. Szeleściły popielate tekturki kart rozpoznawczych. Łukasz poznał je: były to dowody aresztowanych narodowców, zabrane im przez Patkę. Sami delikwenci stali twarzą do ściany, ustawieni krótkim szeregiem; któryś kaszlał i łykał flegmę z niesmakiem.

— Kennkarty mają polskie — mruknął kapral, pochyliwszy się w stronę Łukasza. — Fałszywe? Podrobili na zapas?

— A po co?

Dunajec złożył je razem i tasował niby talię do brydża.

— Więc jak? Aż trzech konfidentów z jednej wioski? Nieprawdopodobne.

Łukasz wyczuł w jego głosie dziwaczne wahanie, czy nawet ślad jakichś podejrzeń. Odebrał mu ze złością papiery i rzucił je na środek stołu. Pacnęły miękko o pluszową serwetę.

— Jazda z nimi do tej dziury pod sklepem!

— Zaraz, wie pan... — wtrącił kapral pośpiesznie. — Bo my już tam, w tej piwnicy...

— Dobra, dobra! — zgniewał się Łukasz. Nie był dzisiaj w rozmownym nastroju, zbyt wiele miał na głowie po wczorajszym pobycie we wsi. — Wiem, kogo tam marynujecie, widziałem. Pomieszczą się wszyscy.

Dunajec coś rozważał, patrząc sobie pomiędzy buty. Potem niechętnie wziął reflektor z rąk milicjanta i żrobiwszy krok w stronę sklepu przystanął.

— Czy mogę? Tylko słówko — poprosił zniżonym głosem. — Zawróciwszy, przysunął Łukaszowi usta do skroni. — Panie sierżancie, co to właściwie za jedni?

Otryna przyjrzał mu się z ukosa. „Niespokojny nasz pan kapral! Może myśli, że akowcy? A niechby nawet, to i co z tego? Jeśli przyjdzie potrzeba, to i tamtych weźmiemy pod kluczyk."

— Bandyci — odpowiedział spokojnie. — Reakcja. Ale nie bójcie się: tylko z NSZ-u.

— Od Toporka?

— A czort ich wie! Może i od niego?

— Panie sierżancie — rozpoczął Dunajec i przypuszczalnie zabrakło mu słowa, bo przymknął suche wargi na moment. — Panie sierżancie, mam tu jeszcze wolną bokówkę czy składzik, sam nie wiem, jak ją nazwać. Henzel trzymał tam opał. Łatwiej będzie pilnować, bo to zaraz za ścianą, poręcznie...

„Nie chce ich mieszać z Niemcami! — zrozumiał Otryna. — Wstydzi się, oficerek cholerny! Dla niego faszyści czy nie faszyści — wszystko jedno, Polacy. Wygodniej by im pościelił, może jeszcze nagotował rosołku!" Nie chcąc jednak przedwcześnie zadrażniać stosunków, zgodził się na prośbę kaprala.

Komora była duża, ale w dwóch trzecich zapełniona brykietami i koksem, chropowatym jak pumeks, tyle że lśniącym. Leżało tam blaszane wiadro z dnem wyłożonym gazetą i z żelazną szufelką, wrzuconą do środka, tylko drewna nie było, dlatego też milicjanci rozpalali w piecach meblami.

Dunajec wpuszczał tu narodowców po jednym, sprawdzając osobiście, czy który nie ukrył noża lub zapałek. Gdy przyszła kolej na Zarybka, uniósł się:

— Na co czekasz? Mówiłem, żeby się porozpinać!

— Kiedy ja, wielmożny panie... — wyjąkał chłop z pokorą, lecz kapral go nie słuchał. Poirytowany czy może raczej speszony, z pewnością bowiem po raz pierwszy miał do czynienia z polskimi więźniami, szarpnął chłopa za kurtkę na piersiach.

— Tamten krzyknął.

— Co się stało? Łaskotki masz, gnoju? — zapytał go Dunajec z przesadną, jakby sztuczną brutalnością.

Tu wmieszał się Otryna.

— Zostawcie go.

— Słucham?

— Mówię, zostawcie. On ma pokaleczoną rękę.

— Bronił się? — zapytał Dunajec.

Łukasz usłyszał lub nawet nie — po prostu wyczuł, że ktoś z tyłu trąca kaprala w plecy. Nie potrzebował się nawet odwracać, by ustalić, kto to taki. Wiedział: z pewnością Migułko, ten sam posępny milicjant, który poprzedniego dnia wypuścił Zarybka z potrzasku. Pod wpływem tego szturchnięcia kapral zaprzestał dalszych pytań i już w kompletnym milczeniu opuścili komorę. Łukasz zamknął ją własnoręcznie, klucz zaś włożył do kieszeni na piersiach.

Tymczasem w mieszkaniu wrzała pośpieszna krzątanina. Zbliżał się czas zmiany warty, milicjanci wciągali szydełkowe nauszniki i szale, któryś z nich obciskał palto rzemieniami szelek szturmowych i starannie podpinał je do pasa; inny wtykał trzonki granatów za cholewę. Szczęknęły drzwi; ostro dysząc i kaszląc wwaliło się do pokoju dwóch chłopców, wracających z patrolu. Twarze ich były ścięte zmęczeniem, wargi grube od zimna. Widać było, że mają za sobą wiele godzin służby. W powszechnym gwarze mieszały się skrawki rozmów, ktoś wołał ostrzegawczo, żeby nie podchodzić do pieca, ktoś drugi z gniewem poszukiwał rękawic, zgrzytała odkręcana manierka, słychać było splątane głosy:

— Nie bądź świnia, daj łyknąć kamratom!

— Panie kapralu, starszy strzelec Jakielski...

— Pamiętasz o mieszkaniu dla Baśki? Guzdrzesz się, inni wszystko rozbiorą...

— Kradną jak cholera. Posłuchaj...

— My do niego, a tu skroń roztrzaskana, mózg bąbelkami wyłazi...

— Dalej, bracia, wychodzić, wychodzić!

W trakcie tego czterej przywiezieni ze Szczerc chłopi pożywiali się milczkiem w kącie. Ich skromne zapasy — sól, trochę chleba i twaróg — leżały między nimi na krześle, obok walało się parę rozdeptanych skorup od jajka. Łukasz w myśli porównał ich z drużyną Dunajca i poczuł napływ goryczy. Jakże kiepsko, a nawet — wstyd powiedzieć — pociesznie wyglądali w tych swoich zatłuszczonych, wciśniętych na ucho kapeluszach, jak żałośnie wisiały na nich bawełniane kurtki! Żeby je chociaż pościągali w pasie rzemieniami! Ale skąd! Żaden nawet o tym nie pomyślał! A te portki, w których tyłek opadał do pół nogi! Łachmaniarze, psiakrew, dziady, nie milicja! Mógłby kto przypuścić, że wezwano ich do noszenia węgla, nie zaś do sprawowania władzy! Zgarbieni nad swym krzesłem żuli chleb bez pośpiechu, mozolnie obracając w ustach każdy kawałek, bez końca; twarze ich nie wyrażały niczego, powieki były obojętnie spuszczone. Raz tylko Zwoleń spojrzał Łukaszowi w oczy i znów leniwie wrócił do jedzenia. Nie na długo jednak; uporawszy się z jeszcze jednym jajkiem, obtarł sobie usta palcami i wyszedł.

Z początku Otryna prawie że nie zwrócił na to uwagi. Rzuciwszy się

bezwładnie na siennik, puszczał mimo uszu raporty Dunajca, nie starając się nawet udawać, że słucha. Cóż go w gruncie rzeczy mógł obchodzić Pielewicz i jego wyjazd do Łęczynka? Pracuje w PPS? Wybrali go do komitetu? Nie szkodzi; łatwo będzie sprawdzić. Jeżeli bujda, to Dunajec już leży: sypnął się na samym początku. A jeżeli prawda?... Łukasz ziewnął i przestał się interesować kapralem do reszty. Był znużony i jakby wyschnięty; myśli kruszyły mu się niby stare, jesienne liście. „Za dużo piłem" — usprawiedliwiał się sam przed sobą, ale to była nieprawda. W istocie wypalił się podczas pobytu w Szczercach i cały był pełen popiołu. Dorota, dziedzic, rządca — do licha, sam nie wiedział, która z tych spraw kosztowała go tyle siły...

Raptem coś go ukłuło jak osa: Zwoleń! A z nim co się wyprawia? Czemu patrzył tak jakoś dziwacznie? Od wyjścia fornala minęło już dobre piętnaście minut; czy mógł się załatwiać tak długo? Wyczekawszy, aż kapral dobiegnie do końca, Otryna wstał i niedbale skierował się na podwórze.

Za progiem falowała mokra i gęsta jak kisiel zawieja. Trzeszczały naprężone sznury od bielizny, słychać było chlapanie zapomnianej na nich derki czy też szmaty. Ze wszystkich stron rozlegał się dziwaczny, huczący świst, podobny do gry na jakimś dętym instrumencie. Otryna przez parę sekund nie mógł odgadnąć, skąd bierze się to gwizdanie, aż wreszcie pojął: to wichura szamotała się w betonowych drenach, gęsto zalegających podwórze.

Ktoś dotknął jego ramienia. Był to Zwoleń. W głębokim milczeniu przeszli do szopy, gdzie Henzel trzymał niedawno swoje zapasy cementu. Łukasz chciał zamknąć drzwi za sobą, dał jednak spokój: bał się głośniejszego skrzypnięcia.

— Co się stało? — zapytał szeptem Zwolenia i zaraz sam sobie przerwał: — Sprawdzałeś? Nie ma tu w kącie nikogo?

— Patrzyłem. Można gadać spokojnie.

— O co chodzi?

Poczuł na skroni szorstki dotyk łuszczącej się skóry fornala. Ten mówił mu wprost do ucha:

— Poznałem tu, Łukaszu, jednego.

— Dunajca?

— Nie, tego w czarnym sweterku. Widziałeś go?

— Taki duży, gruby?

— Ten sam.

— Gdzieś go spotkał?

— Pod Włoszczową, u wujka. Przyszedł tam z jakimś wojskiem.

— Kiedy?

— Zeszłego roku na Piotra i Pawła.

— No i co? Jakie to było wojsko?

— Nie wiem. Tyle że ludowe to oni nie byli.

— Akowcy?

— A Krzywy do jakich się liczył?

— Do tych samych.

— Wypada, że akowcy.

Łukasza ogarnęło dławiące niezadowolenie. „Cholera na nich! — zaklął w duchu. — Pomyśleć o swoich sprawach nie dadzą! Czego się plączą, pod nóż nadstawiają karku? Siedzieliby grzecznie w domu, nikt by się nawet o nich

nie zapytał. A tak, to już trudno, trzeba się będzie postarać o kaganiec!" Ściskając ramię fornala, zagadnął go:

— Gęślicką znasz? Wiesz, gdzie ma sklepik?

Zwoleń wiedział: niedaleko parafii, tuż obok przytułku dla starców.

— Idź do niej od tyłu, drugie drzwi z bramy na lewo. Zapamiętasz? Nie zbłądzisz?

Zwoleń uspokajał go bez słowa, samymi tylko ruchami rąk. Łukasz, oglądając się po złodziejsku na boki, wyjaśniał mu szczegóły zadania. Trzeba zobaczyć się z wdową dyskretnie, bez zwracania uwagi sąsiadów i tylko na osobności. Jeżeli będzie mogła, niech wyjdzie za godzinę na cmentarz, w to miejsce, gdzie mur jest rozwalony, za kostnicą.

— Ja tam przylecę, jak tylko mi się uda wyskoczyć. A ty nie włócz się nigdzie; załatw, co ci kazałem, i wracaj.

Rozstali się bez dalszego gadania. Zwoleń własnym kapeluszem pozacierał ślady, wygniecione w zaspie pod szopą; resztę pozostawili zadymce.

Łukasz czuł wypieki. Twarz miał jak obdartą ze skóry, każdy płatek śniegu osiadający mu na policzku przyprawiał go o dreszcze. A więc ma rzeczywiście spisek pod bokiem! Akowców od Krzywego! Od razu tak zresztą przypuszczał — przez papier ich wyczuł, wywąchał! Teraz tylko śladu nie zgubić, a trafisz do nory. Sztachetka po sztachetce, cały sadek można będzie ogrodzić!

Pocieszało go to, że znalazł człowieka, który mu ułatwi kontakty z Gęślicką. Zwolenia nikt tutaj nie znał, niech go nawet zobaczą — i tak żadnych podejrzeń nie będzie. Jeśli tylko wdowa nie rozgłosiła do tej pory swych zasług, jeżeli milczała tak jak dawniej, będzie z niej wielka pomoc i pożytek. „Mnie tutaj każdy ma na oku, słówko powiem, zaraz Dunajcowi doniosą. A jej łatwo, zechce, wszędzie zapuści żurawia." Miał przy tym do Gęślickiej pełne zaufanie: w czasach, kiedy Toporek szalał po powiecie, kiedy parobkom dziurawił wargi i spinał cuhaltową kłódką, a do komuny strzelał niegorzej od Niemców, wdowa — nie bez strachu co prawda, lecz zawsze ze spokojną gotowością — udzielała peperowcom schronienia.

„Teraz tylko głupstwa nie zrobić, nie dać czego poznać po sobie!" — myślał z wielkim natężeniem. Nie był pewien, czy potrafi zagrać swoją rolę bez błędu. Zawsze z trudem panował nad swymi uczuciami, dzisiaj zaś było to dlań szczególnie przykre i męczące. Od wczoraj znajdował się pod wrażeniem, że wszystko, co robi, jest jakieś głupsze i bardziej niezdarne niż zwykle; zdawało mu się, że bez przerwy mówi nie to, co trzeba, i że wszyscy dokoła widzą to. W gruncie rzeczy nie było żadnego powodu, by tak myśleć — a jednak nie mógł pozbyć się tego wrażenia. Dla niepoznaki więc, ledwie wszedł do mieszkania, z miejsca zaczął sypać żartami i zmuszać się do głośnego śmiechu.

Dunajca jednak nie zastał; powiedziano mu, że poszedł na górę.

— Do tego pokoju, cośmy go przyszykowali dla pana sierżanta — wyjaśnił chłopak w czarnym swetrze, uśmiechając się do Otryny szeroko. — Zaprowadzić?

— Nie trzeba. I bez was trafię.

— A może jednak?...

Otryna wstrząsnął pogardliwie ramieniem i udał się na pięterko. Tu właśnie

żyli do niedawna Henzlowie, tu mieli swoje sypialnie i salony, bo na parterze trzymano tylko subiektów i służbę. Obszerne pomieszczenia świeciły teraz pustką, przeciąg szamotał drzwiami, przy każdym kroku trzeszczało coś pod stopą jak cukier. Po wyjściu Niemców meble zostały rozgrabione prawie że doszczętnie; z tych resztek, jakie ocalały, Dunajec skompletował mizerny garniturek i wstawił go do narożnej izby przy schodach. Było tam żelazne łóżko, przykryte opoczyńskim kilimem, porąbany stolik od damskiej toalety, kilka kuchennych krzeseł i mahoniowa szafa, zbyt ciężka, aby ją szabrownicy mogli unieść ze sobą.

W pokoju — prócz kaprala — Łukasz zastał jeszcze dwóch milicjantów; byli to ci sami ludzie, których miał na wsi ze sobą. Dunajec siedział przy stoliku niepewnie, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Nie patrząc w stronę sierżanta gryzł koniec kołnierzyka od koszuli i raz po raz wyrywał go sobie spomiędzy ciemnych gęsto plombowanych zębów. Dwie krzywe bruzdy drgały mu między ustami a nosem. „Już wie o wszystkim — pomyślał Otryna. — Usłyszał od Migułki, jak to było z Zarybkiem. I o rządcy na pewno także..." Podsunął mu papierosy.

— Zapalicie?

Dunajec dłuższą chwilę nie odpowiadał, jakby pytanie Łukasza w ogóle nie dotarło do niego. Paznokciem drapał czarną smugę zarostu nad wargą, ostrym szpicem jednego buta postukując miarowo o drugi. Nagle, jakby zbudzony z drzemki, podniósł oczy do góry.

— Przepraszam. Nie, paliłem właśnie przed sekundą.

Niecierpliwym skinieniem odprawił milicjantów z pokoju i starannie wyłożył rogi zaślinionego kołnierza. Widać było, że sili się na spokój i chce słowom nadać brzmienie zwyczajne.

— Mamy tu coś dla pana, oglądał pan już może?

I zrobił krok w stronę szafy. Na drzwiach jej, z lekka tylko uchylonych, wisiał szarozielonkawy mundur oficerski z czarnymi wyłogami i podłużnym śladem wyprutego orła nad prawą kieszenią. Znać na nim było rękę któregoś z miejscowych krawców; rękawy i klapy pachniały benzyną, spodnie, przerzucone przez poprzeczkę wieszaka, miały kant ostry i świeży, tylko dziurek od guzików nie dało się widocznie naprawić — dawny właściciel zbyt już je wystrzępił i porozciągał.

— Chce pan zmierzyć? — dopytywał się Dunajec, klucząc po ścianach roztargnionym wzrokiem. — Chłopisko było wielkie, od razu powiedzieliśmy; rozmiar ten sam, co u pana. — Mówiąc to, gniótł bezmyślnie gładki kamgarn żakietu i przebiegał palcami po blaszanych guzikach. Niespodziewanie dorzucił: — Bo ja, wie pan, myślę, że jak dwóch ludzi zejdzie się ze sobą, to jeden nie może od razu zrozumieć drugiego. Prawda? Zawsze musi minąć trochę czasu, zanim się dogadają. A z początku to nieraz tak będą patrzeć i niedowierzać. Człowiek to przecież nie butelka, żeby można zobaczyć przez szkło, co ma w środku.

— Drobiazg. Nie przejmujcie się — bąknął Otryna. Domyślał się już, o co idzie tamtemu. „Czuje coś, szczeniak. Z miny poznał." Klepnął go ostrożnie po łokciu. — Co sobie głowę zawracać na wyrost? Po trochu wszystko się ułoży.

— Prawda? — zapytał kapral. — Pan też tak myśli? To dobrze, to bardzo

dobrze. Bo między nami to jest jeszcze trudniej niż zwykle. Ja z miasta, a pan przecież... Bardzo przepraszam, że mówię tak bez owijania w bawełnę, ale nic złego nie mam na myśli. Więc my obaj jesteśmy z innych, jakby to powiedzieć, podwórek... Czasem ja coś takiego lapnę, że pan aż podskoczy...

— Co znowu! Mnie to, jak Boga kocham, ani w głowie! — zaśmiał się sztucznie Otryna, lecz tamten ciągnął nie przerywając, tak że przez parę sekund mówili równocześnie.

— ...a czasem może się zdarzyć, że i pan trochę mnie speszy.

— Speszy? — powtórzył Łukasz przeciągle.

Dunajec wyjaśnił z pośpiechem!

— Może wyraziłem się niedobrze. No, wie pan, powiem po prostu: są takie rzeczy, do których wy, na wsi, jesteście przyzwyczajeni, ale dla nas... Zrobicie coś, może u was tak trzeba, nawet myślę, że trzeba na pewno, a tymczasem każdego z nas to poruszy. Ale to nic, to przecież z czasem przejdzie. Ja też sobie tłumaczę, żeby nikogo nie sądzić za wcześnie. Że jak obaj dobrze się poznamy, to po trochu wszystko ułoży się między nami. Tak jak pan sierżant powiedział przed chwilą...

— A pewnie! — uspokajał go Łukasz, sam pełen czujnego napięcia. Już od paru minut nie rozumiał kaprala i chciał jak najprędzej zmienić temat rozmowy. — Mundurek rzeczywiście pierwsza klasa. Zaraz włożę, a te moje łachy dajcie Niemcowi. Nie będzie przecie szedł w kołdrze do obozu!

Dunajec stał odwrócony plecami i badał podszewkę żakietu. Trafił widać na ślady jakiejś partackiej roboty, może coś tam było przyżelone, albo i nawet odprute — dosyć że zajęło to jego uwagę bez reszty. Kto wie, czy w ogóle połapał się w ostatnich słowach Otryny, w każdym razie niczym ich nie skwitował. Nagle Łukasz pojął, że tamten nadsłuchuje jakichś odgłosów z sieni.

— Co znowu?— zapytał.

— Przepraszam — odrzekł Dunajec i zwolna zaczął wzrokiem iść ku Otrynie, aż spotkał się z jego oczyma. — Pan sierżant wybaczy, żeśmy tu pana w jednej sprawie... wyręczyli. Z pewnością myślał pan o tym samym, tylko nie było kiedy zarządzić.

— Na przykład?

— Kazałem sprowadzić lekarza.

VIII

W tydzień później postanowiono rozwiązać drużynę Dunajca. Zarzutów przeciw niemu było wprawdzie niewiele i to niezbyt konkretnych, z tych jednak strzępków, jakie udało się pozbierać, z pogłosek, niedomówień i poszlak krążących po gminie jedna rzecz wynikała niezbicie: że kapral przyszedł do PAL-u z Armii Krajowej i że robi, co może, aby zatrzeć ślady za sobą. Jaki cel miała ta maskarada? Czy Dunajec przedsiębrał ją wyłącznie na własny rachunek, czy też działał jako agentura podziemia? Nie wyjaśniono. Sprawa budziła tym więcej podejrzeń, że Dunajca protegował Pielewicz, osobnik znany niektórym komunistom sprzed wojny i — zdaniem

ich — bardzo niewyraźny; ni to socjał, ni to trockista, a w każdym razie ostatni człowiek, mogący budzić zaufanie partii. Sam PAL, pod którego szyldem występowali ludzie Dunajca, też nie dawał dostatecznej gwarancji bezpieczeństwa: była to nieduża, na pół fikcyjna firma polityczna, jeden z tych miniaturowych nowotworków, budzących podejrzenie resortu, że służą jako czapka-niewidka dla prowokatorów i rozmaitych — jak się wówczas mówiło — „socjal-zdrajców". Wątlutkiej „powiatówce" brak było kanałów, potrzebnych do rozpracowania Dunajca, samego zaś delikwenta, rzecz prosta, trudno było pytać o to wszystko. Poza tym, prawdę mówiąc, nikt nie miał do tego głowy: w skali powiatu kapral w ogóle się nie liczył, był marginesem, pyłkiem, niczym. Dziesiątki spraw bez porównania donioślejszych, załatwiano w tym czasie jednym strzepnięciem ręki. Nieliczni peperowcy trzepotali się jak osy na szybie, nie mogąc poradzić sobie z terenem; Łęczynek zdychał z głodu, kończyły się ostatnie zapasy kartofli, brak było transportu, aby je dowieźć skądkolwiek, dokoła szalał rozbój, wydawało się, że władza ludowa utonie w błocie. Kto w takiej chwili miał czas na staranne śledztwo w sprawie jednego gminnego posterunku? Również i Otryna, półprzytomny od nawału trosk partyjnych i osobistych, marzył tylko o jednym: ażeby się jak najszybciej pozbyć dodatkowego kłopotu. Mimo to sprawa kaprala miała być likwidowana stopniowo i w miarę możliwości jak najłagodniej, aby nie narazić się na jakieś zajścia. Z końcem tygodnia przeniesiono do Łęczynka pierwszą dwójkę Dunajcowych ludzi, nieco zaś później Otryna wysłał trzech innych do Huczkowej Sadyby dla chwilowego — jak twierdził — wzmocnienia tamtejszej komendy. Weryfikacja miała się rozpocząć nie wcześniej, aż cała drużyna zostanie rozproszona po powiecie, Kocaj bowiem lękał się jakiegoś zbrojnego wystąpienia z jej strony. W ostatnich dniach stycznia Łukasz kazał przygotować się do drogi Migułce i Jakielskiemu; obaj mieli o zmierzchu wyjechać do Łęczynka.

Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz dowiedział się od Zwolenia, że Dunajec nie tylko zatrzymał tę dwójkę na miejscu, lecz w ciągu nocy ściągnął do Wierzchocka również i pięciu pozostałych milicjantów. Żadnego z nich nie było zresztą na posterunku: Łukasz zastał tu tylko paru chłopów szczereckich. Po krótkich poszukiwaniach wpadli na trop kaprala: okazało się, że wraz z całą drużyną obraduje w mieszkaniu Migułki.

Łukasz, postawiwszy swoich chłopów przy bramie, wszedł sam jeden do środka.

Już od połowy schodów uderzyła go słodkawa woń, silna i bardzo nieprzyjemna. To pachniały skóry zwierzęce, wyprawiane przez ojca Migułki. Wielki strych, stanowiący jego mieszkanie, był nimi zawieszony bez reszty; suszyły się pod dachem na sznurach, miękły w kadziach, pełnych kory dębowej, prężyły się rozkrzyżowane na deskach, trzeszczały. Łukasz poczuł się zagubiony w tej olbrzymiej, na pół ciemnej szafie z rzeczami, gdzie powietrze było gęste od sierści i wyziewów garbnika. Brnął przed siebie jak pływak, rozgarniając dłońmi futerka, aż spoza przepierzenia usłyszał liczne głosy.

W trójkątnej izbie, przylegającej do czarnego komina, znajdowali się wszyscy palowcy w komplecie; spostrzegł pomiędzy nimi i tych, którzy mieli pełnić służbę na mieście. Broń całą przynieśli ze sobą, nawet erkaem stał w zasmolonym rogu, oparty lufą o ścianę, obok zaś leżały podwójne blaszane

bębny z amunicją. Zobaczywszy to, Łukasz zrozumiał, że już wszystko przepadło. Opanował jednak wzburzenie i zawołał od progu:

— Jak się macie? Ładnie to tak, nie zaprosić komendanta na święto? Skąd miałem wiedzieć, że Migułko ma na imię Franciszek Salezy? No, dawaj łapę! Wszystkiego dobrego!

Odpowiedziało mu głuche milczenie. Rzekomy solenizant nie ruszył się od dymnika, tylko twarz zbiegła mu się, zmalała. Zgrzytnęło żelazne łóżko bez materaca, na którym siedział Patka. Łukasz zobaczył jego niespokojne spojrzenie i nerwowy dygot spierzchniętych, szorstkich warg, składających jakieś nieme wyrazy. Rozejrzał się za Dunajcem i zobaczył go w kącie obok klatek gołębich. Kapral miał koszulę rozpiętą aż do pasa; w półmroku błyszczały mu wilgotne, jakby olejem pociągnięte strzemiona obojczyków, kościsty mostek unosił się i opadał w pośpiesznym oddechu. „Ostro sobie tutaj gadali!" pomyślał Otryna i zapytał:

— Przepraszam, a może ja nie w porę? Powiedzcie, to pójdę. Przeszkadzać nikomu nie lubię.

— Skąd znowu! — zawołał któryś z palowców, lecz Dunajec przerwał mu gwałtownie:

— Zostaw!

Wyszedł na pół drogi do Łukasza i stanął. Zaognione kąty oczu świadczyły, że ostatnią noc spędził bezsennie. Dolna szczęka chodziła mu drobnym ruchem, jakby w ustach żuł garstkę maku. Obciągnąwszy odzież na sobie, powiedział:

— Dłużej, panie sierżancie, kołować nie warto. Ludzie nie mogą tego wytrzymać. Niech pan raz wszystko powie.

— Co? — zdziwił się Łukasz obłudnie, lecz nie zdołał oszukać kaprala. Ten ciągnął z pasją:

— Szykujecie coś, prawda? Chcielibyście nas zagiąć, panowie towarzysze? Za mordę wziąć i w kojec? Powolutku!... Z nami lepiej się nie śpieszyć! My nie z tych, co na błoto ostrzą siekierę! Nie z tych, słowo panu daję!

Łukasz lekko odsunął Patkę i przysiadł obok niego na łóżku. Skrzypnęło; metaliczny brzęk wibrował jeszcze dłuższą chwilę w sprężynach. Chłopak wykonał taki gest, jakby miał zaraz wstać, oparł się już nawet dłońmi o ramę, ale później zrezygnował z tego zamiaru, opuszczając tylko niżej głowę. „On jeden coś wart między nimi!" pomyślał ze współczuciem Łukasz. Objął Patkę ramieniem i poczuł, że chłopakowi drżą plecy. Inni patrzyli na sierżanta z uwagę i jakimś chłodnym, chirurgicznym skupieniem, a Migułko wprost z nienawiścią. „Ten by mi zaraz wpakował cały magazynek w wątrobę, ani by się nawet nie skrzywił!" przemknęło przez myśl Łukaszowi. Odezwał się z nieszczerą pogodą:

— No, obywatele, jakeście już raz zaczęli, to proszę, wyciągajcie nogi na całą długość kołdry; z podkurczonymi niewygodnie. Jazda.

— Czy mamy mówić wszystko? — zapytał blednąc kapral. Zaczerpnął tchu głęboko, jak człowiek, który chce skoczyć w dym i ogień.

— Wszystko aż do końca! — potwierdził Łukasz skwapliwie; ale ten jego pośpiech zastanowił i powściągnął Dunajca. Kapral milczał przez parę sekund, wreszcie rzekł innym głosem, jakby nagle odmieniwszy zamiary:

— Właściwie nic takiego.

„Chytry — otaksował go Łukasz. — Polizał haczyk i wypluł.“ Głośno zaś powiedział:

— To ładnie. Od razu mi się zdawało, że nic takiego. Może chodzi o to, że ja wam ludzi rozsyłam po powiecie?

— Niby troszkę...

— No to już załatwione. Poślę tam moich ziomków, niech i oni coś nowego zobaczą. Przewietrzyć się nigdy nie zaszkodzi, na jednym miejscu i tyłek spleśnieje.

— Ha, ha — uśmiechnął się sztywno Dunajec. Twarze innych pozostały nieruchome, tylko Patka spojrzał na Łukasza z gwałtowną nadzieją. Gruba szczotka brwi, zalanych tłustym potem, uniosła mu się do pół czoła, w oczach mignęło światło.

— No, widzicie — uspokajał ich Otryna. — Czyście to nie mogli przyjść z tym już dawno? A ja skąd miałem wiedzieć, co za mól was gryzie? Teraz w porządku?

— W porządku.

„Kuci na cztery nogi! — myślał Łukasz z podziwem. — Grają razem i równo, jak organy, tylko ten czarnuś im fałszuje.” Podnosząc się ścisnął Patkę za łokieć.

— Chodź, wyprowadź mnie, bo się jeszcze utopię w garbniku.

— Ja pokażę — ofiarował się raptem Migułko, ale Łukasz nie puścił Patkowego ramienia.

— Zostań, co za różnica?

I wyszedł z pokoju. Gdzieś w połowie strychu, zasłonięty ze wszystkich stron wyschniętymi pękami skórek zajęczych, przyciągnął Patkę do siebie i rzekł cicho:

— Pamiętasz, jak byliśmy razem na wsi?

Patka mrugnął oczyma w odpowiedzi.

— No, więc tak, jednym słowem... — Dał chłopakowi lekkiego prztyczka w brodę i szepnął: — Bójże się Boga, nie zrób ty jakiego głupstwa.

I szybko odszedł.

Na rynku zatrzymał pierwszy z brzegu pojazd i wskoczywszy do środka, trącił w biodro woźnicę:

— Za godzinę masz być w powiecie, rozumiesz?

— Pojechać na całego? — zapytał tamten, odsłaniając w powolnym uśmiechu zęby grube i kanciaste jak kostki cukru. — To jak, pofolgować sercu? — I złożywszy wargi, świsnął z dziką ostrością.

Polecieli na łeb na szyję. Małe sanki ślizgały się po lodzie jak łyżka. Na zakrętach szły niby karuzela, kładąc się niebezpiecznie na boki. Dziury brali skokami, tracąc śnieg co sekundę pod sobą i spadając nań z płynnym szelestem. Słychać było, jak przy uszach trzepoczą się kłaki kołnierza i furkoczą włosy nad czołem. Po trzech kwadransach znaleźli się w Łęczynku.

Komenda powiatowa mieściła się dalej razem z komitetem w budynku „Arbeitsamtu”. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Brzostek i Kocaj przebywali na miejscu. W parę minut później nadszedł szef Urzędu Bezpieczeństwa, porucznik Krosno, wezwany przez łącznika. Był to nieduży, czarny człowiek o twarzy gładko wygolonej, lecz mimo to niebieskawej od zarostu. Przed tygodniem przysłano go w Kieleckie z Lublina, dlatego też on jeden miał na

sobie regularny mundur wojskowy, tyle że bez żadnych dystynkcji. Podczas opowiadania Otryny patrzył nań bez przerwy starannie, przenosząc tylko wzrok na przemian z jednego oka sierżanta na drugie, jakby porównywał ze sobą ich barwę. W dyskusji przez dłuższy czas nie brał udziału, dając mówić miejscowym. W pewnej chwili wstał i bez słowa podszedł do telefonu.

— Dyżurny? — zapytał cicho i łagodnie. — Przygotować do wyjazdu ciężarówkę i wszystkich wolnych ludzi.

Po czym usiadł na powrót przy stole i usprawiedliwiwszy się krótkim uśmiechem, powiedział:

— No, proszę? Słucham, słucham.

Milczeli. Brzostek rozcierał sobie palce, opuchnięte w stawach i trzeszczące przy każdym poruszeniu. Blada, cienka skóra układała mu się w babie zmarszczki.

— Róbcie tak — rzekł do Krosny — żeby obyło się bez krzyku. Nie chcę mieć strzelania w powiecie.

— No, prędzej czy później... — zaczął Krosno, lecz Brzostek przerwał mu gwałtownie:

— Wolę później.

Krosno wzruszył pobłażliwie ramionami i wyjaśnił, co zamierza uczynić: podjadą jakby nic przed posterunek, wyładują się, rozgoszczą, nawet zjedzą wspólnie obiadek; przy czym on sam miał zachować pozory, że sposobi jakąś wspólną akcję przeciw niedobitkom Wehrmachtu.

— Macie tam podwórko? Dziedziniec? — zapytał Łukasza.

— Mamy.

— To pięknie — uśmiechnął się i dodał, że zarządzi na tym podwórku przegląd broni. W czasie przeglądu, jak wiadomo, trzeba wyjąć zamki z karabinów. — Wtedy ich obskubiemy — zakończył i oburącz przyczesał śliskie włosy na skroniach.

Brzostek krzątał się niespokojnie koło swego krawata; to zaciskał go mocniej, to znów dla odmiany rozluźniał. Dręczyło go zapewne coś jeszcze, ale bał się czy krępował wystąpić z tym wobec Krosny. Wreszcie jednak powiedział:

— Ja... Moim zdaniem... Przepraszam, że się wtrącam w wasze sprawy...

— Ależ proszę.

— Chciałbym, żeby ich traktować... ostrożnie. Przynajmniej póki wszystkiego nie sprawdzicie. Sprawa nie jest jeszcze jasna, prawda?

Krosno wbił mu w oczy spokojne spojrzenie i uniósł brwi pytająco; była to jego cała odpowiedź.

W chwilę później, pożegnawszy się z Brzostkiem, walili już w stronę Wierzchocka. Stary Diesel dławił się w zaspach, boksował, dygotał. Na odkrytej platformie zataczali się milicjanci od Kocaja i ubowcy — wszyscy zresztą odziani jednakowo; śnieg cukrzył im obszarpane kaszkiety i jesionki. Otryna, wychyliwszy się za burtę, pchał twarz do kabiny szofera i pilił go, klnąc przy tym ordynarnie. Nie potrafiłby zresztą powiedzieć, czy boi się o Zwolenia, czy o Dyla, czy może o szczerecki majątek; nie myślał nawet o jakiejkolwiek rzeczy z osobna. Czuł tylko wielki, straszny, bezimienny niepokój...

Przed rogatką jakiś człowiek wyskoczył na szosę; zobaczyli rozkrzyżowane ramiona i usta szeroko otwarte. Był to Zwoleń.

— Co się stało?
— Wychodzą! Dunajec prowadzi ich do lasu!
— Wsiadaj!
Ruszyli z wyciem przez miasto. Po drodze Zwoleń, krztusząc się, opowiadał o jakimś telefonie z Łęczynka.
— Ostrzegli go?
— A co myślicie!
Za cmentarzem śnieg leżał wysoki. Diesel stanął. Wyskoczyli.
— Biegiem!
Przy kostnicy czekał na nich jeden z chłopów szczereckich.
— Szybciej, panowie, bo już ich nie zdybiecie!
Minęli narożnik cmentarza. Rozpostarło się przed nimi olbrzymie, białe zbocze, odpływające wzwyż łagodnymi falami. Na grzbiecie jednego z dalszych garbów poruszała się garść drobnych figurek; część z nich przeszła już wzgórze i ściekała na drugą stronę wąskim strumyczkiem, reszta zaś biegła w ich ślady.
— No i co, jeszcze sprawa niejasna? — uśmiechnął się Krosno i rozrzucił ludzi w tyralierę. Przewracając się w kopnym śniegu polecieli łańcuchem przed siebie. Łukasz wiedział, że jest jeszcze możliwość zatrzymania Dunajca.
— Jazda, ludzie, jazda! — charczał zdartym głosem. — Byle na tę górkę! Stamtąd go dostaniemy! On ma jeszcze kawałek do lasu!...
Naraz umilkł.
Gdzieś w połowie wzniesienia, dobre kilkaset metrów z tyłu za grupą kaprala, spostrzegł małą, samotną sylwetkę. Biegła, uginając się pod ciężarem erkaemu.
Ryknął:
— Patka!... Patkaa!... Wracaj!
Uciekający obejrzał się, nie zwalniając kroku.
— Wracaj, kurwa twoja!... — wrzeszczał Łukasz z rozpaczą, nadrywając sobie coś w krtani. Kątem oka zobaczył, że Krosno podnosi pistolet i szarpnął go za ramię. — Nie! Jego nie! Zaczekajcie!
Patka sunął dalej przed siebie. Raptem z dala nadpłynął inny okrzyk, rozcieńczony w szerokim powietrzu i przez to niezbyt wyraźny, jednakże Łukasz go dosłyszał. Nad śniegiem kołatało się tylko jedno słowo: „Strze-elaj!".
Samotny milicjant wciągnął głowę w ramiona, lecz nie usłuchał wezwania. Okrzyk powtórzył się jeszcze raz, gwałtowniejszy już teraz i bardziej stanowczy, Łukasz poznał, że to woła Migułko.
Patka zatrzymał się, odwrócił i stał przez moment bezczynnie. Nagle coś się w nim przełamało. Rozkraczywszy nogi szeroko, pociągnął erkaemem spod pachy; smuga ognia przeleciała po tyralierze. Łukasz tkwił w miejscu jak wryty, opuściwszy ręce bezwładnie. Spostrzegł, że Patka, dochodząc do niego, zdziera niżej lufę erkaemu i omija go dołem. Lód prysnął Łukaszowi w usta. Bardziej na lewo ktoś zawył i zaczął tarzać się w puchu. Tyraliera przypadła do ziemi, odezwały się nieskładne wystrzały. Patka pruł po wszystkich jak obłąkany, stębnował ich seriami, oślepiał. Nagle terkot się urwał: widocznie bęben był już próżny. Patka spuścił broń i stał w miejscu bez ruchu. Nie uciekał. Dopadli go w pół minuty i od razu ktoś zaczął walić chło-

paka po twarzy. Ten nie zasłaniał się. Wzrok jego był dalej wlepiony w to miejsce, gdzie wił się postrzelony, konający robotnik.

— Coś ty zrobił? — zajęczał Otryna, dobiegając do Patki. — Coś ty zrobił? Coś ty zrobił, człowieku?

Zobaczył wybałuszone, mokre, nieszczęśliwe oczy i brodę, trzęsącą się jak u dziecka.

IX

W kilka dni po przybyciu Otryny do Wierzchocka, a więc jeszcze na długo przed likwidacją palowskiego posterunku, jakiś chłopak wywołał Dunajca na podwórze i wcisnąwszy mu coś chyłkiem do ręki, odszedł bez słowa. Była to nieduża kulka papieru. Rozwinąwszy ją Dunajec zobaczył stary bilet autobusowy z niewyraźnym napisem na odwrocie. Chłopiec musiał przez dłuższy czas miętosić kartkę w dłoni, bo litery, stawiane chemicznym ołówkiem, rozpuściły się już nieco od potu. Mimo to Dunajec zdołał odcyfrować resztkę tekstu; brzmiała ona: „Przyjdź zaraz na rynek, czekam między budkami". Podpisu brakowało, Dunajec jednak poszedł.

Rynek był gęsto zabudowany straganami; za czasów okupacji szalał tutaj dziki handelek, lady były pełne towaru, w przejściach trudno się było przecisnąć. Od wkroczenia bolszewików wszystko jednak zamarło: budy stały zamknięte na głucho i ślepe, tylko pordzewiałe kłódki chrzęściły na wietrze, a w krzywych uliczkach miotały się wilgotne gazety. Dunajec jakiś czas błądził po targowisku bezradnie, aż trafił na ludzkie ślady, wygniecione w śniegu. Idąc ostrożnie za nimi odnalazł autora listu. Był nim jeden z ludzi Krzywego, Wirecki.

Dłuższe stanie musiało mu sprawiać trudności, został bowiem jesienią postrzelony w obie nogi i do dziś jeszcze chodził o kulach. Teraz wisiał jak szmata na tych swoich drewnianych podpórkach, wydawało się, że lada moment trzaśnie pod pachami i osunie się w zaspę. Barki miał już nienaturalnie wysadzone ku górze, jakby kości wyszły ze stawów, głowa zaś opadała mu nisko na piersi.

Stanąwszy naprzeciw siebie obaj nie wyjęli papierosów ani też nie podali sobie ręki; spojrzenia ich były surowe, nieruchome.

— Potrzebujesz czego? — zapytał Dunajec, patrząc na niezdrową, zjełczałą od nędzy twarz Wireckiego.

Tamten skrzywił się ironicznie.

— Ja?

Wzruszył ramionami.

— No więc? — zapytał Dunajec. Nie wiedział, o co może chodzić tamtemu. Kiedyś byli w jednym plutonie, razem wysadzali tory i tłukli się po Górach Świętokrzyskich, ale dziś nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Wszystko między nimi przesypało się jak piasek, nie zostało ani tej szczypty, której potrzeba, by wyrzec najgłupsze „jak się masz". Przez całą zimę cięli swoją przyjaźń i szarpali, aż spruli ją do ostatniej nitki. Teraz byli sobie obcy, ich drogi też były obce, ich myśli, uczucia, chęci — wszystko było obce i wrogie. Szli gdzieś w przeciwne strony i wiedzieli, że żaden nie może za-

wrócić: Wirecki dlatego, że wciąż jeszcze wierzył we wszystko, w Armię Krajową, Bora, Londyn; Dunajec zaś dlatego, że nie mógł wierzyć w nic z tamtych rzeczy.

— No więc? — powtórzył.

— Uważaj! rzekł półgłosem Wirecki. — Mnie o ciebie nie chodzi. Dla mnie jesteś dezerter, powinniśmy cię zwyczajnie stuknąć. Ale gdybym siedział cicho ułatwiłbym im robotę. Dlatego cię zawołałem.

— Tak? — uśmiechnął się nieszczerze Dunajec.

— Właśnie tak — potwierdził Wirecki. Patrzył na kaprala z dołu, podnosząc głowę jak stary, zmęczony pies. — Pilnuj się, Dunajec. Pilnuj się, dobrze ci radzę.

Tuż nad nim tańczył na wietrze wielki ryngraf, reklamujący budę z dewocjonaliami. Dykciana tarcza wypaczyła się już i zmiękła, deszcz rozpuścił na niej barwy, został tylko rysunek, wypalony drutem. Wirecki złapał tarczę i przytrzymał w palcach; widocznie drażniło go to nieustanne stukanie i brzęczenie nad głową.

— „Towarzysze" już cię obwąchują, Dunajec. Ten twój fornal zbiera informacje, rozumiesz?

Kapral spróbował ziewnąć; nie wyszło.

— Chcesz nas poróżnić? Szkoda fatygi.

Tamten puścił ryngraf i poprawił kule pod pachą.

— No, to w porządku. Trzymaj się.

Odszedł, podskakując na kijach żałośnie. Stary szynel fruwał mu na boki, zawadzając o puste kojce i przewracając druciane klatki. Na zakręcie Wirecki przystanął, jakby walczył z własną niechęcią, potem okręcił się na szczudle.

— Nie bądź wariat, Józek — powiedział nierównym głosem. — Uważaj na tę kurwę Gęślicką. Gęślicka! Zapamiętasz?

I nie zatrzymując się więcej, odszedł.

Dunajec postanowił nie mówić o tym nikomu, a jednak nie wytrzymał. Wieczorem, zwolniwszy się u Łukasza, zaszedł do Patkowej sutereny. Kiedyś było tu pełno butów, starych kapców, cholewek, zachodzonych na śmierć pantofelków. Potem wszystko to znikło: stary Patka został zabity przy szmuglu, młody poszedł do lasu, klienci zaś poprzenosili się gdzie indziej. Teraz nikt nie oddawał tu obuwia do naprawy, a zresztą — któż miałby je czas reperować? Patka? Ten włóczył się po wsiach z Otryną, zagrzebany w reformie rolnej i stale półżywy z niewyspania. Tym bardziej nie mogła tego robić jego siostra, Małgorzata. Magiel, w którym pracowała, był głuchy na historyczne przewroty: tam zawsze jednakowo trzeba było nawijać bieliznę na walce i kręcić żelaznym kołem. Niepotrzebne nikomu „żabki" rdzewiały więc w blaszanych pudełeczkach, dratwa gniła, czarny klej do skóry wysychał w stłuczonym słoiczku.

W poprzednich latach kapral bywał tu rzadkim gościem. Działo się tak częściowo dlatego, że Dunajec unikał Małgorzaty. Żyli kiedyś ze sobą przez tydzień czy może przez dwa tygodnie, połączeni niedbałym stosunkiem, później zaś rozeszli się z przykrym uczuciem zawodu. Jeszcze przez wiele następnych miesięcy każde przypadkowe spotkanie napełniało ich kłującą niechęcią. Poza tym Dunajec — piekarczyk z zawodu — za wszelką cenę starał

się podchwycić styl akowskiej szarży i upodobnić się do niej choć z grubsza. Stąd płynął jego sztuczny, rzekomo oficerski fason, stąd brała się karykaturalna dbałość o buty, o kamgarnowe bryczesy, o rzemyki i błyskotki, które później miały takim gniewem napełnić Łukasza. W ciągu długich lat konspiracji Dunajec, zafascynowany urokiem kadry, nie dostrzegał ludzi takich jak Patka i gwałtownie od nich stronił. Dopiero w partyzantce zrozumiał, że jest dla oficerów cudzy; nie umiał sobie tego wytłumaczyć, nie wiedział nawet, o co chodzi, ale czuł, że idą nie w nogę. Później przyszła rzeź w Skalbmierzu, będąca miniaturą warszawskiego powstania, i Dunajec nagle z przerażeniem zobaczył, że idzie do nikąd. Po jesiennej demobilizacji, rozżalony i pełen goryczy, zaczął szukać jakichś, jak mówił, ludzi do pary i znienacka pojął, że ma ich od dawna pod ręką, że są tuż o krok, w wilgotnej szewskiej suterenie. Wtedy też zaczął całymi dniami przesiadywać u Patków.

Teraz oboje, skupieni wokół choinkowej świeczki, słuchali go w milczeniu. Patka nie wydawał się przejęty nowiną; jego śmieszna, kudłata gęba nie straciła też nic ze swej dobrodusznej pogody.

— Ale tam, Józiu! — powiedział, kładąc kapralowi grubą dłoń na kolanie. — Ty w to wierzysz? Daj spokój! Ten Wirecki... Podpuszczają go oczywiście. Nie pamiętasz, co się tu wyrabiało jesienią?

Dunajec także spróbował zdobyć się na uśmiech, ale poczuł, że usta ma sztywne, nieposłuszne. Wiedział, że wszystko może być tak, jak mówi Patka, ba, że nawet jest to prawdopodobne; nie takie plotki otaczały ich w listopadzie, gdy rzucali Armię Krajową... A jednak... Poszukał wzrokiem Małgorzaty i zobaczył jej rozszerzone, ciężkie jak śrut źrenice. Zrozumiał, że ona także się boi.

— Czekaj — przerwała bratu szeptem i leciutko skubnęła rękaw Dunajca. — A ty... a tobie jak się zdaje: czy Wirecki cię okłamywał?

— A skądże ja mogę... — zaczął kapral i nie dobrnął do końca. Patrząc w skurczoną, pełną niepokoju twarz dziewczyny, zaprzeczył milczącym ruchem głowy. Teraz już oboje byli pewni, że się nie mylą; gdzieś wokół nich, czy może raczej ponad ich głowami, zaczynało się coś, czego nie byli w stanie zrozumieć. Nie mieli na sumieniu nic, nawet najmniejszego grzeszku wymagającego ukrywania, nic też przed nikim nie ukrywali, mimo to wzięto ich pod lupę. Dlaczego? Jeżeli ktoś był ciekaw ich przeszłości, mógł przecież spytać wprost i szczerze. Odpowiedzieliby z chęcią na wszystko.

— Już nakładacie żałobę? — narzekał Patka. — Nie lubię was takich. Odegrać wam co śmisznego? Zrobię karpia. Albo Micky-Mouse, chcecie? — Przylepił sobie grudkę stężałego kleju na nosie i zezując trzepał dłońmi przy uszach. — Podobne? — dopytywał się niespokojnie. Minkarz był z niego pierwsza klasa, nie darmo przezywano go w lesie „kukieł-wypukieł": bawił nieraz w ten sposób całą kompanię.

Ale Małgorzata i kapral pozostali teraz nieczuli na te jego błazeństwa. Siedząc naprzeciw siebie nieruchomo, dalej bez słowa patrzyli sobie w oczy.

— No, to chodźmy do pryncypała — rzekł wreszcie Patka. — Głowę dam, że sierżant jeszcze nie śpi. Pewno robi łupu-cupu panu Tatarczukowi. Zapytamy się, czy to wszystko prawda.

Już podnosił się z miejsca i szukał wzrokiem jesionki, ale siostra ła-

godnie przytrzymała jego dłoń na stole. Uśmiechając się z dziwnym smętkiem, szepnęła:

— Nie rób tego. Nie można.

— A czemu? — zdziwił się Patka.

Cofnęła swą niedużą, ściągniętą od krochmalu rękę. Nie patrząc na brata kiwała dalej głową przecząco; krótkie piersi drżały jej przy tym pod fartuszkiem.

— Czemu? — dopytywał się Patka.

Oblizała wargi krótko, niepewnie.

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Ale nie można. Na pewno nie można.

„Ma rację — myślał z przykrą goryczą Dunajec. — Jeżeli Otryna sam nie chce... Cokolwiek zrobimy, wyjdzie nam na gorsze. Tak już jest między ludźmi: ten idzie do spowiedzi, kto winien. Jeżeli on nam nie ufa, to na co mogą się zdać rozmowy? Pogrążą nas tylko głębiej..."

— Nie, to nie — zgodził się Patka. — Kto by tam z dobrej woli chodził na spacer po mrozie. Tu chociaż świeczka przygrzewa. Ale co chcecie robić?

— Można tylko czekać — powiedziała z żałosnym spokojem Małgorzata. Pochyliła się na krzesełku, jakby jej było ciężko siedzieć, i długo, machinalnie rozprostowywała pod sobą spódniczkę. Gdzieś tam, na jakichś schodach czy podwórkach nieznani ludzie szeptali coś Otrynie do ucha; może to było złe, może dobre, nie wiadomo, w każdym razie ani ona, ani brat, ani nawet Dunajec nie mieli na to żadnego wpływu.

— Chłopcy, bądźcie cierpliwi — powiedziała głucho i jakby trochę szorstko. — Nic więcej nie możecie. Pamiętajcie.

I z tym się rozstali.

Dunajec nie miał zamiaru dzielić się swymi obawami z resztą drużyny; niestety, przekonał się nazajutrz, że wszyscy wiedzą już o całej sprawie. W ciągu nocy zarówno Jakielskiego, jak Migułkę z kilku stron na raz ostrzeżono przed Łukaszem. Jeszcze tydzień temu, gdy wychodzili na światło dzienne z odkopaną, akowską bronią, cały Wierzchock patrzył na nich ze wstrętem; teraz prześcigano się w znoszeniu im wiadomości. Nic też dziwnego, że znali każdy krok Otryny, Zwolenia czy Gęślickiej i wiedzieli, z kim tamci mówią i o co pytają. Drużynę opanowało podniecenie trudne do ukrycia przed kimkolwiek, a zwłaszcza przed sierżantem. Najbardziej zdenerwowany był Migułko, parę razy wymknęło mu się nawet nieostrożne słówko pod adresem Łukasza; inni szeptali po kątach, milknąc, gdy pojawiał się któryś z chłopów szczereckich.

Kapral czuł, że sytuacja staje się nieznośna. Dlatego, odczekawszy, aż Otryna wyruszy w teren, pojechał do Łęczynka. Chciał zobaczyć się z Pielewiczem, a więc z kimś, kto wiedział o nich wszystko. Ostatecznie to on wabił ich przez cały grudzień do PAL-u, gdy zaś potem, w dniu wyzwolenia, ulegli jego namowom, osobiście przyjmował ich do milicji. Czy więc nie powinien teraz wyjaśnić tej głupiej historii z Otryną?

Dunajec znalazł swego opiekuna w drewnianym baraku na Murszach, gdzie mieścił się powiatowy komitet wykonawczy PPS. Ściany wewnątrz były gęsto wytapetowane afiszami. Jedną z nich przecinały na ukos trzy wielkie strzały, zamknięte w zębatym kole. Wszędzie widać było papierowe dłonie, ściskające się pod papierowym młotkiem i zewsząd sypał się na Dunajca

deszcz sloganów: PARTIA POTĘŻNA, PARTIA MASOWA, PARTIA JEDNOLITA; CHODŹ DO NAS I BUDUJ Z NAMI; PPS CZUWA, PPS WALCZY, PPS ZWYCIĘŻA!

Pielewicz urzędował tu w jednym z ciasnych, nadmiernie ogrzanych pokoików. Gdyby Dunajec orientował się choć trochę w tych sprawach, spostrzegłby bez trudu, że piastuje on jedną z podrzędnych, w gruncie rzeczy pozbawionych znaczenia, funkcji; ponieważ jednak nie rozumiał nic z tego, co mówiono dokoła, w dalszym ciągu uważał Pielewicza za f i s z ę i liczył na jego pomoc. Przystąpił też od razu do składania dokładnego meldunku, tamten jednak przerwał mu niecierpliwym gestem.

— Nie do mnie, nie do mnie, towarzyszu! Ja się tym nie zajmuję. Idźcie naprzeciw do towarzysza Toeplitza. — Mówiąc to zdarł szybko okulary, spojrzał w nie pod światło i gwałtownie zaczął przecierać szkiełka podszewką marynarki. — Po starej znajomości dam wam numer *„Robotnika"*. Bierzcie; świeży, prosto z Lublina. Założono wydział do walki z lichwą, przeczytajcie. — Mówił to wszystko z naciskiem, unosząc wyleniałe brewki i zniżając głos do szeptu, jak człowiek, który sztucznie wyolbrzymia swe prawdziwe znaczenie. — Proszę, ale od razu do kieszeni, bo to poza rozdzielnikiem.

Zadzwonił telefon. Pielewicz rzucił się do pękniętej słuchawki i krzycząc „hallo, hallo" zaczął na migi żegnać się z Dunajcem.

Ten jednak, gryząc gniewnie swój fryzjerski wąsik, czekał końca rozmowy. Potem rzekł nerwowo:

— Bardzo pana przepraszam. Ale wie pan, mamy teraz przykrości.

— Kto ich nie ma? — krzyknął zza biurka Pielewicz. Przyklęknąwszy sortował na podłodze grube kartki, powielane na hektografie. — Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia... — szeptał uważnie i szybko, podczas gdy Dunajec półgłosem skarżył mu się na Łukasza. Gdy doszedł do słowa „śledztwo", Pielewicz nagle przerwał swoje zajęcie. Powoli obrócił ku kapralowi swą wypłowiałą, szmacianą twarzyczkę i podniósł się z kolan.

— Jak to śledztwo? — powtórzył.

Dunajec rozłożył swe nieładne, krótkie dłonie.

— Chodzą za nami, zbierają donosy...

— A to w jakim celu?

— Nie wiem, proszę pana.

Pielewicz wepchnął ręce do kieszeni rozpiętej marynarki i chwilę wachlował się jej połami.

— Nie słyszeliście nic bliższego?

— Nie. Domyślamy się tylko, że chodzi o okupację. — I zapytał nieśmiało: — Pan chyba powiedział komu trzeba, że jesteśmy akowcy?

— Ja... Już wy się o to nie martwcie — rzekł z pośpiechem Pielewicz. Zakaszlawszy dodał: — A to śledztwo... Drobiazg. Przypuśćmy nawet, że małe pieski nie wiedzą o was wszystkiego. Nie szkodzi. Wystarczy, że duże psy są poinformowane. — Chwilę chodził tam i z powrotem po pokoju, zastanawiając się, jak z tego wybrnąć. Dalszy los grupy Dunajca był mu, w gruncie rzeczy, obojętny. Potrzebował tych ludzi tylko po to, by nie przychodzić do władzy z pustymi rękoma. Nie był poza tym na tyle drobiazgowy, by rozgłaszać ich akowskie koneksje; któż bawi się w takie szczegóły podczas poważnej licytacji? Przetarg zresztą powiódł mu się nienadzwyczajnie: dostać pod-

rzędne miejsce w PPS w zamian za trzynastu milicjantów? To niewiele. Może ktoś inny na miejscu Pielewicza powiedziałby teraz Dunajcowi po prostu: „Radźcie sobie sami, bo ja jestem na to za krótki." Możliwe też, że wszystko potoczyłoby się wówczas inaczej. Pielewicz jednak był ambitny, a przy tym miał kurzą duszę: myślał wyłącznie o własnym dziobie. Chodziło mu w tej chwili tylko o jedno: aby jak najbardziej odwlec ewentualny skandal w Wierzchocku. Dlatego bawiąc się gwałtownie kluczykiem od szafy, rzekł:

— Możecie uważać sprawę za załatwioną. A co się tyczy AK... — Spuścił oczy i dodał: — Czynniki, że tak powiem, miarodajne, wiedzą oczywiście o wszystkim. Ale zrozumcie — bolszewicy... NKWD ma na to inny pogląd... Dlatego nie trzeba władzom utrudniać sytuacji i trąbić o swojej przeszłości na prawo i lewo...

— Nie bardzo pana rozumiem — powiedział niepewnie Dunajec. — Znaczy, że powinniśmy...

— Umowa, mój kochany, niepisana umowa! — uśmiechnął się wymuszenie Pielewicz. — Wy wiecie, oni wiedzą, a że tak powiem oficjalnie... Jednym słowem byliście tylko w PAL-u.

Bure słońce, gęste jak motek wełny, ukazało się za szybą okienną. Światło jego było słabe, mimo to jednak gryzło w oczy. Dunajec zmrużył zmęczone powieki i szepnął:

— Umowa... Oficjalnie... A czy nie lepiej bez tego wszystkiego?

Pielewicz ścisnął go cienkimi dłońmi za ramię:

— Póki w kraju mamy czerezwyczajkę... — I zajaśniał nagle dawnym, pełnym fanatyzmu uśmiechem: — Przyjdzie czas na prawdziwy socjalizm! Bez importu!

Dunajec wracał do Wierzchocka jeszcze szybciej niż z niego rankiem wyjeżdżał. Wszystkie wyjaśnienia Pielewicza były kłamstwem, nie wątpił o tym ani przez moment, ale czuł, że w tych jego bajeczkach tkwiła wyraźna przestroga. „Musimy jak najszybciej zatrzeć ślady za sobą!" myślał z rosnącym podnieceniem. W tej chwili było już obojętne, czy rzeczywiście mają coś na sumieniu. Chodziło tylko o to, by uniknąć grożącego niebezpieczeństwa. Dunajec nie zastanawiał się nawet, z której strony może ono nadejść; jedno małe słówko „NKWD", rzucone mimochodem przez Pielewicza, wystarczyło, by stracił głowę. Korzystając z nieobecności Łukasza wywołał na dwór obu dowódców sekcji — Migułkę i Jakielskiego — i opowiedziawszy im całą rzecz w paru słowach poszedł z nimi prosto do Gęślickiej.

Wdowa otworzyła swój sklepik już przed kilkoma dniami, głównie po to, żeby Zwoleń mógł ją odwiedzać nie zwracając niczyjej uwagi. Łukasz był jednak naiwny, gdy przypuszczał, że prawdziwa rola tego sklepiku da się zataić przed kimkolwiek. Już w zeszłym roku wywiad AK rozszyfrował Gęślicką, nie robiąc zresztą użytku ze swojego odkrycia. Odtąd wszelkie próby użycia wdowy do zadań agenturalnych były z góry skazane na niepowodzenie. Gdyby Dunajec miał chociaż jakie takie pojęcie o dwójkarskich sposobach, a przynajmniej gdyby działał mniej śpiesznie — mógłby z powodzeniem wykorzystać tę sytuację dla siebie. Wystarczyło podstawić wdowie jakiegoś rozsądnego, cieszącego się jej zaufaniem informatora i ten w paru zdaniach zlikwidowałby całe nieporozumienie; w gruncie rzeczy szło przecież jedynie o to, by Gęślicka mogła poznać całą prawdę o grupie Dunajca.

Z tą chwilą niewątpliwie ustałyby wszelkie dochodzenia. Kapral jednak był tylko pospolitym i dość prostodusznym czeladnikiem piekarskim, wybrał więc najgorszy sposób, na jaki można było wpaść w podobnej sytuacji: postanowił odwiedzić wdowę osobiście.

Sklepik jej mieścił się w maleńkim, zawsze mrocznym zaułku świętego Sebastiana, na tyłach parafialnego schroniska dla starców. Jezdni tu w ogóle nie było, cała uliczka, szeroka na półtora metra, przypominała raczej ścieżkę. Z obu stron wrzynały się w nią pochyłe, kamienne skarpy. W kącie między dwiema takimi skarpami mrugało okno sklepiku.

Właścicielka jego była jedną z tych starych, milkliwych kobiet, które budzą szacunek nawet wtedy, gdy nie budzą sympatii. Twarz miała suchą jak skorupka, a dłonie — tekturowe. Wszyscy mężczyźni z jej najbliższej rodziny — mąż, dwaj synowie, szwagier i zięć — zostali pięć lat temu równocześnie rozstrzelani przez Niemców, mimo iż żaden z nich nie brał udziału w konspiracji. Owej nocy cały dom odpowiadał za śmierć jakiegoś konfidenta. Od tej pory Gęślicka chodziła z dziwnym grymasem na ustach: wydawało się, iż stale żuje własne wargi, że je gryzie zębami i zjada. Było to, oczywiście, złudzenie, wdowa bowiem od dawna nie miała zębów.

Wejście Dunajca i jego towarzyszy nie wywołało w niej żadnego wrażenia, a przynajmniej Gęślicka nie dała go poznać po sobie. Grzecznie, choć bez słowa, rozkładała przed nimi długie kartonowe pudełka z krawatami, cierpliwie znosząc nieudolne próby nawiązania rozmowy, podejmowane przez Dunajca. Ten męczył się niesłychanie; pot zwolna zaczynał rosić mu kościste czoło, zęby coraz częściej wychodziły mu na wierzch w nerwowym skurczu.

— Ja... lubię ładne rzeczy — mówił przerywanym głosem, jakby dręczyła go czkawka. — Jeżeli ładny krawat... W groszki... Niech człowiek ma chociaż to za swoją mordęgę, prawda?

Gęślicka słuchała go nie zmieniając wyrazu twarzy. Kapral więc ciągnął:

— Pani wie, jak dzisiaj ciężko być w milicji? Ilu ma się wrogów? Jedni od razu za spluwę... A drudzy to przynajmniej muszą obszczekać. Rozkoszy człowiek nie zażyje.

Kobieta wzięła papierową podłużną torebkę.

— Czy mogę to panu zapakować? Ale ja sprzedaję tylko za nowe pieniądze. Nawet dla milicji.

Dunajec oparł się na pudełku, aż pokrywka trzasnęła. Zmyślał teraz szybko i niemal bez sensu, czując, że i tak nic z tego nie będzie. Mimo to gorączka dalej w nim rosła, a głos stawał się coraz ostrzejszy.

— Na przykład o sierżancie... Wie pani, co o nim mówią? Zresztą głupstwo, ja nie na temat... Przepraszam, pani nie ciekawa? Proszę darować... Ale zmęczyli mnie tymi plotkami. Ciągle coś od nowa, byle nam zrobić krzywdę... A nas właściwie to śmieszy. — Krzyknął ciężko, gardłowo: — Bardzo śmieszy! Na przykład: my i AK! Zabawne, proszę pani! Zabawne! Prawda? Za-ba-wne!...

Zobaczył lęk w jej spojrzeniu i dopiero wówczas uświadomił sobie, że krzyczy, że w jego głosie nie ma żadnych nutek perswazji, tylko groźba. Wstrętna, wilcza, groźba. Umilkł. Potarł dłonią czoło: było tłuste. Poczuł przypływ zniechęcenia. Pomyślał: „Trzeba iść. Wszystko zepsułem." Wtedy zobaczył,

że Migułko, który dotychczas stał dziwnie uśmiechnięty na boku, obchodzi teraz ladę dokoła i starannie bierze Gęślicką za obie ręce. Usłyszał, jak tamten szepcze słodko:

— Psst, mamusia! — i zobaczył, że jedna jego brew unosi się znaczącym gestem. — Psst! Nie byliśmy nigdy w AK! Będziemy pamiętać? Dobrze?

Potem wszyscy trzej opuścili sklepik.

W ciągu najbliższych dni nie doszły ich żadne słuchy na temat Gęślickiej; widocznie wdowa musiała przerwać swą donosicielską działalność. Migułko był zadowolony: uważał to za skutek niedawnej wizyty w sklepiku. Na pozór więc wszystko wróciło do normy, tyle że ludzie Dunajca stracili nagle całe zainteresowanie dla służby. Wszystko zaczęło im się wydawać bez sensu. Po co było wygrzebywać broń i wstępować do milicji? Czy nie wystarczyło samo zerwanie z dawnym dowództwem? Przenikająca ich uprzednio pewność, że trzeba wybierać — tu albo tam — znikła teraz bez śladu; zamiast niej pojawiły się wątpliwości. A czy mało miejsca mieli pośrodku? Czy nie mogli — jak tysiące innych akowców — wrócić zwyczajnie do pracy, zostawiając Polskę samą sobie? Ganili się nawzajem za lekkomyślność i czynili Dunajcowi wymówki, że skłonił ich do zbyt pochopnej decyzji; Migułko nawet pytał go parokrotnie, czy nie czas rzucić milicję i wycofać się do cywila.

Kapral z coraz większym trudem utrzymywał dyscyplinę w oddziale. Zdarzały się już noce, podczas których tylko on i Patka pełnili wartę na obiektach. Obydwaj czuli się zresztą źle; żaden z nich nie potrafił dać odpowiedzi na dręczące kolegów pytania. Byli bezradni i jakby zagubieni w obcym mieście.

Potem Łukasz zaczął rozrzucać akowców po powiecie. I znowu — na pozór nie było w tym nic podejrzanego: ludzie Dunajca często spędzali po kilka dni w terenie, choć trzeba przyznać, że na ogół nie wysyłano ich poza obręb gminy. Tym razem jednak nie chcieli ruszyć się z miejsca. Kapral skłonił ich do tego dopiero po parogodzinnych, ostrych starciach. Wreszcie nadeszła noc krytyczna. Dunajec, zajrzawszy do Patki po powrocie z patrolu, zastał tam Jakielskiego i Migułkę. Obaj byli kompletnie uzbrojeni i obaj mieli ze sobą cały ekwipunek marszowy.

— Co się stało? — zapytał, czując ucisk za uszami.

— Ukrywamy się — objaśnił go z ponurym uśmiechem Jakielski. Policzki, wielkie jak talerze, poruszyły mu się przy tym dziwacznie. — Ukrywamy się. Masz przed sobą dezerterów.

— Co to ma znaczyć? — wrzasnął Dunajec.

Tamten odpowiedział bez gniewu:

— Józek, oficjalnie jesteśmy teraz w Łęczynku. Pan sierżant, rozumiesz, dał nam przeniesienie do powiatu.

— Wam także?... — szepnął kapral. Teraz już sam wiedział, co to znaczy. Migułko miał rację: była to próba świadomej parcelacji oddziału.

Odszukał oczyma Małgorzatę. Wyglądała, jakby ją ktoś niedawno kopnął w dołek. Zgięta w połowie, nadłamana, kuliła się na łóżku brata. Widać było, że stara się nie patrzeć na nikogo; ciemne włosy zakrywały jej spuszczoną twarz i nie pozwalały dojrzeć oczu. „Zdaje się, że wszystko na nic — pomyślał Dunajec. — Pomyliliśmy się, niestety.“

— No i co — zagadnął go Migułko, wychodząc z cienia. Blada, zła twarz błyszczała mu jak kawałek wosku. — Pan kapral jeszcze dalej chce się bawić w demokrację?

Dunajec poprawił pas na biodrach.

— Otryna zna twoje mieszkanie?

— Nigdy tam nie był.

— W porządku... Patka!

Tamten zaszurał zdartymi pantoflami.

— Jestem.

— Ściągniesz tam ostrożnie wszystkich chłopców. Jazda! A ty — zwrócił się do Migułki — bierz Jakielskiego do siebie. Tutaj Otryna może was nakryć, zna drogę. — Czuł, jak obaj sekcyjni rosną mu w oczach, żwawsi nagle, weselsi i jakby zdrowsi. Po sekundzie żadnego z nich nie było już w izdebce. Został sam z Małgorzatą.

— Co chcesz zrobić? — zapytała go nie podhosząc głowy.

Odpowiedział jej milczeniem, tak, jakby to ona była winna wszystkiemu. Kręcił się jeszcze chwilę po warsztacie; kopnął jakąś puszkę, zdrapał paznokciem odrobinę mydła, przylepioną do szewskiego stolika i pokłutą drewnianymi szpilkami. Potem wyszedł bez pożegnania.

Do północy siedział na poczcie, dzwoniąc po resztę drużyny. Z Łęczynkiem dostał połączenie bez trudu, ale Huczkowa Sadyba nie odzywała się uparcie i długo. Wreszcie i tam ktoś podniósł słuchawkę. O świcie wszyscy w trzynastu spotkali się u Migułki.

Dręczyło ich tylko jedno pytanie: jak wyjść z tej historii cało. O pozostaniu w milicji nie było nawet mowy; cieniutka, na samych odruchach oparta warstewka sympatii do władzy ludowej prysnęła bez śladu. Słowa takie, jak PAL, posterunek, reforma — uleciały im z pamięci tak doszczętnie, jakby ich nigdy nie znali. Czuli się znowu tylko b y ł y m i a k o w c a m i, niczym więcej. Przypomniało im się wszystko, co mówiono o czekistach: Łubianka, Brygidki, Katyń... Nie chcieli iść pod ścianę. Chcieli żyć.

Przed południem, jak wiadomo, zastał ich tam Otryna. Powierzchowny obserwator mógłby przypuścić, że była to ostatnia szansa porozumienia między sierżantem a nimi. Nonsens, w tym momencie nie było już żadnej szansy. Otryna, zobaczywszy ich tutaj w komplecie, natychmiast postanowił, że muszą być aresztowani. Jeśli mimo to pozwalał sobie jeszcze na jakieś czułe słówka, to jedynie w tym celu, żeby uśpić czujność swych ofiar. Dla ludzi Dunajca sprawa była również skończona. Czuli świetnie fałsz w słowach Łukasza, a zresztą i bez tego nie mieli zamiaru mu ufać: zbyt dobrze pamiętali brutalność, jaką okazał wobec aresztowanych narodowców. Mimo to jeszcze przez dwie godziny po jego wyjściu spierali się, co czynić. Gdyby mieli jakąkolwiek, choćby najmniejszą gwarancję, że potrafią bezpiecznie wymknąć się poza teren powiatu, zakopaliby broń i podjęli tę próbę. Byli nawet o krok od przyjęcia takiej decyzji, gdy nagle przybiegła urzędniczka z poczty, wzywając kaprala do aparatu. Dzwonił jakiś nieznany człowiek z Łęczynka. Głos jego był Dunajcowi obcy, lecz ostrzeżenie brzmiało wiarygodnie: bezpieka jest już w drodze do Wierzchocka.

Nie było na co dalej czekać. Dunajec zarządził wymarsz. Gdy biegli wyciągniętym krokiem przez rynek, nie kryjąc się już teraz przed nikim, Mi-

gułko chwycił kaprala za rękę i skinął w stronę domu Henzla, gdzie kręciło się paru podnieconych chłopów szczereckich.

— Zostawimy ich tak? — krzyknął, podrzucając w dłoni automat.

Dunajec odtrącił go bez odpowiedzi. Dojrzawszy na chodniku Małgorzatę, podbiegł łapiąc oddech.

— Małgorzato, słuchaj, Małgorzato... Jeśliby co... Za cztery dni bądź u Szkojcy; trafisz?

— Trafię — powiedziała głucho dziewczyna. Dolna warga leciutko jej zadrgała. — Józek... No, Józek?...

Machnął ręką.

— No cóż, nie wyszło.

W parę minut później usłyszała erkaem brata.

X

Zaraz za miastem zaczynały się lasy połomickie i bezpieka utknęła tam bezradnie. Akowcy śpiesznym marszem ruszyli na północ, by po godzinie skręcić w lewo i omijając Szczerce przerzucić się szerokim łukiem na drugi kraniec powiatu. Zrobiwszy z górą czterdzieści kilometrów znaleźli się o zmierzchu w okolicach Huczkowej Sadyby i postanowili odpocząć przy Skałkach. Cieniutka ścieżka, wydeptana na dnie kamiennego jaru, prowadziła ich w dół, ku osadzie, błyskającej mętnymi światłami. Jar był wąski, oddechy dzwoniły w nim głośno, ze ścian sypały się potrącone sople. Wreszcie czoło oddziału przystanęło; mieli przed sobą wylot jaru i wioskę, przyrośniętą do krzywego zbocza. Kaszląc i postukując granatami w chlebakach zeszli ku niej szperacze. Reszta stała nieruchomo w płytkich zaroślach kruszyny. Po kwadransie rozległo się gwizdnięcie. Ruszyli.

Osada była nikła, drewniana i niemal pozbawiona zabudowań gospodarskich; zamieszkiwali ją widać tylko robotnicy leśni, trudniący się wyrębem sosny. Przed gajówką kołysał się jaskrawy płomień. Podszedłszy bliżej zobaczyli Migułkę z pękiem smolnych szczapek nad głową. W nocnej ciszy gorąco ćwierkała żywica i pryskała ogniem na boki; grube iskry kapały w śnieg z szelestem.

Obok stał jakiś mały człowiek bez czapki i rękawem osłaniał oczy od blasku. Było mu chyba bardzo zimno, gdyż kulił się jak garbus i zapobiegliwie ściągał kołnierz marynarki pod szyją.

— Wszystko w porządku, towarzysze! — wołał z naciskiem Migułko. — Trafiliśmy na swojego. Partyjny.

Gajowy kłaniał się w miejscu życzliwie i serdecznie, parę razy otwierał nawet usta, ażeby wystąpić z jakimś powitaniem, lecz brakowało mu słów właściwych, poprzestał więc tylko na uśmiechu. Wszystko w nim było zabawne: i to, że kłaniając się przysiadał jak wróbel, i to, że męczyła go czkawka wywołana przestrachem; w pierwszej chwili musiał się przeląc widoku Migułki.

— Tak jest, towarzysze... Obywatele... — wydusił z siebie nareszcie, kicając obok akowców i w ciemnościach łapiąc ich za palce, przeguby rąk i łokcie. — Zapraszam... Z całego serca zapraszam...

Mieszkał w suchutkim drewniaku, zbitym z modrzewiowych bierwion i bardzo już starym. Wewnątrz była tylko jedna izba bez sufitu i mała bokówka, zaciągnięta workiem. Na kołkach, osadzonych w ścianie, wisiały ciężkie topory, cieślice, piły i ośniki. Wszystko to drgało i topiło się w ruchliwym świetle smolaka, trzymanego przez Migułkę.

— Świeczki żadnej ani lampy to nie mam — mówił gospodarz, uśmiechem pokrywając zmieszanie. — Jak robi się wieczór, siedzę po ciemku i drzemię. Dawniej, kiedy człowiek jeszcze się modlił, było przynajmniej jakieś zajęcie. A teraz zrobiłem się mądrzejszy, ale mi nudno...

— Pożyczcie od sąsiadów — doradził Migułko, ale tamten zaprzeczył dobrodusznie:

— Szkoda prosić, źle z sobą żyjemy. Ja we wsi tylko jeden z PPR-u.

Migułko potrząsnął smolakiem.

— Gaśnie!

— To nic, mam tu olchową karpę, suchą, ładniutką... Zaraz porąbię, napalę... Będzie jaśniej.

Wywlókł na środek izby jakiś koszmarny, żylasty zwój korzeni i trzepnął weń siekierą.

— Może się odsuniecie? — zaproponował Migułce. — Żelazo trochę luźne, boję się, żeby czasem nie spadło.

Chata wypełniła się dudnieniem i trzaskiem. Mimo to jednak ludzie Dunajca kiwali się w milczeniu na stołkach i ławach, głowy leciały im w dół jak podcięte, sztywne zaś dłonie kołysały się między kolanami niby wielkie, drewniane łyżki. Sam Dunajec wszedł do izby ostatni i stał teraz pod drzwiami, zdzierając z siebie paski i rzemyki. Brodę miał uniesioną do góry, usta skrzywione w wysiłku. Ściągnął w końcu przez głowę ostatni rzemień i cisnąwszy mapnik na kupę innego sprzętu, rzucił się bez pytania na łóżko. Spod rozpiętego półkożuszka sączył mu się zgniły zapach potu, z butów kapała ciemna woda. Nie wiadomo było, czy śpi, czy rozmyśla, zasłonił się bowiem rękami i milczał.

Migułko, świecąc gajowemu, wypytywał go obojętnie:

— A cóż u was tak nie lubią partyjnych? Dlaczego?

Gajowy podśmiechiwał się z niego przyjaźnie.

— Nie wiecie? Człowiek tylko na tym chciałby poprzestać, czego nie ma... Drzewo kradną, mówiąc po prostu.

— No i co z tego?

— To właśnie. Oni kradną, ja nie pozwalam. Dawniej pozwalałem, a teraz nie. Ot i cała sprawa.

— Na złość im przeszkadzacie?

Gajowy na kolanach przehopsał do pieca i tam, robiąc ogień, chichotał:

— Mnie, towarzyszu milicjancie, nie warto próbować. Ryba ze mnie niewielka, ale na lada jaki sznurek złapać się nie dam. Póki dziedzic miał lasy, mogli sobie wynosić, ile im przepuklina wytrzyma. A teraz już wszystko ludowe — nie wolno.

Pocieplało. Akowcy zaczęli ruszać się jak zbudzone muchy. Gospodarz drobił kwiat lipowy do garnka; zapachniało suchą słodyczą w powietrzu.

— Słomę macie? — burknął Dunajec z twarzą w brudnej poduszce.

— Niestety.

— A siano?

— Też nie mam. Nie zajmuję się gospodarką.

Chwilę słychać było huk ognia, potem Dunajec mruknął:

— No, coś im trzeba podścielić.

— Poszukam, towarzyszu — odpowiedział gajowy skwapliwie. Widać było, że lubuje się w tym towarzyszowaniu. Odmieniał ów wyraz we wszystkich przypadkach i bez przerwy, czy było tego potrzeba, czy nie było. Musiał się stęsknić za partią, odcięty od niej miesiącami i samotny. Wetknąwszy resztę karp do ogniska, wyszedł i zaraz wrócił z olbrzymim naręczem grochowin. Pogwizdując fałszywie i głupio, rozpościerał je wzdłuż ściany i rozstrząsał. Szeleściły zwarzone dawnym słońcem liście, strzelały puste strąki, sypały się po ziemi skręcone płoskórki.

— Dwie godziny spania — rzucił przez ramię Dunajec.

Ludzie z trzaskiem zaczęli rzucać się na posłanie. Migułko, obejrzawszy się na dowódcę, przejął bez pytania komendę.

— Butów nie zdejmować, tylko rozwiązać. Jakielski, może pójdziesz zmienić wartownika? Za godzinę sam cię zastąpię.

Gospodarz stał zafrasowany w drzwiach od bokówki. Przed sobą trzymał oburącz duży, polewany dzbanek, okręcony szmatą.

— Towarzysze tak się śpieszą? — zapytał z rozżaleniem. — Nie róbcie mi tego, bardzo was proszę. Zostańcie choć przez jutro, pogadajcie z narodem...

— A, tam!... — wykręcił się Migułko na pięcie.

Gajowy postawił dzbanek na stole.

— Wstydzę się was częstować. Ale proszę, przynajmniej skosztujcie...

— Śmietana?

— Niezupełnie... Ja tu, rozumiecie... Wieczorami cni mi się okropnie, więc czasem samogonek gotuję...

Któryś z ludzi poruszył się w grochowinach ciekawie, lecz Migułko powstrzymał go spojrzeniem.

— Dziękujemy. Droga przed nami daleka. Nie można.

Niespodziewanie Dunajec dźwignął się na łokciu, potoczył wokół mętnym spojrzeniem i zatrzymawszy je na dzbanku, wstał z łóżka. Twarz miał spuchniętą, rozpaloną. Na lewym policzku gorzało mu czerwone, odciśnięte piętno. Idąc do stołu utykał: wysokie „szklanki" oficerskich butów otarły mu nogi w kostce. Doszedłszy do krzesła, obsunął się na nie jak kukła, której oderżnięto nitkę. Głowa gibnęła mu się niezaradnie; podparł ją pięścią, palcami zaś drugiej ręki prztyknął w ściankę naczynia. Odpowiedziało mu tępym dźwiękiem: było pełne.

— Mam tego dość, znajdzie się i drugi dzbanuszek! — uspokajał Dunajca gajowy i z dumą stukał drewnianymi stopkami, wyrzezanymi z lipy.

— Wstrętnie pić w czymś takim — powiedział bez najmniejszego zainteresowania Dunajec.

Gospodarz stropił się.

— Sam to dłubię, myślałem, że ładne... Ale mogę dla towarzysza poszukać coś innego. — Podał mu zielonkawy kufel bez ucha, z obtłuczonymi, zębatymi brzegami. Nie zdając sobie sprawy z obrzydliwości swego gestu, przetarł kufel spoconą ręką. — Patrzę, czy szkła nie ma. — Nalał i zaprosił: — Wypijmy.

Zapach buraczanego fuzla dławił i przyprawiał o mdłości, mimo to jednak Dunajec ciągnął bimber łakomymi haustami, oblewając sobie klapy kożuszka i spodnie. Widział niespokojne gesty Migułki, jednakże lekceważył je zupełnie. Nie mógł wytrzymać sam ze sobą: pamięć go piekła, wspomnienia doskwierały. Czuł, że się wścieknie bez tej wódki. Jak najprędzej pragnął znaleźć się po drugiej stronie, tam, gdzie wszystko robi się krzywe i traci naturalny ciężar; chciał być szybko pijany.

Tymczasem gajowy, dziobiąc kieliszek raz po raz, często i radośnie jak kura, wypytywał Migułkę:

— Towarzysze z Łęczynka? Jest tam teraz Ignacy Brzostek? Znacie może takiego?

— Nie, my z Ostrowca.

— I co, taki kawał piechotą lecicie?

— Dziękować Bogu, buty mamy dobre.

— Ale po co? Bo przecie nie na spacer?

Migułko podjechał razem ze stołkiem, wziął gajowego za ramiona i ustawiwszy go sobie na wprost twarzy, powiedział cichutko:

— Akowców gonimy.

— Kogo? — zachłysnął się gajowy.

— Słyszeliście. Niejakiego Dunajca.

— To tu jest banda w okolicy?

— Jest.

Gajowy odstawił kieliszek i walnął kusą piąstką po stole.

— Cholerny świat, nie wiedziałem. — Uderzył jeszcze raz i powtórzył: — Nie wiedziałem.

— A jak byście wiedzieli, to co? — zapytał nagle Dunajec. Prawy policzek, przyciśnięty dłonią, podłaził mu aż do oka i przygniatał dolną powiekę; drugie oko było przesłonięte włosami. — Na przykład: dowiadujecie się, że sąsiad jest akowiec i pcha się do milicji. Co wtedy robicie?

— To ja, he, he — zaśmiał się gajowy — to ja lecę cichutko gdzie trzeba i my go — pod kluczyk!

— Pod kluczyk, co? — przedrzeźniał go Dunajec. — Do ciupy drania! Pod ściankę! Rozwalić, bo chciał do milicji!

Gajowy przytakiwał:

— Do ciupy farbowanego lisa!

— A może on się nie farbował? A może on naprawdę zrobił się innego koloru? — pytał dalej Dunajec. Głos mu się przy tym napinał i wznosił, a słowa zaczynały padać szybkie, nerwowe. — A może jemu było źle między lisami i on już więcej... No, jednym słowem, chciał sobie pójść od nich? Pójść do... do... — machnął ręką rozpaczliwie, nie znajdując potrzebnego określenia. — No, gdzie indziej! Szukać chciał! Znaleźć takich, co by byli... Chwytał, kogo się dało, przyklejał się do różnych, łapę do nich wyciągał! A wy go ciach! — po tej łapie! Odrąbać!

— Że co? Przepraszam! — szeptał w zmieszaniu gajowy. Dwa małe kudełki, które miał zamiast brwi nad oczyma, poruszyły mu się idiotycznie. — Ja go ciach?... Ale kogo?...

Lecz Dunajec nie zauważył tych słów w ogóle. Podniósłszy się stał nad gajowym i krzyczał:

— Co z was za ludzie? Czemu ryjecie koło człowieka jak krety? Zbieracie po kątach, co kto naplótł na niego? Czemu żaden się wprost nie zapyta? Wymyśliliście sobie jakichś własnych „swoich", a każdy inny już nie swój! Dlaczego odtrącacie? Za co, cholery jedne, za co?

Gajowy też wstał, ostrożnie i powolutku. Już od paru sekund coś zaczynało mu świtać, jakieś podejrzenie czy domysł, na razie jeszcze niejasny i mglisty, lecz z każdą chwilą nabierający ostrości. Dopiero kiedy gość zawołał „cholery", nagłe światło zalało gajowego. Wyprężywszy cienkie pierśki, powiedział:

— Ach, tak? — Porwał ze stołu kufel z resztkami Dunajcowego bimbru i krzyknąwszy: — Komu wódkę dawałem! — prasnął nim o ścianę. Sypnęły się dzwoniące okruchy. Bimber spłynął ze szmerem na polepę.

Dunajec złapał gospodarza za klapy marynarki i potrząsając nim, wrzeszczał:

— Czego wy właściwie chcecie? O co wam chodzi? O to, żeby wszystkich oszukać? Wykiwać? Nie uda się! Nie uda!

I nie wypuszczając gajowego z lewej ręki, prawą zaczął go policzkować; najpierw tylko na płask, palcami i otwartą dłonią, a później, rozpaliwszy się — kułakiem. Czuł, jak nos bitego gnie się pod ciosami, jak jego wargi rozchlapują się na zębach, a pierścionek z orzełkiem żłobi mu bruzdy na czole. Gajowy spłynął krwią, lecz nie pisnął. Mógł być głupi, ale na pewno nie był tchórzliwy...

Zobaczywszy kręte nici posoki, płynące po obliczu gospodarza, Dunajec raptem go puścił. Krótki czas stał przed nim pochylony, dyszący; potem odwrócił się i zabębnił palcami po stole.

— Masz... Napij się... — wyciągnął dzbanek za siebie.

Gajowy nie przyjął. Wówczas Dunajec, unikając jego wzroku, sam wszystko wysączył.

Po godzinie zebrali się do wymarszu. Migułko, bardzo niezadowolony ze wszystkiego, co zaszło, trzasnął zapałką i poświecił gajowemu w oczy.

— Widziałeś, ile mamy żelastwa ze sobą? Starczy na stu większych od ciebie! Więc nie próbuj lecieć z językiem!

— Daj mu spokój! — mruknął Dunajec z dziwnym odcieniem dumy w głosie. — I tak poleci.

— Hmm? — przeciągnął Migułko i uważnie jak krawiec obejrzał gajowego od stóp do głów. — Tak myślisz?...

— Wyłaź! — krzyknął Dunajec i wypchnął przyjaciela z chałupy. Sam wyszedł ostatni. Na progu stał jeszcze przez chwilę, potem zatrzasnął drzwi ordynarnie.

XI

W ciągu kilku pierwszych nocy, bezradni i speszeni, kluczyli po Górach Świętokrzyskich, dbając tylko o to, by starannie zamazywać własne tropy. Trasa ich marszu była chwiejna, nerwowa; to szarpali ją zygzakami, to znowu zaplatali w małe kółka, drepcząc monotonnie na miejscu. Dunajec nie bał się Polaków. Ani Krosno, ani Kocaj z garstką nowicjuszy, nie byli dlań na razie niebezpieczni. Prawdziwą groźbę stanowili jedynie bolszewicy.

Oddział trafiał na nich bez przerwy i to w punktach najmniej spodziewanych, wypełniali bowiem Kielecczyznę po brzegi, stacjonując w miasteczkach i wioskach, patrolując przejazdy i tory, przewalając się zatłoczonymi szosami. Którejś nocy grupa Dunajca szła przez długi, drewniany most na Lipniu. Szperacze zbadali go uprzednio dokładnie, nie napotykając żadnych posterunków. Kiedy oddział był już w połowie mostu, z tyłu rozległo się wycie silnika. Klekocząc po deskach i podskakując nadjeżdżał Willys. Akowcy pierzchnęli ze środka, przywierając do ciemnej poręczy, wóz jednak stanął bokiem i zalał ich swymi światłami. Samotny Ukrainiec, siedzący za kierownicą, wyskoczył z samochodu i zażądał od Dunajca papierów. Długo i nieufnie przeglądał starą legitymację milicyjną, raz po raz podnosząc wzrok na właściciela, jakby uczył się jego twarzy na pamięć. Dunajec poczuł na karku prędki oddech Migułki i znowu, jak przed paru dniami, odepchnął go od siebie z niechęcią. Ukrainiec odjechał po długiej, nieprzyjemnej minucie. Byli pewni, że z najbliższego aparatu zadzwoni do NKWD, a jednak nie ruszyli ręką, aby mu w tym przeszkodzić; Dunajec wciąż jeszcze oczekiwał wiadomości z Wierzchocka. Jakich i o czym — nie wiedział, a przyparty do muru, musiałby wyznać, że spodziewa się rzeczy niemożliwych: jakichś propozycji, wyjaśnień, przeprosin, jakiejś ręki, wyciągniętej do zgody... Przez kogo? Milczał ze złością, trudno nawet powiedzieć, czy w ogóle miał coś wyraźnego na myśli — pił przecież na każdym postoju bez miary i wymiotował w śniegu pod szopami.

W poniedziałek przed świtem dostarli na miejsce, gdzie miała ich oczekiwać Małgorzata. Było to duże, pojedyncze gospodarstwo niejakiego Szkojcy, leżące o kilka kilometrów od linii kolejowej Skarżysko—Sandomierz. Dunajec, uciekając z miasteczka, wybrał je dlatego, że nic poza nim nie przyszło mu do głowy, Szkojcę zaś znał jeszcze z czasów okupacji. W ten sposób, całkiem zresztą mimo woli, wracał do dawnych, akowskich kontaktów; ale czy miał prócz nich jakieś inne?

Dobijali się niedługo. Po minucie czy po dwóch najwyżej wyszedł do nich Szkojca w obfitych, flanelowych kalesonach i surducie, narzuconym na plecy. Ziewał, bębniąc dłonią po ustach; jego ryże, druciane włosy ani trochę nie posiwiały od ostatniego spotkania, lisie piegi po staremu obsypywały oblicze, zlewając się pod nosem z wargami.

— Znowu jesteście? — powiedział obojętnie, jakby widział ich onegdaj lub wczoraj. — Tam leży derka; niech ostatni założy szparę pod progiem, bo dmucha.

Po chwili wszyscy znaleźli się w znajomej jadalni, gdzie zgrzytał tak jak dawniej miedziany zegar o rzymskich cyferkach i zmętniałym wahadle. Na kredensie leżało parę plastrów i ze trzy, cztery pszczele ramki obok aparatu do strzyżenia owiec. „Nic się tu nie zmieniło" — pomyślał z dziwnym bólem Dunajec.

— Głodni? — pytał Szkojca rzeczowo, klękając przy kredensie. Wydobył zeń dwie duże puszki i szurnął nimi po podłodze. — Otwierajcie. — Każda miała nalepkę z napisem „Swinaja tuszonka". — A co, główka pracuje? — przechwalał się gospodarz, kładąc nóż do konserw na stole. — Mnie szerokie tory nie zgubią, ja przetrzymam i bat'kę Stalina.

Nie wiedział nic o żadnej dziewczynie z Wierzchocka, mimo to jednak

traktował zjawienie się oddziału jako rzecz oczywistą i całkiem naturalną. Nie dziwił się niczemu i o nic nie pytał, chyba że mu się przypomniały jakieś stare drobiazgi. „Wyrwałeś już tego zęba?" — zagadywał Migułkę, który latem przechodził zapalenie okostnej i leżał tu z napuchniętą szczęką. „Kto ci rwał? Zarębiańczyk? Wolałbym już pójść do kowala." Przeciągając się, wołał: „Który tam grzebie w bufecie? Wódki nie dam, wódka dzisiaj najlepszy pieniądz! Zamknij i przynieś mi kluczyk!"

— Czym pan teraz handluje? — pytał Szkojcę Migułko, bez apetytu mamląc zimną wieprzowinę. — Zbożem? Końmi? Słoniną?

— Ludzkimi jajami. Masz trzy? To odstąp mi jedno.

— Mogę panu krówki naraić.

— Znam twoje krówki: w czapce mają oborę, a za uchem się pasą.

— Daj pan ćwiartkę za każdą, a przez miesiąc będę pijany. Sześćdziesiąt krówek jak złoto! Na razie zostawiłem je w Szczercach na przechowanie, ale chce pan — kartkę napiszę, wydadzą.

„Łatwo im jakoś idzie — myślał Dunajec z goryczą. — Pchnij wózek z góry, sam bez konia poleci... A przecież miało tego nie być..." Poszedł spać z bólem głowy i ogromną, przerażającą pustką w sercu.

Następnej nocy zjawiła się Małgorzata. Nie była sama; razem z nią przyszedł kościsty mężczyzna o wypukłych jak u żaby oczach i poczciwym, kieleckim uśmiechu. Starał się go zresztą powściągnąć i gasić, lecz nie umiał: za bardzo cieszył się z tego spotkania. Był to porucznik Zbaraż, jeden z dawnych oficerów Krzywego. Ludzie Dunajca nigdy nie służyli pod jego bezpośrednią komendą, ale stykali się z nim często i bardzo go lubili. Przywitali go też radośnie, choć z odrobiną zawstydzenia. Któryś zabrał mu palto, inny posadził w fotelu pod piecem; ze wszystkich stron wyciągały się ręce z bibułkami i tytoniem.

— No i co, chłopaki? No i co? — powtarzał zdławionym głosem Zbaraż, zaglądając im w oczy co chwila, jakby mówił: „A widzicie? Trzeba wam było tego? I po co?" — Ech, osły wy moje zielone! — mruczał i potrząsał małą główką nad nimi. Było w tym trochę wyrzutu, lecz jeszcze więcej troski: zabłąkali się chłopcy, byli nawet o krok od czegoś brzydkiego, ale trzeba im pomóc, dać jeszcze jedną szansę, podtrzymać... Chuchając w szerokie dłonie i zacierając je z chrzęstem, wołał:

— Pokaż no się, Jakielski! Stań prosto, podnieś głowę do światła! Schudłeś, bratku, fatalnie, śledź teraz z ciebie, nie człowiek! Chorujesz?

— A skąd, panie poruczniku!

— Prawda to? Chłopaki, nie kłamie?

— A czy on kiedy mówił prawdę? — śmiał się z boku Migułko.

— Pan porucznik wie, on panu guzik wetknie zamiast złotego i jeszcze będzie chciał reszty!

„Wszystko zaczyna się od nowa" — pomyślał z rozpaczą Dunajec. Wstał z krzesła ciężko i rozejrzawszy się za dziewczyną, poszedł jej szukać po domu. Spotkali się w kuchni, wielkiej i ciemnej jak zakrystia. Mokre ścierki, rozwieszone na sznurkach, parowały tu tępym odorem; skądsiś sączył się zapach kisnącego w kamionkach barszczu. Małgorzata, pochylona do ziemi, zdejmowała przemiękłe buty. Dunajec zobaczył najpierw tylko jej plecy, wykrzywione od pracy przy maglu, i ręce, zbyt żylaste jak na młodą

dziewczynę, a dopiero potem twarz chmurną i ładną. Usta miała skrzywione żałośnie, oczy — wpadnięte i podbite. „Dał jej radę ten spacer — pomyślał Dunajec, przejęty litością. — Zmęczona. Szli widać całą drogę piechotą..." Sam nie wiedział, czemu właśnie jej dał ten adres. Było przecież w Wierzchocku parę osób, które nawet bardziej pomagały mu w czasie wojny, a jednak wybrał Małgorzatę. Czy dlatego, że kiedyś żyli z sobą przez krótki czas? Był pewien, że chodziło nie o to; miał po niej jeszcze inne dziewczyny, a ona miała innych chłopców, zresztą wszystko minęło już dawno i znikło. „To chyba przez ten posterunek — myślał. — I w ogóle przez ten cały bajzel ludowy. Ona tego chciała naprawdę."

— No, to jak? — zapytał cicho, prawie szeptem. — Czy my... Czy oni coś... W ogóle...

Mała świeczka topiła się na murku nad kuchnią; krzywy strumyczek kopcia pływał po ścianie i układał się w dziwne pętle. Robiło się coraz ciemniej i w tym mroku tonęła twarz Małgorzaty.

— To jak? — powtórzył, nie mogąc wytrzymać oczekiwania. Dobiegł go krótki dźwięk, podobny do westchnienia, może zresztą dziewczyna odetchnęła tylko głębiej. Potem odpowiedziała mu takim samym cichutkim szeptem:

— Wszystko... Józek, wszystko przepadło. On — tu zrobiła pauzę i Dunajec domyślił się, że mówi o bracie — on zabił tego faceta...

Postawiła buciki na blasze, nic przy tym nie syknęło, kuchnia była już ledwie letnia.

Dunajec oblizał się suchym jak skarpetka językiem.

— Zabił?

Kiwnęła głową, parę ciemnych włosów opadło jej aż na usta.

— Postrzelił go w szyję i żołądek. I ten facet umarł tam zaraz, w samochodzie.

Przyciągnęła sobie stołek do kuchni i usiadła na nim, podciągając bose stopy pod siebie.

— Ale przecież myśmy nie chcieli! — Zawołał Dunajec z nagłym buntem. — Myśmy nie zaczynali! To ten mużyk jest winien! To przez niego! On chciał wszystkich wykończyć! Ale po co? Dlaczego?

— Nie wiem — pochyliła się nad kolanami dziewczyna. — Nie wiem, Józku... Kto to może wiedzieć...

Dunajec nerwowo krążył wokół swego.

— Ja chciałem inaczej! Bez lipy i naprawdę. Ty przecież wiesz, jak było! Sam wziąłem rozwód z Londynem! Wytrzymać z nimi nie mogłem! Ja jestem czeladnik piekarski! To nie było wojsko dla takich! Więc gdzie mają iść czeladnicy? Do kogo?

Małgorzata milczała.

— Józku — rzekła wreszcie z ogromnym, bolesnym zniechęceniem — Józku, a może myśmy gdzie zrobili jakieś głupstwo?

Przez drzwi doleciał ich tubalny głos Zbaraża, a potem dużo śmiechu. Świeczka zgasła, ale knot śmierdział jeszcze przez chwilę. Dunajec nagle poczuł, że tylko oni dwoje — zagubieni i nieszczęśliwi — rozumieją, co zaszło. W ciemnościach znalazł krótką, trochę jakby przyciężką dłoń maglarki i przytrzymał ją w palcach. Milczeli. Słychać było jedynie, jak pod nogami szeleszczą im karaluchy.

— Po coś ty go przyprowadziła? — zapytał.

Dziewczynie drgnęła ręka.

— Męczył mnie, prosił... A zresztą — i tu znowu wróciła do brata: — kto się nim zajmie? Pomoże? My sami?...

W jadalni było szaro od spalonego tytoniu. Migułko, przykucnąwszy obok pustego krzesła, bawił wszystkich szulerskimi żartami. Zataczając koła w powietrzu, przerzucał karty, dzielił je, tasował.

— No, panie poruczniku, gdzie jest dama?

Zobaczywszy Dunajca, Zbaraż jakby posmutniał czy raczej zakłopotał się. Niepewnym ruchem uniósł twarz, dobrą jak u psiska, i chwilę mrugał tylko bez słowa. Potem wstał i ująwszy Dunajca pod rękę powiedział:

— Chodzisz tak i chodzisz jak struty, a to przecież nie ma o co. Józio, głowa do góry! Wszystko da się jeszcze naprawić, zobaczysz!

— Ech, panie poruczniku! — westchnął kapral, odwracając przy tym spojrzenie. Nie chciał robić Zbarażowi przykrości, ale doprawdy, cóż tamten mógł wiedzieć o jego kłopotach? „Nawet ja sam — pomyślał — nie wiem, czego mi potrzeba, cóż dopiero ktoś drugi!"

Zbaraż mówił grzmiącym szeptem, że wie, o co chodzi, i postara się załatwić.

— Nic się nie martw, ja im tak wszystko przedstawię, że przestaną się czepiać. No, już, oficerskie słowo! Załatwię! — Obejrzawszy się na żołnierzy, dodał: — Poślij ich spać, pogadamy sobie spokojnie.

„O czym? — myślał Dunajec. — I co on właściwie chce załatwić?" Czuł, że mózg pracuje mu powoli i dogasa, przycicha. „Może lepiej, żebym i ja poszedł spać bez gadania?" Mimo to stał nadal przy piecu, z głową odrzuconą do tyłu i opartą o ciepłe kafle. Dręczyła go chęć, by zapalić, nie miał jednak papierosa, a ruszyć mu się z miejsca nie chciało. Wziął do ust szklaną, pełną nikotyny cygarniczkę i ssał ją obojętnie, bezmyślnie.

Wreszcie zostali we dwóch. Zbaraż, rozczapierzywszy wszystkie dziesięć palców i rzuciwszy głową do tyłu, zaczesał sobie długie włosy. Był zmieszany i nieswój. Zaczął mówić prędko i niemal od połowy zdania, tak że w pierwszej chwili trudno go było zrozumieć.

— No, już! — wołał, robiąc dłonią szach-mach w powietrzu — nie ma o czym gadać. Ja przecież sam wiem, że tobie jest wystarczająco nieprzyjemnie. Niech oni sobie myślą, że ci powiedziałem to wszystko, co kazali, a my tak, między sobą... I więcej ani słowa! Przeskrobałeś, naprawisz i kropka. Skończone.

— Skończone? — powtórzył automatycznie Dunajec.

— Oczywista! A na nich się nie bocz, zawsze to przecież dowództwo, nie wypada. A zresztą skąd oni mogą wiedzieć, co w tobie się dzieje? Ale nic, nie mówmy już o tym. Powiedziałem: kropka. Możemy od razu przejść do spraw organizacyjnych.

— Jakich?

— No, przecież mówię, organizacyjnych — powiedział Zbaraż i szybko, z dużym ożywieniem, zaczął Dunajcowi wyjaśniać jakąś nową strukturę, jakieś szczegóły siatek i kontaktów, pozostałych po rozwiązaniu AK w terenie. „Kadra", powtarzał, „kadra", „jądro", „obszar centralny", aż raptem Dunajec zrozumiał.

— A to wszystko — powiedział, czując, że puls bije mu pod kołnierzem ostro i gwałtownie — a to wszystko, jak się właściwie nazywa?

Zbaraż patrzył zdziwiony i zaskoczony.

— Nie wiesz? To się nazywa organizacja „Nie".

Przez sekundę było cicho.

— Ja — zaczął nareszcie Dunajec i znowu rozłożył sobie zdanie na raty, jakby nie miał siły wyrzec go jednym tchem i od razu. — Panie poruczniku, niech pan się na mnie nie gniewa, ale ja do tego nie wejdę.

— Co? — szepnął Zbaraż, zastygając wpół ruchu, z jedną ręką podniesioną do włosów, drugą zaś przytkniętą do kieszeni na piersiach, gdzie zwykle nosił grzebień. — Józek! Rany Boskie, Józek! Dlaczego?

Dunajec wzruszył ramionami.

— Czyś ty oszalał? — krzyczał Zbaraż. — Przecież i tak jesteś w lesie! I tak będziesz bił bolszewików! Podporządkuj się, słuchaj, ja cię proszę! Przecież tu chodzi tylko o ciebie! Myślisz, że organizacja leci na twoją drużynę? Oni was mają w nosie, rozumiesz? Tuzin chłopaków? Też wielkie mecyje? To ja sam! Ja sam was chcę uratować! Józek, przecież bez pomocy zginiecie! A co myślisz, kto was ostrzegł, kto wtedy zadzwonił z Łęczynka? Moi ludzie! Moi! Zapamiętaj to sobie! — Jasne było, że jest naprawdę zrozpaczony. — Czy ci nie wstyd, że ja muszę cię prosić? Józek! No, Józek! Zgoda?...

Dunajec patrzył nań ze współczuciem. Widział niepokój Zbaraża i jego niknącą nadzieję. Chwilę wahał się wiedząc, że nie potrafi wytłumaczyć własnych słów, aż w końcu powiedział:

— Panie poruczniku, ja przeciw panu nic nie mam. Ale z tamtą całą szarżą nie pójdę.

I uśmiechnąwszy się boleśnie, zostawił Zbaraża samego.

Na strychu było ciemno, chłopcy jednak nie spali. Usłyszawszy kroki Dunajca, zaszeleścili w mroku.

— Zgodziłeś się? — zapytał Migułko.

Słychać było wytężony, napięty oddech całej drużyny. Dunajec, czując jakąś bezmierną, niewytłumaczalną samotność, odpowiedział ciszej niż było potrzeba:

— Nie. Śpijcie, wszystko zostaje po staremu.

W ciemnościach nikt się nie odezwał. Wyczekawszy przez moment, kapral dorzucił drżącym głosem:

— Nie bójcie się, będzie dobrze.

I teraz również odpowiedziało mu milczenie. Obróciwszy się, zaczął iść drobnym kroczkiem w przeciwległy koniec strychu — jak najdalej od Migułki, jak najdalej od wszystkich kolegów. Znalazł tam jakieś maty konopne, włochate i ostre. Rozebrał się i ściągnąwszy buty narzucił na siebie kożuszek. Wtedy doszedł go szept, stłumiony, lecz niedaleki.

Namacał szorstkie, zardzewiałe obręcze, potem wianuszek grzybów, suchych jak kora, wreszcie drzwi czy też raczej furtkę. Otworzywszy ją, zobaczył szczytowe okienko i niebieską noc za szybkami. Obok, na wielkiej skrzyni, znajdowało się posłanie Małgorzaty. Zrobiła mu miejsce. Usiadł. Milczeli razem, tak jak w kuchni.

— I co teraz zrobisz? — zapytała na koniec dziewczyna.

— Nic.

— Ale coś musisz zrobić.

— Nie wiem.

Wzięła go za przegub ręki.

— To dobrze, że się nie zgodziłeś.

Domyślił się, że mimo wszystko tego właśnie pragnęła. Spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło. Świat był za trudny, nie rozumieli go oboje i nie mieli nikogo, kto by im potrafił go wytłumaczyć. Cztery malutkie szybki trzęsły się pod naciskiem wiatru. Dunajec poczuł, że boi się tego dźwięku. Skulił się obok dziewczyny, dygocząc i szczękając zębami. Nakryła go starą, pikowaną kołdrą bez podpięcia. Leżeli obok siebie sztywni, przepełnieni pewnością, że coś utracili na zawsze. Ale co? I dlaczego? I kiedy?

— Jadę do Kielc — powiedziała Małgorzata drętwymi ustami. Słowa źle jej się układały, niewyraźnie i głucho. — Nie mogę zostać w Wierzchocku. Wszystkich śledzą, pilnują... Trzeba to przeczekać gdzie indziej.

— Trzeba — zgodził się cicho.

— A ty? — zapytała. — Może pojedziesz ze mną? Poszukamy sobie kąta na świecie...

Mokry śnieg walił z hukiem w drewnianą ścianę. Noc była przykra, niespokojna.

— Nie mogę — odpowiedział. — Żebym to był sam... Ale oni? Jak szukać kąta dla dziesięciu ludzi? Gdzie ich podziać? Nie znają tam przecież nikogo. A zresztą — nie zechcą. Muszę zostać.

— A gdybyś... Tylko ty jeden?

Poruszył rzęsami w ciemnościach.

— Jakby to wyglądało?... Nie można... Nie, nic się tu nie da zrobić... Przepadło...

Leżeli bezsennie, oddychając nierówno i z trudem. Ach, gdyby mieli coś takiego, co mogłoby zagłuszyć ich myśli! Trochę wódki, flaszkę najpodlejszego bimbru! Nagle Dunajec poczuł, że dołem, nisko, idzie ku niemu ręka Małgorzaty. Nie było w tym bezwstydu, tylko sam lęk i rozpacz. Leżał dalej nieruchomo na plecach, pozwalając robić wszystko ze sobą. Słyszał bolesny szept „Józek, Józek" i czuł nerwowy ruch jej palców. Potem sam zaczął szukać ciała dziewczyny. Trafił na koszulę, ale nie, nie chciał przez coś, potrzebował skóry i ciepła.

Budzili sobie płeć nawzajem, niespokojnie i gorączkowo, jakby w obawie, że nie zdążą i zostaną pokonani przez pustkę. Nie bronili niczego dłoniom, biegającym jak myszy i skrzętnym. Byli otwarci i żałośnie usłużni dla siebie. Wreszcie Dunajec znalazł schronienie w ciele Małgorzaty. O krok od łez — zwyciężyli.

Zasypiając widzieli poczwórne okienko, mrugające zawieją i mokre.

Aleksander Ścibor-Rylski

Stanisław Czachorowski

MISTRZOWIE PŁASKIEGO SERCA

CHAGALL

poczekaj
nakręcę księżyc
by dokładnie drogi wydzwaniał
w czerwony — żółty świt
panno koźla w welonie
nie depcz mej smutnej twarzy
dam ci za okno weselne
niebieski pysk

ucałuj zieloną rękę
z nieba spada lampa naftowa
wodny frak
na skrzypcach rzępoli...
rozpuść włosy i bukiety!
oczy krowy pod parasolem
nie istnieje żółty ptak

nad Talmudem zielony Żyd
pogrzeb twarzy
dwie piersi na nowiu
wieś się pali w czerwonych majakach
z nieba zstępuje bez drabin
Jakubowy cyrk

nad dachami
nad kościołem
na trapezie ktoś cię rysował...
na co czekasz
półkolorowy
półsmutny
trochę niedokończony?

CEZANNE

przyjdź zielony poprzez wszystkie tonacje
otwórz mi swoje pudełka
domki z kolorów
uparty mistrzu błękitnej fugi —
dojrzewają twoje owoce —
osuwają się pachnące kule
w świetle
w cieniu
w półcieniu

na białej serwecie — jabłka
na białej serwecie — dzban
muzyka dwóch bieli
bieli zielonej — jabłka
bieli niebieskiej — dzban

portret z brązowych świateł
portret z czerwonych plam,
w leciutkiej głębi
jak gdyby
uśmiech świateł
tonów
półtonów
uśmiech pani Cézanne

GAUGUIN

soczysta plamo z peyotlu
dosycie płaski
wulkanie samotny

dziewczyna o nogach z cynamonu
i młodzieniec
o biodrach z wanilii
wyciągają ramiona do nieba
wyciągają ramiona do ziemi:
„skąd przychodzimy?
czym jesteśmy?
dokąd idziemy?"

tarantello cynobrów i kobaltu
lawo tęsknoty

z jakich cieni
nadpłynęły ryby twojego światła?

z jakich głębin
wydobyłeś swoje fiolety?

czyje ręce przyniosły tyle ochry?

Noa — Noa:
chłopiec z kawy
wyspa z papuzich snów
melodia wiatru
ukulele
— ty ją grasz
paleto
płócienna wyspo prawdziwych

VAN GOGH

śpiesz się Vincent
rude światło zgaśnie w brązowej łodzi
...jeszcze trzysta kresek
na drodze z Arles

śpiesz się Vincent
— kobietę w czerwonej pelerynie
zatopią skłębione linie

śpiesz się Vincent
— przekwitną słoneczniki

śpiesz się
rozpalonym olejem
rozpryskać ogromne słońca

obłąkany wizerunku piastunki
obłąkany przyjacielu lekarza
obłąkany portrecie listonosza
daj mi
rudy i niebieski pędzel
na moją szarą twarz

Stanisław Czachorowski

Stanisław Szenic

GOETHE I MARIA SZYMANOWSKA

Goethe i pani Szymanowska, cóż łączyło ich, czy była to przelotna tylko znajomość, flirt zadzierzgnięty w eleganckim i modnym badzie, czy też głębsze uczucie?

Krytycy polscy sprawie tej niewiele poświęcili uwagi, ogółem zaledwie kilka stron. Z dawniejszych pisarzy Józef Mirski uważał, że dla znajomości Goethego i Szymanowskiej określenie „przyjaźń" jest za blade, „miłość" za silne, a „romans" za lekkie. W przedmowie do nowego polskiego wyboru dzieł Goethego pióra Jana Zygmunta Jakubowskiego czytamy natomiast, że liryk wpisany do sztambuchu Szymanowskiej powstał „z wdzięczności za grę, którą znakomita pianistka wzruszyła poetę w ciężkich dniach jego życia", bliższych zaś wyjaśnień trzeba szukać w przypisach.

Podobne stanowisko zajmuje większość niemieckich biografów poety, przeważnie zgodnych co do tego, że polska pianistka grą swą — podobnie jak berlińska śpiewaczka, Anna Paulina Milder, śpiewem — niosła Goethemu ukojenie, gdy ostatnia jego miłość do młodziutkiej Ulryki von Levetzow pozostała bez wzajemności. Niektórzy krytycy niemieccy uważają całą tę znajomość za tak mało znaczący epizod, że w nowszych monografiach Goethego próżno szukać nawet nazwiska głośnej pianistki.

Cóż więc naprawdę działo się w czasie krótkiej ich znajomości, podczas tych dwu letnich tygodni w Marienbadzie oraz dwu jesiennych tygodni w Weimarze roku 1823. Jaką odpowiedź znajdziemy w dostępnych nam pamiętnikach, zapiskach i listach, gdy postaramy się z kalendarzową dokładnością odtworzyć przebieg znajomości poety i uroczej pianistki.

W 1823 r., po ciężkiej chorobie serca, przebytej w lutym, Goethe udaje się po raz trzeci do Marienbadu. Przyjeżdża 2 lipca o godzinie ósmej rano z sekretarzem Johnem i służącym Stadelmannem. Zatrzymuje się w „Goldene Traube", naprzeciwko hotelu „Stadt Weimar", gdzie o godzinę wcześniej stanął jego suweren, wielki książę Karol August. Pani Levetzow z córkami przybywa 11 lipca.

W tymże też lipcu wyruszyła po dalsze laury pianistyczne Maria Szymanowska, córka warszawskiego piwowara z ulicy Waliców, frankisty Franciszka Wołowskiego, i jego małżonki Barbary z Lanckorońskich. W Polsce i Rosji miała już ustaloną sławę doskonałej kompozytorki i pianistki. Jej dorobek kompozytorski obejmował około stu utworów, składały się nań polonezy, walce, me-

nuety, mazurki, marsze, etiudy i preludia. Następne lata niewiele miały go rozszerzyć. Koncerty dane wiosną 1822 r. w Petersburgu przyniosły jej zaszczyt nie lada, tytuł „pierwszej fortepianistki cesarzowej rosyjskiej". Z Warszawy Szymanowska wyjechała z końcem czerwca 1823 r. W dniu 30 czerwca daje koncert w Poznaniu. Między innymi gra własną *Fantazję* na temat arii z opery *Joconde* N. Isouarda. Poznański sprawozdawca muzyczny podkreślił jako rzecz niezwykłą, że „ją z pamięci wykonała".

Z Poznania udaje się w towarzystwie siostry Kazimiery i brata Karola Wołowskiego do Karlsbadu. Przybywa tu 6 lipca i zatrzymuje się przy ulicy „Na łące" w domu „Zum Weissen Reh" („Pod Białą Sarną"), później przemienionym na „Grillparzer". Do protokułu meldunkowego wpisano ją z tytułem *„erste Fortepianistin Ihrer Majestäten bei der Kaiserin in Russland"*. Koncert publiczny dała w Karlsbadzie w dniu 21 lipca.

Ubiegają się o jej towarzystwo wytworni arystokraci, którzy zjeżdżają się w tym modnym badzie z całej Europy. Wielki talent, duża uroda, błyskotliwy dowcip, zainteresowania literackie i nieprzeciętny czar osobisty zastępują brakujące tytuły szlacheckie. W sztambuchach jej i Kazimiery Wołowskiej zadziwia ilość wpisów znakomitych osobistości: sławnych muzyków, znanych poetów i pisarzy, polityków oraz arystokratów, wodzących prym w ówczesnym życiu towarzyskim. Trzy sztambuchy Szymanowskiej zyskują po latach rozgłos, znajdujemy szereg o nich wzmianek po gazetach i w pamiętnikach.

Szymanowska wraz z rodzeństwem opuściła Karlsbad 3 sierpnia i zamieszkała w Marienbadzie w gospodzie Klingera. Zaraz po przybyciu poznała Goethego, bliższych szczegółów zawarcia znajomości nie znamy, lecz zapis w dzienniku Goethego pod datą 5.VIII. o spacerze „z Polkami na wzgórze" odnosi się do obu sióstr. Po powrocie do Weimaru, gdy kanclerzowi Müllerowi będzie opowiadał swe wrażenia z Marienbadu, stwierdzi: „bez żadnych wstępów, tak prędko nastąpiło z nią poznanie, podobnie jak człowiek w łagodnym i czystym powietrzu niebawem swojsko się czuje." W dniu 9 sierpnia w liście do radcy hr. Fr. L. Schulza w Berlinie Goethe pisze: „Pani Szymanowska, żeński Hummel, z tą swoją polską gracją, bardzo mi te ostatnie dni umilała. Poza polskim urokiem stanął przede mną największy talent jako tło lub też, jeśli Pan chce, na odwrót. Talent ten mógłby człowieka przygnieść, gdyby jej wdzięk nie czynił go wybaczalnym. Wybiera się do Berlina".

Poczynając od 14 sierpnia zapiski w dzienniku są pełne Szymanowskiej. A więc pod datą 14.VIII. czytamy:

> *Madame* Szymanowska i siostra. Pan Petrilli (był to sekretarz hr. Saint-Leu, ekskróla holenderskiego). Do *madame* Szymanowskiej, która w sąsiednim domu grała na fortepianie jakąś rzecz Hummla, jakąś swoją i jeszcze dwie inne, zupełnie wspaniale. Z nią na spacer w stronę młyna. Zaskoczył nas deszcz. Pod parasolami do źródła. Wieczorem na tarasie. Potem w pokoju. Hrabia i hrabina Gorcey (hr. Gorcey — Longnyon, oficer austriacki, był członkiem Komisji Zdrojowej w Marienbadzie). Skocznie tańczono i galopowano jak zwykle. Hrabina grała.
>
> 15.VIII. Powtórnie poszedłem na spacer poranny, w górę za domem kąpielowym. Zszedłem ulicą Tepler. Spotkałem damy w komplecie. Mamy pojechały na taras. Ja z córkami poszedłem pieszo. Wieczór dla mnie.

16.VIII. *Madame* Szymanowska i siostra, odwiedziłem i zaprosiłem. Wiersz dla *madame* Szymanowskiej. Obiad w domu. O czwartej u pani Szymanowskiej, która grała wybornie. Wbrew pierwotnej odmowie sąsiadka pozwoliła przenieść piękny fortepian. Panie nie odjechały. Różnorakie wydziwianie i żarty z powodu nieporozumień i zamieszania. Wieczorem u stołu wszystko się wyrównało. Szkło brylantowe. Królewski dar hrabiego St. Leu.

17.VIII. Kontynuowanie wierszy dla *madame* Szymanowskiej. *Madame* Milder (śpiewaczka operowa) przyszła z wizytą.

18.VIII. Wiersze do obu albumów ukończyłem i wpisałem. *Madame* Szymanowska odwiedziła mnie. Ciekawa wpisu do albumu.

Wiersz poświęcony Szymanowskiej, włączony następnie przez Goethego do *Trylogii namiętności*, był przez różnych poetów wiele razy tłumaczony na polski i nie trzeba go ponownie przypominać. Podajemy natomiast obydwa wierszyki do Kazimiery Wołowskiej, na język polski dotąd nie tłumaczone, wręczone jej przez Goethego, podobnie jak wiersz do Szymanowskiej, z dołączonym tłumaczeniem francuskim.

Brzmią one:

An Fräulein Kasimira Wołowska
Marienbad 1823

Dass man in Güter dieser Erde
Zu teilen sich bescheiden werde,
Singt manches alt' und neue Lied.
Und wären's zarte Liebes=Gaben —
Mit wem wir sie zu teilen haben,
Das macht den grossen Unterschied.

*

An Fräulein Kasimira Wołowska
1823

Dein Testament verteilt die holden Gaben,
Womit Natur Dich mütterlich vollendet,
Vermächtnis nach Vermächtnis ausgespendet,
Zufrieden Jeder, seinen Teil zu haben;
Doch wenn Du Glückliche zu machen trachtest,
So wär'es der, dem Du Dich ganz vermachtest.

Do wierszy tych Goethe dał następujące wyjaśnienie: „Panna Wołowska, siostra pani Szymanowskiej, skarżąca się na szereg zapewne urojonych dolegliwości, piękna i pełna powabu, czasami usposobiona melancholijnie i mówią-

ca o śmierci. Do jej sztambuchu wpisał dowcipny znajomy testament*, na mocy którego zapisuje ona po kolei różnym osobom swoje wdzięczne przymioty i zalety. Był to pomysł pełen wdzięku, gdyż poczynione legaty uwypuklały bądź braki, bądź zalety legatariuszy. Bezpośrednio do tego nawiązując napisałem wiersze".

Lecz wróćmy do dziennika Goethego: Czytamy pod datą 19.VIII: „Nie przyjąłem zaproszenia na wieczór do Pani Szymanowskiej. Hrabia Mycielski."

Krótki ten zapis trzeba pewnie wytłumaczyć w ten sposób, że Szymanowska urządziła przyjęcie, by podziękować Goethemu za wiersz zapewniający jej miejsce w historii literatury, z czego jako sawantka dobrze zdawała sobie sprawę. Gdy Goethe odmówił, poprosiła Mycielskiego, który, jak wiemy z pamiętnika Henryki z hr. Działyńskich Błędowskiej, był wiernym wielbicielem jej talentu, aby próbował nakłonić poetę do przyjęcia zaproszenia. Lecz cóż mogło skłonić Goethego do nieprzyjęcia zaproszenia pięknej pianistki, pod której urokiem pozostaje stale od chwili jej poznania? Znajdujemy na to odpowiedź w liście Goethego z tegoż dnia, przytoczonym przez Stanisława Morawskiego w jego wspomnieniach o Szymanowskiej. Oto jego polskie tłumaczenie:

> Niestety, *Madame*, ponieważ muszę jutro wyjechać, nie pozostaje mi nic innego jak pielęgnować moje obrzmiałe wargi, czego nienawidzę z całego serca (*il ne me reste que de soigner mes lèvres informes, que je deteste de tout mon coeur*). Ku wielkiemu memu żalowi jestem pozbawiony miłego towarzystwa, dzięki któremu spędziłbym tak piękny wieczór, a byłbym zupełnie niepocieszony, gdybym sobie stale nie powtarzał prozą tego, co ośmieliłem się wypowiedzieć w wierszu, łącząc do niego nadzieję rozkoszowania się wkrótce w Weimarze najpiękniejszym talentem i najciekawszym towarzystwem, jakie sobie można wymarzyć. A zatem do widzenia, *Madame*, proszę zachować mnie w drogiej mi pamięci.
>
> Goethe. Marienbad, 19 sierpnia 1823 r.

Można zrozumieć, że Goethe w takim stanie nie chciał spędzać ostatniego wieczoru na przyjęciu u adorowanej pianistki.

---

*) Wpis ten, dokonany w języku francuskim przez Fiodora Wasiliewicza hr. Rostopczyna (1765—1826), generał-gubernatora Moskwy, w tłumaczeniu polskim brzmi:

1. Znajdując się w ostatniej chwili życia wskutek nadmiaru zdrowia i czując zbliżającą się Panią Kostuchę do mego łoża, w którym służy mi spokojny sen, dyktuję moją ostatnią wolę, powołując na wykonawców testamentu na tym świecie pana Rossiniego, a na tamtym świecie pana Haendla.
2. Mój dowcip zapisuję pierwszej młodej osobie, która swój utraciła.
3. Moją duszę egoistom.
4. Moje serce bogaczom.
5. Moją przyjaźń dla siostry jej dzieciom.
6. Moje oczy młodym dziewczętom, które nie zauważone przechodzą przez życie.
7. Moje zęby brzydkim kobietom dla postrachu.
8. Moją cerę Albinosom.
9. Moją postać sierotom bez posagu.
10. Moje spojrzenie nieszczęśliwym matkom, które muszą błagać o łaskę dla swych dzieci.
11. Mój kubek, z którego piję szprudel karlsbadzki, królowi, który tu pierwszy przybędzie.

podpisała: Kazimiera Wołowska

Za zgodność
Fiodor hrabia Rastopchine
W dniu 19 lipca 1823 r. Na Przylądku Dobrej Nadziei.

Następnego dnia wyjechał do Karlsbadu. Czytamy w dzienniku pod datą 20.VIII.:

Nieprzerwane porządkowanie i pakowanie. *Madame* Szymanowska i siostra. Hrabia St. Leu. Brösigkowie. Odjazd koło trzeciej. Najwspanialsza pogoda, bez chmur.

Goethe pojechał więc do Karlsbadu, dokąd pani Levetzow z córkami wyjechała 17 sierpnia. Nie spieszy się zbytnio, zatrzymuje się kilka dni w Chebie i przybywa do Karlsbadu dopiero 25 sierpnia około godziny 4-tej po południu.

Wiadomo, że 74-letni Goethe oświadczył się o rękę 19-letniej Ulryki. Swatem był sam wielki książę Karol August. Wiemy o tym z ust własnych Ulryki, która dożyła sędziwego wieku 95 lat, umarła w 1899 r., mieli więc biografowie Goethego dość czasu zasięgnąć u niej języka.

Opowiedziała im, co następuje:

...Wielki książę był bardzo zaprzyjaźniony z moimi dziadkami i moją matką, również nas znał już od lat dziecięcych. Dla nas wszystkich był bardzo miły i łaskawy i on to oświadczył moim rodzicom i także mnie, żebym wyszła za mąż za Goethego. Najpierw wzięliśmy to za żart i sądziliśmy, że Goethe na pewno o tym nie myśli, czemu książę zaprzeczał i często powtarzał, a nawet przedstawiał mi to od strony najbardziej ponętnej, że będę pierwszą damą na dworze i w Weimarze, że on, książę, postara się mnie wyróżniać. Zaraz urządzi w Weimarze dom dla moich rodziców i przekaże go im, aby nie musieli się ze mną rozstawać. Przyszłość moją zabezpieczy pod każdym względem. Matkę moją bardzo namawiał, a jak później słyszałam, obiecał jej wyznaczyć mi, gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa przeżyję Goethego, po jego śmierci roczną rentę w wysokości 10.000 talarów. Matka moja powzięła jednak mocne postanowienie żadnej ze swych córek nie skłaniać i nie namawiać do małżeństwa, jednak rozmawiała ze mną o tym i pytała, czy skłaniam się do tego, na co odrzekłam: czy życzy sobie, abym tak postąpiła? Odpowiedziała mi: »Nie, moje dziecko, jesteś jeszcze zbyt młoda, abym pragnęła widzieć cię już zamężną, lecz propozycja jest tak zaszczytna, że bez zapytania ciebie nie mogę też jej odrzucić; musisz się zastanowić, czy w tej sytuacji możesz poślubić Goethego.« Ja na to: »Nie trzeba mi czasu do zastanowienia się, kocham bardzo Goethego, tak jak ojca, i gdyby był zupełnie samotny a mogłabym sądzić, że będę mu pożyteczna, to wyszłabym za niego. Przez swego syna, który jest żonaty i mieszka u niego w domu, ma już rodzinę, którą ja bym wyparła, gdybym weszła na jego miejsce. Nie potrzebuje on mnie, a rozstanie z matką, siostrami i dziadkami byłoby dla mnie zbyt ciężkie; nie mam jeszcze ochoty wychodzić za mąż.«

Na tym stanęło. Sam Goethe nigdy o tym nie mówił ani z moją matką ani ze mną, chociaż nazywał mnie »kochanie«, a najczęściej swoją kochaną córeczką.

Tyle przekazała nam sama Ulryka. Nie do ustalenia jest ścisła data, kiedy w taki sposób zadecydowała o dalszym swym życiu, należy jednak wobec wiersza dedykowanego Szymanowskiej, zatytułowanego *Aussöhnung*, przyjąć, że nastąpiło to przed 17 sierpnia, a więc datą wyjazdu pani Levetzow z Marien-

badu. Goethe wyjaśnił również w przypiskach, że wiersz ten powstał „w krytycznej porze i godzinie".

Nasuwa się jednak pytanie, czy wiersz zawiera, tak jak się to utarło przyjmować, tylko „cierpienia stęsknionej miłości" i rezygnację z miłości nie odwzajemnionej, czy też w ostatniej jego zwrotce nie brzmi nuta nowego uczucia.

Wiersz ten następnie włączył Goethe jako zakończenie do *Trylogii namiętności*, ale nadto umieścił go osobno w zbiorze swych pism pod tytułem *An Madame Marie Szymanowska*, pragnąc zatem podkreślić, że powstanie jego związane jest z osobą Szymanowskiej.

Lecz wróćmy do Goethego w Karlsbadzie. Dalsze zapisy w jego dzienniku rzucają też światło na liczne jego znajomości polskie.

25.VIII. Wizyta u pani von Levetzow. Ulokowałem się nad nią na drugim piętrze w „Złotym Strusiu". Ładny apartament, ładny widok. Przyszedł wóz z owocami i innymi wiktuałami od hrabiego Klebelsberga. Poczęstowano wybornymi figami i morelami. Młody Polak, Nakwaski (Henryk, syn Franciszka i Anny z Krajewskich, publicysta) bardzo porywczo o krzywdach swej ojczyzny. Wspólnie z rodziną w stronę poczty. Wieczorem przed domem przy herbacie. Hrabia Walleski [Walewski], bardzo rozumny, dobrze poinformowany w sprawach ogólnych, jak również niemieckich. W nocy z rodziną. Ubywający księżyc wzeszedł bardzo jasny nad Górą Trzech Krzyży.

26.VIII. Wspaniały wieczór. Nieliczne chmury „Cumulus" na północnym zachodzie. Niedługi spacer „Na łące". Hrabia Walewski, również Kugeski (nazwisko zapewne zniekształcone, zamiast Ujejski), który przybył z Marienbadu i znał moje wiersze dla obu dam polskich. Zenigeo, grubas, niezwykły i poniekąd tajemniczy. Wieczorem hrabia Fredro (lista kuracyjna wymienia dwóch Fredrów: „Hrabia Fredro, generał, z żoną" oraz „Hrabia Edward Fredro, szlachcic galicyjski, ze Lwowa").

27.VIII. Tańcująca herbatka w Saskiej Sali, urządzona przez hr. Zenigeo. Książę Hohenzollern—Hechingen zwrócił się do mnie, również księżna Julia. Szereg Polaków i Polek prosiło o przedstawienie mi ich. Także *madame* de Gajewska, poetka. W ostatnim polonezie pewna dama polska poprosiła mnie do tańca, w którym z nią pochodziłem, a przy zmianie dam prawie wszystkie piękne panie po kolei brały moje ramię. Koniec po godzinie 10-tej. Przy kolacji długo jeszcze byliśmy razem.

28 sierpnia był dniem urodzin Goethego. Spędza go z panią von Levetzow i jej córkami na wycieczce do Ellenbogen. Otrzymuje tutaj jako podarek urodzinowy piękny puchar kryształowy o trzech medalionach z wyrżniętymi w nich imionami trzech sióstr: Ulrike, Amélie, Berthe, i z napisem *„Andenken den 28 August 1823 in Carlsbad"*. Wieczorem wraca do Karlsbadu. W dzienniku figuruje zapis:

28.VIII. Przyszedł Nakwaski pożegnać się, jechał do Marienbadu. Rozmowa o majątku hrabiego Klebelsberga, jego ojcu i zapatrywaniach. Najserdeczniejsze pozegnanie.

29.VIII. Nadto rozmawiałem z kilku karlsbadczykami. Z kilku Polakami. Do sklepu Zimmera. Zimmer przysłał rachunek z bezczelnymi cenami, tak jak się

tego spodziewałem. 11 luidorów zażądał za cztery talerze majolikowe, za inne przedmioty podobnie niedorzecznie... Pod wieczór wyszliśmy. Umiarkowane ciepło. Spacerowaliśmy tam i z powrotem po drodze Choteckiej. Hrabia Walewski przyłączył się do nas. Przebywaliśmy długo na „Mariannensitz", prowadziliśmy różnorakie dobre i pouczające rozmowy...

30.VIII. Wizyta u hrabiny Jaraczewskiej, nie zastałem jej.

Wpis ten można uzupełnić wiadomością z listu Goethego do syna Augusta z tegoż samego dnia. „...Dawna moja przyjaciółka von Jaraczewska pożyczyła mi książkę *Sketch Book of Geoffroy Grayon,* którą z przyjemnością czytam. Powtórz to Otylii, która, jeśli się nie mylę, chwaliła mi tę książkę."

2.IX. Polacy przedstawili mnie *madame* Botta [Botta Fang z Wiednia]. Przysiadłem się do nich. Polak z Marienbadu przywiózł listy.

3.IX. Obejrzałem szkła u Mattoniego. Amelia dyskutuje z generałem Ominskym [generał Jan Nepomucen Umiński 1780—1851]. Osobliwe głupstwa. Tłucze bardzo piękne szkło i zostaje wyśmiany.

4.IX. *Madame* Szymanowska i siostra niespodziewanie odwiedziły mnie.

Czas postawić pytanie, co łączyło Szymanowską z Goethem? Czy tylko uwielbienie dla księcia poetów i zadowolenie, że od razu zdobyła podziw i uznanie dla swego talentu? Niespodziewana wycieczka do Karlsbadu, gdy nie zapowiedziana odwiedza Goethego, może nasuwać i dalsze jeszcze domysły. Karlsbad jest od Marienbadu oddalony o 50 kilometrów w linii prostej, a zwykle uczęszczana droga przez Cheb była jeszcze dłuższa, tak że nawet ekstrapocztą trzeba było wcześnie rano wyjechać, aby zdążyć na wieczór. Trudno zatem tę eskapadę Szymanowskiej traktować jako wycieczkę krajoznawczą, zresztą cały miesiąc siedziała w Karlsbadzie.

Goethe następnego dnia wracał do Weimaru. Po drodze pisał wiersz, który stanowi potem środkową część *Trylogii namiętności,* wiersz opisujący miłość do Ulryki. Z Ulryką już się więcej nie spotkał. Utrzymywał stałą korespondencję z Levetzowami. Jednakże gdy przejeżdżali w 1824 r. przez Weimar, nie odwiedzili Goethego, a nawet ukryli się, gdy Goethe przypadkowo wtedy właśnie przechodził koło poczthalterni.

7 września, była to niedziela, Goethe przybywa do Chebu. Tutaj odebrał, jak notuje w swym dzienniku, talerz — dar Szymanowskiej. Do Weimaru przyjeżdza 17 września koło południa.

Zastaje atmosferę ciężką i napiętą. August i Otylia wiedzą o jego zamiarach matrymonialnych i czują się zagrożeni w swej egzystencji. Nie uśmiecha im się myśl opuszczenia domu „rzeczywistego tajnego radcy i ministra dworu saskoweimarskiego", pobory Augusta nie są wysokie, Otylia nie wniosła żadnego posagu, a nie potrafi oszczędzać.

Goethe natomiast żywo wspomina Szymanowską. W liście kanclerza Müllera do hrabiny Julii Egloffstein z dnia 25 września, a więc w kilka dni po powrocie, czytamy: „Goethe opowiadał mi wiele o Marienbadzie, w szczególności o pani Szymanowskiej, która tak przepięknie gra na fortepianie, i powiedział o niej: „Jest tak piękna i miła, że mimo jej uroczej gry człowiek jest zadowolony, gdy grać przestaje, aby móc z nią rozmawiać, i na odmianę prag-

nie, aby znowu grała, gdyż mowa jej tak podnieca, że ma się nadzieję odzyskać spokój tylko podczas jej gry.“ Goethe pokazał Müllerowi nawet jej listy i na podstawie oglądanego pisma rozwodził się nad jej charakterem, odczytał też „z największym patosem“ wiersz jej poświęcony, jak również wiersz do Kazimiery Wołowskiej.

Gdy kanclerz Müller zadaje mu kilka podchwytliwych pytań o pianistce, Goethe odpowiada lekko łając: „Ach, kanclerz nieraz mimo woli sprawia mi zmartwienie.“ Müller zaś jest w tym okresie, jak zobaczymy, o wiele bystrzejszym obserwatorem niż Eckermann, który, dopiero co, w czerwcu, przywędrował do Weimaru z tobołkiem na plecach i z trudem wkraczał w nieznany mu świat salonowych parkietów. Müller więc nie uważa bynajmniej omawianych spotkań za przelotną znajomość uzdrowiskową, co stwierdza następujący jego zapisek w dzienniku, później zresztą przekreślony: „Miałem ochotę poprosić go, aby Linie odczytał swój wiersz do pięknej Polki, lecz nie zdobyłem się na odwagę, gdyż zastanowiło mnie i zmartwiło opowiadanie Rehbeina o tym, jak się oburzył na Pencera z powodu niedyskretnego rozpowiadania o jego byronowskim stosunku.“

Rehbein był to lekarz w Weimarze, a Pencer — nadradca w Konsystorzu.

Szymanowska tymczasem, po koncertach w Pillnitz, gdzie król saski kazał jej doręczyć kosztowne brylantowe zausznice, w Dreźnie i w Lipsku, podczas słynnych jarmarków, gdzie największe jak dotąd ma powodzenie, przybywa 23 października do Weimaru. Zajrzyjmy znowu do dziennika Goethego:

> 24.X. Stawiałem bańki. Zaanonsowano panią Szymanowską, przybywającą z Drezna i Lipska. *Madame* Szymanowska i siostra na obiedzie. Równie ujmująca, jak doskonale gra na fortepianie. Popołudnie dla mnie. Wieczorem damy. Pani von Pognisch. Hrabina Lina przyszła późno przyjeżdżając z Gothy. Kilku Anglików, kanclerz von Müller, profesor Riemer. Dokonałem z nim rewizji piątego arkusza. Zajmująca gra na fortepianie. Umówiono się na śniadanie w dniu jutrzejszym w Belwederze.

Z dziennika i innych listów kanclerza Müllera, który na przyjęciu wieczornym, wydanym przez Goethego na cześć Szymanowskiej, poznał „uroczą pianistkę“, wiemy, że Goethe był „przez cały wieczór wesoły i miły, rozkoszował się ogólnym uznaniem, które pani Szymanowska wywoływała zarówno swoją osobą, jak i uduchowioną grą“. Była ubrana w brązową suknię, biały szal koronkowy i białą czapeczkę przybraną różami. Kanclerz Müller podaje również, że wzruszająco opowiadała o swej ociemniałej siostrze i jej leczeniu przy pomocy modnego magnetyzmu, z czcią wyrażała się o rodzicach, do których codziennie pisuje listy. Pokazywała listy swych dzieci, 11-letnich bliźniaków, Heleny i Romualda, i 9-letniej Celiny.

Pod datą 25.X., była to sobota, znajdujemy w dzienniku Goethego zapis, że... „Śniadanie w Belwederze odbyło się przy pięknej pogodzie. Pani Szymanowska na obiedzie.“

Lecz czas zajrzeć do rozmów Eckermanna z Goethem. Ze zdziwieniem trzeba stwierdzić, że dotąd nie ma nawet wzmianki o Szymanowskiej. Opisuje natomiast starania Goethego, aby ten wymarzony pomocnik w porządkowaniu

twórczości literackiej, przybyły z zapadłego zaścianka wiejskiego, jak najprędzej nabrał brakującej ogłady towarzyskiej. Pod datą 25 października po raz pierwszy znajdujemy zapis dotyczący pianistki. „O zmierzchu — pisze Eckermann — byłem pół godzinki u Goethego. Siedział przed swym biurkiem na drewnianym krześle z poręczami; zastałem go w cudownie łagodnym nastroju, jakby przepełniał go całego spokój niebiański lub też jakby myślał o słodkim szczęściu, którego doznał i które znowu spływa mu z przepełnionej duszy." Czyżby o Ulryce wtedy myślał?

W dzienniku Goethego czytamy:

26.X. Na obiedzie *madame* Szymanowska i siostra. Po obiedzie wiersze hiszpańskie. Von Hoff. Kanclerz von Müller z nowoprzybyłymi Anglikami.

27.X. Przygotowania do koncertu wieczornego. Na odbiedzie *Madame* Szymanowska, siostra i brat. Próbuje trochę i przygotowuje na wieczór. Urządzenie pokoi do koncertu. Eckermann przynosi notatkę dla gazety porannej. Dałem mu do wglądu najnowszy wiersz. Natychmiast bardzo subtelne o nim uwagi. Towarzystwo powoli się zbierało. *Madame* Szymanowska grała. Madame Eberwein śpiewała przy akompaniamencie instrumentów smyczkowych i dętych. Rozstano się koło godziny dziesiątej.

Eckermann natomiast notuje:

Dziś rano zostałem zaproszony do Goethego na herbatę i koncert. Służący pokazał mi listę zaproszonych, z której przekonałem się, że zgromadzenie będzie liczne i świetne. Opowiadał, że przybyła jakaś młoda Polka, która będzie grała na fortepianie. Przyjąłem zaproszenie z radością.

Potem przyniesiono program teatralny. Miano grać *Maszynę szachową*. Nie znałem tej sztuki, a gospodyni moja tak się nad nią rozpływała w pochwałach, że ogarnęła mnie nieodparta chęć zobaczenia jej. Nadto przez dzień cały nie czułem się nadzwyczajnie i coraz bardziej wydawało mi się, że lepiej się będę bawił oglądając wesołą komedię niż w tak doborowym towarzystwie.

Pod wieczór, na godzinę przed teatrem, poszedłem do Goethego. W domu krzątano się żywo; przechodząc słyszałem, jak w pokoju większym strojono fortepian w przygotowaniu do wieczoru muzycznego.

Goethe znajdował się sam w swoim pokoju, już wystrojony na wieczór; byłem mu, wydaje się, na rękę. »Niech pan już pozostanie — powiedział — porozmawiamy, póki reszta nie nadejdzie.« Pomyślałem sobie: tu się nie wywiniesz, będziesz musiał zostać; teraz wprawdzie z Goethem sam na sam jest ci bardzo miło, lecz jak nadejdzie tak wiele obcych panów i pań, to wtedy nie poczujesz się w swoim żywiole.

Chodziłem z Goethem po pokoju. Nie trwało długo, a rozmowa zeszła na teatr i miałem okazję powtórzyć, że jest on dla mnie źródłem coraz nowych przyjemności, tym bardziej że w moim dotychczasowym życiu nic prawie nie widziałem i teraz byłem pod ciągle nowym wrażeniem niemal że wszystkich sztuk. »Do tego aż doszło — dodałem — że jestem teraz w rozterce, chociaż oczekuje mnie u Pana tak urozmaicone wieczorne przyjęcie.« »Wie pan co — odpowiedział na to Goethe przystając i patrząc na mnie uważnie i po przyjacielsku — niech Pan idzie! Niech Pan się nie krępuje! Jeżeli Panu dziś wieczorem bardziej odpowiada

ta wesoła sztuka, to niech Pan idzie. U mnie będzie muzyka, a tę Pan będzie miał jeszcze często.« — »Tak — odrzekłem — więc pójdę, lepiej też to dla mnie będzie, że się pośmieję.« — »A więc — powiedział Goethe — niech Pan u mnie zostanie do szóstej, to będziemy mogli jeszcze trochę porozmawiać.«

Różne można snuć domysły, co było powodem, że Goethe godził się, by Eckermann poszedł na przedstawienie nic nie znaczącej *Maszyny szachowej*. Tym dziwniejsza jest ta zgoda, skoro zestawi się z nią jego oświadczenie wobec kanclerza Müllera, że „hrabinę Julię Egloffstein, gdyby była oddalona tylko o dzień drogi, należałoby ściągać pocztą kurierską, gdyż czegoś takiego, jak gra Szymanowskiej na fortepianie, nie usłyszy tak prędko".

Eckermann, któremu Goethe pokazał potem ostatni swój wiersz, *Elegię marienbadzką*, po spędzeniu wieczoru w teatrze notuje:

Po teatrze przechodziłem koło jego domu; pełen był światła, słyszałem, że grano, i żałowałem, że tam nie zostałem.

Następnego dnia opowiadano mi, że młoda polska dama, *madame* Szymanowska, na której cześć urządzono to wieczorne przyjęcie, po mistrzowsku grała na fortepianie, budząc zachwyt całego towarzystwa. Dowiedziałem się też, że Goethe poznał ją tego lata w Marienbadzie i że teraz przybyła, aby go odwiedzić...

Z zapisków kanclerza Müllera wiemy, że tego wieczoru, z widoczną tremą, Szymanowska grała w zespole trio Beethovena i kwartet fortepianowy księcia Ludwika Ferdynanda. Suknię miała brązowo-niebieską z czarnym przybraniem, rękawy z białymi bufami, czarny szal koronkowy i włosy gładko uczesane. Tego wieczoru też Goethe powziął myśl, aby artystka wystąpiła z koncertem publicznym, i prosił Schmidta, Coudreya i Müllera o realizację projektu.

Dalszy pobyt Szymanowskiej w Weimarze według zapisków w dzienniku Goethego przebiegał następująco:

28.X. *Madame* Szymanowska i siostra wymawiają się od obiadu. Kanclerz von Müller w sprawie koncertu pani Szymanowskiej.

29.X. Tajny radca dworu, Kirms, w sprawie koncertu. Pan kanclerz Müller w sprawie koncertu na wtorek. Na obiedzie Szymanowska wraz z siostrą. Obecni byli Soret i ten młodszy Anglik. Starałem się odłożyć ekspedycję...

30.X. *Madame* Szymanowska, siostra i brat na obiedzie. Wieczorem większe towarzystwo.

31.X. Urodziny Otylii. Na obiedzie *madame* Szymanowska i siostra.

1.XI. Na odbiedzie *madame* Szymanowska z rodzeństwem.

2.XI. Na obiedzie *madame* Szymanowska i rodzeństwo. Po obiedzie gra na fortepianie. Potem dyrektor Coudrey. Różnorakie wydarzenia u dworu i w mieście; przeszkody i pomoce dla wtorkowego koncertu.

3.XI. Langemu zapłaciłem bilety koncertowe. *Madame* Szymanowska z rodzeństwem na obiedzie. Grała wspaniale rondo Klengla. Popołudnie dla mnie. Przemyśliwałem, co chciałaby mieć w swym sztambuchu...

Pod datą 3 listopada znajdujemy też, znowu u Eckermanna, zapis dotyczący Szymanowskiej. Zanotował on:

Poszedłem po piątej do Goethego. Gdy wszedłem na górę, usłyszałem z pokoju większego głośną i żywą rozmowę oraz dowcipkowanie. Służący mówił, że młoda polska dama była na obiedzie i towarzystwo jeszcze się nie rozeszło. Zamierzałem odejść, lecz oświadczył, że ma rozkaz zaanonsowania mnie; może też będzie to miłe jego panu, gdyż jest już późno.

Nie sprzeciwiłem mu się więc i czekałem chwilę, po czym Goethe nadszedł, bardzo wesoły, i razem ze mną poszedł do swego pokoju. Wizyta moja, zdaje się, była mu bardzo miła. Polecił zaraz przynieść butelkę wina, które nalewał mnie i przy okazji sobie.

»Zanim zapomnę — powiedział potem szukając czegoś na stole — ma pan tu bilet na koncert. *Madame* Szymanowska daje jutro wieczorem koncert publiczny w sali Domu Miejskiego; tego Pan nie może opuścić.« Odrzekłem mu, że mego niedawnego głupstwa nie popełnię po raz drugi.

»Podobno grała bardzo dobrze« — dodałem. »Naprawdę doskonale« — powiedział Goethe. »Czy tak dobrze jak Hummel?« — zapytałem. — »Musi pan wziąć pod uwagę — mówił Goethe — że jest ona nie tylko wielką wirtuozką, lecz równocześnie piękną kobietą, toteż wydaje się nam, jakby wszystko było powabniejsze; ma mistrzowską technikę, trzeba podziwiać!« — »Lecz czy też siłę uderzenia?« — pytałem. — »Tak, też siłę uderzenia — odpowiedział Goethe — i to właśnie jest u niej najdziwniejsze, gdyż tego u kobiet zazwyczaj się nie spotyka.« Odrzekłem, że bardzo się cieszę, iż jednak ją usłyszę.

We wtorek, 4 listopada, koncert o włos nie odbyłby się z powodu braku dobrego instrumentu, gdyby w ostatniej chwili nie przyszła z pomocą sama wielka księżna, ofiarując wspaniałomyślnie swój własny fortepian. Program był urozmaicony: grała dworska orkiestra symfoniczna, występowali śpiewacy operowi, pani Eberwein i panowie Stromeyer i Moltke, a Szymanowska grała koncert fortepianowy a-moll Hummla, nokturn Fielda i rondo Klengla.

W dzienniku Goethego znajdujemy z dnia tego następujący wpis:

> Załatwiłem miedzioryty i wiersze do sztambuchu pani Szymanowskiej. Na obiedzie *madame* Szymanowska i siostra. Pan kanclerz von Müller z szeregiem wiadomości o koncercie. Wieczorem po koncercie *madame* Szymanowska, siostra i kanclerz.

Z zapisków Müllera wiemy, że w kolacji brali też udział hr. Egloffsteinowie, że Goethe był przemiłym gospodarzem, że wznoszono szereg toastów, a gdy jeden z nich poświęcono wspomnieniom, Goethe z wielką żywością wywodził:

> Nie godzę się na pamięć w waszym zrozumieniu, jest to tylko nieporadny sposób wysłowienia się. Gdy w życiu stykamy się z czymś wielkim, pięknym i ważnym, to nie zachodzi potrzeba odtwarzania tego w pamięci ponownie, od zewnątrz, i jakby powtórnego uchwycenia, lecz przeciwnie, musi się to wpleść w wewnętrzną naszą istotę od samego początku, zjednoczyć z nią, wytworzyć w nas nowe, lepsze „ja“ i jako siła wiecznie twórcza nadal w nas żyć i działać. Nie istnieje przeszłość, której powrotu wolno by pragnąć, istnieje tylko wieczyście Nowe, kształtujące się z rozszerzonych pierwiastków przeszłości, a prawdziwa tęsknota musi być zawsze twórcza i stwarzać wciąż nowe i lepsze. Czyśmy tego sa-

mi — podkreślił z wielkim wzruszeniem — na sobie w tych dniach nie doświadczyli? Czyż nie czujemy się wszyscy przez to lube i szlachetne zjawisko, które obecnie zamierza nas znowu opuścić, w istocie naszej odświeżeni, polepszeni i rozszerzeni? Nie, nie zdoła nam ona ujść, przeniknęła do naszej jaźni, żyje nadal w nas i z nami i cokolwiek chciałaby przedsięwziąć, aby uciec przede mną, ja na zawsze już ją w sobie zatrzymam."

Następny dzień był dniem pożegnań. Goethe zanotował w swym dzienniku:

Madame Szymanowska i siostra na obiedzie. Pan kanclerz von Müller. Omawianie listów polecających. Pan Soret z dwoma Polakami. Pozostałem sam. Pan kanclerz przyszedł znowu. Obie siostry pożegnały się. Ja pozostałem z radcą dworu Meyerem. Omawialiśmy nowe miedzioryty — co o nich mówiono i mówić należało. Wcześnie udałem się do łóżka.

Przebieg rozstania Goethego z Szymanowską jest znany z dokładnej relacji kanclerza Müllera:

Gdy po południu przyszedłem do Goethego — zanotował Müller — zastałem go jeszcze z panią Szymanowską przy stole. Właśnie przed chwilą rozdzieliła dla całej rodziny, nie zapominając o swym ulubieńcu, małym Wolfie, nieduże, wytworne podarki pożegnalne, częściowo dzieła własnych jej rąk, a stary pan był w najdziwaczniejszym usposobieniu. Starał się być pogodny i pełen humoru, jednak ze wszystkiego wyzierał głęboki smutek pożegnania.

Po obiedzie nie mógł sobie znaleźć miejsca chodząc tu i tam, znikał, przychodził i znów wychodził, przeżywał rozstanie. Potem wpisał się w języku francuskim do pamiętnika Kazimiery Wołowskiej: »Proszę mnie polecać pamięci wszystkich znajomych, ja również będę wszystkich dopytywał o Panią.«

O godzinie piątej pani Szymanowska miała wyznaczoną audiencję pożegnalną u Wielkiej Księżnej, na którą z powodu żałoby dworskiej ubrała się cała na czarno, wywołując na Goethem jeszcze większe niż zazwyczaj wrażenie. (Z białą czapeczką na głowie, przybraną bladym kwiatem, była też jeszcze piękniejsza niż zwykle.) Zajechał powóz i zniknęła nie zwracając uwagi poety. Wątpliwe było, czy jeszcze powróci.

Wówczas już bez obsłonek uczucie wzięło górę u Goethego; najusilniej prosił mnie, abym spowodował, żeby jeszcze powróciła i nie odjeżdżała bez pożegnania. W kilka godzin później syn i ja wprowadziliśmy ją wraz z siostrą do Goethego. »Odjeżdżam bogata i przez pana pocieszona — oświadczyła Szymanowska Goethemu — utwierdził Pan we mnie wiarę w siebie samą. Czuję się lepszą i godniejszą, skoro Pan mnie ceni. Ani słowa o pożegnaniu, ani słowa o wdzięczności; oddajmy się raczej marzeniom o ponownym spotkaniu. O, gdybym była już o wiele starsza i mogła niebawem spodziewać się wnuka, musiałby nazywać się Wolf, a pierwsze słowo, którego nauczyłabym go szczebiotać, byłoby drogie Pana nazwisko. »*Comment* — odpowiedział Goethe — *vos compatriotes ont eu tout de peine à chasser les loups de chez eux et vous voulez les y reconduire?*«

Lecz wszelkie wysiłki, by zdobyć się na humor, na nic się nie zdały i nie mogły powtrzymać nagłych łez; bez słowa wziął ją i siostrę w ramiona, a wzrok jego długo jeszcze jej towarzyszył, gdy zniknęła poprzez długi, otwarty rząd pokojów.

»Tej uroczej kobiecie wiele zawdzięczam — oświadczył mi później — znajomość z nią i przecudowny jej talent pozwoliły mi odnaleźć samego siebie.«

Tak zatem wyglądało rozstanie Goethego z Szymanowską według relacji kanclerza Müllera.

Goethe na drugi dzień po wyjeździe Szymanowskiej poważnie zapada na zdrowiu, wróciła choroba serca, która mu dokuczała w lutym 1822 r.

„Wieczorem poczułem się niedobrze" — notuje w swym dzienniku pod datą 6 listopada, a przez następne noce trapi go bezsenność, spędza je nie w łóżku, lecz siedząc na fotelu. Silna jego natura wkrótce przezwyciężyła chorobę.

Biografowie Goethego na ogół przyjmują, że choroba ta spowodowana została nawrotem uczucia do Ulryki. Lecz czy naprawdę można się zgodzić z takim umniejszaniem roli Szymanowskiej w życiu Goethego? Przecież od chwili gdy ją poznał, skoro tylko są razem, dziennik jego pełen jest Szymanowskiej. Któż z przyjezdnych do Weimaru, a było wielu cudzoziemców, którzy przyjeżdżali złożyć hołd poecie, przez większość uważanego za największego z żyjących, któż z przyjezdnych może się poszczycić, że był tak oczekiwanym, codziennym gościem, jak Szymanowska? A Goethe w roli impresaria, energicznie przezwyciężający przeszkody do publicznego koncertu polskiej pianistki, czyż takie zainteresowanie nie przekracza ram zwykłej przyjaźni? Również po chorobie listy jego do przyjaciół: Knebela, Sulpiz Boisserée, Schulza, Nees von Eesenbecka itd., pełne są wzmianek o Szymanowskiej.

Wszystko to można na upartego wytłumaczyć urokiem gry Szymanowskiej, lecz jeśli do tego dodać jeden z najładniejszych liryków Goethego, pod czarem jej osoby i dla niej pisany, jeżeli przypomnieć piękny i tak wnikliwy toast Goethego podczas uczty pożegnalnej, jeżeli wreszcie dodać tak czułą scenę rozstania, a wreszcie co najważniejsze, jeżeli sobie uprzytomnić wielką urodę i urok Szymanowskiej, o których tyle rozpisywał się Goethe, to chyba trudno nie przyznać racji bystremu obserwatorowi, kanclerzowi Müllerowi. Pisał on do hrabiny Julii Egloffstein:

Widzi więc Pani, że jego namiętność do Ulryki Levetzow przynajmniej nie jest ekskluzywna i że ja mam rację twierdząc: nie ta poszczególna osoba, lecz wzmożona potrzeba duszy udzielania się i współodczuwania wywołała jego obecny stan uczuciowy.

Jest też jeszcze notatka Eckermanna, a właściwie Soreta, wychowawcy młodego księcia weimarskiego, z dnia 17 listopada 1823 r., stwierdzająca, że choroba Goethego „nie wydaje się być tylko natury fizycznej. Wydaje się raczej, że namiętna skłonność, którą poczuł tego lata w Marienbadzie do jednej młodej damy i którą obecnie stara się zwalczyć, należy uważać za główny powód obecnej choroby". Jeżeli do tej notatki zastosować interpretację ściśle gramatyczną, to dotyczy ona w ogóle Szymanowskiej, a nie Ulryki von Levetzow. Ulrykę znał już, kiedy była dzieckiem, a poznał bliżej w 1821 r., i pokochał latem 1822 r., a nie dopiero w lecie 1823 r. Jest wreszcie jeszcze jedno świadectwo, może najbardziej ważkie. Wiadomo, jak wielka i dawna przyjaźń łączyła Goethego z berlińskim kompozytorem, Karolem Fryderykiem Zelterem. Niespodziewany przyjazd Zeltera do chorego Goethego, nastąpiło to 24 listopada

1823 r., i rozmowy z oddanym przyjacielem prędko przywracają staremu poecie dawne siły. Otóż ten wrażliwy i subtelny przyjaciel, który dobrze zdawał sobie sprawę, czego pragnie zbolałe serce Goethego, w liście z 8 stycznia 1824, opisując drugi koncert Szymanowskiej w Berlinie, na którym był król pruski z całym dworem, stwierdza: „Jest w Tobie szalenie zakochana i na moich ustach złożyła dla Ciebie sto całusów."

Można ten *passus*, brzmiący tak młodzieńczo, przyjąć jednak za dobrą monetę, skoro sobie przypomnimy choćby nagłą eskapadę Szymanowskiej z Marienbadu do Karlsbadu: nie przestraszyły jej trudy wielogodzinnej, uciążliwej podróży, aby tylko jeszcze kilka chwil móc spędzić z Goethem, lub też skoro sobie przypomnimy rozstanie, gdy pragnie, aby pierwszym słowem wymówionym przez jej wnuka było nazwisko Goethego.

Trudno więc pogodzić się z tymi licznymi biografami, którzy Szymanowską odsuwają w cień czy nawet wręcz gubią w życiorysie księcia poetów. Fakty podane w tym krótkim szkicu są wymowne i przekonują, że chociaż Szymanowska wkroczyła w życie Goethego w ostatnich jego latach, jednak bynajmniej nie ostatnie zajmuje w nim miejsce.

Stanisław Szenic

Christo Botew

DZIEŃ ŚWIĘTEGO JERZEGO

Cieszcie się, starzy! cieszcie się, młodzi!
bo naród dziś wielkie święto obchodzi.
Starzy i młodzi, na kolana!
chwalcie Boga, waszego pana!
chwalcie cara, waszego pana!
Oto dziś dzień świętego Jerzego —
klękaj, narodzie, i módl się do niego.

Słuchają owieczki i biegną skoro
z nabożeństwem, czcią i pokorą
na rozkaz cara, na rozkaz pasterza.
Będzie pacierz, gdy trzeba pacierza;
trzeba ofiary — będzie ofiara
na rozkaz pasterza, na rozkaz cara.
A car, wiadomo, nietęgi w głowie,
tacy już oni, ci ziemscy carowie;
niefrasobliwy i rozum ma kruchy,
takie już są te ziemskie pastuchy.
Lecz w garści ma piękny kij, pastorał,
i wiernie służy mu kundli sfora:
panowie ministry na czułej straży,
ministry bez teki, lecz także bez gaży.
Gdyby tak spojrzał car niebieski
na te chude, parszywe pieski,
rzekłby: „Szczęśliwsze moje owieczki
od tych ministrów bez grosza i teczki!"

Ruszyły owce, ruszyły jagnięta,
bo to dziś dzień wielkiego święta.
A gdy do celu dowlokły się już,
wszystkie jagnięta idą pod nóż,
bo musi się przecie najeść do syta
święty Jerzy, boży bandyta.
Czyż ta zmurszała święta kukła

żąda, by śmierć wam jagnięta tłukła?
Nie — to wszystko z rozkazu pastucha,
z rozkazu popa, dla świętego brzucha.
Pastuch jagnięta, a car dziewczęta,
by mógł w swym haremie święcić święta.
A co wam zostawi car kochany,
złupią bogacze, schrupią pany.

Narodzie, dajesz im pot i krew.
Każą ci śpiewać — będzie śpiew.
Każą ci tańczyć — będzie taniec.
Gdy pan jeno krzyknie, tańczy oberwaniec.
A chociaż pan obije oberwańca,
oberwaniec tańczy, gdy chcą tańca.

Dzisiaj święto — i pan społem
z oberwańcem zasiedli za stołem.
Już się pijani pod ławę walą
i waląc się, jeszcze beczą i chwalą
Boga i cara, bo każe pop.
Jak owce, co za pastuchem w trop
drepczą — a owiec pilnują psy —
ciesz się, narodzie, i zabecz i ty!

Przełożył
Artur Marya Swinarski

Stephan Hermlin

NIEMIECKI POETA – HEINE*

Pełen napięcia i zadziwiająco brzemienny w problemy jest ten jubileusz, ani trochę niepodobny do innych uroczystości, jakie nakazuje nam przypadek od czasu do czasu święcić, albowiem pytania, jakie stawiała Heinemu jego epoka, pytania, jakie Heine stawiał swojej epoce, wszystko to, co nie znalazło jeszcze odpowiedzi, jest zagadnieniem niemieckim. Żadna ze sprzeczności, wynikających z dzieł Heinego, nie została po dziś dzień rozwiązana ostatecznie. Kierunek natarcia Heinego jest naszym kierunkiem natarcia. To, co się jemu zarzuca, zarzuca się nam. To, co on usiłował rozwiązać, jest naszym zadaniem. W tych okolicznościach widać szczególnie dobitnie, że wielka poezja wyprzedza czas, czas bowiem, mimo wszystkie katastrofy i przewroty, jakie ze sobą niesie, właśnie w Niemczech pozostaje w tyle za wielką poezją.

Dziwna i pełna znaczenia jest ta rocznica przede wszystkim dlatego, że obchodzona jest — jak żadna inna — w dwóch różnych niemieckich państwach, na dwa różne sposoby. O naszym stanowisku, stanowisku państwa, w którym literackie dążenia Heinego stały się rzeczywistością społeczną, będzie jeszcze mowa. Będzie również mowa o tych, którzy na ziemiach pomiędzy Renem a Łabą z wielkim trudem walczą o cele, będące niegdyś celami Heinego.

Dzień dzisiejszy, dzień 17 lutego, nie tylko pozwala nam na polemikę, ale i domaga się jej od nas. W istocie, następcom liberałów, będących przed stu z górą laty przedmiotem niezmordowanych szyderstw Heinego — przy czym pod względem odwagi, talentu i uczciwości Börne, Gutzkow, Uhland byli olbrzymami w porównaniu do ich epigonów — nie łatwo przychodzi czcić pamięć człowieka, który oskarżał ich w każdym zdaniu; dodać należy, że zamierzają oni obchodzić tę uroczystość ramię w ramię z takimi, jakich Heine nienawidził śmiertelnie, z potomkami owych niegodziwych Teutonów, dla których „wychudłych pleców" Heine domagał się „rozpalonego żelaza kata", kiedy bronił nieszczęsnej Polski przeciw Prusom, i których chciał widzieć

* Referat wygłoszony przez poetę i prozaika niemieckiego, Stephana Hermlina, na uroczystości 100-lecia śmierci Henryka Heinego, w dniu 17 lutego 1956 r. w berlińskim teatrze *Volksbühne*.

zdeptanych jak ropuchy przez komunizm — oni, ci sami, którzy dzieła Heinego rzucili na płonący stos. Co ma począć to nowe „Święte Przymierze" o charakterze wewnątrzpolitycznym z wyniesioną na wyżyny poezji niemiecką samokrytyką Heinego, skoro ta samokrytyka oznacza negację ich własnej negatywnej egzystencji? Będą usiłowali Heinego zubażać, występujące u niego sprzeczności interpretować jako niewytłumaczalny wyraz jego osobistych skłonności i nastrojów, umniejszać — jak to już często czynili — jego sztukę poetycką na rzecz pomniejszych wielkości, których wynoszone pod niebiosa życie duchowe tak bardzo odpowiada ich własnym wyobrażeniom. Tym razem nie będą mówili o jego rzekomo niewystarczającej niemieckości, ale to tylko dlatego, że nie pozwala im na to ich osławiona reputacja demokratyczna.

Ten jubileusz, wznoszący się w Niemczech niby olbrzymi znak ostrzegawczy, z którego naród, jak rzadko kiedy, odczytać może szlak przebytej drogi i zadania na przyszłość, po stronie naszych przeciwników w najlepszym wypadku będzie tylko powtórzeniem owych osłodzonych fałszywymi uprzejmościami potwarzy, których głosiciele przygotowywali ów haniebny stos w roku 1933.

Problem pisarza politycznego — oto co stawia z całą powagą i z całym naciskiem przed nami i przed naszymi przeciwnikami rocznica śmierci Heinego. Fakt, że pisarz polityczny Heine narzuca ten problem nie tylko poprzez swą własną egzystencję, lecz stawia go głęboko teoretycznie przy omawianiu tendencyjności poezji, z czym niejednokrotnie bardzo inteligentnie polemizuje, rozszerza zasięg dylematu dla przeciwnika. Obóz reakcji nie potrafił rozwiązać zagadnienia sztuki politycznej w swoim własnym duchu. Dziś więc podejmuje próby przekreślenia politycznie postępowego pisarza, proponując mu, ażeby zachował swą sztukę pisarską, lecz odstąpił od swych przekonań. To przeciwstawienie odgrywa w Niemczech rolę bunajmniej niebłahą.

Zawsze wskazywano na to, iż Heine posiadał to, co dla każdego pisarza jest czymś „pierwszym i ostatnim: dzieje wewnętrzne". Właśnie w biografii Heinego widać wyraźnie, jak wiele dzieje wewnętrzne mają wspólnego z dziejami w ogóle, w jak znacznej mierze cierpienia epoki, obawy, pragnienia i rozterki społeczeństwa przeistaczają się w wewnętrzną historię pisarza. Ból Niemca i ból Żyda, złudzenia czasów i ustawiczne przezwyciężanie iluzji przy pomocy ironii, niesamowite wprost zrozumienie przebiegu społecznych procesów rozwojowych, uchwycenie rewolucyjnej filozofii epoki, rozbieżności pomiędzy romantycznością a poezją tendencyjną — wszystko to wraz z podróżami, historiami miłosnymi, przyjaźniami i nieprzyjaźniami składało się na te dzieje wewnętrzne, które uczyniły z Heinego największego poetę po Goethem. Właśnie sposób, w jaki to „pierwsze i ostatnie" tworzyło się w nim i powstawało, powoduje, iż pamięć o Heinem jest tak żywa i zapładniająca, sprawia, że odpowiedź na problem Heinego jest odpowiedzią na problem Niemiec. Ranga Heinego uwydatnia się w tym właśnie, iż on, jak żaden może inny pisarz niemiecki, stał się kryterium narodowym.

Aż do dziś pozycja Heinego nie w szerokim świecie, lecz w samych Niemczech, cierpiała na skutek tego, że Niemcy nie umieli zdobyć się na prawdziwe stanowisko w swych sprawach życiowych, w stosunku do siebie samych. Ucieczka w stronę reakcyjnego szowinizmu lub w stronę rzekomo rewolucyjnie kosmopolitycznego odstępstwa od uczuć narodowych kazała im —

oczywiście z bardzo konkretnych, historycznych powodów — ujmować ukochanie ojczyzny jako uczucie przeciwstawne w stosunku do umiłowania ludzkości, nie pozwalając dostrzegać w obydwóch głęboko sięgającej zgodności.

W ocenie Heinego dziś jeszcze pokutują anachroniczne grzechy. Ton narodowy w poezji niemieckiej dźwięczał oczywiście już przed Heinem — w czasie, któremu sam Heine nadał miano *„Kunstperiode"*, czy nawet jeszcze wcześniej, pod koniec wojny trzydziestoletniej. Prawdziwie niemiecki ton poezji w obliczu rzeczywistości narodowej nie mógł rozbrzmiewać inaczej, niż jako jedna wielka elegijna skarga lub jak ów oryginalny, wyniesiony przez Heinego na najwyższe szczyty, łamiący się dwugłos: gniewu i miłości.

W poezji innych narodów nie istnieje nic podobnego, nic podobnego nie może egzystować, gdyż założenia tej lirycznej intonacji tkwią w owych specyficznych anachronizmach, które już zastała poezja niemiecka. Lecz Niemcy dały ze siebie groteskowe widowisko: właśnie ów ton najwyższego bólu narodowego, wysublimowanego patriotyzmu, ów jak najbardziej osobisty i zarazem wyrażający duszę całego narodu głos został źle zrozumiany, a jego twórcę obrzucono wyzwiskami, jako powierzchownego, obłudnego, nie-niemieckiego wykolejeńca.

Hölderlina:

Du Land der Liebe! Bin ich der deine schon,
Oft zürnt ich weinend, dass du immer
Blöde die eigne Seele leugnest...

i Heinego:

Ich hatte einst ein schönes Vaterland,
der Eichenbaum
wuchs da so hoch, die Veilchen nickten sanft,
es war ein Traum.

— oba wiersze, mimo różnicy w środkach wyrazu, płyną z tego samego źródła. U Hölderlina ci, którzy byli przyzwyczajeni uzurpować dla siebie wszystko, co patriotyczne, od biedy mogli tekst ten tak właśnie odczytać. Lecz głos ten nie był zbyt donośny, ani też nie miał zbyt rozległego zasięgu, a gdyby tak zawziąć się, można by uczepić się słów *„Wenn schon aus deiner Tiefe die Fremden ihr Bestes haben"* („Choć z twoich głębin obcy czerpią to, co najlepsze". Hölderlin).

Lecz z Heinem było inaczej. Żydek z Düsseldorfu, który schronił się we Francji i którego *Księga pieśni* jeszcze za jego życia rozeszła się w Niemczech w ilości 65.000 egzemplarzy, uderzał nie tylko w tony elegijne. Obok elegijnego bólu występują u niego z mocą nigdy dotąd nie słyszaną druzgocący gniew i szyderstwo. Stronnictwo niemieckiego szowinizmu, ten szkaradny wytwór przeżytków historycznych, wyrosły z tępoty kontrrewolucyjnej, jako stronnictwo antyfrancuskie, które przerodziło się w końcu w partię „rasy panów", „Niemiec ponad wszystko", w partię antybolszewizmu — nie mogło, oczywiście, nigdy wybaczyć Heinemu miażdżących ciosów, jakie mu za życia zadawał. Źle się stało, że tym wciąż jeszcze pleniącym się bujnie pasożytom

udało się uchodzić za partię narodową, co więcej! podawać się po prostu za sam naród. Bezkarnie spotwarzali człowieka, którego w tym samym czasie Balzak nazwał „najgodniejszym reprezentantem niemieckiej poezji we Francji" — tak samo bezkarnie, jak później zniesławiali i hańbili jego pamięć.

Jakżeż — to miało być nie-niemieckie, ten słynny początek *Baśni zimowej,* który brzmi:

Und als ich die deutsche Sprache vernahm,
da ward mir seltsam zumute,
ich meinte nicht anders, als wenn das Herz
recht angenehm verblute.*

Ten sam Heine jako 19-letni chłopiec pisze:

Schau ich jetzt von meinem Berge,
in das deutsche Land hinab,
seh ich nur ein Völklein Zwerge
kriechen auf der Riesen Grab.

Muttersöhnchen gehn in Seide,
nennen sich des Volkes Kern,
Schurken tragen Ehrgeschmeide,
Söldner brüsten sich als Herrn.

Jak to, to ma być nie-niemieckie, ten wiersz, który przed kilkunastu laty na głos lub w myśli powtarzały setki tysięcy najlepszych Niemców tak jak modlitwę? Te inne, prawdziwe Niemcy w obliczu świata przeciwstawiały zbrodniom i hańbie, ośmielającym się przemawiać w imieniu Niemiec, ów wiersz: *Denk ich an Deutschland in der Nacht,* w którym jest dwuwiersz:

Deutschland hat ewigen Bestand,
Es ist ein kerngesundes Land.

Jak to, to ma być nie-niemieckie, to wstrząsające miejsce we wstępie do pierwszego tomu *Salonu,* w którym jest mowa o tym, jak emigrant Heine spotyka na drodze do Le Havre niemieckich uchodźców, jak oczom jego ukazuje się na chwilę utracona ojczyzna:

„...Dlaczego więc opuściliście Niemcy?" — zapytałem tych biednych ludzi. — „Kraj jest dobry, zostalibyśmy tam chętnie, ale nie mogliśmy już dłużej wytrzymać!" A dalej: „Przysięgam na wszystkich bogów w niebie i na ziemi, że już jedna dziesiąta tego, co ci ludzie wycierpieli w Niemczech, wywołałaby we Francji trzydzieści sześć rewolucji i trzydziestu sześciu królów zapłaciłoby koroną razem z głową".

A jeszcze dalej: „Niemcy, to my sami, i dlatego poczułem się nagle taki słaby i chory na widok tych uchodźców, na widok tego wielkiego upływu krwi z ran mojej ojczyzny..."

---

* Gdy doszedł mnie mowy niemieckiej dźwięk,
Coś tak ścisnęło się we mnie,
Że byłem pewny — to serce me
Wykrwawia się wcale przyjemnie.
(przełożył St. J. Lec)

Nie-Niemcem miałby być ten, którego liryczne utwory możemy cytować całymi godzinami, a każdy cytat będzie jeszcze jednym, nowym świadectwem jego niemieckości? On, którego poezja stopiła się w nierozłączną całość z niemiecką muzyką, z muzyką Schuberta, Schumanna i Brahmsa? On, którego słynnej *Lorelei* nawet za panowania siepaczy nie można było wytępić, tak że nawet uzurpatorzy byli zmuszeni nadać jej miano „anonimowej pieśni ludowej", zamierzając wyrządzić tym sposobem jej autorowi obelgę, a okazali mu, wbrew swej woli, tylko najwyższy zaszczyt, jaki może przypaść w udziale poecie?

On miałby być nie-Niemcem, on, o którym Laube pisze... Ale przytoczmy wpierw to, co powiedział Karol Marks o filozofii niemieckiej: iż jest ona „idealnym przedłużeniem historii Niemiec". Możemy dodać do tego, że to idealne przedłużenie historii Niemiec obejmuje również niemiecką sztukę i literaturę. To była domena, w której naród wypełnił swe prawdziwe, swe narodowe zadanie, w której jaśniał wszystkimi blaskami, wielki i godny chwały, wśród innych narodów. Oto co pisze Laube o dyskusjach, jakie prowadził Heine w Paryżu ze swoimi francuskimi przyjaciółmi: „Tak, drwił niemiłosiernie po niemiecku z nich, a miał na oku tylko ich harcapy, grube, długie i sztywne, bronił niemieckiej nauki, sztuki i obyczajów on, straszliwy gladiator, przeciw wyzywającym uśmieszkom Francuzów, walczył jak o sprawę serca z owym błyskotliwym dowcipem, który tylko jemu był właściwy i w którym Francuzi, chociaż sami bardzo uzdolnieni, musieli przyznawać mu osobliwą przewagę. Nigdy może interesy Niemiec nie były tak osobliwie i tak druzgocąco bronione, jak przez Heinego w owych szrankach; powiadam: »osobliwie«, gdyż Francuzi dziś jeszcze nie wiedzą, jaki kształt narodowy ducha mieszkał w tym człowieku..."

Jeśli reakcja nie ośmiela się już — z powodów oportunistycznych — poddawać w wątpliwość niemieckiego charakteru poezji Heinego, to usiłuje przynajmniej obniżyć jej rangę. Metoda ta cieszy się od pewnego czasu wzrastającą popularnością, i to właśnie wśród potomków tych, o których Heine myślał, rymując słowa: *„Teetisch"* i *„ästhetisch"*. Heine, poeta niemiecki? Czy istnieje jeszcze coś podobnego? Cała gromada nieco suchotniczych transcendentalistów, opętanych abstrakcją, z zabójczą pewnością siebie i z nieodpartym komizmem hołdujących zawsze tej modzie, którą zagranica właśnie już zarzuciła — przekonana jest najgłębiej, że Heine był wprawdzie poetą, ale w żadnym razie — wielkim poetą!

Najbardziej razi ich — w końcu — popularność Heinego, co znajduje dokładny odpowiednik w ich wrogości do mas. Ale właśnie tego szkopułu nie mogą ominąć. Narodową rangę pisarza wyznacza między innymi jego popularność; na tej podstawie można wywnioskować, do jakiego stopnia dany pisarz reprezentuje literaturę swego kraju w świecie. Światowa sława Heinego rozpoczęła się jeszcze za jego życia. Był tłumaczony w Rosji, we Francji, nawet w Japonii, tak jak poprzedzający go Goethe. Ogromna poczytność, z jaką spotkały się jego utwory w Związku Radzieckim, gdzie nakłady osiągały siedmiocyfrowe liczby, fakt, że przeciętny Francuz, któremu każą przytoczyć nazwiska dwóch pisarzy niemieckich, zawsze wymieni Heinego na pierwszym lub drugim miejscu, okoliczność, że nie ma takiego narodu kulturalnego, w którego języku nie ukazałyby się utwory Heinego, że pieśni jego, do któ-

rych skomponowano muzykę, śpiewane są na wszystkich kontynentach — to wszystko istnieje, nie da się obalić i na szczęście nie pozwala na żadne, choćby nie wiem jak „głębokie", próby, pomniejszające dorobek poetycki Heinego.

Nic w tym, oczywiście, dziwnego, że „narodowy kształt ducha", o którym mówił Laube, i bezlitosna krytyka wszelkich przeżytków, przy jednoczesnym powołaniu do życia owych „idealnych przedłużeń", znalazły zrozumienie dopiero w tej klasie, która w Niemczech mogła sama rozwiązać również i zagadnienie prawdziwego stosunku do narodu — to jest: w proletariacie. Popularność Heinego, która, jak powiedzieliśmy, już za jego życia osiągnęła niesłychane wyżyny, wywodziła się po większej części z nieporozumień. Obrońcy przeżytków nie przestawali ścigać go swą nienawiścią. Prawdziwe, pełne miłości zrozumienie znalazł Heine u rewolucyjnego proletariatu. Zapoczątkowali je obrońcy jego sprawy, Marks i Engels, z którymi Heine, według jego własnego świadectwa, umiał porozumiewać się w lot, przy pomocy nielicznych znaków. To krytycznie serdeczne zrozumienie poezji Heinego wzrastało w Niemczech w tym samym stopniu, w jakim zyskiwał na sile ruch robotniczy. Jeżeli nie brać pod uwagę odosobnionego sądu Nietzschego, który lubił rzucać wyzwanie mieszczaństwu, to w końcu XIX wieku pozycja Heinego jako wielkiego, prawdziwie narodowego pisarza była ugruntowana przede wszystkim w proletariacie.

Na przykładzie Heinego niemiecka klasa robotnicza po raz pierwszy pouczyła opinię publiczną, iż tylko ona powołana jest do tego, żeby występować jako spadkobierczyni wielkiej kultury niemieckiej, wyślizgującej się z rąk burżuazji. Jednocześnie obala interesującą, a mylną opinię Heinego o roli sztuki pod panowaniem socjalizmu, zawartą w słynnej przedmowie do francuskiego wydania *Lutetii*. Nie po raz pierwszy wznosząc się na imponujące wyżyny proroka, przepowiadającego historyczną przyszłość, Heine daje jednocześnie wyraz swym wątpliwościom natury estetycznej:

„To wyznanie, że przyszłość należy do komunistów, uczyniłem tonem niepokoju i największej obawy, i — ach! — nie było to bynajmniej udawaniem! Zaiste, ze zgrozą i strachem myślę o tych czasach, kiedy ci ciemni obrazoburcy dojdą do władzy; swymi spracowanymi rękami bezlitośnie rozwalą wszystkie marmurowe posągi piękna, które są tak drogie memu sercu; zdruzgocą wszystkie owe igraszki i fantastyczne błahostki sztuki, które poeta tak umiłował; zniszczą moje gaje wawrzynowe i zasadzą tam kartofle; lilie, które ani przędły, ani pracowały, a jednak odziane były z takim samym przepychem jak król Salomon w całej swej okazałości, będą wydarte z gleby społeczeństwa, chyba że wezmą do ręki wrzeciono; róże, owe bezczynne narzeczone słowików, spotka ten sam los; słowiki, ci niepotrzebni śpiewacy, zostaną przepędzeni i — ach! — moja *Księga pieśni* służyć będzie sklepikarzowi kolonialnemu do zwijania torebek, do których będzie wsypywał biednym starym kobietom przyszłości kawę i tytoń. Ach, ja to wszystko przewiduję i ogarnia mnie niewymowny smutek, gdy pomyślę o upadku, jakim zwycięski proletariat zagraża moim wierszom, które zginą wraz z całym starym światem romantycznym. A jednak, przyznaję to ze szczerością, właśnie ten komunizm, jakkolwiek jest on wrogi wszystkim moim interesom i upodobaniom, wywiera na moją duszę urok, któremu nie mogę się oprzeć. Dwa głosy

podnoszą się we mnie na jego korzyść... Albowiem pierwszy z tych głosów to głos logiki. Diabeł jest logiczny! — powiada Dante. Straszliwy sylogizm trzyma mnie w swoich pętach i jeśli nie mogę zbić tego pierwszego zdania: »że wszyscy ludzie mają prawo jeść«, to jestem zmuszony poddać się również wszystkim innym wnioskom... Widzę wszystkie demony prawdy triumfalnie tańczące wokoło mnie, i ostatecznie serce me ogarnia wspaniałomyślna rozpacz i wołam: To stare społeczeństwo od dawna już jest osądzone i skazane! Oby sprawiedliwości stało się zadość! Oby został zdruzgotany ten stary świat, w którym niewinność ginęła marnie, w którym egoizm kwitnął, w którym człowiek był wyzyskiwany przez człowieka!" *

Łatwo ganić Heinego za jego pomyłkę. Wolimy raczej wychwalać go za jego „wielkoduszne zwątpienie", za wspaniałe szczyty, na które wznosi się jego myśl. Słowa te napisane na rok przed śmiercią Heinego, w okrutnych fizycznych i moralnych męczarniach, zrywają zasłonę z przyszłości, która długo jeszcze pozostanie nieznana milionom ludzi.

Istotnie, wrogowie przyszłości próbowali w różnych okolicznościach cytować te słowa jako argument już to przeciw Heinemu, już to przeciw komunizmowi. Trudno wymyślić coś niedorzeczniejszego. Uprzedzenia Heinego do rzekomo wrogiego stosunku proletariatu do sztuki stanowią rezultat ascetycznych prądów wszystkich poprzednich rewolucyjnych ruchów ludzkości, są ponadto wynikiem prymitywnych posunięć stawiającego dopiero pierwsze kroki ruchu robotniczego, posunięć, które spotkały się już z krytyką Marksa i Engelsa. Pamiętać należy, że osobista znajomość Marksa, Engelsa i Heinego przypada na początek lat czterdziestych, że rok, w którym ukazał się *Manifest komunistyczny*, dla Heinego był początkiem straszliwej izolacji w jego „grobowcu z materaców" i trzeba zrozumieć, jaka zaprawdę porywająca, ludzka i rewolucyjna wielkość przemawia z tego wyznania wiary w komunizm, której żarliwość wzrasta do wyżyn niezapomnianych, wstrząsających właśnie dlatego, że zawiera uprzedzenia.

Powiedział kiedyś Heine, że w jego kolebce złożona była broń, i my wiemy, co przez to myślał. Jako dziecko przeżył wkroczenie armii francuskiej do Düsseldorfu i wolność, jaką te wojska przyniosły. Do jego świadomości Francja wkroczyła po raz pierwszy w postaci Napoleona, którego nazwał kiedyś cesarzem „saint-simonowskim". Spędził we Francji dwadzieścia pięć lat. Żył otoczony miłością, podziwem, przyjaźnią. We Francji i dzięki Francji osiągnął zenit swego mistrzostwa; zdobył sobie dystans w stosunku do Niemiec, który uczynił jego osobę tak ważną dla Niemiec. Tylko we Francji mógł odnaleźć Niemcy. Francja to „czerwona ziemia swobody", Paryż to „miasto wolności, entuzjazmu i męczeństwa, miasto-Zbawiciel, które tak wiele już przecierpiało dla świeckiego wyzwolenia ludzkości" — takimi oto wykrzyknikami rozbrzmiewa jego proza.

Francja dodaje do jego dialektycznych załamań jeszcze jedno: nieustającą rozterkę pomiędzy otaczającą go rzeczywistością a przepojoną goryczą tęsknotą do Niemiec. We Francji jest świadkiem triumfalnego pochodu literatury nowoczesnej, której „niemieckim prekursorem" mieni się często. We Francji studiuje mechanikę kryzysów gabinetowych, dziennikarstwo

* Przełożył Jerzy Głuski.

i teatr, obcuje z Balzakiem, Mussetem, z George Sand, z Nervalem, i wita uroczyście bojowników z rue Saint-Méry. Francję kochał gorąco i wytłumaczył Francuzom, czym są Niemcy. Uważał, że stoi przed nim zadanie — według jego własnych słów — dopomóc przy nawiązaniu braterskich stosunków między Niemcami a Francją. Dlatego więc przestrzegał przed ohydną i ponurą zmorą Teutonów, przyrzekając jednocześnie Francji zaufanie narodu niemieckiego.

Najbardziej ciążyły mu i trawiły jego siły intrygi niektórych emigrantów a także dręczyli go szpiedzy, depcący mu po piętach na zlecenie Habsburgów i Hohenzollernów. „Ujrzeć Heinego po raz pierwszy czy usłyszeć go, to przykrość nie do zniesienia. Budząca odrazę fizjonomia, płaska i pospolita rozmowa, coś obrzydliwego! Jako polityk i jako rewolucjonista jest zerem." Cóż to ma być? — To raport szpicla austriackiego. Ale potomni na podstawie tych brudów sami odtworzyli sobie obraz Heinego.

We Francji zakosztował Heine wszystkich rozkoszy życia, owej radosnej uciechy zmysłów, jaka stanowi nieodłączną cząstkę obrazu tego wspaniałego kraju, i obraz ten nieustannie rzutował w przyszłość. We Francji przeżył najokrutniejsze męki, jakich danym było człowiekowi doświadczyć. Osiem lat konał w owym „grobowcu z materaców", z którego jego straszliwe krzyki i zaklęcia dotarły do uszu potomnych. Przytoczmy jeden z najbardziej charakterystycznych epizodów, wyznaczający Heinemu miejsce w pamięci świata: wiosną roku 1848 Heine opuścił, może po raz ostatni w życiu, swój pokój i powlókł się do Luwru, gdzie płacząc przesiedział, sam jeden, dłuższy czas przed posągiem Wenus z Milo. Jego dziwny, jak najbardziej indywidualny, sensualistyczny materializm kazał mu widzieć w pięknie zawsze pierwiastki przyszłości. Łono innej Wenus nazwał „radykalnym protestantyzmem". Pisał:

„My wprowadzamy demokrację, podobni wspaniałym, podobni świętym, podobni uduchowionym bogom. Wy domagacie się skromnych strojów, wstrzemięźliwości obyczajów i nieprzyprawionych korzeniami jarzyn. My natomiast żądamy nektaru i ambrozji, purpurowych płaszczy, kosztownych wonności, rozkoszy i przepychu, radosnych tańców nimf, muzyki i komedii." Scena przed posągiem Wenus z Milo — to gorzkie pożegnanie z radością, pięknem, przyszłością. Pojął wtedy, jak to później wyjaśnił jednemu z przyjaciół, że oboje nie mogliby zostać parą, gdyż bogini brakło rąk, on zaś jest tylko pół-mężczyzną.

A jednak — te z niczym nieporównywalne osiem lat, wypełnione pilną pracą i trudem, stały się zwycięstwem życia. Jego nieopisana niedola dawała mu jeszcze asumpt do tworzenia *„bon-mots"*, z których, jak wiedział, cały Paryż będzie się śmiał. „Moja konstytucja jest niedobra — mówił — gorsza niż pruska. Ale z drugiej strony moja Golgota stanie się wspaniałą reklamą dla wydania zbiorowego, które wkrótce ma ukazać się nakładem firmy Campe."

Odwiedzający go stwierdzili, wstrząśnięci, że twarz i ręce jego pozostały wspaniałe; ale i widzieli także — ze współczuciem i przerażeniem — że pielęgniarka, która prześcielała mu łóżko, brała na ręce drobne, wymęczone, wykrzywione ciało poety jak małe dziecko, widzieli, że jego sparaliżowane nogi były tak wykręcone, iż pięty sterczały ku przodowi. Heine, który już

tracił wzrok, podniósł lewą ręką prawą powiekę i zauważył drwiąco: „Opowiedzcie innym, jak to w Paryżu noszą mnie na rękach..."

W liczbie tych, którzy go odwiedzali, był genialny szaleniec, Gérard de Nerval, który przetłumaczył najpierw *Fausta* Goethego, a potem *Intermezzo* i *Nordseebilder* Heinego na francuski. Któregoś dnia nie przyszedł. Znaleziono go powieszonego na ulicy.

Na górze w pokoiku przy Avenue Matignon, gdzie znalazł schronienie przed męczącym go hałasem i gwarem, Heine przyjmował swoich przyjaciół. Czasem opowiadał, machnięciem ręki uciszając ich protesty, o swej przedłużającej się w nieskończoność agonii; zgarnął już dla siebie wszelką dopuszczalną miarę ludzkiego współczucia. A jednak — te ostatnie lata jego życia były dalekie od tęsknoty do śmierci i od zmęczenia. Jakże dawno napisał te przesycone ciemną słodyczą słowa:

Der Tod, das ist die kühle Nacht...

Teraz wiersze jego dźwięczą żądzą życia, pełne są owej cichej dumy, tak charakterystycznej dla późnego Heinego:

Mein Tag war heiter, glücklich meine Nacht.
Mir jauchzte stets mein Volk, wenn ich die Leier
Der Dichtkunst schlug. Mein Lied war Lust und Feuer,
Hat manche schönen Gluten angefacht.

Noch blüht mein Sommer, dennoch eingebracht
Hab ich die Ernte schon in meine Scheuer —
Und jetzt soll ich verlassen, was so teuer,
So lieb und teuer mir die Welt gemacht!

Der Hand entsinkt das Saitenspiel. In Scherben
Zerbricht das Glas, das ich so fröhlich eben
An meine übermüt'gen Lippen presste.

O Gott! wie hässlich bitter ist das Sterben!
O Gott! wie süss und traulich lässt sich leben
In diesem traulich süssen Erdenneste!

Jakiż to triumf życia dźwięczy w tych wierszach, wzdrygających się przed śmiercią! Jak bardzo są one niemieckie, nawet w porównaniu z tak licznymi, napisanymi po niemiecku apostrofami do śmierci!

Były to czasy, kiedy zainteresowanie Heinego dla spraw francuskich gwałtownie przygasło. To, co w nim żyło jeszcze, zwracało się w stronę Niemiec. Marzył o jakiejś podróży, mówił o niemieckiej pieśni ludowej, z której wywodziła się jego sztuka, o starych sagach i legendach; przyjaciele słuchali, jak intonował drżącym głosem *Księcia Eugeniusza.*

Jego prawdziwy testament, to wspaniały wiersz o *Enfant perdu,* sześć zwrotek pełnych dumy i gniewu, bólu i ufności, drwiny i miłości — wiersz, jaki nie tylko w niemieckiej, ale i w światowej literaturze rzadko spotkać można:

Ich kämpfte ohne Hoffnung, dass ich siege,
Ich wusste, nie komm ich gesund nach Haus... *

W tym jedynym, chwytającym za serce wierszu, poeta niemiecki wyjaśnia, dokąd szedł i dlaczego, tłumaczy swe życie potomnym, nawet i swoim wrogom:

Doch fall ich unbesiegt, und meine Waffen
Sind nicht gebrochen — **

Nie tylko w tym wierszu Heine odsłania głęboko ludzkie przyczyny swych „zuchwałych rymów", którymi zwalczał związane z jego wrogami strach i nudę. Często wyśmiewał się z przyodzianych w czarno-czerwono-złote barwy szowinistów niemieckich i liberałów, ażeby przeciwstawić im z najgłębszą, żarliwą powagą: „Pflanzt die schwarzrotgoldene Fahne auf die Höhe des deutschen Gedankens". ***

W dziwnym wierszu o *Passionsblume*, jednym ze swych ostatnich, raz jeszcze walczy Heine daremnie z jednym z zasadniczych pytań, których nie umiał nigdy rozwiązać:

O, dieser Streit, wird enden nimmermehr,
Stets wird die Wahrheit hadern mit dem Schönen...

A jednak pytanie to zbliża się do rozwiązania, wraz z urzeczywistnieniem pragnień Heinego. Historia bowiem dowiodła, że czarno-czerwono-złoty sztandar rozwinął się na szczycie myśli niemieckiej wówczas, gdy szczyt ten zaczął decydować o swoim własnym życiu, o swojej własnej rzeczywistości. Myśli niemieckiej na szczycie, na który wydźwignęli ją Heine, Marks i Engels, odpowiada republika, stojąca w szeregu państw nowych ludzi, państw, z których zmieciono odwieczną waśń, w których prawda i piękno zespoliły się na zawsze.

Obywatele pierwszej niemieckiej republiki w duchu Henryka Heinego skłaniają głowy przed jego grobem w bohaterskim mieście, które jemu, jego przyjaciołom i tak licznym jego potomnym dało schronienie, wołają do Niewidzialnego:

— Chwała Ci, Henryku Heine, poeto narodowy, chwała słodkim dźwiękom i ostrym tonom Twej lutni, chwała subtelnej i zwartej architekturze Twojej prozy; chwała Tobie, który byłeś dobrym Niemcem, przyjacielem naszej braterskiej Francji, bohaterem cierpienia, żołnierzem ludzkości, Henryku Heine, chwała Ci i dzięki!

---

* Bez nadziei, pomocy, walczyłem zażarcie,
Wiedziałem, że bez szwanku nie wrócę do domu.

** Ja padam niezwalczony — mój oręż wybrany
nie wyszczerbił się w walce.
(przekład Aleksandra Kraushara)

*** Zatknijcie czarno-czerwono-złoty sztandar na szczycie niemieckiej myśli!...

Przełożyła
Maria Wisłowska

Z poezji malajskiej

DZIESIĘĆ PANTUNÓW

Pantun to najciekawsza i najświetniejsza z form malajskiej poezji ludowej. W zasadzie jest to czterowiersz rymowany *abab*, ułożony z czteroprzyciskowych wierszy tonicznych, a przede wszystkim charakteryzujący się skomplikowanym i niesłychanie wyrafinowanym układem treści. Przeważnie całość utworu zamyka się w ramach jednego czterowiersza; tematyka jest najczęściej miłosna.

Istniejące, zawsze bardzo niekompletne, zbiory pantunów obejmują utwory powstałe w ciągu szeregu stuleci: co najmniej od epoki szczytowego rozkwitu klasycznej literatury malajskiej, tj. od XVII wieku, do dzisiaj. Pantun bowiem jest żywą po dziś dzień formą codziennej improwizacji poetyckiej, stosowaną w rozmaitych okolicznościach i nagminnie przez Malajów; co więcej, pantun zdobywa sobie coraz większe znaczenie, promieniując z Półwyspu Malajskiego na wyspy Indonezji i zakorzeniając się stopniowo w innych językach indonezyjskich.

Najlepsze spośród tysiącami wciąż improwizowanych i zapominanych pantunów zyskują popularność, są powtarzane coraz szerzej i wreszcie trafiają do jakiegoś zbioru. Stamtąd przeważnie czerpią je Europejczycy.

Jednak w Europie pantun dzieli los całej literatury malajskiej, o której, choć godna jest stanąć obok największych literatur świata, podręczniki w ogóle nie wspominają. Pantuny kilka razy w Europie tłumaczono i wydawano; ale mijały bez większego echa. Jaki jest tego powód? Przede wszystkim ten, że jeśli pieśń ludowa w ogóle, z zasady jest nieprzetłumaczalna, to pantun w tej hierarchii nieprzetłumaczalności zajmuje jedno z pierwszych miejsc; choćby dlatego, że łączy w sobie wszystkie cechy pieśni ludowej z wyrafinowaną konwencją poetycką, do ostatnich granic wykorzystującą możliwości tkwiące w języku malajskim. Dość powiedzieć, że oryginał pantunu jest właściwie nieustającą grą słów i aluzji; jakże to przetłumaczyć? Angielscy i holenderscy miłośnicy pantunów nie mieli zwykle wielkich kwalifikacji jako tłumacze poezji; a próby przekładania pantunów prozą wykazały, co tylko powierzchownie jest dziwne, że rezultat rzekomo dosłownego tłumaczenia jeszcze mniej przypomina pantun niż nawet słabsze próby przekładu poetyckiego.

Nie mogła zresztą literatura malajska mieć szczęścia w kraju, gdzie większość najwybitniejszych nawet malaistów należała zawodowo do grupy administratorów kolonialnych. Dość powiedzieć, że w orientalistyce Zachodu do dziś przeważa pogląd, iż pierwszy dwuwiersz pantunu nie ma żadnego sensu i że jest to po prostu garść wyrazów, przypadkowo sklejonych dla rymu. Jak mógł wyglądać pantun ubrany

w europejskie słowa przez człowieka, cechującego się tak niewiarygodną gruboskórnością?

Pantun to poezja trudna. Na pierwszy rzut oka czterowiersz może wyglądać bardzo łatwo. Ale wraca się do niego sto razy i za każdym razem widzi się nowe perspektywy treściowe i formalne. Moim zdaniem pantun to najbardziej skondensowana poezja świata.

Ogłaszam tu, po raz pierwszy w piśmiennictwie polskim, dziesięć pantunów przełożonych przeze mnie z oryginału malajskiego. Wysiłek mój szedł głównie w kierunku opracowania polskiej formy poetyckiej, umożliwiającej oddanie w naszym języku niektórych uroków oryginału. Podkreślam: niektórych. Więcej na razie nie potrafię; a wszystkich nie będzie umiał oddać nikt i nigdy.

Przekłady te wyjęte są ze zbioru, który ukaże się nakładem wydawnictwa Ossolineum. Aby umożliwić polskiemu czytelnikowi jak najbliższe podejście do oryginału, zbiór ten obejmie, oprócz 300 przekładów poetyckich, także komplet tekstów oryginalnych oraz ich przekłady dosłowne, wreszcie obszerne wprowadzenie i przypisy.

Podając tu same przekłady, bez całego tego aparatu, chciałbym jednak choć trochę pomóc czytelnikowi w ich możliwie pełnej percepcji; dlatego do trudniejszych pantunów dodaję w przypisach zwięzły komentarz.

1

Jeśli w stronę przylądka iść będziesz,
kup mi, proszę, składany nóż.
Jeśli ptakiem na drążku usiędziesz,
ja się w sznurek zmienię, i już.

2

Pięć policzysz na jednym ręku,
dwoje rąk dziesięć uczyni.
Czemuż, siejąc granatu ziarenko,
doczekałem się gorzkiej dyni?

3

Ryż gotowany stęchł na ławce,
ryż pozostawiony wewnątrz łodzi.
Ciało w miłości ma oprawcę,
śmierć mierzi, życie nie obchodzi.

4

Wewnątrz bambusa mrówek wiele.
Smukły flakonik z różaną wodą.
Wielkie pragnienie płonie w ciele,
tylko ty możesz stać się ochłodą.

5

Tamarynda i słodka bywa,
i gorzkawa, i kwaskowata.
U drzwi grobu w łzach się rozpływa
dusza, chcąca wrócić do świata.

6

Rododendron w dżungli na polanach,
nicielnica z pętelkami w dole.
Wprawdzie leżę na twych kolanach,
nie myśl jednak, że ci przyzwolę.

7

Drzwi są zwrócone w morza stronę,
a z chatki tony skrzypiec biegą.
Drobne ciało, jak wyrzeźbione,
a w nim szaleństwo serca mego.

8

Liano święta, liano szczęśliwa,
która groty wapienne zasnuwasz!
Prorok kochał Allaha do żywa.
Ciebie wtedy nie było, zauważ.

9

Gdzie bażant swe pisklęta niańczy?
Nad wodospadem, na kamieniu.
Gdzie chciałby spać najukochańszy?
Między piersiami, w zagłębieniu.

10

Sarong czerwony, kaftan z robotą,
slendang złotem przetykany obficie.
Nie dąsaj się, czerwone złoto,
zamiast duszy mam twoje odbicie.

PRZYPISY

2. Pierwszy dwuwiersz znaczy mniej więcej tyleż, co polskie: jak dwa a dwa cztery; drugi kontrastuje z nim. W poincie chodzi o pewien rodzaj hodowanej w ogrodach żółtej dyni, przysłowiowy dla swej goryczy.

4. Ostatni wers brzmiałby dokładniej: tylko ty możesz stać się antidotum.

5. Oryginał wymienia trzy gatunki tamaryndy; łączy je podobieństwo zewnętrzne i silnie kwaskowaty smak owoców; obce i z niczym się nie kojarzące nazwy zastąpiłem wyliczeniem różnic smakowych. Mahometanie chowają w ten sposób, że najpierw kopią dwumetrową jamę, potem w jej bocznej ścianie u dołu żłobią niszę na ciało. Po ułożeniu zwłok otwór niszy zostaje zakryty i dół się zasypuje. Drzwi grobu, to właśnie otwór, łączący niszę z wykopem przeznaczonym do zasypania. A więc pantun mówi o chwili, gdy ciało spoczywa już w niszy, a dusza, z dołu w górę, patrzy ostatni raz na świat.

6. Rododendron malajski o wspaniałych różowych kwiatach, lubiący wilgotną i parną atmosferę wnętrza dżungli. Nicielnica to część ręcznego warsztatu tkackiego, służąca do prowadzenia i przemieszczania nici osnowy; ma postać ruchomej ramy z szeregiem napiętych sznurków; w każdym sznurku znajduje się oczko, przez które przechodzi jedna nić osnowy, utrzymywana tym sposobem dokładnie w żądanym położeniu.

7. Wyrzeźbione — oryginał pozwala też rozumieć: wygładzone albo ukształtowane. W każdym razie bezpośrednie skojarzenie z rzeźbieniem w drzewie.

8. Prawdopodobnie chodzi tu o liany, zasnuwające otwór groty, będącej tzw. grobem świętym, tzn. grobem, przy którym mają się dziać cuda. Ostatni wers, na pierwszy rzut oka niezrozumiały, wyjaśniłby się przez dopowiedzenie: gdybyś istniała, kochałby ciebie. Gdyby to nie było u Malajów, takie sformułowanie równałoby się bluźnierstwu.

10. Sarong, kaftan i slendang to podstawowe części ubioru malajskiego, używane przez obie płci. Sarong to podłużny prostokąt, okręcany wokół bioder i tworzący rodzaj spódnicy; slendang to rodzaj szala o bardzo wszechstronnym zastosowaniu. Tu chodzi, ściśle, o kaftan zdobiony specjalną techniką: przy pomocy drewnianych sztanc wytłacza się na tkaninie wzory ze złotej folii. Tzw. czerwone złoto uzyskuje swą barwę dzięki domieszce odpowiednich chemikaliów; ale malajska nazwa złota jest zarazem pełnym uwielbienia nazwaniem ukochanej, to zaś wiąże się znów z aluzją do barwy jej cery. Ostatni wiersz ściśle, ale niezrozumiale brzmiałby: pójdź zważyć się z moją duszą; czyli: tyle mojej duszy, ile ciebie.

Przełożył z malajskiego i opracował
Robert Stiller

Jan Błoński

KIM JESTEŚ, POETO?

Kim jesteś, poeto? Czemu się, „mądry Leonardo, trudzisz?“ Nie widzę dziś aktualniejszego zagadnienia. Istnieje szczególna logika, która prowadziła Gałczyńskiego od *Balu u Salomona* do *Sylwestra Marosza,* i od *Sylwestra Marosza* do *Kroniki olsztyńskiej;* Ważyka od *Oczu i ust* do *Ody dialektycznej* i stamtąd do *Poematu dla dorosłych;* Andrzejewskiego od *Ładu serca* do *Zadufków* i od *Zadufków* do *Złotego lisa;* Jastruna od *Spotkania w czasie* do *Barw ziemi* i wreszcie — *Poezji i prawdy,* Andrzejewski i Jastrun stanowią tu najwyraźniejsze wskaźniki; przemiany poety *Rzeczy ludzkiej* mają wartość przykładu; ośmielam się powiedzieć — podręcznikową. Przemiany te są zaś przede wszystkim — przemianami postawy.

„W moim doświadczeniu wiersz rodzi się ze szczególnego stanu, który nazwałbym ciemnością wewnętrzną“ — pisał w 1936 Jastrun — „każdorazowe jego pojawienie się jest jakby tylko mocniejszym nagrzaniem jej powłoki, lśnieniem jej powierzchni”. Łatwo się naiwnie pomylić i zrozumieć, że poeta wyznaje, iż pisze „w natchnieniu”. Natchnienie jest fenomenem pamięci, krystalizacją. Podobnie jak swobodne wzruszenia, zachwyty, uczucia krystalizują się nagle, stając się miłością, tak przeżycia, wrażenia i ulotne myśli zbiegają się niespodziewanie w poemat. Jastrun myśli tu jednak o czym innym: wiersz nie krystalizuje luźnych wrażeń w jasne, zwięzłe formy, ale wydaje się szczególnym sposobem poznawania dziedzin świadomości, które odsłaniają się tylko w owej „wewnętrznej ciemności“. „Pomiędzy świadomościowym ujmowaniem zjawisk w normalnym biegu życia — dodawał poeta — a przenikaniem ich w chwilach szczególnego rozżarzenia wewnętrznego istnieje sprzeczność, przynajmniej pozorna”.

„Prawdziwa poezja nie jest niczym innym, jak jednością ducha” — pisał Novalis. „Poeta współczesny — oświadczał w sto lat później Valéry — stara się wytworzyć w nas pewien stan, i ów stan wyjątkowy wznieść aż do doskonałego poznania.“ Obydwaj poeci, uzupełniając się wzajemnie, określają mniej więcej ściśle postawę i cel twórcy *Spotkania w czasie.* Poeta — zdaniem (jak się zdaje) ówczesnego Jastruna — posiada dar „przenikania” świata i własnej — szczególnej — świadomości w tym, co jest w nich najbardziej ukryte; spływa nań łaska „rozżarzenia wewnętrznego”, łaska szczególnego poznania. „Chciałem odnowić zmysły, wydrzeć je bezwładowi, wyostrzyć je tak,

aby odzyskały pierwotną — jak mniemałem — zdolność poznawczą.“ Wiersz — już napisany — przekazuje z kolei czytelnikowi szczególny stan poznawczy, wzbogaca go wewnętrznie, o ile oczywiście zdoła obudzić w nim podobnie brzmiące odczucia.

Ale trudno uchronić się od wrażenia, jak bardzo tylko wtórnym celem poezji jest tu przekazywanie czytelnikowi wzruszenia (odwrotnie niż u Valéry'ego, który chełpił się, że pisze wiersze, nie odczuwając nic). Nie wiem, czy w całej przedwojennej twórczości Jastruna znajdzie się więcej niż dwie, trzy apostrofy do czytelnika: poezja jest indywidualnym ćwiczeniem duchowym. „Nie wiersze rosną — rosnę ja...” Spór między światem a poetą wydaje się, w ostatecznym rachunku, zawsze sporem między drogocenną jednostką (i kapłanem wzruszenia) a ślepą masą (która pragnie tylko użyteczności). Poeta bowiem:

...na to ogromnym płonąc światom
Zachodził w łunie purpurowej,
By go po latach agitator
Zatknął na lichy kij wiecowy.

By lada Ćwieczek, lada Morał
Zaprzęgał go do racji stanu:
Oczyszczonego z oceanu,
Niebezpiecznego dziwotwora.

Gdy tymczasem „oni”, ci, którzy chcą do własnych celów wykorzystać poetę, to:

Marzenia standaryzowane,
Milczenia standaryzowane,
Spojrzenia standaryzowane,
Tłumy mięsistych, twardych mask.
. . . . . .

Przetrwają mur i brąz przetrwają
Mrowiem bakcyli, tłumem, zgrają,
Odejdą, wrócą i przetrwają,
Przetrwają bezlitosny wiek.

Gdy Jastrun pragnie określić ludzi najbardziej sobie obcych, twórców niegodnych i pośpiesznych, rzuca pogardliwie: „znawcy powierzchni”. Bo też cała jego uwaga skierowana jest do wewnątrz. Rzeczy nie olśniewają Jastruna; przyroda porywa go wyłącznie o tyle, o ile symbolizuje jego wzruszenia. Poznanie jest wewnętrzne, wewnętrzny gest. I przede wszystkim wewnętrzny, indywidualny jest bohater wierszy Jastruna — czas. Poezja jest nie tylko samotnym ćwiczeniem; jest także szansą osobistego samozrozumienia: „Niekiedy wydaje mi się, że geneza moich wierszy tkwi właściwie tylko w najmniej uchwytnym, rzadko słyszalnym rytmie mojego czasu i że one jedynie pozwalają mi, mimo ustawicznego upływu zjawisk, istnieć naprawdę”. Znać tu znamienny „święty egoizm“ poetycki, właściwy podobnej liryce solipsyzm.

Adolf Rudnicki napisał kiedyś piękne opowiadanie, które nosi tytuł *Kartka znaleziona pod murem straceń*. „Znalezienie" kartki oznaczało, że przypadkowo tylko, szczęśliwym trafem, ocalało ostatnie przesłanie artysty. Właściwym, przewidzianym i przeznaczonym dlań losem było zniknięcie, roztopienie się w zniszczeniu. Wojna uczy artystów pokory.

„Wojna nie spadła na mnie niespodzianie. Przygotowywałem się do niej od lat, czułem, że jest nieuchronna. Ale to, czego doświadczyłem, na co patrzałem żywymi oczami, przewróciło moje pojęcia o świecie, ukazało mi bezbronność własną... W czasie okupacji zacząłem marzyć o nowej poezji... o poezji, obejmującej wszystkie zjawiska życia, sprawy moralne czasu, poezji odpowiedzialnej przed historią." Słowa „poezja" i „historia" powtarzają się tu we wszystkich przypadkach. Ale poezja Jastruna nie tyle historię odkryła przez wojnę, ile najpierw i przede wszystkim — innych ludzi. A także — samego swego twórcę.

Istnieją — można by powiedzieć — dwa czasy: tło losu, które się tylko przesuwa, i konstrukcja losu, która się przede wszystkim tworzy. Poezja Jastruna nie mówiła przed wojną o losie poety. Drążyła tylko indywidualne odczucia, los objawiał się tylko pewnością śmierci, siostry czasu. Odczucia te były w założeniu zagadkowe. Nie tylko dlatego, że kiedy Jastrun wyjeżdżał w podróż wzruszeń, nie wiedział, dokąd zajedzie. Nie wie tego — jak mi się zdaje — większość poetów. Rozdział między poetą a jego wzruszeniem wynika nie tyle z tego, że Jastrun nie wie, dokąd go ono zaprowadzi; przede wszystkim z tego, że nie bardzo wie, czym ono jest. Nie można go nazwać, a tylko — zbliżyć. Słowa określają je pośrednio, daleko: „Marzyłem o wierszach, które wzruszałyby nie słowami nazywającymi uczucie, ale samą budową, aby uczucie w nich było ukryte w głębi, we wnętrzu jarząc się, by tylko dawało znać o sobie poprzez kształt".

Jeśli więc wiersz mówił o tajnikach poetyckiej świadomości, to był — paradoksalnie — także samemu poecie w jakiś sposób obcy. Wzruszenia przedwojennego Jastruna nie mają ani przyczyny, ani celu; one są, i wszystko, do czego zobowiązuje się poeta, to tylko wytropienie ich i zbliżenie. Poezja Jastruna była dawniej użyteczna duchowi, teraz — życiu; przedtem afirmowało się w niej odczucie, teraz — istnienie. Dlatego dawniej w wierszach autora *Innej młodości* odczuwało się zawsze prawie jakby ekran, rozwieszony między poetą a jego wzruszeniem, między wzruszeniem a jego wyrazem. Liryka była grą zwierciadeł, albo jeszcze lepiej: przekazywaniem znaków przez przeźroczyste zasłony. Tymczasem teraz nałożono na nią codzienny cel życiowy, nieskończenie praktyczniejszy niż niegdyś i pozornie tylko podobny. Niegdyś poezja pozwalała Jastrunowi „istnieć w czasie", dziś — jest narzędziem, dzięki któremu ocala on swą godność. Pierwszym zadaniem poezji jest: pomóc własnemu twórcy, poecie. Ale teraz poeta ten jest żywym człowiekiem, człowiekiem z krwi i kości. I musi przeżyć (lub nie) swój los.

Stąd nagła pokora owej liryki wobec rzeczywistości. A także — wobec innych. Poezja Jastruna „demokratyzuje się" — przez śmierć (na której sprawy był zresztą zawsze szczególnie czuły). Podkreśla nie to, co go od innych różni, ale to, co łączy — wyrok śmierci. Ziemia przysypie wszelkie różnice. Nieuniknioność śmierci wiąże naprzód poezję z indywidualnym losem; ale także, i właściwie równocześnie, z losem milionów innych. Niegdyś poeta słu-

chał samego siebie, natężał ucha, starał się podać stenogram niewyrażalnej świadomości; teraz zaś słucha, co mówią inni, pisze pośpiesznie, skromnie, on, jeden z tysiąca. Tworzy poezję bliższą ciału, bliższą rzeczom, które nowej nabierają roli: nie tylko śnią się oczom liryka, ale przede wszystkim gubią lub ratują człowieka. „Powszechność" sytuacji poety potwierdza zwłaszcza przyczyna, dla której jest on prześladowany: przyczyną tą jest naprzód jego pochodzenie. Ma zginąć za to, że istnieje, nie za to, czym jest: „Kto konał za to, czym był, lub za to, czym być marzył". Przyczyna prześladowania nie tylko jednak nie oddala Jastruna od całości narodu, ale przeciwnie — zbliża go doń jeszcze: los Żydów polskich był zapowiedzią i figurą (w biblijnym sensie) losu całego narodu; stąd szczególna ostrość i trafność przeżycia poety.

Poeta: równy między równymi, jeden z anonimowego szeregu. Ale ożywiony troską równie indywidualną, co powszechną — ocalenia godności:

Pogardy śmierci, zaraźliwej,
Za każdym cieniem czyhającej,
Nauczyć się — i zostać żywym
Lub umrzeć w słońcu...

Szczególna rzecz: wbrew słowom, jakimi później Jastrun określał swoją ówczesną sytuację poetycką, rozumienie historii jest w *Godzinie strzeżonej* wysoce — jeśli tak można powiedzieć — niedoskonałe. Pytanie nie brzmi bowiem: co ja mam z historią zrobić? — ale: jak ja mam historię przyjąć? Poeta nie współuczestniczy w historii, on ją znosi. Z wyjątkiem — olśniewającym co prawda — *Snu nocy zimowej* zrozumienie historii jest u Jastruna bierne, podobnie zresztą jak jednostkowe. („Jednostkowość" ta nie przeczy bynajmniej „uniwersalności": Jastrun mówi w imieniu gromady jednostek, nie w imieniu gromady jako całości.) Poeta czeka na śmierć, nie wychodzi przeciwko niej; nie tyle zgadza się na nią w imię walki, ile stara się ją poskromić, oddalić, oszukać — w sobie:

Powietrze mówi ustami jednego z zabitych:
Dlaczego budzisz już zastygłą mękę?
Nie chciałem żadnej z waszych bitew —
Przyjacielu pozgonny, chcę milczeć — podaj mi rękę.

Kogo oskarżać mam — Boga? czy mordercę?
Worek mięsa i kości, leżę, przywalony grudą.
Jeszcze w ostatniej chwili, kiedy biło serce,
Oczekiwałem cudu.

Głód, barłóg, wszy... Tylko nie to. Czy wyznać?
Strach był większy niż śmierć. Ona zeszła dopiero po jego cieniu.
I kiedy spadło ze mnie ciało, fałszywy talizman,
Odnalazłem ocalenie w zapomnieniu.

Nie budź mnie, nie budź mnie! Już powoli odwykam
Od waszych słów, od waszych pustych słów, nawet od własnej męki
Jestem wodą, powietrzem, jestem jak muzyka
Nie rozłamana na dźwięki.

(Skazaniec)

Problematyka *Godziny strzeżonej* okazuje się więc nie tyle polityczna, ile moralna. Bliżej stąd do Conrada niż do Marksa. Bohater wierszy Jastruna ustawia się stale do czegoś, co go napada, zniewala. „Obronny" charakter tej poezji nie jest zresztą całkowicie nowy: już dawniej — jakże dawno! — bywała sprzeciwem wobec niezrozumiałych potęg. Tamte były jednak psychologiczne czy metafizyczne, te zaś są — historyczne. Historia wchodzi na karty wierszy Jastruna, ale tylko jako ciemna obecność; nie jako rozwiązanie zagadki. Dopiero w *Rzeczy ludzkiej,* w wierszach pisanych w roku 1944, odzywają się triumfalne tony: Jastrun wita zwycięzców historii. „Okolicznościowa" radość bierze górę nad ukrytą biernością postawy.

Jaka była więc wtedy wreszcie postawa Jastruna? I czy — pozostała? Poeta — to dla Jastruna ten, który ma prawo powiedzieć tylko to, co może być odczute — jeśli nie wyrażone — przez wszystkich. Stąd nakazy pokory, ascezy, surowości. Stąd gniew na rozmaite „ładności", poetyczności, ornamenty. Gniew znamiennie krótkotrwały. „Nie tylko ze mnie zadrwiła historia. Tym tłumaczę sobie wystąpienia moje w pierwszym czasie niepodległości, owe suche, niedobre artykuły, fanatycznie tropiące poetyczność w poezji, żądające surowej ascezy. Miałem zresztą moralną rację..." Postawa poetycka, jaką w latach wojny przyjął Jastrun, była (w jego wypadku) nie do utrzymania. Indywidualne odczucie poety zbiegło się wówczas idealnie z powszechnym; stąd złudzenia, że głosy poety i zbiorowości stanowić odtąd będą nieprzerwany akord, że zniknie na zawsze przedział między lirykiem a jego czytelnikami. Ale Jastrun nigdy już (prawie nigdy) nie odnajdzie owego pełnego współbrzmienia, pełnego akordu. Będzie go na próżno poszukiwał; dopóty, dopóki nie ustali dla siebie nowej relacji między poetą a światem. Rzadko tylko się zdarza, aby poeta otrzymał od wielu pełnomocnictwo wzruszeń. Bywa to dane tylko największym — i na krótko.

Sezon w Alpach jest cyklem szczególnie znamiennym. Już wiersze z końca wojny bywały czasem retoryką, szlachetną bardzo, ale tylko retoryką, jeśli porównać je z najpiękniejszymi wierszami *Godziny strzeżonej.* W *Sezonie w Alpach* ów nieomylny kontakt z prześladowanym (i rzadziej — walczącym) tłumem zaciera się zastanawiająco szybko. Pozostają natomiast zainteresowania dla zagadnień, które ukształtowały się w czasie wojny. Trudno twierdzić, że Jastrun wracał tam do nastrojów z tomu *Strumień i milczenie.* Nie „ciemność wewnętrzna", a sprawy moralne ogniskują tam w sobie rozważania poety; i styl zwraca się nie ku symbolizmowi, a ku retoryce. Jastrun czuje się na chwilę „wygnańcem w oboim żywiole"; ma poczucie odrębności, ale także — obowiązku społecznego. Sprzeczności stara się rozwiązać stylizacją: stylizacja świadczy tu o wahaniach postawy poetyckiej, jest maską niepewności.

Tymczasem — od roku 1947 — Jastrun stara się znów odnaleźć pełne

współbrzmienie, znieść granicę między sobą a czytelnikiem. I niekiedy mu się to udaje: w najlepszych wierszach (np. w *Liście Anny Żywioł)* Jastrun wciela się dosłownie w kogo innego; udaje mu się tworzyć ludowych bohaterów lirycznych. A jednak każdy podobny wiersz opłaca wieloma nieudanymi, zniżając się nieraz do mechanicznej rymowanki *(Phenian, Przywitanie Eisenhowera, Do robotników francuskich, Ballada niemiecka).* Ustawiczne zastrzeganie się, zapewnianie o prostocie i powszechności swej mowy świadczą — przeciwnie, że poeta nie jest jej całkowicie pewny. Poezja Jastruna — pisze krytyk — „staje się... teraz potoczna i refleksyjna... Ton spokojnej refleksji, właściwy teraz poecie, zakłada pewien dystans wobec tematu. Wobec tematu — i czytelnika.

Wiersze Jastruna ogarnia coraz szerzej retoryka: jak wszystkie metody twórcze, posiada ona podwójne oblicze. Istnieje retoryka z braku serca i retoryka z nadmiaru myśli. Pierwsza wynika z daremnej chęci napełnienia żywą krwią obrazu: jest to retoryka naśladowców Broniewskiego, których nie ożywia jednak rewolucyjny ogień autora *Bagnetu na broń.* Druga zaś rodzi się z nieprzemożonej chęci podzielenia się natłokiem myśli, które — kształtując się samoistnie w poezję — nie żądają już przemiany w obrazy. Pierwsza powstaje z nieudanej chęci zniesienia dystansu wobec czytelnika i jego spraw; druga — przeciwnie — dystans ten przyjmuje i właśnie zeń buduje poetycką postawę. Jeśli strofy takie jak następująca:

Lud, co nie czyta w niebie,
Lecz wije powróz na kata,
Lud, co jest zawsze u siebie
I przeto jest ludem świata

stają się trudno osiągalne, można wybrać między:

Ojczyznę moją niosłem w sumieniu,
Nie rozwiniętą z krwawych płacht,
I miasta męki, i naród cieniów,
I dymów Walpurgisnacht.

Nie! nie! nie wolno milczeć, zapomnieć.
Niech serce będzie jak płomień i młot.
„Sześć lat miałem wtenczas“ — powiedział do mnie
Młodzieniec z FDJ...

albo:

Nie wiem, kim będziesz, istoto świetlista,
Jakie mieć będziesz radości, jakie żale
Na Atlantydzie nowej za lat trzysta,
Gdzie blask wydzielać będą planety metale —
Nie wiem, kim będziesz, Ty, co dzisiaj milczysz,
Jeśli od myśli tej umierać muszę
Jak od gromu tysiąca wolt elektrycznych,
Niechby przynajmniej tam mój oddech uszedł.

W drugim wierszu — choćby nawet niedoskonałym — poeta już jest sobą, nie sili się na pobratymstwo, którego nie odczuwa (poetycko oczywiście). Retoryczna apostrofa i potoczna gawęda są dwoma biegunami ówczesnej twórczości Jastruna. Jednak nie z drugiej, a z pierwszej wyniknie przemiana postawy poety. W gawędzie poezja niknie, przywalona śmieciem drobiazgów, plącząca się w nieporadności frazy, która nie umie wyrażać treści codziennych. Stąd przykre wrażenie „zniżania się" do czytelnika, podobne zresztą wrażeniu, jakie odnosi się z lektury *Ślubnych obrączek*. Temu bowiem tomowi Gałczyńskiego odpowiadają u Jastruna *Barwy ziemi*.

Jastrun godzi się zresztą stopniowo z własną „porażką": odnajduje się znów sam, ale tym razem — twarzą w twarz z historią, a nie z tajemnicami własnej świadomości. Pełniejsze — dopiero teraz — zrozumienie historii pojawia się w długich rozmowach, jakie toczy poeta z epoką, zarówno zresztą współczesną, jak przeszłą i oczekiwaną dopiero. Pojawia się melancholia nieprzystosowania, humanistyczna łagodność oceny: postawa poety, przekształcając się niepostrzeżenie, staje się — chciałoby się powiedzieć — olimpijska, „goetheańska". Poeta godzi się z historią i rozumie ją: ale zarazem podkreśla własną odeń niezależność — przynajmniej moralną i uczuciową. Uczoność poezji Jastruna znajduje tu szczególne zastosowanie: cóż bowiem szlachetniejszego, niż odnajdywanie własnej epoki w nieskończonym szeregu ludzkich myśli i wzruszeń? Pojawia się niebezpieczeństwo obojętności poezji, która porusza się w strefach tak wysokich uogólnień. Poezji, w której wszystko jest nawiązaniem, grozi łatwo zapatrzenie w siebie, we własną, jeśli nie doskonałość, to w każdym razie odwieczność.

Jastrun mógłby więc teraz ulec pokusie odwrotnej niż poszukiwanie idealnego współbrzmienia ze zbiorowością — pokusie autostylizacji. Lekarstwo — chociaż niedoskonałe — przychodzi od strony nieoczekiwanej. Poeta zaczyna na nowo przeżywać świat, odświeża własne, najzupełniej osobiste odczuwanie. Myślę o wierszach Jastruna do syna. Bardzo to znamienne: poeta nieustannie dziękuje dziecku za to, że jego oczami zobaczył świat na nowo:

Gdybym ja tak uwielbiał ciała i przedmioty,
Gdybym miał jego oczy, jego czujny dotyk,
Jakim byłbym poetą! badaczem materii!

„Ludzie wyzwalają się tylko wewnątrz naturalnych ugrupowań" — pisał publicysta paryskiej Komuny. Należy do nich także rodzina. W swych wierszach rodzinnych Jastrun zdaje się odkrywać, że istnieją nie tylko jego wewnętrzny czas i historia, ale drzewa, kwiaty i marzenia, których posłannikiem jest dziecko. Obok miary historii odkrywa poeta miarę natury. Jeśli jednak poeta może się skłaniać do zatopienia we własnym szczęściu, w ponownym odkrywaniu świata, to jednak zarazem wyzwala się (i to głębiej, dokładniej niż dawniej) od owego poetyckiego egoizmu, ku któremu się skłaniał. Wyzwalając się od ciężaru historii, wchodzi w nią znów — ale bardziej niezależnie. A Jastrun wydaje się dziś właśnie poetą szukającym słusznej miary zdarzeń: dziecko nie jest wśród tych miar najgorszą.

Tak więc — poprzez rozmaite oscylacje, jakie przechodzi po wojnie Jastrun — zaczyna się wyłaniać postawa, która zapewni mu zarówno nieza-

leżność ducha, jak i czynny stosunek do historii. Nie darmo zainteresowania poety przesuwały się przez trzydzieści blisko lat od symbolizmu, poprzez romantyzm, do klasycyzmu. Studia nad Mickiewiczem i Słowackim pozwoliły Jastrunowi — jako eseiście i biografowi — wgłębić się w ów szlachetny wzór stosunku poety polskiego do narodu, jaki pozostawili swym następcom w spadku wielcy nasi romantycy. Nie tyle roztapiali się oni w gromadzie, ile starali się jej przewodniczyć; pragnęli stać się nie tyle echem, ile sumieniem ojczyzny. Słowacki zwłaszcza czuje się po trosze „klerkiem", nie chce się podporządkowywać żądaniom krótkowzrocznej zbiorowości, apoteozuje szlachetny (i zresztą — szlachecki) anarchizm. Czuje się depozytariuszem pewnych prawd i wskazań, które znalazły się w jego ręku. Romantycy nasi zachowują się tak, jak gdyby wiedzieli lepiej, jak ma naród postępować, a zwłaszcza — jak go sądzić. Nie ograniczają się jednak do nakazywania i sądzenia: czują się czynnymi współtwórcami życia narodowego. Swój „depozyt", intuicję, wiedzę, autorytet rzucają na szalę wypadków — zachowując dalej swoją niezależność. Mogłoby się zdawać, że Jastrun dochodzi do postawy podobnej. Choć bowiem musi pozostać — w pewnym sensie — na uboczu zbiorowości, nie może stać się na zawsze samą zbiorowością, jednym z tysiąca; ma wobec niej do spełnienia rolę szczególnie ważną: rolę nauczyciela i sędziego, nie ilustratora czy trubadura. Ale także: poety czynnego społecznie i — być może także — współwinnego społecznie, inaczej bowiem wstępuje się łatwo na ścieżkę pogardy.

Jastrun oczywiście odszedł już daleko od romantyzmu, temperament poetycki niesie go coraz usilniej w stronę klasyczności. Czy jednak postawa niezależnego współtwórcy, współwinnego sędziego musi łączyć się z romantycznym odczuwaniem? Wcale nie. „Poezja, aby była sobą, musi dialog toczyć z prawdą" — poeta, aby był sobą, musi toczyć swobodny dialog z dziejami i społeczeństwem.

Dialog ten prowadzić będzie z niezależnych pozycji: w sobie samym znaleźć musi siły, które pozwolą mu stać się strażnikiem wartości. W wierszu *Poezja i prawda* mówi do poety przyszłość:

...w noc i we dnie
Byłam przy tobie, wiem, co boli,
Znałam przed laty twą tragedię,
Dramat rozumu i niewoli.

. . . . . .

Głos twój z początku nie słyszany,
Choć później wyszedł z tłumu cieni,
Znów w głuchych uszach zakopany,
Był jak podziemny nurt strumieni.

Błądziłeś, wiele zawiniłeś,
Lecz się płomieniem czystym mieni
Twe słowo, które znało miłość,
I było — jak stos Ifigenii.

Wiele wskazuje, że Jastrun coraz głębiej (choć nie zawsze mówi jasno) pojmuje poetycką i społeczną konieczność owego dialogu. Skąd zaś poeta bierze prawo głosu? Odpowiedź będzie jasna: czyż wszyscy, którzy starają się zbudować w czasie, w historii, świat lepszy i bardziej sprzyjający człowiekowi, nie są — choćby niedoskonałymi — uczniami Sofoklesa, Szekspira i Tołstoja? Czyż poeci już nie zapowiedzieli w swych dziełach wszystkiego, co reformatorzy starają się wcielić w życie, często łamiąc się wobec konieczności życia? Pięknie wyraził to Shelley: „Poeci — mówił — są nieuznanymi prawodawcami świata".

Jan Błoński

Paweł Hertz

Z DZIENNIKA LEKTURY

Czytałem *Kordiana*. Pamiętam, że Boy swoje studium o *Werterze* zaczyna od słów podobnych: „Czytałem *Wertera*..." Był w tym jakiś smak przed wojną, żeby odczytywać ponownie arcydzieła i wydobywać z nich rzeczy nowe, przez twórcę nawet nieprzewidziane. Z tej manii odczytywania wszystkiego na nowo narodził się Hamlet w smokingu i *Niemcewicz od przodu i od tyłu*. Ale powstało także wiele studiów cennych i myśli naprawdę głębokich. Rewizja ustalonych sądów o arcydziełach ma sens tylko wtedy, jeżeli pozwala na rozumny opór przed zbyt już natrętnym nowinkarstwem, przed snobizmem nowoczesności za wszelką cenę. Za cenę godności przede wszystkim.

Otóż czytałem *Kordiana*. Widziałem *Kordiana* na scenie. Słuchałem rozmów o *Kordianie*. Nic bardziej irytującego niż takie rozmowy. Słyszałem ludzi o wyobraźni ciasnej i wąskiej jak pantofel krępujący nogę Chinki, którzy natrząsali się z „naiwności" pierwszego aktu tej narodowej tragedii. Ale oni tak przywykli natrząsać się ze wszystkiego, co nie powstało dziś albo przynajmniej wczoraj, w którejś z obcych stolic, tak naiwnie żyją pośród narodu, tak mało mają zmysłu tragedii i tak przywykli do jednoznaczności utworu literackiego, że dziwić im się trudno. *Dziady* to dla nich misterium, z całego *Wesela* zajmuje ich tylko rozwiązanie sceniczne widm („To trzeba potraktować jak kukiełki w szopce, bo inaczej wypadnie zbyt mistycznie"), *Wyzwolenie* to głupstwa niesceniczne (brak akcji!), *Lilla Weneda* zaś dobra dla gimnazjalistów. Ci ludzie przywykli traktować każdą rzecz w sztuce o d d z i e l n i e, nie rozumieją istotnych związków sztuki z życiem tego środowiska, co zrodziło problem i bohaterów, słowem — nie rozumieją, że w wielkiej literaturze polskiej sprawą główną jest historia narodu, a jej osobliwość i wyjątkowość stanowi przyczynę odrębności i niezwykłości tej zawsze epickiej liryki i nieteatralnego teatru.

Cała wielka dramaturgia polska jest w istocie niesceniczna, czyli sprzeczna z podstawowymi założeniami teatru. *Kordian* jest tej niesceniczności istotnym dowodem. Cóż mniej teatralnego niż *Przygotowanie* i *Prolog*? Cóż mniej możliwego do realizacji scenicznej w ówczesnych warunkach niż cały akt pierwszy i drugi? Kiedy oglądam *Kordiana* na scenie, zdaję sobie sprawę, że forma dramatyczna tu, podobnie jak i w *Dziadach*, z którymi *Kordian* ściśle jest związany, to tylko pozór.

Ale rozumiejąc sens *Kordiana* i jego doniosłość nie mogę kwestionować

całego aktu I, niesłychanie w tym utworze istotnego. Czymże jest akt I? To parafraza pierwszej części napisu, skreślonego przez Gustawa na ścianie bazyliańskiej celi: *Obiit est Gustavus.* Pierwszy akt — to ironiczno-sentymentalny opis zgonu rzekomego bohatera romantycznego. Dla nas oczywiście bohater ów umarł już dawno, ale w roku 1833 ten opis kliniczny był niezwykle doniosły i świadczy dziś o głębokiej przenikliwości autora. Umiera więc Gustaw sielski, młodzieniaszek wileńsko-krzemieniecki, czytający w jesiennych alejach Byrona i Szekspira i biorący z nich tyle tylko, ile trzeba do zaspokojenia duszy człowieka już czującego, ale jeszcze nie rozumiejącego swojego losu, człowieka już jako przedmiotu badań psychologii indywidualnej, ale jeszcze nie zdającego sobie sprawy z prymatu historii.

Akt drugi — to opis narodzin nowoczesnego Polaka, obywatela bez państwa, żołnierza bez ustalonej hierarchii wojskowej, polityka bez partii i bez parlamentu, bohatera bez nadziei na wzmiankę w księdze dziejopisa, członka zbiorowiska o wielkich aspiracjach i o najmniejszych szansach ich urzeczywistnienia. Osiągając zwolna tę świadomość Kordian kolejno demaskuje sam przed sobą wszystkie elementy panującego wówczas ładu, żaden z nich bowiem nie odpowiada potrzebom nowoczesnego Polaka. I tu znowu należy docenić przenikliwość autora i całą głębię jego świadomości. W rozmowie z Dozorcą, który wyjaśnia polskiemu Childe-Haroldowi zawiłe systema angielskiego parlamentaryzmu, najlepiej widać, jak dobrze rozumie Słowacki, co dzieli Polskę od Zachodu. Dozorca reprezentuje tu wszystko, czego nowoczesny Polak winien się był uczyć: ekonomię, parlamentaryzm, podział władzy gwarantujący wolność. Kapitalny jest ten fragment rozmowy o dłużniku-bankrucie, którego Kordian wziął za romantycznego marzyciela:

KORDIAN

Dlaczegóż nie w więzieniu duma, lecz w ogrodzie?

DOZORCA

Prawo w domy nie wchodzi; po słońca zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik we dnie sypia, a chodzi po nocy.

Po lekcji ekonomii i prawa przychodzi jak gdyby rozdział ze szkoły uczuć: scena z Wiolettą. Następnie scena w Watykanie i oto Kordian zostaje w Europie sam; znikąd nie oczekując już pomocy, pragnie ją nieść zastygającemu w klęsce narodowi. I dlatego ani monolog Kordiana, ani rozmowa z Chmurą, ani wstrząsający do głębi okrzyk, którym zamyka się akt drugi, nie są ani przestarzałe, ani zabawne, ani mistyczne. Wszystko bardzo jest prawdziwe, historyczne i żywe. Akt drugi dopełnia śmierć Gustawa i z jego końcem wypisuje Słowacki na murach, w których więziono nowoczesną Polskę, drugą część zdania: *natus est Conradus.* Nie byłby *Kordian* niczym więcej niż parafrazą *Dziadów,* gdyby jego doświadczenie nie było większe niż doświadczenie Gustawa-Konrada. Oczywiście, mówiąc to, nie zamierzam bynajmniej bronić prymatu *Kordiana* przed *Dziadami,* a zwłaszcza przed trzecią ich częścią. Po prostu *Kordian* wydaje mi się utworem bliżej, ściślej, świadomiej związanym przez autora z rzeczywistością historyczną, pisanym z większą świadomością celów politycznych nowoczesnego

Polaka. Kordian wydaje mi się postacią bardziej historyczną niż Konrad. Jego próby działania bliższe są postulatów życia narodowego, ale one to właśnie, ich niepowodzenie, skazują i postać Kordiana, i cały utwór na żywot krótszy i mniej świetny, na miejsce w naszym sercu skromniejsze niż to, jakie zajmują w nim *Dziady* i Konrad.

Dlaczego tak uparcie powraca to porównanie? Skąd się bierze ów maniacki upór, który każe nam łączyć poetów w trójce, a we wszystkich utworach doszukiwać się tych samych treści? Odpowiedź jest prosta i łatwa: z konieczności potwierdzenia własnego istnienia, z historii. Są utwory, z których ani na chwilę nie wychyla się jego istotna, ukryta w nich treść. *Rozebraną* Norwida można przeczytać Niemcowi czy Francuzowi, nie budząc w nim nawet cienia wątpliwości, że o kobiecie, a nie o kraju tam mowa. Ale Polakowi sam tytuł nasuwa już właściwą interpretację wiersza. Konspiracyjna literatura...

W czym widzę doniosłe, wychowawcze wartości *Kordiana*? W jego politycznej sensowności. W programie danym przez Słowackiego nowoczesnym Polakom. W ukazaniu, że osobiste życie w warunkach politycznej nicości narodu jest niemożliwe. W znakomitej krytyce i ocenie przyczyn klęski rewolucji listopadowej, zawartej w *Przygotowaniu*. W pamfletowości tego *Przygotowania*, pisanego przecież w chwili, gdy żyją jeszcze wszyscy ocenieni w nim działacze: Chłopicki, Czartoryski, Krukowiecki, Niemcewicz. Każde słowo *Przygotowania* jest dotkliwą aluzją, straszliwym wyrzutem. Fascynująca jest ta kronika polskiej konspiracji politycznej i jej spełnienia, napisana w dwa lata po tragicznym finale powstania.

Istnieje legenda o Słowackim-poecie narodowego marzenia. Z tym należałoby jak najostrzej się rozprawić. Kiedykolwiek bierze Słowacki za pióro, żeby pisać o Polsce i o sprawach polskich, zawsze wydaje mi się o wiele bardziej świadomy niż wszyscy inni, z Mickiewiczem łącznie. Jest w *Kordianie* ostra polemika z poezją rozumianą jako pociecha i kołysanka dla sumień. Polemika ta wypełnia cały *Prolog* i jest jednocześnie próbą skreślenia programu dla nowoczesnej literatury polskiej. Anegdotycznie rzecz biorąc, nie trudno tu pod Pierwszą Osobę *Prologu* podstawić Mickiewicza, autora *Dziadów* i *Pana Tadeusza*, rozumianego zapewne wtedy przez autora *Kordiana* jako „sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem", jako „kotara z rąbka niebios tęczy".

Druga Osoba *Prologu* to jego antagonista sprzed osiągnięcia pełnej świadomości historycznej, Kordian z okresu wędrówki przez Europę, wygnaniec stojący „wśród siedmiu złotem nalanych narodów".

Wreszcie Trzecia Osoba *Prologu*, autor *Kordiana*, w którym osobliwie przejrzyście wykłada się myśl o politycznej świadomości nowoczesnego Polaka. A więc znowu triada...

Przygotowanie jest wielkim lamentem nad nicością politycznych przywódców powstania, *Prolog* — prospektem dla norodowego poety, zamierzającego kształtować polityczną świadomość swych braci.

W trzeciej części *Dziadów* kibitka uwozi Konrada na północ. Rozpocznie się poemat Sybiru, beznadziejnie długa, biała noc, pełna widm i zjaw. W ostatnim akcie *Spisku koronacyjnego* nie słychać salwy przecinającej życie Kordiana. Dla przyszłych losów polskich Syberia nie oznaczała nic. Siły i myśli ludzkie uwięzione wśród śniegów dalekiego zesłania i katorgi były już tylko przedmiotem dziejów. Co stanie się z Kordianem? Czy ocalony przez wysłannika księcia Kon-

stantego stanie w szeregach belwederskich? Czy padnie pod Grochowem? Czy przekradając się przez kordon ujdzie za granicę? Czy powróci potajemnie i zginie w emisarce, czy może w chłopskim przebraniu przebiegać będzie wsie i miasteczka? Czy kłócić się będzie na Taranie, czy osiądzie na Jersey? Nie wiemy. Ale los Kordiana nie wypełnił się jeszcze na placu Saskim. Życie jego pozostaje otwarte na wiatr historii, nie zapisane do końca, jak nie zakończona w 1833 roku była sprawa, dla której obumiera w Kordianie niedojrzały marzyciel i romantyczny poeta, by z tej literackiej niemocy mógł się wyzwolić działacz konspiracji patriotycznej.

Cała polska poezja pierwszej połowy XIX stulecia zatruta jest piołunem klęski. Im poezja to świetniejsza, tym gorycz bardziej piekąca. Cała ta poezja, od *Trenów* Morelowskiego czy lamentu Woronicza, aż do najświetniejszych strof Mickiewicza i Słowackiego, ma jeden tylko temat, jedną treść i jedno tylko znaczenie. Jeśli gorycz ta żre i pali, do dlatego, że owa poezja była protestem przeciw jedynej może sytuacji, gdy zbiorowisko wysoko już rozwinięte i świadome swoich dróg, zostało pozbawione tych form organizacyjnych, które umożliwiały jego naturalny rozwój. Powstał paradoks historyczny w dziejach nowoczesnych niespotykany, i on to sprawił, że zrodziła się z kolei ta paradoksalna literatura, ten nieteatralny teatr, ta jednostrunna poezja, przeznaczona tylko dla nas i tylko przez nas rozumiana. I stąd też, z powszechnej wiedzy o tym tragicznym paradoksie, bierze się również ów powszechny szacunek ludów wobec nieznanej i niepojętej często poezji, którą umarli wciąż zaklinają żywych, aby działali coraz rozumniej i aby gorzkie ziarno słów przemieniali w chleb życia.

Paweł Hertz

POETA OBRAZU

Jan Śpiewak: *Poezje*, Warszawa, „Czytelnik" 1955, str. 198.

1

Tom *Poezji* Jana Śpiewaka, przynoszący utwory powstałe w ciągu przeszło dwudziestu lat, rozpada się jakby na dwie części. Pierwsza stanowi retrospektywny przegląd twórczości poety, druga zawiera obszerny cykl wierszy najnowszych, nie opublikowanych dotąd w postaci książkowej. Nowy zbiór pozwala więc prześledzić drogi twórcze poety. Debiutancki tomik Śpiewaka *Wiersze stepowe* — wydany w latach trzydziestych, zawiera już wiersze całkowicie dojrzałe: ich autor prezentuje się jako skrystalizowana indywidualność twórcza, dysponująca własnymi rozwiązaniami stylistycznymi.

Przedwojenna liryka Śpiewaka obraca się w zasadzie w kręgu trzech motywów: świat dziecięcy, wojna, przyroda. Nie tworzą one osobnych działów. Nawet przeciwnie — przeplatają się, składają się często na przemyślaną artystycznie syntezę. Rolę łącznika gra prawdopodobnie element autobiograficzny. W *Wierszach stepowych* jest Śpiewak przede wszystkim poetą wspomnień. Materiał wzruszeń lirycznych stanowią bliskie uczuciowo zdarzenia dzieciństwa, które przebiegało — jak wnioskować można z wierszy — na Ukrainie podczas pierwszej wojny światowej. Ukazując świat oczyma dziecka nie infantylizuje poeta obrazu, nie infantylizuje przeżyć — a tak się, niestety, ostatnio dzieje w wielu najnowszych tomikach poetyckich. Śpiewak nie próbuje kokietować dziecięcą naiwnością, nie rekonstruuje też przeżyć z odległych czasów dla samego ich uroku. Motyw dzieciństwa łączy się z tym, co poeta chce powiedzieć nie o zdarzeniach sprzed dwudziestu lat, ale o problemach współczesnych, wręcz aktualnych: o groźbie nadciągającej wojny. Widmo wojny ciąży nad *Wierszami stepowymi* tak, jak zaciążyło na pierwszych latach życia poety. Motywy dzieciństwa są więc tu jakby wielką metaforą. Bo też w swym pierwszym cyklu czyni Śpiewak z metafory podstawowy element swego języka poetyckiego.

Źródeł zjawiska trzeba szukać w tym, że posługuje się on przede wszystkim obrazem, rzadko zaś sięga po liryczną refleksję, jeszcze rzadziej korzysta z form liryki bezpośredniej, zwierzeniowej.

Zasadniczy składnik obrazu stanowi u Śpiewaka przyroda. Nie jest on jednak lirykiem-pejzażystą, którego by fascynowało ujmowanie w strofy wycinków rodzinnego krajobrazu. Przyrody nie traktuje poeta nigdy w tych wierszach jak tła — ona jakby uczestniczy w akcji lirycznej, w wizji dzieciństwa pierwszorzędną gra rolę. Zespala się zawsze z faktami: jej obraz stanowi wykładnik wzruszeń. Jest to przyroda niezwykła, nieco egzotyczna, jakby zaborcza wobec człowieka. Mimo daleko posuniętej metaforyzacji stylu stwarza sobie Śpiewak ścisłe rygory konkretności w jej przedstawianiu:

Długo krążyły lata — posągi wyzute
z kamieni —
i lasy spalone od wojny porosły w głogi
i chwasty.

Oto sytością daremną rozciąga się linia pszenic
przed horyzontem, który spochmurniał i zastygł.
(Dno)

Strofa ta wręcz narzuca się wzrokowi czytelnika, zmusza do dokonania obrazowej konkretyzacji. Charakterystyczną cechą cytowanego fragmentu jest pewna dokładność w przedstawianiu świata, mimo że w obraz wprowadzone zostały wyrazy, które stanowią jakby liryczny komentarz („sytość daremna") — przenikają one w jego wnętrze. Inną charakterystyczną cechą poetyki Śpiewaka, dostrzegalną również i w przytoczonej strofie, jest ukonkretnianie pojęć. Przedstawienie lat jako posągów jest pod tym względem bardzo reprezentatywne. Wyraża się w tym nie tylko przewaga obrazu nad innymi elementami stylu poetyckiego, ale również coś więcej. Zestawienie takie wygląda pozornie na oksymoron: lata ujęte bardzo dynamicznie („krążyły") sprowadzone zostają do posągu, przecież ze swej natury statycznego. Rzecz wygląda inaczej: świadczy o tym dalsza część przenośni — „posągi wyzute z kamieni". Wizja statui narzuca niejako spontanicznie całkiem określone przedstawienie obrazowe. Jednakże następny człon metafory sprowadza je na zupełnie inne tory. „Posągi wyzute z kamieni" — mimo że ich obraz został w świadomości odbiorcy utrwalony — to przecież nicość. W ten sposób ta oryginalna przenośnia nadaje pojęciom i zjawiskom nie tylko kształt przedmiotów, ale dokonuje również ich lirycznej oceny. Dzięki tak konstruowanej metaforyce może sobie pisarz pozwolić na liryzm głęboko utajony, dyskretny, tkwiący we wnętrzu wizji poetyckiej, nigdy przy tym nie rezygnując z precyzyjnego wyrażenia swego osobistego stanowiska wobec ukazywanego w wierszu świata. Wydaje mi się, że to wielorakie jej sfunkcjonalizowanie jest dużym i oryginalnym osiągnięciem twórczym Śpiewaka.

Obok zwartej, nowoczesnej metafory posługuje się poeta innymi, nieco bardziej tradycyjnymi figurami stylistycznymi. Często zwraca się do epitetów:

Opiły owoc łąki — soczystą zielną trawę,
owce miętosiły w zębach, oczyma wlokły krwawo
obłok, wylęgły zwolna z pąków ostromleczy,
topiły w rudym piasku chybotliwej rzeczki
i z żwirnych dołów wyłuskane ryby.

Tradycyjnie epitety ustatyczniają przedstawiony w wierszu świat: bądź ukazują jego stałe, nie podległe zmianom cechy, bądź też stanowią wtręty bezpośrednio oceniające. Śpiewak wykorzystuje je inaczej. Epitety potęgują jeszcze dynamiczny charakter cytowanego fragmentu dlatego, że prezentują znamiona przedmiotów i zjawisk aktualne w danym momencie, a nie stanowiące o jego istocie („chybotliwa rzeczka"), przemijające. Przy tym z reguły pełnią funkcję ukonkretniającą, uplastyczniającą. Poeta ukazuje te cechy zjawisk, które dostrzegalne są niejako gołym okiem, które jakby bezpośrednio apelują do wyobraźni. Łączy się to z ogromną czułością — taką, jak u Leśmiana czy Iwaszkiewicza — na sensualną stronę zjawisk. Wizje przyrody są u Śpiewaka bardzo nasycone elementami zmysłowymi. Przytoczony wyżej fragment jest pod tym względem wymowny. Epitety ukonkretniają przedmioty przedstawione, ukazują te cechy zjawisk, które są przede wszystkim dostępne zmysłom, jakby namacalne. Skłonność do ukazywania świata w jego złożoności zmysłowej współistnieje u Śpiewaka z tendencją do nasycania obrazu ruchem. Przedstawienia przyrody tak jak wspomnienia dzieciństwa ujmowane są dynamicznie, wciąż zmieniają swą postać. Nie jest to jednak kwestia tylko poetyckiej wizji. Z dynamicznym obrazem zespala poeta swoje równie dynamiczne przeżycia:

Gdy w rozdartych porciętach, leżąc na dachu stodoły,
czerpałem bezwład południa zmrużonymi oczyma,
wiało wówczas rdzawą blachą i spaloną smołą,
orzech ściany zielenił i w gałęziach trzymał.
(Przechodzień)

Geneza ruchu tkwi w spojrzeniu bohatera lirycznego na świat. Nawet jeśli ukazany jest on w stanie statycznym

(„bezwład południa"), to stosunek podmiotu do niego jest aktywny. Zespolenie takie decyduje o dynamicznym charakterze metafory. Przenośnia u Śpiewaka nie tylko tworzy jakiś obraz, ale również określa stosunek bohatera lirycznego do niego. Stosunek ten może być dwojakiego rodzaju: najczęściej emocjonalny. Często jednak taki, który nazwać by można „sytuacyjnym". Metafora wtedy ukazuje jakieś zjawiska tylko w uzależnieniu od tego, jak je widzi bohater wiersza. We fragmencie poematu *Jesień* spaceruje on po ulicach bliżej nieokreślonego miasta kresowego. To wpływa na wygląd metafory: konstrukcja jej staje się przede wszystkim dynamiczna. I tak napotykamy np. „gonitwę domów", przenośnię uwarunkowaną przede wszystkim przez aktualne spojrzenie bohatera. Decyduje ono o wyglądzie obrazu poetyckiego, który tworzy jedność z jego przeżyciem, jedność opartą w zasadzie na ruchu. W *Jesieni* znajdujemy szereg fragmentów potwierdzających tę obserwację. Oto np. metafora świetna w swym dynamizmie i obrazowej odkrywczości: „Pluskały ryby, srebrne płetwy płukały księżyc". Metafora Śpiewaka jest przeważnie rozbudowana. Często obejmuje całe zdanie. Tym samym już wyklucza statyczność, gdyż zdanie, wyposażone zazwyczaj w orzeczenie, określające czynności, wewnętrznie ją dynamizuje. Jest to ważne z tego względu, że stanowi właśnie stylistyczny wykładnik dramatyzowania najmniejszej cząstki obrazowej, jaką jest przenośnia.

2

W wierszach przedwojennych jest Śpiewak — przekonany o tym, że „tłum (...) ster historii przekręcił na lewo" — poetą buntu, poetą negującym ówczesne normy życia społecznego. W czasie wojny postawa negującego nie wystarczała — Śpiewak staje się poetą głęboko tragicznym. Jego wiersze okupacyjne, składające się na wstrząsający cykl *Źrenice piasku*, przynoszą sumę doświadczeń tragicznych i w swym tragizmie głęboko humanistycznych. Wierny zasadzie ukazywania świata tylko w tym zakresie, w jakim go bezpośrednio dostrzega i przeżywa bohater liryczny, nie porywa się Śpiewak na dokonanie poetyckiej syntezy tych czasów. W wierszach swych nie mówi o cierpieniach całego narodu, wszystko sprowadza do doświadczenia podmiotu lirycznego. Jest to jednak sprawa zakresu — ale nie istoty. Poezja okupacyjna Śpiewaka, nabrzmiała tragicznymi przeżyciami człowieka prześladowanego, jest jednym z wstrząsających dokumentów literackich tamtych lat.

Porzuca autor *Doświadczeń* tematykę swych dawnych wierszy — dzieciństwo jest już zbyt uczuciowo odległe. Przyroda również traci swoje pierwszorzędne znaczenie. Staje się budulcem, z którego poeta konstruuje metafory — nigdy nie jest już bezpośrednim przedmiotem wzruszeń. Dużo wierszy *Źrenic piasku* poświęca poeta utraconym rodzicom. W niektórych lirykach, które są jakby monologiem syna, rezygnuje Śpiewak z rozbudowanego obrazu na rzecz intymnego wyznania:

I przyszło Wam na starość, jedyni,
tyle męki przeżyć, tyle nocy przecierpieć,
żeby garbić się milcząc, żeby co dzień ginąć,
każdą chwilę przybliżać ku śmierci.

Nie ten styl jednak, którego zasadniczą cechą jest prostota wyrazu, będzie poeta kontynuował w tym tomie, chociaż i on przynosi sukcesy artystyczne— czego dowodem ta piękna strofa. Śpiewak pozostaje nadal poetą obrazu, zewnętrznie niejasnego, „skomplikowanego", a przy wniknięciu przejrzystego i precyzyjnego. Obraz jest wykładnikiem liryzmu — w *Źrenicach piasku* dominuje bowiem liryka pośrednia. W wierszu nie obiektywizuje autor *Trosk i niepokojów* świata — wprost przeciwnie, obraz służy wyrażeniu jak najbardziej subiektywnych spostrzeżeń, doznań, przemyśleń poety, zupełnie bez uciekania się do innych środków wypowiedzi. Oto wiersz charakterystyczny pod tym względem:

Jaskółka wznosząca się wzwyż.
Błękit w żrenicach.
Gałąź dojrzała mądrością cisz.
Sen, gołębica.

Fala lękliwie głaszcząca brzeg.
Ogień potoku.
Smutek jabłoni — wiosenny śnieg.
Cień na obłoku.

(Matka)

Tytuł wiersza — wyjaśniający jego treść: właściwie podstawa interpretacji — wskazuje, że jest to swego rodzaju portret liryczny. Nie chodzi w nim poecie o zarysowanie rzeczywistego wyglądu bohaterki. Ważne jest tylko, jak ją widzi, czy jak ją sobie wyobraża „ja liryczne", jaki stosunek chce do niej wyrazić. *Matka* składa się z ośmiu — pozornie — luźnych, niepowiązanych obrazów. Ze stylistycznego punktu widzenia są to właściwie określenia. O ich spoistości decyduje nie tylko analogiczna w całym liryku struktura syntaktyczna: utwór zbudowany jest z samych równoważników zdań. Istotę wewnętrznej koherentności wiersza stanowi to, że obrazy są najwyraźniej pozbawione swej wartości autonomicznej, że są p o d p o r z ą d k o w a n e założeniu lirycznemu. Tutaj sprowadza się ono do określenia stosunku do matki i jednocześnie pokazania, jak ją sobie bohater wyobraża. Tak więc właściwe zrozumienie wiersza możliwe jest dopiero wtedy, gdy uchwyci się — w tym wypadku sugerowaną tytułem — intencję poety. Wyraża się w tym jedna z zasad naczelnych poetyki Śpiewaka: ukazywać świat nie tak, jak on wygląda rzeczywiście, ale tak, jak go postrzega podmiot liryczny. W obrazie poetyckim konstruowanym w ten sposób tkwi równocześnie pierwiastek emocjonalny, ocena ukazywanego w wierszu wycinka rzeczywistości. Tego rodzaju ujęcia Śpiewaka zbliżają się do ujęć nowoczesnego malarstwa.

Zewnętrznym zwornikiem łączącym poszczególne obrazy w liryczną całość niekoniecznie być musi chwyt „wizerunku" — wyzyskany jeszcze np. w *Portrecie nieznajomej Ormianki*. Często tworzy poeta wizję świata niejako ulotną, momentalną — tak jakby kamerą filmową chciał uchwycić błyskawiczne zdarzenie, wzbogacone jednak o jego własną refleksję czy uczucie, jakie ono w nim wywołało. To jest chyba kluczem do zrozumienia bardzo interesującego wiersza *Iskra*. Przed oczyma czytelnika przesuwa się szereg obrazów, ujmowanych skrótowo i bardzo sugestywnie — przeplatanych krótkimi wyznaniami poety. Większość obrazów jest pozornie od siebie niezależna — ich wewnętrzne związki ujawniają się wtedy, gdy się uchwyci metodę, za pomocą której konstruuje poeta swój wiersz. Ta sama zasada ukazywania rzeczy w jej zmiennym, jednorazowym wyglądzie patronuje i poszczególnym metaforom — nawet w utworach napisanych inną metodą. Oto np. przenośnia w charakterystyczny sposób rozbudowana w całe zdanie: „Cóż siwy włos, który na słońcu krwawi" (z wiersza *Do klasycyzującego poety*).

Zewnętrzna luźność obrazów nie znika, a nieraz nawet potęguje się w wierszach nieco bardziej rozbudowanych, stanowiących liryczny rozrachunek z czasami wojny, w którym nie posługuje się poeta tego rodzaju chwytami kompozycyjnymi, jak w *Matce* czy w *Iskrze*. Komentował ten problem — w moim przekonaniu niesłusznie — Lech Budrecki w recenzji jednego z poprzednich tomów poety: „Osłabienie więzi konstrukcyjnej, wyraźnie zarysowujące się tak w *Wierszach stepowych* jak i w *Źrenicach piasku*, to jedno z najważniejszych i najbardziej niebezpiecznych obciążeń Śpiewaka, nabytych w czasie poetyckiego eksperymentatorstwa. Widać w tych wierszach zachwianie logicznego związku pomiędzy poszczególnymi zdaniami. Zasada sprzęgająca frazy i strofy w jeden utwór staje się tajemnicza i nieodgadniona." * Przy minimalnym nawet wysiłku myślowym trzeba dojść do innych wniosków. Obraz Śpiewaka to wcale nie tzw. *„l'image pure"*, z którego teoretykami polemizował kiedyś Croce. Jest on podporządkowany lirycznemu założeniu — np. w wierszu zaczynającym się od słów „Nie znam granic świata...", zresztą jednym z najlepszych w całym dorobku poety. Bohater chce wyrazić swój stosunek do straszliwego świata wojny. Czyni to przede wszystkim przez ukazywanie szeregu obrazów nie powiązanych ze sobą ściśle. Poprzez luźność przedstawień, wyraża poeta intymną ocenę świata. Tym samym obrazy są podporządkowane jeszcze silniej

* *„Twórczość"* 1952. Nr 12, str. 137.

naczelnej metodzie poetyckiej Śpiewaka w *Źrenicach piasku*: ukazywania świata tylko tak, jak go widzi poeta czy jego *porte-parole*. Dlatego też może sobie pisarz pozwolić na najróżniejsze zestawienia obrazowe, nieraz wręcz przeciwstawne utartym wyobrażeniom. Np. w *Lamencie utraconego czasu* pisze Śpiewak o mężach, „...których kalectwo w posąg się zmienia wysmukły". Na tle całości wiersza nie można tego obrazu traktować jako groteskowy. Po prostu wydaje się naturalny.

3

W swych wierszach z ostatnich pięciu lat — składających się na cykle: *Doświadczenia* oraz *Troski i niepokoje* — stara się poeta poszerzyć krąg wzruszeń lirycznych. Zwraca się do dnia powszedniego, zaczyna intensywniej uprawiać lirykę o temacie rodzinnym. Naczelną tendencją artystyczną staje się dążność do prostoty wypowiedzi, do okiełznania bogatej i niespokojnej wyobraźni. Przyniosło to rozmaite rezultaty. Rzeczywiście i w tej nowej konwencji tworzy Śpiewak szereg dobrych wierszy, ale — sądzę — wyrządziła ona więcej szkody niż dała korzyści. Poeta „odbierał słowom swym zdziwienie" — by posłużyć się zdaniem z jednego z jego utworów. Niektóre z nowych wierszy są zbyt wygładzone, słowa w nich są zbyt „oswojone" (np. w cyklu o Bułgarii). Mimo że Śpiewak należy do tych poetów, którzy w ponurych dla naszej literatury latach umieli zachować swoje własne oblicze artystyczne, nie podlegając etapowym modom, nie trudno w poszczególnych lirykach odnaleźć odbicie ideałów poetyckich poprzedniego okresu, w którym kanony estetyki ustanawiały różne, absolutnie niekompetentne publicystyki. Najlepsze wiersze Śpiewaka z tych lat obracają się nadal w kręgu tematyki okupacyjnej. Powraca w nich poeta — z tymi czy innymi modulacjami — do swej metody twórczej z poprzednich tomików.

Poszukuje jednak często nowych środków i nowych wzorów artystycznych. Zwraca się w stronę klasycyzmu. Powstają w jego konwencjach utrzymane wiersze, zazwyczaj nieudane: *Oda do Warszawy, Do Jana Kochanowskiego* — w tym jeden zaskakuje swą doskonałością: poemat *Warszawa*. Zaczyna się zdaniem jakby wyjętym z *Powązek* czy któregoś z innych wierszy Trembeckiego: „Warszawo! Kochałem szmer ogrodów twoich". Wygląda ono na początek poematu opisowego. Jednakże już następne zdania brzmią inaczej — nie XVIII-wiecznie, ale współcześnie:

> Nieraz lubiłem wieczorami ukrytą rzeźbę
> pośród murów dojrzeć znienacka. Z liści
> bluszczu wyblakły fresk półcieniem spadał...

Decyduje o tym jeszcze nie dobór słów, nie budowa składniowa — ale wersyfikacja. Ostre przerzutnie burzą spokojną kadencję klasycyzującej frazy. W dalszych partiach wiersza przerzutnie się mnożą. Nie są one obojętne wobec środków wyrazowych, nie są tylko elementem „techniki". Tak dzieje się w *Warszawie* — a może jeszcze wyraziściej w pomysłowym liryku *Na N. N.*, w którym powtarzające się *enjambements* tworzą bodaj jedyną konstantę rytmiczną. Składają się na dziwny, mechaniczny rytm, który jeszcze bardziej podkreśla wyrażony w wierszu stosunek autora do estetyzujących poetów. Powróćmy do *Warszawy*. Następne jej fragmenty — już nie tylko przez swą strukturę wierszową, ale i styl: zwłaszcza śmiałe obrazowanie — brzmią całkiem współcześnie. Klasycyzujący początek okazał się tylko wstępem, tylko punktem wyjścia. Domniemany poemat opisowy stał się rozbudowanym monologiem lirycznym, bogatym w wizje Warszawy dawnej i teraźniejszej. Już w tym poemacie przejawia się ta cecha poezji Śpiewaka, która zaważy na wielu nowych wierszach: skłonność do paralelizmu. Poeta powtarza wielokrotnie jedną strukturę syntaktyczną, powtarza zdania często zaczynające się od tego samego słowa:

> Porównywałem cię do drzewa, gdy drzew nie widziałem.
> Prównywałem się do trawy, gdy zamieć śnieżna oślepiała chaty.
> Porównywałem cię do muszli szemrzącej o morzu, gdy dopływałem do granic śmierci.

Ujęcia takie mają swoje uzasadnienie. Powtarzającym się wyrazem jest słowo, wypowiadane bezpośrednio przez bohatera lirycznego, prezentujące jakby jego stosunek do ukazywanego w wier-

szu świata. Przedstawia przez to nie tylko rzeczywistość, ale również spojrzenie nań podmiotu lirycznego. Dawniej rolę tę spełniała metafora. Stąd częsty, np. w *Źrenicach piasku*, motyw źrenic i oczu: „Pszenicę i kulę unieśliście w oczach na zawsze", „wydobędziemy z oczu wieczór", „piasek bywa oczami" itd. Obecnie, gdy poeta rezygnuje z tak „subiektywistycznej" przenośni, zwraca się do swoiście konstruowanego paralelizmu. Ale nie jest to jedyna jego funkcja. Poprzez paralelizm eliminuje poeta opis. Określenie tego, jak bohater daną rzecz spostrzega, zwalnia od ukazania jej wyglądu. Paralelizm pełni też ważną rolę kompozycyjną w wierszu. Przez to, że opiera się na powtórzeniach czy to całych zwrotów, czy tylko pewnych struktur zdaniowych, wpływa na jednolitość stylistyczną utworu. Jakby opierając się na niej buduje poeta cały wiersz. Narzuca to oczywiste rygory — i jednocześnie prowadzi do zwięzłości. Dlatego w nagromadzonych w wielu wierszach powtórzeniach nie widziałbym dłużyzn, ale raczej swoiste syntezy treści — przy użyciu innych środków stylistycznych wymagałyby bezsprzecznie więcej słów. Wydaje mi się bowiem, że im bardziej uwydatniony jest liryzm (a paralelizmy Śpiewaka właśnie go podkreślają, gdyż powtarzane są słowa przede wszystkim określające emocjonalny charakter wierszy), tym z mniejszej ilości wyrazów utwór może być zbudowany, tym wyraźniej dąży ku lapidarności. Ku zwartemu sygnalizowaniu uczuć w błyskawicznie zmieniających się obrazach.

Paralelizm — może nie tyle ze względu na swój charakter, ile na tradycje w literaturze — szczególnie ważną gra rolę w utworach o treści patetycznej, nasiąkłych bólem i cierpieniem. Toteż szczególnie często pojawia się w wierszach o tematyce okupacyjnej, której poeta pozostaje wierny i w tych cyklach — w myśl pięknej sentencji:

Tak trudno wspominać. Tak trzeba
wspominać,
aby nie stali się chmurą jedynie, którą
przewieje wiatr.
(Warszawa)

I te wiersze stanowią nadal centralną część twórczości Jana Śpiewaka. Sprawiają wrażenie utworów najbardziej intymnych, najgłębiej przeżytych — tak jak kilka pięknych liryków, adresowanych do synów. Ich lektura — pozwolę sobie zakończyć stwierdzeniem całkiem osobistym — była dla mnie dużym przeżyciem czytelniczym.

Michał Głowiński

MORALISTYKA, DOWCIP I PAMFLET

Artur Marya Swinarski: *Satyry*. Warszawa 1955; PIW; str. 288.

Wybór utworów Artura Marii Swinarskiego wydany w roku ubiegłym oświetla dosyć wyraziście tę całkowicie oryginalną i odrębną sylwetkę poetycką, a jednocześnie dostarcza bogatego materiału do rozważań o wielorakich możliwościach współczesnej satyry. Swinarski jest twórcą o poważnym — przeszło dwudziestoletnim — stażu. W ciągu tego okresu poezja jego przeszła z pewnością ewolucję, na pewno znajdziemy w niej mielizny, pomyłki artystyczne, ale w całym jej rozwoju można wykryć motywy trwałe, dowodzące jednolitej i konsekwentnej postawy twórcy. Satyra Swinarskiego wiąże się ściśle z tradycjami moralistyki. Nie wyraża nigdy tendencji agitacyjnych, przegrywa na ogół zawsze na tematyce bezpośrednio politycznej, obce jej są dążenia dydaktyczne. Rejony, w których działa, znajdują się poza tak pojętą doraźną celowością.

Satyra współczesna — i to chyba decyduje o jej słabości — rozwija się pomiędzy dwoma biegunami — dydaktycznego moralizowania i żonglowania żarcikiem.

Utwory zrodzone na pierwszym biegunie sugerują odbiorcy pewne intencje, uczą go w określony sposób reagować

na wskazane zjawiska, utrwalają w świadomości czytelnika przekonania i poglądy. Natrętna obecność bezpośrednio sformułowanego morału bynajmniej nie jest tu konieczna, istota rzeczy tkwi w samym schemacie myślowym.

I tak np., gdy przesłanką jest opis obłędnych poczynań zwariowanego ministra amerykańskiego, który przerażony majakami skacze z któregoś tam piętra na ulicę, wówczas wniosek głosi bezapelacyjnie — na zasadzie *pars pro toto* — obłędność całego systemu, w którym m i n i s t r o w i e są idiotami. Inny przykład — gdy przesłanką będą perypetie związane z brakiem żarówek na rynku, wtedy wniosek minimalny brzmi: „źle, że nie ma żarówek", natomiast maksymalny wskazywałby oprócz tego jeszcze domniemanego sprawcę takiego stanu rzeczy.

Z dwóch przykładów pierwszy sugeruje wniosek fałszywy, drugi — banalny. Postawa moralizatora zawsze ogranicza poznanie do kręgu uogólnień pożądanych z punktu widzenia pewnego celu lub prawd oczywistych, które należy ugruntować i utrwalić.

Możliwość druga — żartownisiostwo — jest innego rodzaju. Nie występuje na ogół w stanie wolnym, lecz służy najczęściej jako ornament dydaktyce. Opiera się na dość ograniczonym repertuarze gagów, które — mówiąc trywialnie — mają rozweselić czytelnika i wprowadzić element odprężenia do wykładu „zasadniczej" myśli.

Postawa moralizatorska ogranicza możliwości poznawcze, a więc odkrywczość satyry. Jej przeciwieństwem jest postawa m o r a l i s t y c z n a, w istocie właściwa każdej wielkiej (a jeśli nie wielkiej, to przynajmniej ambitnej) poezji. Celem moralistyki jest poznanie ludzkiego charakteru niezależnie od doraźnych rezultatów pedagogicznych. Pozytywność lub negatywność oceny należy tu rozumieć jako podsunięcie sugestii wartościującej, a nie jej apodyktyczne narzucenie. Uogólnienie moralistyczne raczej konstatuje niż ocenia, pozwala r o z u m i e ć, a nie poucza. Główny nurt twórczości Swinarskiego wyrasta z tak pojętych założeń satyry moralistycznej. Nie można zdecydowanie twierdzić, by założenia te warunkowały bez reszty wybór określonych gatunków i sposobów wypowiedzi, choć z pewnością istnieje między nimi łatwa do uchwycenia zależność. Swinarski uczęszcza drogami mało na ogół przetartymi, wykorzystuje gatunki satyryczne częściowo w ogóle zapomniane, częściowo porzucone współcześnie w obawie przed ich skostnieniem. Jednak twierdzenie, że poeta sięga do zapomnianych lub zagubionych tradycji gatunkowych, jest tylko częścią prawdy. Bowiem korzystanie z tych tradycji oznacza zawsze ich przetworzenie, odrzucenie balastu konwencji, unowocześnienie — żeby się posłużyć modnym obecnie słówkiem. Wybór formy dokonywany przez Swinarskiego wiąże się w pewnym stopniu z zasadniczą tendencją, jaka patronuje jego satyrze. Przywołanie i ożywienie takich gatunków, jak bajka, przypowieść, sentencja wschodnia czy epigramat, wspiera założenia moralistyczne, potęguje niejako uogólniający sens utworów. Są to rodzaje, w których dochodzi do głosu pewna abstrakcyjność w pojmowaniu spraw ludzkich, gdzie intencja zostaje wyrażona pośrednio poprzez utrwalone w tradycji literackiej sytuacje, postaci czy alegorie. Satyra, czerpiąca z tego arsenału środków, raczej ujawnia charakter zjawiska, pokazuje jego mechanizm, niż pragnie kierunkowo oddziaływać. Dydaktyczna ocena zostaje niejako zawieszona, sens moralny zaś jest konstatacją, a nie bodźcem do poprawy. Ten typ oceny kojarzy się niewątpliwie z pewną domieszką sceptycyzmu niechętnego orzeczeniom ostatecznym i jednoznacznym rozstrzygnięciom. Postawa Swinarskiego pokrewna jest pod tym względem satyrze Jana Lemańskiego. Wielki poprzednik autora *Parodii* wprowadził do poezji satyrycznej ironiczny cudzysłów, stawiający pod znakiem zapytania celowość utylitarnego sensu satyry.

Nie jest moralizować wcale moim celem.
Wątpię, czy od morałów kto tam wydobrzeje
Czy odmienić naturę swą potrafi zgoła.
Żyjcie sobie, dalecy od typu anioła...

Sceptyczne wątpliwości podważają przekonania o wychowawczym posłannictwie satyry, stwarzając z niej sztukę „moralnie obojętną". W utworach

Swinarskiego postawa taka jest już pewną konwencją, nie potrzebuje być manifestowana, jest bowiem elementem poetyki, którą twórca konsekwentnie kształtuje od lat przynajmniej dwudziestu. Wybór tych właśnie tradycji i konwencji, związanych zresztą również z nazwiskami tłumaczonych przez Swinarskiego wielkich poetów niemieckich, indywidualizuje jego twórczość na tle satyry współczesnej, „strasznie" na ogół poważnej wobec swych założeń dydaktycznych. Moralistyka ujawnia się więc tutaj w otoce sceptycyzmu, nie przybiera kształtu tendencji, nie może go w ogóle przybrać, ponieważ zasady wartościowania nie stanowią dla poety jakiegoś systemu, którego rzekomą bezsporność i słuszność należy narzucać odbiorcy, lecz kryją się w s p o s o b i e p o z n a n i a, w metodzie analizy ludzkiego charakteru, obyczajów i nawyków. Sceptycyzm w ocenie nakazuje odrzucać wszelkie jednoznaczne wyroki i rozstrzygnięcia w imię zrozumienia dla złożoności życia, którego satyryczna negacja wyrasta z uczuć jak najbardziej konstruktywnych:

...Każdej satyry dno
to serca niepokój i troska
i, twarda jak ręka boska,
miłość. Otóż i to.

...A kiedy nareszcie zmądrzeje
świat i powszechne dzieje,
kultura i sztuka, i ty —
satyrycy będą bez posad
i tylko zostanie ten osad:
miłość, krokodyl i łzy.

(Prolog)

Wydaje mi się, że formuła poety odsłania najgłębszy pokład jego „światopoglądu". Skoro uznamy ją za syntetyczny skrót postawy poetyckiej, wówczas stanie się zrozumiały sens moralistyki, o której tu mowa. Jest ona pozbawiona elementu agitacyjności, nie chce oddziaływać w imię prawd uznanych za wartościowe, nie może potępiać, bowiem wiąże się zawsze z „dnem satyry" — głęboką miłością dla ludzkiego charakteru, skomplikowanego i nie dającego się bez reszty wymierzyć w kategoriach potocznej pedagogiki społecznej. Moralistyka ta wynika z przekonania o konieczności wszechstronnego poznania człowieka i wstrzemięźliwości wobec ostatecznego osądu. Osąd taki krystalizuje się jedynie w odniesieniu do ogólnych typów ludzkich, a więc z konieczności nie ma sensu utylitarnego, jego celem nie jest zmiana stanu rzeczy, lecz sformułowanie tezy. Wartościowanie w tej sferze nigdy nie może prowadzić do określonej tendencji ideologicznej, nigdy nie wykracza poza analizę poznawczą. Tak rozumiana postawa moralistyczna wiąże Swinarskiego z tradycjami satyry oświeceniowej, wyrosłej przecież na doświadczeniach francuskich moralistów XVII-wiecznych. Okresy posuchy w jego twórczości potwierdzają to spostrzeżenie. Są one związane z chwilowym odejściem od konwencji ideowych i artystycznych, właściwych poetyce Swinarskiego — w kierunku satyry dydaktyczno-agitacyjnej. Mam na myśli zespół utworów, powstałych w jednym mniej więcej okresie, bladych i bezbarwnych, tego rodzaju, jak *Nocne rozmyślania mister Hearsta* czy *List gończy za policjantami*. Należy lojalnie wspomnieć, że obecnie zredukowano znacznie ich ilość w porównaniu z wyborem z roku 1950. I słusznie: nie wytrzymują — jak zresztą znaczna część dorobku innych satyryków — próby czasu, nawet tak krótkiego, jak ten, który nas dzieli od ich powstania. Utwory te powstały z inspiracji publicystycznych i noszą piętno tych wszystkich konwencji, jakie w latach ubiegłych patronowały naszej satyrze. Któż bowiem nie pisał o obsesyjnym lęku czerwieni u imperialistów, któż tak samo nie konstruował sylwetek tychże imperialistów jako policjantów, żandarmów itp. Oczywiście, jako jeden z wielu pomysłów chwyty te mogły posiadać pewną wartość. Z chwilą jednak gdy stały się w s p ó l n ą i j e d y n ą własnością ówczesnej satyry, zaczęła się nieludzka piła. Powstało kilka obiegowych motywów tematycznych, które w różnorodnych wariantach przewijały się przez wiersze wszystkich nieomal twórców. Przepisy poetyki normatywnej określały nie tylko zasady budowy bohatera pozytywnego w powieści lub dramacie, decydowały również w satyrze o konstruowaniu postaci negatywnych i ustalały ścisły rejestr sytuacji, jakie satyryk powinien „ośmieszyć". Z czasem reguły

tej poetyki zaczęły się coraz bardziej precyzować, obejmując nawet dziedzinę poetyckiej ornamentyki. Wystarczy choćby przypomnieć przysłowiową już dziś dewizkę na brzuchu kułaka. Wspomniane utwory Swinarskiego oparte są na takich właśnie skonwencjonalizowanych modelach i doprawdy trudno byłoby bez podpisu autora zdecydować, do kogo należą. Tak samo obce metodzie pisarza zdają się być wiersze reagujące na jakieś aktualne wydarzenia, próbujące kwitować niejako na bieżąco wypadki polityczne. Są one znakomitym potwierdzeniem tego, co pisałem o symbiozie dydaktyki i żartownisiostwa.

Ale to wszystko stanowi raczej margines twórczości Swinarskiego. I to nie tylko ze względu na odmienność poetyki, niewspółmiernej całkowicie z istotnymi skłonnościami i możliwościami autora, ale także ilościowo. Prawdziwe osiągnięcia jego satyry mieszczą się w kręgu zarysowanym poprzednio.

Duża różnorodność form wypowiedzi współgra w utworach Swinarskiego z jednolitą w zasadzie postawą moralistyczną. Ściśle rzecz biorąc, nieomal wszystkie przywołane i odświeżone przez pisarza gatunki satyryczne dadzą się właściwie sprowadzić do swej nadrzędnej funkcji w ramach stworzonej przezeń poetyki. Wszystkie bowiem uczestniczą — oczywiście na różnych prawach — w formowaniu rodzaju, jaki tradycyjnie określa się mianem „charakteru". Jest to rodzaj szczególnie bliski Swinarskiemu, a rozmaite jego realizacje, powstające w różnych okresach twórczości poety, niemal zawsze wybijają się na czoło. „Charaktery", o których mowa, cechują się niejednakowym stopniem konkretyzacji właściwości ludzkich, będących materiałem satyrycznego uogólnienia. Typ najbardziej abstrakcyjny reprezentuje np. *Rozmowa z świętym Izydorem Oraczem*. Utwór oparty na formie dialogowej już w pierwszej części:

Święty Izydorze, czemu nie orzesz?
— Bo muszę leżeć krzyżem w komorze. —

ujawnia swą zasadniczą treść. Dalsze szeregi pytań i replik prowadzą do bardziej wszechstronnego oświetlenia filozofii bezczynu. W jakim stopniu przekonania o tym, że wszelkie rozstrzygnięcia życiowe wymagające określonego działania należy pozostawić siłom zewnętrznym, są właściwe charakterowi „narodowemu", jest w tej chwili rzeczą uboczną. Ale nawet takie rozumienie nie ogranicza przecież abstrakcyjności utworu. O jego określoności — nawet dosyć znacznej — można mówić wyłącznie w planie sytuacji, jakie zarysowują się w dialogu, natomiast tendencja moralistyczna jest zupełnie pozbawiona takich znamion. Podobny typ budowy „charakteru" przynoszą bajki. Stopień konkretności i indywidualizacji zostaje tu jednak wzmocniony przez wprowadzenie elementów fabularnych i opisowych (np. *Sąd nad wilkiem* czy *Muzykanci*). Ogólnikowość moralistyczna bajki wiąże się z dużą konwencjonalizacją gatunku, chociaż w utworach Swinarskiego ten właśnie czynnik odgrywa rolę uboczną. Próbuje on przełamywać schematy klasycznej bajki właśnie w planie tradycyjnych morałów. Sens moralny jest nieomal zawsze przewartościowany na zasadzie przekornego paradoksu. Sam poeta opatruje większość swych bajek tym właśnie nagłówkiem. W tradycyjnie jednoznacznej już od czasów Ezopa opowieści o chytrym lisie i przechytrzonym kruku Swinarski dokonuje zabiegu odwracającego sytuację. Okazuje się bowiem, że ser wypuszczony nieopatrznie przez kruka jest zatruty, a więc mądrość lisia została przelicytowana. Przykład ten ujawnia wyraźnie parodystyczne skłonności Swinarskiego. Oprócz tego, że skłonności takie wyspecjalizowały w ramach jego pisarstwa osobny gatunek, zjawiają się one również właściwie we wszystkich najbardziej swoistych dlań utworach. W przywołanym przykładzie bajka o lisie i kruku oprócz warstwy „pozytywnej", formułującej nowy — bo przewartościowany — sens moralny, posiada również warstwę parodystyczną, obejmującą nade wszystko ów morał związany w tradycji literackiej nierozdzielnie z określoną sytuacją. Jednak nowy sens moralny, jeśli go wyprujemy z utworu i potraktujemy „poważnie", jest równie ogólny, jak dawny, czyli odkonwencjonalizowanie bajki nie oznacza wcale, by przestała ona być odmianą „charakteru" abstrakcyjnego. Są nim rów-

nież sentencje i epigramaty, chociaż na innej zasadzie niż bajka czy przypowieść. Formy te — pozbawione w ogóle cząstek opisowych i fabularnych — już z racji swej struktury mogą służyć niekonkretnej tendencji moralistycznej. Odmiany te nie wyczerpują wszakże wszystkich możliwości, jakie spotykamy w satyrze Swinarskiego w zakresie rodzaju zwanego „charakterem". Mamy tu również do czynienia z utworami, które cechuje daleko posunięta konkretyzacja intencji moralistycznej. Wiążą się one z określonymi historycznie i obyczajowo typami ludzkimi. Są więc albo zindywidualizowanymi portretami (np. *Kręgosłup pewnego obywatela*), bądź też tak zbudowanymi obrazkami, aby poprzez konkretne sytuacje ujawniały się ogólne cechy obyczajowe czy psychologiczne, które w pewnych środowiskach przybierają kształt indywidualny. Możliwość drugą ilustruje np. znakomity utwór „antyalkoholowy", jakim jest *Rozróbka czyli perpetuum mobile*.

Utwory tego rodzaju skonstruowane są właściwie na zasadach nowelistycznych, to znaczy wykorzystują cząstki fabularne bądź dialogowe. Nie posiadają żadnych luk na wtręty dyskursywno-moralizatorskie. Gdy dochodzi do głosu morał, to zawsze w cudzysłowie, przekornie lub ironicznie. Po długim przewodzie „antyalkoholowym" we wspomnianym wierszu następuje taka oto pointa, będąca w istocie kpiną z „rozsądnego" i statecznego morału:

Tak się obraca bez końca
maszyna szkłem śpiewająca —
więc po co głowić się tyle
nad perpetuum mobile?

Któż ze współczesnych satyryków zakończyłby tak potępienie alkoholizmu traktowanego przecież jako klęska społeczna? Naprawdę zabójczy jest ten nadmiar powagi.

Antydydaktyczna moralistyka jest pierwszym kręgiem poetyki Swinarskiego. Przywoływane dotychczas przykłady wprowadzają również w drugi jej krąg, który opatrzyć by można nagłówkiem „dowcip". Jest to z pewnością określenie dalekie od precyzji, choć może bardziej niż inne charakteryzuje poezję twórcy *Parodii*. Dowcip łączy się zawsze z pewnym konceptyzmem, oparty na pomyśle nie musi wcale odpowiadać jakiejś realnej dysharmonii w układzie rzeczy. On tę komiczną dysharmonię niejako narzuca, konstruuje. Owo spotęgowanie subiektywizmu wyróżnia dowcip spośród innych form czy „chwytów" komizmu. Jest formą najsilniej zintelektualizowaną, bowiem wychodzi poza odkrywanie wewnętrznych zależności p r z e d m i o t u komicznego w sferę zależności fikcyjnych, niejako nadbudowanych, w sferę p o m y s ł u. Stąd np. pojęcie absurdalności — określające maksymalny stopień niewspółmierności członów zjawiska komicznego — służy wyłącznie do charakteryzowania dowcipu. W poezji satyrycznej Swinarskiego dowcip przybiera różnorakie formy, najwyższe szczyty osiągając w parodiach. Te jednak pozostawiamy obecnie na boku. Tendencje parodystyczne dochodzą do głosu nie tylko w skrystalizowanym kształcie gatunkowym. Patronują one również innym utworom. Polegają np. na odwróceniu tradycyjnej struktury bajki, to znaczy przekształceniu „normalnych" wiązadeł łączących sytuację z morałem. W innym przypadku w miejsce oczekiwanej — zgodnie z potocznym doświadczeniem — oceny wprowadza poeta refleksję o sensie zupełnie odmiennym od przypuszczalnego.

Wszelkie odmiany parodii literackiej są a l u z j ą zrozumiałą wyłącznie na tle pewnego doświadczenia czytelniczego odbiorców. Moment ten wchodzi w grę przy wszystkich nieomal utworach Swinarskiego, niezależnie od tego, czy są one parodiami *sensu stricto*, czy też nie. Mogą to więc być aluzje do przysłów (np. fraszka *Janostwo*, w której narodziny bliźniąt zostają skojarzone z łacińskim przysłowiem „*bis dat, qui cito dat*"), do jakichś sytuacji mitologicznych lub utrwalonych wyobrażeń:

Mówi do mamy Leda zapłakana
— O ptaszkach pojęcie masz słabe.
Gadałaś, że dzieci to sprawka bociana,
Nie! to był łabędź...

(Ornitologia)

U źródeł więc przynajmniej większości pomysłów Swinarskiego odnajdujemy zasadniczy element wszelkiej pa-

rodystyki — aluzyjność. W świetle tej obserwacji łatwiej zrozumieć jego właściwe parodie literackie związane w ten sposób z całą twórczością, zespolone z nią na wspólnych podstawach intelektualnego dowcipu.

Zresztą parodie, jakie uprawia pisarz, łączą się z jego poetyką również w innym planie. Ilekroć przypatrywano się bliżej swoistości tego gatunku, zawsze odnajdywano poza ośmieszeniem jakiejś skonwencjonalizowanej formy również deprecjację związanej z nią określonej ideologii. Przykłady *Don Kichota*, poematu heroikomicznego, czy *Józefa Andrewsa* Fieldinga zdają się potwierdzać słuszność takiej tezy. Ale parodie Swinarskiego podważają jej ogólną stosowalność. Ukazując bowiem mechanizm pewnej metody literackiej, ujawniając tkwiące w niej możliwości skostnień, nie wprowadzają nigdy elementu oceny, nie wartościują ani idei, ani formy. Parodia Swinarskiego degraduje więc możliwości schematyzmu tkwiące w pewnym stylu, nie dokonując jego deprecjacji. Analiza poznawcza nie przeradza się w tendencję wartościującą — czyli i w tym planie jawią się podstawowe założenia metody twórczej pisarza, te same, jakie kształtują jego moralistykę.

Istnieje w twórczości Swinarskiego nurt wcale nienajmniej ważki, obejmujący utwory, które generalnie można określić jako „wycieczki osobiste". Są to często napastliwe bądź aluzyjne wiersze, gdzie występują autentyczne nazwiska, rzeczywiste sytuacje i okoliczności. Oczywiście wchodzi tu w grę głównie środowisko literackie — najlepszy teren dla tego rodzaju satyrycznych sensacji. Zresztą akcenty takie znajdują się nie tylko w utworach, które sam poeta nazwał pamfletami. Wycieczki *ad personam*, napomknienia osobiste odnajdujemy również w wierszach odległych zasadniczo od tej problematyki, gdzie mieszczą się na prawach wtrąceń i dygresji. Niemałą rolę gra, zgodnie z pewną konwencją, osoba samego pisarza (np. *Zachcianki*), jego sympatie i antypatie. Jak wiadomo, twórca jest dla odbiorcy interesujący nie tylko ze względu na swoje dzieło, ale również (a czasami nade wszystko) jako żywy człowiek. Niesposób więc, by satyra nie wykorzystała także i tego terenu eksploatacji. Wewnętrzne osobliwości światka literackiego, przełamane w napastliwej aluzji, stawały się już niejednokrotnie tematem poezji satyrycznej. Dla Swinarskiego dziedzina ta posiada również niepoślednie znaczenie. Pamflet wyznacza trzeci krąg jego poetyki.

Janusz Sławiński

POETA I NIEŚMIERTELNOŚĆ

Mieczysław Jastrun: *Poezja i prawda*, Warszawa, 1955. „Czytelnik"; str. 126, 1 nlb.

Od czasów Horacego poezja i poeci owładnięci są przemożnym pragnieniem zapisania się głoskami trwalszymi od spiżu w ludzkiej pamięci i sercu, w dobrych wspomnieniach czytelników i słuchaczy. Pragnienie to bardzo zrozumiałe, choć paradoksalne w swojej ambicji: elementy tak nietrwałe, jak dźwięk słowa i wiersz na kartce papieru, po których najczęściej pozostaje coraz bardziej mgliste wspomnienie, jeśli nie kupka popiołu — zamienić na zdania powtarzane w serdecznej pamięci o ich twórcy przez wiele ludzkich pokoleń. Każdy normalny człowiek pragnie jak najdłużej żyć i jak najdalej odsunąć od siebie chwilę śmierci; poeta — jak wszystkie uczucia ludzkie, tak i te — przeżywa w sposób niesłychanie intensywny i skondensowany, ba, czyni nieraz pragnienie nieśmiertelności ośrodkiem, wokół którego narastają problemy ideowe i artystyczne jego twórczości. Tak jest i z Mieczysławem Jastrunem.

Stwierdzenie to jest trochę szokujące, gdyż nasza krytyka poetycka unikała od niejakiego czasu — a najjaskrawiej jej lęk wystąpił w studium Jacka

Trznadla — poruszenia sprawy stosunku do życia i śmierci, rozważanego w każdym powojennym tomiku Jastruna, szczególnie zaś w pierwszym z nich, *Rzeczy ludzkiej* — i ostatnim: *Poezji i prawdzie*. W każdym — nie tylko więc w tym — przemilczeniu krytyki kryje się mniej lub więcej zamaskowany wstyd za ocenianego pisarza, za dotknięcie przez niego piórem drażliwej sprawy lub — co więcej — za nierozwiązanie jej w sposób najbardziej (zdaniem krytyka) właściwy. Czy sądzono, że myśl Jastruna o śmierci i pragnienie jej przezwyciężenia poprzez poezję demobilizuje pisarza, czytelnika i... krytyka, czy ów problem po prostu zlekceważono — nie wiadomo; sądzę jednak, że ostatni zbiorek poetycki Jastruna, a zwłaszcza jego tytuł: *Poezja i prawda*, obowiązujący nie tylko artystę, ale i krytyka jego utworów, upoważnia mnie do przerwania owej zmowy milczenia.

Śmierć i nieśmiertelność pojmuje Jastrun w sposób *par excellence* laicki, ateistyczny. Wynikają stąd dwa wnioski, wyciągnięte przez poetę z precyzją logistyka: życie, jego sprawy i elementy osiągają wysokie miejsce w hierarchii wartości — przedłużenie życia: nieśmiertelność, można osiągnąć, w przypadku przede wszystkim Jastruna, przez poezję. Nie może to być jednak poezja byle jaka, nie wolno jej służyć zwłaszcza kłamstwu i zdradzie, obłudzie i pozorom: bo przecież

Poezja, aby była sobą,
Musi dialog toczyć z prawdą.
A może jedną jest osobą,
Piękną i nieco starodawną?

— mówi pierwsza strofa ostatniego tomu Jastruna.

Ów dialog między poezją i prawdą, od którego finału zależy poetycka nieśmiertelność chyba nie tylko Jastruna, możemy dosłyszeć w każdym z jego wierszy, opublikowanych w omawianej książce, ów dialog kształtuje współrzędne czasowe i historyczne niemal każdej metafory i frazy, ów dialog wreszcie przepaja tę niewielką książeczkę wstrząsającym rytmem prawdziwego dramatu. Obecność śmierci nie mąci, a wzmacnia czystość i siłę walki Jastruna o uczciwość prawdy poetyckiej, pragnienie nieśmiertelności weryfikuje psychologicznie i po ludzku pobudki i intencje owej walki. Wszystkie te przesłanki pasują do siebie spoiście, niby węgły dobrze zaprojektowanego domu.

Śmierć, nieśmiertelność, prawda, poezja — takie pojęcia uderzają o najwyższe regestry wrażliwości i wyobraźni ludzkiej. Nie łatwo jest z nich zbudować pomost serdecznego zrozumienia między artystą i czytelnikiem, między literaturą i życiem. Jastrun jest zbyt wytrawnym poetą-psychologiem, aby tego nie widzieć i nie wydeptać skromnych, ale pewnych ścieżek, po których najchętniej chadza sympatia tzw. szarego czytelnika do poezji i poetów. Jakimi krainami wiodą owe ścieżki?

W pierwszej z tych krain mieszkają — dzieci, miłość do nich, żarliwa chęć przejęcia się ich sprawami, popatrzenia na świat *Oczami dziecka* — jak to wyraża tytuł i treść jednego z Jastrunowskich wierszy. Ze wspomnień o własnym dzieciństwie *(Znaki, Krajobraz z lat dziecinnych, Woźnica)*, z przypomnień chwil i realiów dzieciństwa własnego dziecka *(Buciczki, Złośnik)* — buduje Jastrun jedną z najbardziej entuzjastycznych pochwał dziecka, na jaką może się zdobyć poeta:

O, wiecznie pierwszy cudzie
Nadchodzących po sobie wiosen i pokoleń,
Mój tysiącletni trudzie,
Co sławisz dziecko, gwiazdę, miłość i topolę!
(Pierwszeństwo)

I tutaj następuje napełnienie pojęcia nieśmiertelności bardzo ludzką treścią, zaapelowanie do uczuć i doznań, znanych każdemu. Poecie zapewniają nieśmiertelność wiersze, każdy człowiek może i chce się odrodzić, przekazać przyszłości swoją możliwie najlepszą cząstkę — w dzieciach. Apologia dziecka jednoczy się w nierozerwalną całość z pochwałą życia. Wiersz słusznie zatytułowany *Wyjaśnienie* dobrze pełni funkcję drogowskazu na „dziecięcej" ścieżce wydeptanej przez Jastruna do ludzkiego serca.

Apologia, czyli obrona dziecka — cóż to oznacza w poetyckiej semantyce Jastruna? Wiersz: *Kiedy mówię o dziecku...* jest odpowiedzią na takie pytanie, a jednocześnie pomostem, przerzuco-

nym przez artystę między optymizmem życia a tragizmem niepotrzebnej śmierci: między dzieckiem i wojną. Są pisarze, którzy nie potrafią o wojnie lat 1939—1945 zapomnieć, którzy jej cień wiążą nierozerwalnie ze współczesnością swoich utworów; należy do nich i Mieczysław Jastrun. Podobnie jak Adolf Rudnicki Jastrun nie może i nie chce zapomnieć o „epoce pieców": jest ona dla niego nie tylko czasem „dzieci mordowanych przez siepaczy", ale połową życia, zgniłą i sczerniałą niby część zdrowego jabłka (metafora ta powraca po kilkakroć w omawianym tomiku), liczącą się jednak w ostatecznym rozrachunku. Nie bez przyczyny fragment *Z pamiętnika byłego więźnia obozów koncentracyjnych* następuje zaraz po tytułowym utworze zbiorku, wyznaczając jak gdyby drugą przewodnią nutę wierszy, zgromadzonych w *Poezji i prawdzie.*

Uczono mnie: „Zginęła Pompeja",
Ja wiem bez cudzysłowu: „Zginęła Hiroszima".

— ten fragment wiersza tłumaczy dostatecznie jasno, dlaczego Jastrun nie chce budować poetyckiego porządku świata bez natrętnego przypominania o drugiej wojnie światowej. Wiersze: *Opowiadanie marynarza, Uczony* i liczne fragmenty innych utworów pełnią funkcje bolesnych, ale i groźnych znaków zapytania, stawianych przez poetę nad rzekomą koniecznością zbrojnej walki człowieka z człowiekiem, zadawania śmierci, bezapelacyjnego przekreślania tych nieodgadnionych, a czasem i nieogarniętych możliwości, jakie kryje w sobie życie ludzkie. Jeśli Jastrun uparcie dąży do wytropienia sensu każdej śmierci, do wydobycia go jako kompozycyjnego zwornika, finału życia, którego ciąg dalszy piszą dzieci ludzi i dzieci poetów: wiersze — to dla wojennej śmierci, śmierci od bomby atomowej i innych środków masowej zagłady nie znajduje poeta wytłumaczenia i usprawiedliwienia, walczy przeciwko niej już nie jako przeciw zbyt szybkiemu kresowi ludzkiego bytowania, ale jako przeciw czemuś absurdalnemu, podważającemu w sposób zasadniczy rozumny sens i etyczną wartość człowieka, który

nie jak Prometeusz,
ale jak dziki mściciel, zaślepiony szałem
zniszczenia, w ogniu stopił metale i granit
i żywy powróciwszy z swej własnej otchłani
powiedział: „Byłem tam, niestety, i widziałem".
(Uczony)

Te kierunkowe wektory: miłość do dzieci i nienawiść do wojny, jakie Jastrun wyprowadza w przeszłość i przyszłość z teraźniejszości, świadczą najbardziej plastycznie o silnym zaangażowaniu jego poezji w historię — o namiętnym i wytrwałym poszukiwaniu sensu ludzkich dziejów. Jastrun ze szczególną pasją, przypominającą ulubionego przezeń Norwida, usiłuje lapidarnie określać ramy i treść epizodów historycznych, porządkuje i selekcjonuje fakty dziejowe, wybija na plan pierwszy te z nich, które są dziełem i własnością ludzi, niesłusznie zwanych do niedawna „szarymi". O efektach tego rodzaju koncepcji poetyckiej świadczy między innymi cykl utworów pt. *Tysiąclecie,* a chyba jeszcze bardziej jedna z najciekawszych prób epickich Jastruna w ogóle: *Pieśń o Mazurach i Warmii.* Porównanie dzisiejszego z minionym — zasada, na której Jastrun opiera tak ulubione przez siebie poetyckie hołdy dla znamienitych umysłów przeszłości (*Lukrecjusz, Leonardo, Pamięci Juliana Tuwima, 1855—1955)* — okazuje się w *Pieśni* szczególnie trafną koncepcją, wzbogaconą przez udatną stylizację wersyfikacji i strofiki, nawiązującą do dorobku poezji ludowej.

Dosyć zaskakujące połączenie u jednego poety skłonności do filozoficznej refleksji i epickiej relacji o dziejach skłaniało i skłania niektórych krytyków do nadawania Jastrunowi sztucznego przydomku „klasycysty", który u młodych literackich konfratrów autora *Rzeczy ludzkiej* nabierał czasem wymowy oskarżającej, jeśli nie wręcz deprecjonującej. Ostatni tomik Jastruna podważa w sposób zasadniczy zarówno sam epitet, jak i kierujące nim intencje. Jastrun dotyka swymi wierszami problemów poruszanych zazwyczaj przez klasyczne autorytety poetyckie — to prawda. Robi to na ogół w sposób pełen umiaru — to również prawda. Ale przyjęcie za wszystkie poetyckie sformułowania własnej odpowiedzialności, wypowiadanie się w poruszanych kwestiach przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, od siebie — oto treść liryzmu

Jastruna, wyrażonego w jego ostatnim zbiorku poetyckim w sposób — jak dotąd — chyba najbardziej surowy i dramatyczny.

Nic dziwnego, że w chwili, gdy rozpoczyna się gra o najwyższą dla Jastruna stawkę: o prawdę i uczciwość własnej poezji — autor omawianej książki nie oszczędza siebie zupełnie, podejmuje każdy motyw i każdą metaforę, która by odzwierciedliła wrącą w jego twórczości walkę, gdzie — jak tego doświadczył Mickiewicz — „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie". W książkach Jastruna można wiele wyczytać o jego bogatej wiedzy o poezji, o jej literackim mechanizmie, ale dopiero takie utwory, jak: *Tryumf prawdy, Pod wieczór, Życiorys,* przekonują, czym jest dla ich autora umiejętność składania słów w nabrzmiałe trudem myśli i melodią dźwięku frazy poetyckie. W tych i innych wierszach Jastrun przekazuje (oby rozumiejącemu!) czytelnikowi mękę artysty, który pragnie, aby słowo i jego znaczenie przylegały do siebie jak najściślej. Jastrun nie jest radosnym bohaterem roztrząsanego w swoich wierszach dramatu, nie chce nim łatwo zarobić na nieśmiertelność, bo — jak powiada — „umarły poeta nie słyszy zwycięstwa swego". Właśnie dlatego wywołują one w czytelniku wstrząs, którego nigdy nie spowoduje poezja, opierająca się na — jakże często fałszywej — ekwilibrystyce sztukmistrza.

Właściwie dochodzę już do końca zakreślonego przeze mnie na początku recenzji kręgu problemowego *Poezji i prawdy* — rozważania moje byłyby jednak jeszcze bardziej niepełne, niż są, gdybym nie zastanowił się — choć pokrótce — nad środkami poetyckimi, jakimi Jastrun chce zasłużyć na nieśmiertelność, nad jego warsztatem twórczym. Jeśli artykuły o Staffie z reguły wspominają o „poetyckim umiarze", funkcję takiego nieodzownego zwrotu spełnia w każdorazowej analizie poezji Jastruna chyba najlepiej określenie „poetycka asceza". Jastrun jest bardzo dziwnym ascetą wśród poetów, gdyż nie wyrzeka się właściwie żadnego, znanego dawnym i nowym teoriom literatury, stylistykom i wersyfikacjom środka artystycznego. Mimo to przy lekturze *Poezji i prawdy* nie doznajemy ani razu, tak nieodłącznego od spotkań z Tuwimem i Leśmianem, wrażenia bogactwa zasobów poetyckich pisarza, nie rozkoszujemy się plastyką stwarzanych przez niego obrazów, wielością użytych barw czy rozpiętością harmoniki dźwięku. Jastrun nie apeluje do zmysłów, ale do myśli, jego twórczość zmusza — nieraz w bardzo męczący sposób — do wybiegania w rozważaniach poza materię poetycką wiersza, do powoływania na świadka nieraz całego, może i bolesnego, doświadczenia życiowego czytelnika. Tak ma się rzecz z metaforyką ostatniego tomiku Jastruna, zaś jego wersyfikacja wzmacnia jeszcze wrażenie nieustannego, poetyckiego monologu, na jaki zamieniają się stronice *Poezji i prawdy.* Wiersz biały, urozmaicany niekiedy ubogim czterowierszem lub dystychem, przełamywanie z trudem, ale uporczywie poetyckiej frazy robią — zwłaszcza jeśli je czytać głośno — nie dające się odepchnąć wrażenie wersyfikacji nadzwyczaj surowej, prostej, dalekiej od jakichkolwiek artystowskich smaczków. Dialektyczna jedność treści i formy oznacza w przypadku poezji Jastruna podporządkowanie formy treści i uniemożliwienie w ten sposób czytelnikowi ucieczki w ułudną krainę „rozkoszowania się" poetyckim słowem. Ale tak m o ż n a zarobić na nieśmiertelność...

Recenzji mojej można postawić, może i słuszny, zarzut: że nie wartościuje ona zanalizowanych zjawisk, występujących w *Poezji i prawdzie,* a tak łatwych do oceny jednym słowem. Cóż mniej trudnego, jak nazwanie lęku przed śmiercią — pesymizmem, miłości do dzieci — biologizmem, szacunku dla godności poety — pokusą estetyzmu i egocentryzmu? Tak, to prawda — łatwo wyliczać przeszkody, jakie nie pozwalają ostatniej twórczości Jastruna osiągnąć doskonałości blasku przesławnych idei platońskich. Ale jednak takie same trudności spotykali na swej — literackiej i... życiowej — drodze pisarze, którzy j u ż są (na nasz ludzki sposób) nieśmiertelni...

Zbigniew Pędziński

PROPOZYCJE DYGATA

Stanisław Dygat: *Jezioro Bodeńskie*. Warszawa, 1956. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 290, 1 nlb. *Pożegnania*. Warszawa, 1955. „Czytelnik"; str. 192, 3 nlb.

W przedmowie do nowego wydania *Jeziora Bodeńskiego* (1956) tłumaczy się Dygat pokornie i chyba bez drwiny z faktu wznowienia jego pierwszej książki, i z jej „przedwojennego" charakteru, i nawet ze swego stosunku do postaci narratora w powieści. Jest to bardzo smutna przedmowa. Smutniejszej nie można sobie wyobrazić.

Przecież Dygat nie wierzy chyba w czytelnika, który by serio traktował wątpliwości ubogich duchem kucharzy papki „dla maluczkich".

Dygat napisał kapitalny *List do redacji* („*Przegląd Kulturalny*" 1952 nr 14), w którym inteligentny prosty robotnik nie może się nadziwić matołectwu schematycznego literata. „Więc piszę do Was, Redakcjo: bardzo proszę, pomóżcie nam, robotnikom, w tym, byśmy nauczyli się pomagać w pracy prostemu literatowi, nauczyli się rozumieć jego smutki i radości, dążenia i zmagania" — kończy swój list domniemany Józef Kłoś, kpiąc z zadufanej głupoty i uświęconego osielstwa przysłowiowych Marcinów od nauczania. W przedmowie tłumaczy się Dygat przed „schematycznym" czytelnikiem, w którego istnienie nie może wierzyć z tej chociażby przyczyny, że zbyt wierzy w zdrowy rozsądek prostego człowieka. Naprawdę zaś chce Dygat pomóc „prostemu urzędnikowi", którego „smutki i radość, dążenia i zmagania" musi świetnie rozumieć przenikliwy autor *Jeziora Bodeńskiego*.

Jest zresztą i inna możliwość interpretacji przedmowy Dygata. Psychologicznie w tym właśnie wypadku najbardziej usprawiedliwiona. Dygat nie uwierzył w czytelnika jaskiniowca, ale uwierzył w oceny krytyczne swojej książki. Dał się może przekonać, że jego książka jest rzeczywiście niewspółczesna, przedwojenna w treści i formie, obrażająca swymi pozorami obozowymi okrutne doświadczenia wojenne Polaków, inteligencka i ideologicznie skażona. Takie oceny *Jeziora Bodeńskiego* podsuwali przecież Dygatowi przychylni mu w zasadzie krytycy w roku 1946, a wieloletnie milczenie wokół książki, o której życzliwiej i częściej wspominała krytyka francuska, zostało przerwane przypadkowym dwugłosem na łamach „*Sztandaru Młodych*" dopiero w roku 1954. Na życzliwe przypomnienie *Jeziora Bodeńskiego* przez Annę Bukowską („*Sztandar Młodych*" 1954 nr 229) replikował prymitywnie Janusz Sławiński („*Sztandar Młodych*" 1954 nr 259), zarzucając Dygatowi „nonszalancję wobec rzeczywistości, brak konfrontacji własnych przeżyć z jej rzeczywistym obrazem", psychologizm i kilkanaście innych zasadniczych przypadłości.

W rzeczywistości pierwsza książka Dygata jest bardziej współczesna niż *Pożegnania* (1948), *Pola Elizejskie* (1949) i nawet aktualne felietony satyryczne *Wiosna i niedźwiedzie* (1953). Sąd ten nie oznacza lekceważenia kilkunastu doskonałych opowiadań z *Pól Elizejskich* czy kilku ciętych felietonów z tomu *Wiosna i niedźwiedzie* ani nawet uroczych, ładnie i łatwo napisanych *Pożegnań*, które są *Jeziorem Bodeńskim* w tłumaczeniu dla mniej wyrobionego czytelnika. Mogę śmiało napisać, że nic, co Dygotowe, nie jest mi obce. Nawet kilkuletnia bezpłodność pisarza w ostatnim czasie wydaje mi się przemawiać na jego korzyść i to wcale nie ze względu na zasadę „czystych rąk". Dygat nie pisał bowiem schematycznie nie dlatego, że nie chciał, tylko dlatego, że nie mógł. Instynkt pisarski ostrzegł go wbrew chęciom ideologa od schematycznych poronień. Za współczesnością i żywotnością *Jeziora Bodeńskiego* przemawia po prostu najwięcej ważkich argumentów.

Pożegnania czyta się dziś z przyjemnością bardziej dla uroków stylu, dla dowcipów niż dla ich zawartości myślowej. Wprawdzie Andrzej Wasilewski wykrył u autora *Pożegnań* „znamienne przesunięcie od kategorii drwiny i groteski przewrotnej do rodzaju groteski satyrycznej o podłożu satyrycznym"

(„*Twórczość*“ 1948 nr 3), nie wpłynęło to specjalnie na nośność intelektualną satyry na mieszczańsko-arystokratyczną obyczajowość. Satyra na sympatycznego zresztą i inteligentnego bubka mieszczańskiego nikogo dziś ani grzeje, ani ziębi. Gdyby nie wytworna lekkość narracji i kpiarska żonglerka elementami popularnej „powieści z życia wyższych sfer“, *Pożegnań* nie chcieliby czytać dla celów samokształceniowych nawet najbardziej prostolinijni zetempowcy.

Historyczno-literacką rangę *Pożegnań* podnosi dodatkowa okoliczność. *Pożegnania* są powieścią o psychologicznym raczej niż ideowym buncie przeciw światu, ma się rozumieć mieszczańskiemu. Problematyka takiego psychologicznego buntu znalazła wspaniałe odbicie w twórczości wielu pisarzy dwudziestolecia. Wystarczy wskazać Nałkowską, Iwaszkiewicza, Adolfa Rudnickiego, Kuncewiczową, nie mówiąc o Gombrowiczu i Schulzu, którzy z takiego buntu wyprowadzili najbardziej pesymistyczną filozofię. W literaturze lat trzydziestych tragiczna postać człowieka, który cierpi na nieprzezwyciężony wstręt do świata i życia, jest najpospolitszym typem bohatera. Tylko w niewielu wypadkach dręczący, niewytłumaczalny bunt psychologiczny znajduje ideowe rozwiązanie, takie, jak w *Ziemi w jarzmie* czy w *Płomieniu na bagnach* Wasilewskiej lub takie, jak w *Drogach nieuniknionych* Andrzejewskiego. Punktem wyjścia obydwu tych rozwiązań jest jednak psychologiczna niezgoda na świat. W przeciwieństwie do Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Rudnickiego i innych Dygat widzi ten bunt humorystycznie, nie tragicznie. Nie wykraczając przy tym podobnie jak oni poza bunt psychologiczny. Gdy oni odczuwali przede wszystkim tragiczne przyczyny niezgody ze światem, Dygat miał już świadomość nijakości skutków takiej niezgody. Bezskuteczność „pożegnań“ sugeruje nawet liczba mnoga w tytule. Podsunął ją pisarzowi tytuł sonaty Beethovena *Les adieux* (op. 81a) — jak zeznał kiedyś w wywiadzie („*Odrodzenie*“ 1948 nr 6) — ale wykorzystał ją z pełną świadomością. *Pożegnania* pełnić będą w pararelach historyczno-literackich całkiem specjalną funkcję. Będą w swoim okresie w jakimś sensie odpowiednikiem fredrowskiej tradycji.

Pola Elizejskie są bezsprzecznie najgłębszym filozoficznym i artystycznym doświadczeniem Dygata. Doświadczeniem jednakowoż tak okrutnym, że możliwym do przyjęcia dopiero po zażyciu trucizny. W polskiej literaturze powojennej w kraju nic równie okrutnego i beznadziejnego nie napisano. Adolf Rudnicki, Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Borowski w wielu utworach odsłaniali przepaście doświadczeń ludzkich naszego czasu. To, co najokrutniejsze, było u nich jednak niesamowitą anomalią życia. Obok świata, na który zgodzić się nie można, dostrzegali oni zawsze świat, na który z braku innego wyjścia zgodzić się trzeba. Jeśli nawet wielu bohaterów Rudnickiego kończy tragicznie, bo brak im sił do zgody, autor widzi prawie zawsze możliwość rozsądnych kompromisów ze światem, już dlatego chociażby reprezentującym jakiś sens, że trwającym. Andrzejewski jakże często nie widzi żadnego moralnego sensu istnienia, ale nie wyklucza samej możliwości istnienia bez jakichkolwiek racji moralnych. Marek Hłasko, który w *Pętli* stanął nad przepaścią bezwyjściowości, już chociażby przez wybór argumentacji artystycznej z zakresu psychopatologii, ograniczył zasięg swego pesymizmu filozoficznego. W najlepszych opowiadaniach *Pól Elizejskich* ukazuje Dygat absolutną nonsensowność życia zwykłego, codziennego, w jakiś sposób normalnego mimo wszyskie wojenne perypetie.

Opowiadania takie, jak *Szosa do Garwolina, Zygmunt Czerwiński, Pola Elizejskie, Uniwersytet, przyćmione światło i kwartet Mozarta, Hotel Métropole*, są, jak dojrzała proza Dąbrowskiej, wtargnięciem w gąszcz spraw życia dla wyciągnięcia biegunowo różnych wniosków. Rzecz prosta, owe wnioski wrogie życiu da się wyciągnąć tylko wtedy, gdy poszczególne elementy wyobcuje się z istotnego dla nich kontekstu, uprości i skojarzy według własnego szyfru. Szyfr Dygata jest jeszcze bardzo nieskomplikowany. Daleko Dygatowi do widzenia tego bogactwa związków w świecie, jakie dostrzega Dąbrowska. Zbyt łatwo wyprowadza Dygat sprzeczności ze swych

równań. „W cieniu żółtego światła lampy, w takt kwartetu Mozarta, śród normandzkiej porcelany, troskliwości żony, czułości dzieci i telefonów od przyjaciół szukających rozrywki, bezdenna codzienna monotonia, banał istnienia i bezmyślne próby ożywienia tego banału, rzewny smutek życia, cienie bliskich, którzy odeszli, ustawiczny strach, że inni wnet odejdą, dniem i nocą czająca się po kątach zawrotna w swoim nonsensie myśl, że nadejdzie śmierć i unicestwi nawet ten snujący się śród zakamarków czasu, uszminkowany rzewnością banał. Skąd to wszystko i po co? Tfu... Skrzywiona gęba jest jedyną właściwą odpowiedzią.“ *(Pola Elizejskie,* 1949, str. 176.) Nie zapominając nawet, że jest to fragment monologu wewnętrznego bohatera, można na tym fragmencie uzmysłowić sobie zasadę prozy Dygata.

Pola Elizejskie już z racji swojej filozofii nie mogą być chlebem powszednim żywota. Jedynie morał ostatniego opowiadania *Faul* może być użyteczny dla życia, nie dla śmierci. „A ja, chłopaki, trenuję was tutaj — powiedział — i nauczyć was chcę, żebyście, gdziekolwiek będziecie walczyć, pamiętali, że Polak musi być uczciwym sportowcem“ *(Pola Elizejskie,* 1949, str. 223). Ten morał koresponduje z przemyśleniami Dygata z *Jeziora Bodeńskiego.*

Narrator w *Jeziorze Bodeńskim* jakby się uczył u starego trenera Wacka. Zgodnie z jego przykazaniem stara się być możliwie najbardziej uczciwym sportowcem. Z tym, że bliższe mu jest porównanie życia do gry teatralnej niż sportowej. I dlatego jego ustawiczną troską jest, żeby grać role, na które ma wewnętrzne pokrycie. Porównanie życia do teatru jest centralnym motywem myślowym, kompozycyjnym i stylistycznym *Jeziora Bodeńskiego.* Dygat z pasją i samozaparciem bada skomplikowane związki między wewnętrznymi możliwościami człowieka a treścią podsuwanych przez życie tekstów dramatycznych i koncentruje swą uwagę głównie na prawach psychologicznych, które regulują „aktorską“ aktywność człowieka. Daleko mniej go interesują teksty dramatyczne i dlatego grubą naiwnością jest umieszczanie książki Dygata w kręgu tak zwanych „inteligenckich obrachunków“. Gdyby *Jezioro Bodeńskie* było inteligenckim obrachunkiem, miałoby szanse w przyszłości zainteresować historyka literatury. *Jezioro Bodeńskie* jest książką piekielnie współczesną.

Inteligencki tekst dramatu interesuje Dygata nie sam w sobie, lecz jako eksperyment dla zbadania prawideł zwykłego życiowego aktorstwa. Akcesoria teatralne odgrywają jeszcze mniejszą rolę. „Zwracam jednak uwagę czytelników — tłumaczy autor cierpliwie w swojej smutnej przedmowie — że wszystko, co zewnętrznie i w pewnej mierze zewnętrznie dzieje się w *Jeziorze Bodeńskim,* mogłoby równie dobrze zdarzyć się przed wojną, na przykład na jakimś statku, w jakimś sanatorium albo nudnym pensjonacie. Nie zmieniłoby to sensu ani istotnej treści utworu“ *(Jezioro Bodeńskie,* 1956, str. 7). Charakter swoich zainteresowań humanistycznych określa niedwuznacznie sam narrator. „Muszę powiedzieć, że ludzie w ogóle mnie zdumiewają. Cóż to w nich siedzi, cóż się tam dzieje i przewala pod tym zdawkowym kostiumem postaci cielesnej, maskującym i przekręcającym zwodniczo istotę rzeczy. Właściwie cała ta doczesna powłoka, jakby powiedział ksiądz Cléont, służy tylko do oszukaństw i skrywania się przed bliźnimi. Możliwe, iż niebo będzie polegało na tym, że błąkające się dusze, pozbawione ciał, nie będą mogły nic przed sobą wzajem ukrywać ani oszukiwać się różnymi cielesnymi sztuczkami, jako to dźwiękiem, treścią i modulacją słowa, płaczem i śmiechem czy innym grymasem oczu itp. Sądzę, że to właśnie ta straszliwa niewola duszy za kratkami grymasów, błysków, gestów i wyrazów stwarza ten stan nie do zniesienia, zwany ludzką egzystencją“ (str. 192—193). „Trzeba tylko odróżnić wewnętrzne oblicze człowieka, gdzieś tam szczelnie ukryte przed wzrokiem bliźnich, które jest względnie niezmienne i niezależne od żywotności zewnętrznej, przypadkowej, schlebiającej okolicznościom, uwarunkowanej tym i owym, złudnej i ustawicznie nie na serio“ (str. 245). Wykorzystując ubogą na naszym gruncie, potraktowaną nowocześnie na dobrą sprawę

dopiero w *Pałubie* Irzykowskiego, wiedzę o mechanizmie duszy ludzkiej, demonstruje Dygat skomplikowany aparat wewnętrzny człowieka, odkrywając raz po raz rzeczy nowe, przekazując wiernie odkrycia dwudziestowiecznej literatury.

Trzeba stwierdzić, że psychologiczna metoda Dygata z *Jeziora Bodeńskiego* nie jest dzisiaj wcale anachronizmem. Chciałoby się nawet powiedzieć, że jest to metoda, która rokowałaby najbardziej interesujące rezultaty w naszej literaturze, która w walce z tendencją psychologistyczną przestała być przez pomyłkę literaturą psychologiczną, czyli tym samym przestała być literaturą piękną. Dygat trzyma się z daleka maniery psychologistycznej, nie przekracza nigdy granicy, gdzie kończy się rzeczywistość psychologiczna, o której można w sposób w pełni zracjonalizowany opowiadać, co najwyżej sygnalizuje istnienie tej granicy („Roullot położył im ręce na ramionach i nie słucha, tylko podsłuchuje, zastanawiając się i rozważając myśl nie wypełnioną treścią", str. 178), nie tłumaczy psychologią wszystkich zjawisk humanistycznych. Podkreślał to odcięcie się Dygata od maniery psychologistycznej Kazimierz Brandys, zabierając głos w dyskusji o książce Dygata („*Kuźnica*" 1946, nr 22).

Dygata absorbują wszelkie relacje wewnętrznej świadomości człowieka z tym wszystkim, co zewnętrzne w nim samym i poza nim. Wewnętrzna świadomość człowieka albo wewnętrzna istota człowieka jest dla Dygata stałym punktem odniesienia tego wszystkiego, co ma on o człowieku i świecie do powiedzenia. Dygat nie wkrada się do wewnętrznej świadomości człowieka tylko wtedy, gdy jest mu to z jakichkolwiek względów potrzebne dla potwierdzenia autentyczności zewnętrznych działań. Przełamywanie konieczności zewnętrznych w świadomości ludzkiej, technika aktorstwa i współautorstwa tekstu dramatu ogniskuje zainteresowanie pisarza.

Programowa rezygnacja z elementarnej wiedzy psychologicznej w literaturze naszej ostatnich lat doprowadziła do konsekwencji jakże bolesnych. W pogoni za zewnętrznością, która miała gwarantować najbardziej sprawdzalną wiedzę o świecie, przegapiła literatura sprawy i prawdy najistotniejsze. Dziś publicystyka musi odkrywać prawdy i doświadczenia, które powinny być krwią i ciałem sztuki. Tyle się dzisiaj mówi i pisze o konfliktach sumienia komunisty w okresie kultu jednostki, a gdzież jest literatura, która te konflikty dostrzegła i zapisała, która śledzi technikę gry współczesnego dramatu? Literatura, która ukazywała człowieka wyłącznie jako podmiot, a właściwie przedmiot określonych działań społecznych, tak zwana literatura faktu, ignorowała do tego stopnia świat wewnętrznej świadomości człowieka, że zatraciła wszelkie możliwości kontaktu intelektualnego i emocjonalnego z żywym społeczeństwem. Nieprzypadkowo najbardziej odkrywcza myślowo literatura powstaje dziś w kręgu Sartre'a (np. *Mandaryni* Simone de Beauvoir). Nie konspiruje się w tej literaturze wewnętrznego nurtu przemyśleń i konstatacji współczesnego człowieka, który wybierając określone pozycje w stosunku do świata ma do tych wyborów jakiś własny, jak najbardziej intymny stosunek. Teksty ról dramatu współczesnego nie określają całego człowieka, co więcej, nie mogą go określać, jeśli nie jest on tylko teatralną kukłą, jeśli jest człowiekiem prawdziwym.

Dygat konsekwentnie tropi to, co się kryje pod „zdawkowym kostiumem postaci cielesnej" człowieka, pod pozorem zewnętrznych faktów. Ma zresztą wyrobiony sąd o dobrym aktorstwie. „Człowiek z wdziękiem to taki, który jest dobrym aktorem życia. Pozer to też aktor, tylko tyle, że zły. Zmanierowany zaś to ten, który nie może wydobyć się z szarży" (str. 31). Sądzę, że metoda Dygata rokowałaby jak najbardziej atrakcyjne rezultaty poznawcze pisarzowi, który by chciał przyjrzeć się naszemu dramatowi ostatnich lat nie dla zanotowania akcesoriów teatralnych, ale dla precyzyjnego zweryfikowania aktorów. Kazimierz Wyka pisał w związku z *Jeziorem Bodeńskim* (*Pogranicze powieści*, 1948, str. 217—221) o „monologu aktorskim" inteligenta międzywojennego, o ileż ciekawsze jednak byłyby heroiczne biografie proletariuszy, gdyby więcej w

nich było takiego monologu aktorskiego, a nie tylko wyuczone teksty ról. Literatura nasza zbyt często teatr brała za życie, udając w dodatku, że nie wie o tej kłamliwej zamianie. Zewnętrznym pozorom przyznano lekkomyślnie pierwszeństwo i pierwszorzędną doniosłość dla szukania prawdy o człowieku i w tropieniu pozorów zagubiono najszlachetniejsze zadania sztuki. Tragedia pisarska Jerzego Andrzejewskiego jest wstrząsającym przykładem szkód, jakie stanowisko to sztuce przyniosło.

Tropiąc prawdę u aktora inteligenckiego dramatu odkrył Dygat sporo właściwości człowieczych, które naiwnością byłoby przypisywać tylko inteligentowi z dwudziestolecia. Narrator *Jeziora Bodeńskiego* znajduje w sobie zadziwiającą zdolność odgrywania najrozmaitszych ról w najrozmaitszych dramatach. Eksperymentuje tę zdolność w miłości, stosunkach towarzyskich, teoretycznie nawet w zakresie przynależności narodowej. Zawsze z tym samym pozytywnym skutkiem. Nawet przeraziła go możliwość, że mógłby być równie dobrze Niemcem, jak obywatelem bolszewickiej Rosji. Potencjalna zdolność przywdziewania najrozmaitszych aktorskich masek idzie u niego na szczęście w parze ze wstrętem do tej zabawy. Bardziej go też intryguje to, co nie jest w nim maską i aktorstwem. Cieszy go zawsze fakt zrzucania własnych i cudzych masek, tęskni za życiem, w którym by odgrywał jedynie własną rolę. Przeraża go konieczność występowania w dramacie, którego fałszywość jest dla niego oczywista. Zewnętrzne i wewnętrzne aktorskie przymusy budzą w nim sprzeciw i bunt. „W wolnym życiu — ma to przekonanie — przychodzą zdarzenia, z którymi konfrontując się człowiek musi odsłonić nieuchronnie siebie samego, musi zdemaskować siebie do właściwej swej postaci, związanej konsekwentnie z przeszłością i przyszłością“ (str. 76). Potrzeba prawdy uczuć i przekonań jest podstawowym i niepodważalnym pozytywem moralnym proponowanym przez Dygata.

W imię tego pozytywu moralnego dokonuje bohater *Jeziora Bodeńskiego* swoistej rewolucji, która jest rzeczywistym w tym wypadku „pożegnaniem“ świata pozorów, zwietrzałych form, sprzecznych z życiem konwencji. Prelekcja narratora *Mój naród i ja* jest w kontekście powieściowym rewolucyjnym zerwaniem z obowiązującą konwencją działania zbiorowego. Narrator przestaje nagle odgrywać tekst sfałszowanego dramatu, zdobywa się na czyn rewolucyjny, mówiąc po raz pierwszy własną i obiektywną prawdę w sposób jak najbardziej adekwatny. Ta świetna metafora rewolucji jest jedynie tragiczną, bo utopijną, propozycją Dygata. Idealna rewolucja, uwalniająca od przymusu masek, służąca czystej prawdzie, nie jest niestety możliwa. Życie podsuwa inny, mniej doskonały jej model. Polega ona na tym, że zmienia się bardziej fałszywy na mniej fałszywy tekst dramatu i teatr życia toczy się dalej. Dygat miał zresztą pełną świadomość tej prawdy. „Jednak na scenie życia, mimo że przed niektórymi oczami zapada kurtyna na różne losy i dzieje, dramaty toczą się dalej, tak jak słońce zachodzi przecież za wzgórzami, mimo iż zapadła na nie chmura“ (str. 286). To trafne rozeznanie w naturze bytu w równej mierze jak namiętność w tropieniu prawdy o człowieku i świecie gwarantuje żywą aktualność *Jeziora Bodeńskiego*.

P. S. Jest w *Jeziorze Bodeńskim* zdanie, wygłoszone przez narratora w trakcie rewolucyjnej prelekcji *Mój naród i ja*, które samo jedno wystarczy, żeby Dygatowi przyznać trwałe miejsce w piśmiennictwie narodowym. „Bo każdy coś sobie pomyśli — mowa o Polakach — a zanim zrozumie to, co pomyślał, to już mu się zdaje, że to, co pomyślał, jest jedynie godne uwagi na świecie i chce walić w łeb każdego, kto pomyśli jakoś inaczej“ (str. 278). I pomyśleć, że zdanie to zostało napisane jeszcze przed rokiem 1946.

Henryk Bereza

PO OBU STRONACH RAMPY

Jerzy Pomianowski: *Z widowni.* Seria pierwsza, wydanie I, nakład II, Warszawa, 1955, „Czytelnik"; Jan Kott: *Jak wam się podoba,* Spotkanie pierwsze, Warszawa, 1955, PIW; Wojciech Natanson: *Szkice teatralne,* Kraków, 1955; Wydawnictwo Literackie; Erwin Axer: *Listy ze sceny,* Warszawa, 1955, „Czytelnik".

1

Cztery książki o teatrze, które zamierzam w tym artykule omówić, stanowią interesujące zjawisko w naszym życiu kulturalnym nie tylko dlatego, że wyszły spod pióra wybitnych krytyków i teatrologów. Mają one niewątpliwie wartość dokumentu. Myliłby się jednak ten, kto chciałby dopatrywać się owej dokumentalności w samej rejestracji tych czy innych faktów z dziesięcioletniej działalności scen Polski Ludowej. Oczywiście, zbiory artykułów i recenzji, jakimi są trzy z omawianych pozycji (czwarta, pochodząca od znanego reżysera, ma inny, odrębny charakter), mogą być przez historyków naszego teatru — i na pewno w przyszłości będą — wykorzystywane jako rodzaj compendium. Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić, że historyczno-rejestracyjna rola tych książek w poważnym stopniu ograniczona jest wąskością i przypadkowością wyboru spektakli i wydarzeń teatralnych, których omówienie przynoszą. Fakt, że selekcja ta jest wynikiem indywidualnych zainteresowań i specyfiki postaw twórczych poszczególnych autorów, nie usuwa dysproporcji w ogólnym obrazie życia teatralnego dziesięciolecia, na który wydane w formie publikacji książkowych recenzje, felietony i artykuły o teatrze muszą przecież tak czy owak się składać.

Walory dokumentalne skłonni będziemy zatem recenzowanym tu wydawnictwom przyznać o tyle, o ile zawarte w nich sądy i kryteria są charakterystyczne dla minionego okresu kulturalnego. Mniej nas interesować będą omówione w nich fakty artystyczne, więcej — oceny krytyczne, które z nich wypływały i które same z kolei inne fakty kształtowały i prowokowały. Wydaje mi się, że tego rodzaju metoda — metoda konfrontacji ocen i kryteriów z faktami — jest w ogóle, w obecnej chwili rozrachunku z wypaczeniami i błędami dziesięciolecia, również na froncie kulturalnym, jedyną metodą, jaką wobec dzieł krytyczno-literackich należy stosować.

2

Rozpocznę od książki Jerzego Pomianowskiego, przy czym nie chodzi tu o względy chronologiczne (zbiór *Z widowni* otworzył cykl publikacji z zakresu krytyki teatralnej, niedawno zaś ukazał się tzw. „drugi nakład pierwszego wydania" — czyli po prostu drugie wydanie — tych esejów), ale o to, że właśnie tego krytyka cechowała największa pasja i bojowość w wysuwaniu bezkompromisowo formułowanych postulatów i apelów ideowo-artystycznych o charakterze ogólnym. Ta pasja i bezkompromisowość i dziś jeszcze mogą wywierać pewne wrażenie, nie ze wszystkimi jednak postulatami wypadnie nam się zgodzić. Po pierwsze dlatego, że opierały się one częstokroć na fałszywej ocenie rzeczywistości, po drugie (co wypływa z pierwszego) — że, wcielane w czyn, nic dobrego nie przyniosły.

Przerzucając po kolei kartki książki Pomianowskiego, zapoznając się z poszczególnymi jego szkicami i artykułami, z których każdy — generalnie rzecz traktując — walczy o sprawę tak ważką i piękną, jak tworzenie i rozwój kultury socjalistycznej, w szczególności zaś o sprawy tak bezspornie słuszne, jak likwidacja szmiry, właściwy stosunek do tradycji, tematyka współczesna w teatrze, satyryczna odwaga itp., trafiamy co krok na stwierdzenia stawiające pod znakiem zapytania orientację autora w realnych warunkach pracy polskiego teatru i w ogóle w otaczającym go świecie. Odnosi się aż nazbyt często wrażenie, że Pomianowski przyjmuje za fakty dokonane swoje własne pobożne życzenia, żeby już uniknąć nieprzyjemnego zarzutu tego właśnie lakiernictwa, któremu krytyk wypowiada zdecydowaną wojnę.

Tak więc rozprawiając się (z zapałem

godnym lepszej sprawy) z wodewilem *Złote niedole* i przeciwstawiając mu inny wodewil — *Wodewil warszawski*, Pomianowski usiłuje kiedy indziej (*Sprawy rodzinne teatru*) bronić innej, niewątpliwej szmiry: sztuki Łomnickiego *Kąkol i pszenica*, szmiry tym groźniejszej, że wypaczającej naszą rzeczywistość. Niesmak i zniechęcenie czytelnika muszą również wywołać zachwyty krytyka nad bardzo słabą, nieprawdziwą, schematyczną sztuką, stanowiącą przeróbkę powieści Pawlenki *Szczęście*, kiedy to — celowo pomijam inne, drastyczniejsze przykłady — częstuje on nas publicystycznymi zwrotami w rodzaju: „w socjalistycznej społeczności nie ma ludzi wyrzuconych za burtę".

Nawiasem mówiąc, przy analizie sztuk radzieckich Pomianowski nie może się wyzbyć sloganowości i taniego optymizmu nawet wtedy, kiedy słusznie daje tym utworom wysoką ocenę. Np. dostrzegając istotnie humanistyczne i wychowawcze wartości *Poematu pedagogicznego* Makarenki wypowiada jednocześnie pogląd, nieprawdziwy — jak wiadomo — nawet w świetle literatury radzieckiej schematycznego okresu, że „człowiekowi radzieckiemu nic nie przeszkadza być bezinteresownym i wielkodusznym, cenić ludzi za ich pracę i talenty, żenić się tylko z miłości", bo „po raz pierwszy w historii zniknęło przeciwieństwo między interesami jednostki a dobrem ogółu", a to z kolei nie przeszkadza mu na następnej zaraz stronie utrzymywać, że „realizm socjalistyczny nie ma nic wspólnego ze zdawkowością i trzymaniem się przeciętności".

A przecież ten sam krytyk umie przekonująco mówić o patosie rewolucyjnym wielkich radzieckich dramatów: Sławina, Wiszniewskiego, Treniewa, wnikliwie i z niepowszednią erudycją analizować arcydzieła Gribojedowa, Gogola, Tołstoja... Nieumiejętność odróżnienia plew od ziarna czy recenzenckie uleganie wiadomym sugestiom minionego okresu? Ten drugi grzech byłby może do odpuszczenia w 1951 r. na łamach czasopisma — ale nie w książce prezentującej nam dorobek teatrologiczny i obecnie przecież czynnego pisarza.

Utożsamianie wspaniałej wizji socjalistycznej przyszłości — wizji pod wieloma jeszcze względami odbiegającej od tego, co już rzeczywiście osiągnięto w pierwszym na świecie państwie socjalistycznym — z realnymi warunkami życia społeczeństwa budującego dopiero socjalizm jest największym chyba błędem marksistowskiego pisarza, za którego niewątpliwie uważa się Pomianowski. Postulowanie na podobnie fałszywych przesłankach może tylko wyrządzić — i rzeczywiście wyrządziło — rozwojowi naszej kultury szkody. Jak sobie autor *Z widowni* wyobraża — na tzw. „odcinku kulturalnym" — polską rzeczywistość?

Nasz widz teatralny — to „budowniczy i bojownik socjalizmu" (str. 113). „Ludzie pracy, wypełniający dziś nasze widownie, postanowili dać w swoim nowym życiu nowy kształt najlepszym tradycjom narodowej kultury" (str. 24). „Szekspirowi nie potrzeba protekcji ani u nas, ani w żadnym kraju, gdzie proletariat doszedł do władzy" (str. 29). „Socjalizm (u nas — u w a g a m o j a) wyzwolił codzienność ludzką z poniżenia... uszlachetnił najprostsze międzyludzkie sprawy" (str. 53). „O tym, co się na zachodzie Europy dzieje, jesteśmy informowani na ogół nieźle przez prasę, radio i film" (w artykule zamieszczonym w „*Nowej Kulturze*" z 13. VII. 1952 r., str. 73). „Nasz teatr... wciąż jeszcze nie spełnia należycie i sprawnie tych zadań wychowawczych i artystycznych, które spełniać winien w naszym ludowym państwie i d o k t ó r y c h r z e t e l n i e j u ż s i ę z a b r a ł a n a s z a l i t e r a t u r a (podkreślenie moje)" (w artykule z „*Pamiętnika Teatralnego*", zeszyt 1 z 1952 r., str. 123). „Zasada demokracji socjalistycznej, dziś już realizowana..." (*Nowy człowiek w nowym teatrze*, 1952 r., str. 125) — itd., itd...

Skoro sytuacja tak wygląda, to rzeczywiście nie pozostaje już niż innego, jak tylko rzucać bojowe apele: o „masowy, nowy spodziewany start naszej współczesnej dramaturgii" (str. 107), o śmiałą satyrę na wzór Szczedrina i Gogola, o wyeliminowanie resztek szmiry (szmira dla Pomianowskiego — to wyłącznie bodaj owe nieszczęsne *Złote niedole* i jeszcze, zdaje się, *Milionowe jajko*) i o wiele innych słusznych i potrzebnych rzeczy, których realizacja wydaje się przy lekturze *Z widowni* dziecinnie niemal łatwa i zależna jedynie od dobrej woli polskich pisarzy i kierowników artystycznych teatrów. Po-

mianowski niemal że nie widzi, czy też nie chce widzieć, tych olbrzymich trudności, z którymi przez wszystkie minione lata walczyły i dziś jeszcze muszą walczyć nasze zespoły teatralne. Nie widzi, czy też nie chce widzieć, zła, jakie wyrządziło (i nadal wyrządza) naszym scenom i naszej dramaturgii „odgórne" administrowanie i komenderowanie kulturalne. Nie rozumie, co zahamowało rozwój polskiej literatury dramatycznej i sprowadziło ją, podobnie zresztą jak całą naszą literaturę, na manowce schematyzmu i zakłamania. Nie zauważa opłakanego stanu naszych kadr aktorskich i fatalnych warunków pracy i życia większości polskich artystów.

Co z tego, że wypowiada na łamach swej książki sporo uwag odważnych, uczciwych i słusznych, kiedy przymyka oczy na prawdy oczywiste dla każdego człowieka teatru? Pisząc, że „to, co gra istotną, aktywną rolę w żywym życiu, nie może być ignorowane przez sztukę, zwłaszcza przez dramat, pod pozorem, iż nie mieści się w schematycznych receptach bądź że psuje sielankowe kompozycje", że „lakiernictwo nie jest w kraju budującym socjalizm dozwolone na żadnym etapie" (str. 97) — sam popiera schematyczne sztuki i, bodaj nieświadomie, zapatrzony z godnym szacunku entuzjazmem w dalekie perspektywy, lakieruje (nie owijajmy już prawdy w bawełnę!) rzeczywistość.

Tak więc, mimo niewątpliwej wartości literackiej wspomnianych już esejów o Tołstoju, Gribojedowie czy Gogolu (artykuł o France'ie doczepiony został do zbioru nieco sztucznie), jak również interesujących uwag o *Ruchomych piaskach* Choynowskiego, mimo słusznego stanowiska, jakie autor *Z widowni* zajmuje wobec twórczości Zapolskiej czy stylu interpretacji komedii Fredrowskich (nb. zagadnienia samego warsztatu teatralnego schodzą w artykułach i recenzjach Pomianowskiego na drugi plan, w szczególności zaś interpretację aktorską traktuje on zazwyczaj dość powierzchownie), mimo niewątpliwego temperamentu publicystycznego i pasji ideowej tego krytyka — książkę jego uważać należy za smutny, choć bezsprzecznie ciekawy, dokument winy, jaką ponosi nasza krytyka teatralna dziesięciolecia w zbiorowym dziele zapędzenia polskiej dramaturgii i sztuki scenicznej w ślepy zaułek.

3

Inną niewątpliwie wymowę mają zebrane w książce pt. *Jak wam się podoba* eseje i felietony teatralne Jana Kotta — zarówno jeśli chodzi o reprezentowany przez nie *genre* krytyczny, jak i o wnioski wyłaniające się z całości lektury.

Zbiór Kotta porównać można z którymś z „wieczorów" Boyowskiego *Flirtu z Melpomeną* już przez to samo, że przynosi on — w chronologicznym porządku — omówienie pewnej liczby spektakli teatralnych i że punktem wyjścia dla rozważań krytyka jest prawie zawsze konkretny, wystawiony na tej czy innej scenie, utwór dramatyczny. Niestety — mimo znacznej objętości tomu (320 stron) i faktu, że zawiera on wybór recenzji i artykułów z okresu całego dziesięciolecia — zbiór nie daje przybliżonego nawet obrazu działalności teatrów w Polsce Ludowej i nie może stanowić rejestru ciekawszych wydarzeń teatralnych z tej prostej przyczyny, iż w latach 1945—1948 autor pisze wyłącznie o teatrach łódzkich, następnie, do 1953 r., omawia spektakle scen wrocławskich (wyjątek — warszawska inscenizacja *Lalki* z 1952 r.), w ciągu zaś dwóch lat ostatnich wierny jest rampom warszawskim. Ale nie o wartość kronikarską książki w tej chwili nam chodzi. Do prac Boya zbliża felietony Kotta ich forma literacka (najczęściej stosowany schemat: obszerne omówienie utworu plus zwięzła ocena inscenizacji i parę uwag o grze aktorów) — analogie sięgają jednak głębiej i dalej. Nie ulega wątpliwości, że Kott — świadomie czy nieświadomie — jest kontynuatorem pięknych tradycji postępowej krytyki teatralnej dwudziestolecia. Z Boyem spokrewnia go ogólna erudycja, dobry smak literacki i krytyczna odwaga (nadto zaś rozmiłowanie w Molierze i w ogóle w klasyce francuskiej), ze Słonimskim — dowcip i skłonność do dosadności ocen i epitetów.

Przy tym wszystkim — jest Kott niewątpliwie krytykiem marksistowskim i to konsekwentniejszym w swym marksizmie od wielu innych, wypowiadających się w sprawach teatru pisarzy - marksistów. Tak jak dla Pomianowskiego — zasadniczym celem walki pisarskiej jest dla Kotta budowa kultury socjalistycznej. On również walczy w

swych felietonach o nowy teatr, obywa się jednak przy tym bez ciężkiej artylerii i fanfar. Nie wygłasza górnolotnych frazesów i truizmów — i umie połączyć całkowicie własny, indywidualny, częstokroć budzący sprzeciw, lecz zawsze oryginalny i interesujący stosunek do zjawisk kulturalno - artystycznych z ogólnymi, wynikającymi z marksistowskiego światopoglądu założeniami filozoficzno - estetycznymi i realnymi przesłankami politycznymi.

Czy założenia te i przesłanki zawsze były słuszne? Bynajmniej. Wiemy dziś dobrze, że nie. Wiele sądów i sformułowań Kotta wymaga skontrolowania i rewizji — i o tym będzie dalej mowa, należy jednak uczciwie stwierdzić, że w książce jego wskazać można by było kilka zaledwie stron świadczących o ograniczonym, uproszczonym czy wręcz błędnym widzeniu rzeczywistości, o niedostrzeganiu istotnej, bolesnej nieraz problematyki naszego życia (np. w artykule pt. *Teatr wielkich konfliktów*, str. 153, lub też w sielankowym zakończeniu recenzji o dramacie Kruczkowskiego *Juliusz i Ethel*, poprzedzonej przy tym stanowczo zbyt długim, publicystycznym wstępem) i że stosunek krytyka do naszego teatru i współczesnej dramaturgii w żadnej fazie jego działalności nie był wyrazem tendencji, które uznajemy dziś wszyscy za szkodliwe.

W referacie pt. *Mitologia i prawda*, wygłoszonym na XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki, Kott powiedział: „W obecnym momencie nie pozostaje nam nic innego, jak rozpocząć na nowo i od samego początku żmudny, cierpliwy i trudny proces analizy sztuki i literatury XX wieku, u nas i na Zachodzie, przy pomocy tych samych kryteriów, przy pomocy tych samych kategorii, jakie wykształciła historyczna analiza marksistowska badając sztukę i literaturę feudalną i burżuazyjną". Wydaje mi się, że w tym stwierdzeniu zawarta jest krytyka własnych sądów prelegenta o twórczości dramaturgów piszących w naszym stuleciu.

Sądów takich, dotyczących Rittnera, Zapolskiej, Perzyńskiego, jest w omawianej książce niewiele — ale te właśnie przede wszystkim oceny wpisać należy do rejestru potknięć i pomyłek krytyka. Razi nas lekceważący stosunek Kotta do autora *Głupiego Jakuba* („Ibsen napisany na kanwie Zapolskiej", str. 29), wulgarna interpretacja problematyki komedii Perzyńskiego (artykuł pt. *Ostrożnie z moralnością*), rozsiane tu i ówdzie, kąśliwo-ironiczne uwagi o Zapolskiej (np. o jej „naturalistycznym rozrachunku z mieszczaństwem", str. 20). Może i lepiej się stało, że dokonany przez krytyka wybór recenzji i felietonów stosunkowo mało mu daje okazji do zajmowania się twórczością wymienionych pisarzy, gdyż odnosi się wrażenie, że nie przemyślał on jeszcze wielu zagadnień z prawidłową oceną tej twórczości związanych.

Najmocniej — jak wiemy — czuje się Kott na gruncie klasyki francuskiej. Jego artykuły o spektaklach molierowskich — to najwartościowsze pozycje zbioru. Nie brak oczywiście i tu sformułowań spornych (np. w recenzji o warszawskim *Mizantropie*, do czego jeszcze powrócę przy omawianiu książki Wojciecha Natansona), sporność jednak i dyskusyjność wysuwanych tez nigdy nie dyskredytuje przekonanego o ich słuszności polemisty. O każdym przedstawieniu sztuk Moliera ma Kott do powiedzenia coś własnego i odkrywczego, a rozrzutne niekiedy szafowanie kapitałem erudycji nie wpływa na zwięzłość i precyzję jego sądów i wniosków.

Nieco inaczej przedstawia się rzecz z Szekspirem. Namiętnie walcząc o repertuar szekspirowski — i to o „wielkiego Szekspira" („Szekspir, a nie tylko trzy jego komedie, grane z całą bezmyślnością w kółko od lat dziesięciu. Wielki Szekspir, na którym wychowuje się aktora, krytyka i widza. Z mojego pokolenia nikt przecież nie widział ani *Króla Leara*, ani *Makbeta*, ani *Ryszarda III* *" — woła Kott w artykule pt. *Kilka uwag o warszawskim sezonie teatralnym*), nie mniej namiętnie krytykując inscenizacje *Otella*, *Snu nocy letniej*, *Jak wam się podoba*, krytyk nie zawsze umie przeciwstawić nieudanym, jego zdaniem, koncepcjom reżyserskim konkretne propozycje własne. Potępiając „secesyjno-młodopolski" *Sen nocy letniej* we Wrocławiu (w inscenizacji Horzycy) stwierdza, że „jesteśmy dopiero na początku drogi do odczytania renesansowego i humanistycznego Szekspira", i wskazuje, iż „w pogodze-

* Nb. Kott się myli: *Ryszard III* wystawiony był w sezonie 1948/49 w Poznaniu na scenie Teatru Nowego.

niu miłości z wybuchem zmysłów jest cała humanistyczna mądrość *Snu nocy letniej* i jego renesansowy optymizm" — ale utrzymując, że „świętojańskiej nocy Szekspira nie znajdziemy ani u prerafaelitów angielskich, ani w wiedeńskiej secesji, ani w pomieszaniu obu tych stylów z rekwizytornią pseudogreckich kostiumów", przyznaje zarazem, iż „można się sprzeczać (podkreślenie moje) o angielską ludowość *Snu* i o najwłaściwszy kształt plastyczny, w którym należałoby ją ukazać". Omawiając *Jak wam się podoba* w reżyserii Wiercińskiego pisze, że w komedii tej można wydobywać „albo jej elementy realistyczne, renesansowe, optymistyczne i ludowe, albo też jej nurt fantastyczny, pesymistyczny, mistyczny", że jest w niej do odczytania „zarówno ludowa ballada o wolnych ludziach w lesie i triumfie sprawiedliwości, jak też dworska sielanka o szczęśliwym życiu na łonie natury", że „jest naprawdę o co się spierać (podkreślenie moje)" — uwagi zaś swoje kończy jak następuje: „O każdą postać w teatrze Szekspirowskim, o ujęcie każdej sceny krytycy i historycy spierają się od lat. Dlatego i ja spieram się o Szekspira, jakiego chcę zobaczyć". Zgoda — ale jakiego?

Temperament Kotta jest prawdopodobnie przyczyną tego, że nieraz popada sam ze sobą w sprzeczność, że wyciągane przez niego końcowe wnioski nie zawsze odpowiadają gromadzonym uprzednio przesłankom. Np. pisząc o dwu przedstawieniach komedii Fredrowskich na scenie wrocławskiej raz stwierdza, że „młode pokolenie aktorskie wierszy mówić nie umie, zwłaszcza Fredry", a już w następnym sezonie o aktorach tego samego teatru powie: „Wszyscy mówili wiersz wspaniale". Druzgocącą recenzję o łódzkiej *Celestynie* kończy niespodziewaną konkluzją: „A więc przedstawienie nieudane? Nie, to było wielkie przedstawienie... to ważna data nowego teatru w Polsce". Takich niekonsekwencji można by było znaleźć w książce Kotta sporo. Ale to nie jest ważne.

Ważne jest to, że tam, gdzie chodzi o sprawy zasadnicze, decydujące dla rozwoju polskiej sztuki teatralnej, zajmuje Kott stanowisko jasne i zdecydowane. Że — odosobniony w niektórych swoich sądach (np. o *Horsztyńskim* i jego warszawskiej inscenizacji), w innych zaciekle zwalczany przez mniejsze czy większe grupy oponentów (jak przy negatywnych ocenach adaptacji *Lalki* i *Emancypantek*) — trafnie najczęściej i sprawiedliwie opiniuje współczesne sztuki polskie (np. recenzje o *Baśce* Stefczyka, *Stajni Augiasza* Tarna, *Krecie* Lutowskiego, *Roku 1944* Kuśmierka). Że — w ocenie aktorskiego wysiłku raczej niezbyt uważny, niekonsekwentny (np. w recenzji *Komedii* A. Korzeniowskiego: „Lidia jest pierwszą rolą Jakubowskiej. Nic dziwnego, że nie mogła jej udźwignąć. Reżyserka kazała jej zbudować rolę na hamowanej namiętności. Zostało tylko hamowanie, bo namiętność uciekła. Ale mimo to debiut w tak trudnej roli można uważać za udany" — pokreślenie moje), zdawkowy (np. Kunina nie miała dla siebie najlepszej roli, Kaczmarski był poprawny, Rzuchowska słaba, a Dejmek okropny...", str. 50, lub na odmianę: „...mogę tylko przepisać za programem nazwiska aktorów tego wspaniałego widowiska" — itd., str. 43), a nieraz wręcz niegrzeczny (lepiej nie cytować!) — poświęca w pracach swoich wiele miejsca sprawom warsztatowym, widzi liczne anomalia naszego życia teatralnego, mankamenty artystycznego szkolnictwa, grożące scenom naszym niebezpieczeństwa. Że wreszcie — w zamykającym książkę cyklu artykułów — wytycza już właściwe drogi naprawy niewesołej sytuacji polskiego teatru, stwierdzając, iż „spraw teatru nie da się oddzielić od całości spraw naszej kultury", iż „przyjęcie jako zasady naczelnej realizmu socjalistycznego nie zwalnia od własnego spojrzenia i samodzielnej oceny, od wyboru" (str. 315), iż „jeśli nie powiemy sobie wyraźnie i z całą jasnością, że chodzi o powstanie grup o określonym programie artystycznym, jeśli nie porzucimy obecnej szarzyzny inscenizacyjnej, nie stworzymy nigdy teatru, który by dawał prawdziwe przeżycia teatralne, a nie tylko wykonywał plan usługowy".

4

Szkice teatralne Wojciecha Natansona dotyczą węższego kręgu zagadnień. Poruszone w tej książce problemy stanowią główny przedmiot zainteresowań krytycznych wybitnego teatrologa, jednakże wybór artykułów, który nam zaprezentował, jest szczupłą zaledwie

cząstką jego bogatej i wszechstronnej działalności pisarskiej. W *Szkicach teatralnych* zajmuje się Natanson wyłącznie klasyczną literaturą dramatyczną: omawia niektóre utwory Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Blizińskiego, Rittnera, J. A. Kisielewskiego, Żeromskiego, a z klasyków obcych interesuje go Szekspir, Molier, w znacznie zaś mniejszym zakresie Suchowo-Kobylin, Gorki i Czechow. Większość tych prac (m. in. szkic o *Konfederatach barskich*, artykuły o Fredrze, Blizińskim, rozprawka *Otello i Jago)* zalicza się do esejów literackich nie powiązanych z przedstawieniami teatralnymi, niektóre mają charakter polemik, reszta — to recenzje o poszczególnych spektaklach teatrów warszawskich i stalinogrodzkich, przy czym autor opuszcza najczęściej analizę gry aktorskiej, pozostawiając ją w wyjątkowych tylko wypadkach.

Zbiór zawiera również uwagi na temat występów gościnnych zespołu Jouveta i Théâtre National Populaire, natomiast współczesną dramaturgię polską i najaktualniejsze zagadnienia naszego teatru całkowicie pomija. Jako całość więc książkę Natansona uznać trzeba za pracę o charakterze teoretycznym, należącą więcej nawet do dziedziny historii literatury niż krytyki teatralnej, choć zawiera ona niewątpliwie wiele materiału nieobojętnego i dla badacza dziejów naszych scen w okresie dziesięciolecia.

Faktem jest, że *Szkice teatralne* wzbogacają naszą wiedzę o polskiej i obcej, klasycznej literaturze dramatycznej — i w ogóle o teatrze — odkryciami i przyczynkami nader cennymi. Wszechstronna erudycja Natansona, jego kultura, długoletnie doświadczenie krytyczne, gruntowna znajomość sztuki scenicznej — jej historii, tradycji, zagadnień interpretacyjnych i techniki (wystarczy sięgnąć do którejś z aktorskich monografii tego autora, bodaj do niedawno wydanej przez PIW pracy o Karolu Adwentowiczu), wszystko to każe nam ze szczególną uwagą przysłuchiwać się jego sądom, komentarzom i głosom polemicznym. W każdej poruszonej przez siebie sprawie odnajduje Natanson świeże i ciekawe elementy, umie rzucić nowy snop światła na zjawiska historyczno-literackie szczegółowo już, jakby się wydawało, zbadane lub też takie, których komentowania krytycy dziesięciolecia starali się do tej pory unikać, zbywając je co najwyżej kilkoma nonszalanckimi frazesami.

Do tej drugiej kategorii faktów literackich należy m. in. twórczość Tadeusza Rittnera. Rozważania Natansona są w tej mierze tzw. „analizą marksistowską", polegającą między innymi na tym, że badając ten czy inny utwór literacki umiejscowiamy go w konkretnych warunkach historycznych. I okazuje się, że w ten sposób traktowana twórczość pisarzy naszego stulecia, w danym wypadku Rittnera, nagle przestaje być „wsteczna" czy „oderwana od życia". Jakub, którego Kott po prostu wyśmiewa, a w którym krytyka burżuazyjna — jak stwierdza Natanson — „dostrzegała jedynie metafizyczny «głód prawdy»", staje się „zjawiskiem społecznym" (określenia autora *Szkiców)*, gdyż (cytuję nadal) „takimi młodzieńcami, rwącymi się z zagród chłopskich do oświaty i studiów, zaludniała się coraz silniej ówczesna Galicja". Tragedię Doktora i Maryni skłonni jesteśmy, wraz z Natansonem, uważać za „wynik nacisku pojęć i stosunków, nacisku środowiska, nacisku zewnętrznego". Inna rzecz, że łącząc analizę psychologiczną z wykrywaniem socjalnych motywów działania bohaterów Rittnera, samemu zaś autorowi *W małym domku* przypisując „odruchy potępienia wobec układu stosunków społecznych", nie ustrzega się Natanson przesady — szczególnie wtedy, kiedy twierdzi, iż w sztuce tej „zawarty jest akt oskarżenia przeciw ustrojowi, który do zaprzepaszczania wartości ludzkich dopuszczał", lub też solidaryzuje się z dość nb. niefortunnie zrelacjonowanym sądem Wacława Kubackiego, iż „Doktor ulega naciskowi mentalności kapitalistycznej, aby pod koniec stać się samemu — jej ofiarą". Kapitalizm — kapitalizmem, a *W małym domku* jest oczywiście przede wszystkim dramatem uczuć i postaw moralnych. Oto niebezpieczeństwo wulgaryzacji zagrażające marksistowskim badaczom literatury naszego stulecia — niebezpieczeństwo, któremu ulega nawet krytyk tak zrównoważony, ostrożny i odpowiedzialny, jak Natanson.

Nie zaprzecza to jednak, rzecz jasna, słuszności samej metody. W studiach poświęconych Fredrze przynosi ona szczególnie świetne rezultaty, zbliżając Natansona w rozumieniu nasyconej re-

alistyczną obserwacją twórczości autora *Ślubów panieńskich* do praktycznych postulatów, jakie stawia inscenizatorom komedii Fredrowskich Jan Kott (np. według Natansona Albin — to wyraziciel „nowego stosunku do spraw życiowych części młodego pokolenia, wychowanego na romantyzmie", podobnie jak dla Kotta jest on „wydrwieniem romantycznej miłości, tak jak ją Fredro rozumiał").

Zgadzając się z Kottem w dziedzinie „fredrologii", Natanson nie cofa się przed bezpośrednią polemiką z tym krytykiem na gruncie, na którym porusza się nie mniej (jeśli nie bardziej jeszcze) od niego pewnie, a mianowicie na gruncie teatru Moliera. Świetny znawca i tłumacz literatury francuskiej, aż w trzech kolejnych szkicach zajmuje się drobiazgową analizą *Mizantropa,* aby podzielić w końcu negatywny sąd Kotta o warszawskim przedstawieniu tej sztuki (w reżyserii Warneckiego), ale oprzeć swoją opinię na odmiennych, słuszniejszych — jak się zdaje — przesłankach. Zupełnie inny niż Kotta jest stosunek Natansona do *Horsztyńskiego* — zarówno do samego dramatu (o którym Kott napisał, że „do wielkiej klasyki nie należy"), jak i do inscenizacji Wiercińskiego, którą — wbrew autorowi artykułu *„Horsztyński" albo o niebezpieczeństwach pietyzmu* — uważa za trafną i całkowicie przejrzystą. Kwestionując szczegóły dowodzeń Natansona (broni on na przykład niewątpliwie chybionego, dodanego do *Horsztyńskiego,* a po pewnym zresztą czasie skasowanego przez inscenizatora, epilogu) — należy przyznać, że przeprowadzona przez niego analiza dramatu i spektaklu jest bardzo przekonywająca. W ogóle wydaje się, że Natansonowi bliższa jest problematyka polskiego dramatu romantycznego, czego dowodem są, również zamieszczone w *Szkicach,* źródłowe i wnikliwe prace o *Mazepie* i *Fantazym.* *

5

W świat po drugiej stronie rampy wprowadza nas jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów, obecny dyrektor teatrów Narodowego i Współczesnego, Erwin Axer. Jego *Listy ze sceny* są zbiorem felietonów ukazujących się pod tym nagłówkiem (a sygnowanych inicjałami *„e. a."*, obecnie oficjalnie zdekonspirowanymi) na łamach czasopisma *„Teatr"* od 1952 r. W ten sposób cykl wydawnictw poświęconych krytyce teatralnej uzupełniony został książką już nie teoretyka, lecz praktyka teatru — książką bardzo ciekawą, gdyż wprowadzającą do naszej literatury teatrologicznej formę raczej nową i traktującą o aktualnych sprawach teatru z pozycji, że się tak wyrażę, „od wewnątrz".

Mówiąc szczerze, felietony Axera zebrane w dość grubym tomie nie wywołują u czytelnika tak żywej reakcji, jak pojedyncze *Listy ze sceny,* czytane na gorąco, po wyjściu z druku kolejnego numeru *„Teatru"*. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że ten rodzaj teatralnego felietonu (a raczej niektóre pozycje do rodzaju tego należące) dezaktualizuje się szybciej niż np. felietony krytyczne typu *Jak wam się podoba,* częściowo zaś winien jest temu sam autor, który układając swoją książkę nie zauważył, że pewne tematy w wybranych do tego wydawnictwa felietonach po prostu się powtarzają i to w identycznym niemal ujęciu (np. sprawa stosunku aktorów do ról „negatywnych", tzw. system Stanisławskiego, kwestia poziomu teatrów prowincjonalnych, „twórczy" czy też „odtwórczy" charakter sztuki aktorskiej itd.). Zjawisko to, całkowicie w pracy felietonisty-współpracownika c z a s o p i s m a zrozumiałe (a nawet dodatnie, gdyż świadczące o ważności poruszanych przez niego spraw i o jego konsekwentnej o te sprawy walce), jest dla czytelnika jego k s i ą ż k i nieco nużące. Ale to drobiazg. Bo w większości felietonów Axer nie nuży, lecz wprost przeciwnie: zaciekawia, bawi, przekonuje, czasem zaś prowokuje i irytuje. I tak właśnie powinno być. Świadczy to o felietonowym nerwie, satyrycznym zacięciu i intelektualnej przekorze Axera-pisarza.

Najbardziej jednak interesujące w *Listach ze sceny* jest właśnie to, co mówi Axer-reżyser i dyrektor teatru. Felietony poświęcone zagadnieniom inscenizacji, scenografii, techniki przygotowywania spektakli, stylu gry, stosun-

* Mała uwaga: na str. 42 *Szkiców* jest bardzo zabawny błąd drukarski, nie uwzględniony w erracie. Niniejszym (w zastępstwie autora) go prostuję: powinno być Halina Mikołajska, a nie — jak wydrukowano — H r a b i n a Mikołajska!

kom między reżyserem i aktorami oraz kierownikiem artystycznym i zespołem — to są właśnie te prawdziwe „listy ze sceny", w których Axer-człowiek teatru dzieli się z czytelnikami swoją wiedzą, swoimi umiejętnościami i doświadczeniami. Nie ze wszystkimi jego uwagami można się zgodzić. I tak np. słuszne wypowiedzi o „systemie" Stanisławskiego, opacznie nieraz rozumianym i bezmyślnie przez pewien czas „stosowanym", przeplatają budzące duże wątpliwości rozważania na temat opracowania dramaturgicznego, w których Axer, utożsamiając to „opracowanie" z inscenizacją, broni nadto „uświęconego przez wszystkie czasy prawa" teatru nie tylko do skrótów i przestawień, lecz nawet do „zmian stylistycznych, przesunięć akcentów" — i twierdzi, że bez tego przywileju „nie ma teatru", „są tylko książki pisane w formie dialogowanej". Tam jednak, gdzie reżyser-felietonista zabiera głos w sprawach repertuaru, organizacji teatru, systemu angażowania aktorów, trudności i zahamowań naszego życia teatralnego — wykazuje nie tylko doskonałą fachowość i pełną znajomość wszystkich ogniw funkcjonowania tego ciężkiego aparatu biurokratyczno-artystycznego, któremu na imię „polska scena", ale i ma rację zawsze niemal bezsporną, walczy o reformy konieczne i o sprawy naprawdę ważne i pilne.

Inny charakter mają felietony teatrologiczno-teoretyczne, bardzo niekiedy odkrywcze, jak np. felieton pt. *Maur czy Murzyn,* w którym Axer kładzie na łopatki zarówno Jana Kotta, kłócącego się z nieboszczykiem Boyem o kolor skóry Otella (vide *„Otello" bez namiętności* w zbiorze *Jak wam się podoba),* jak i — przy okazji — Natansona, któremu udowadnia (nie polemizując zresztą z żadnym z tych krytyków), że „złość Jagona" nie jest „nieumotywowana" w takim stopniu, w jakim skłonny jest to przyjąć autor *Szkiców* (w artykule *Otello i Jago).* Duży zasób kultury literackiej i wiedzy scenicznej zawarty jest i w innych felietonach z pogranicza krytyki teatralnej, nieraz o charakterze okolicznościowym, jak np. o gościnnych występach zespołu Daquina itp. Jest w zbiorze Axera i liryczne wspomnienie o Julianie Tuwimie.

Przyznam się, że najmniej mi odpowiadają te „listy ze sceny", w których Axer gromi, czy też usiłuje gromić, krytyków i recenzentów. Nie dlatego, bym odmawiał „ludziom z drugiej strony rampy" prawa do polemiki z krzywdzącymi, ich zdaniem, sądami o tych czy innych inscenizacjach lub też uważał stan naszej krytyki teatralnej za tak idealny, że trzeba jej bronić przed wszelkimi atakami — lecz z tej jedynie przyczyny, że w protekcjonalno-ironicznym tonie wymienionych felietonów jest coś nieprzyjemnego. Ton ten, jak i sposób argumentowania niektórych zarzutów, nie jest obiektywny. Axer, słusznie stojąc na straży godności zawodu aktorskiego (mniejsza o to, czy będziemy nazywali artystów dramatycznych „twórcami" czy „odtwórcami"), ma niestety w ogóle tendencję do przeceniania — no cóż, użyję tego, też z kolei przykrego wyrażenia — własnego podwórka. Widoczne to jest m. in. i w maskowanym, a przecież zupełnie wyraźnym, lekceważeniu osiągnięć scen prowincjonalnych. Nie łudźmy się: i krytycy ciężko w minionym dziesięcioleciu zawinili wobec naszej kultury w ogóle, a sztuki teatralnej w szczególności (sam to już w niniejszym artykule stwierdziłem), i reżyserzy czy dyrektorzy warszawskich teatrów niejedno szkodliwe głupstwo mają na sumieniu. A poziomu scen stołecznych z teatrami prowincjonalnymi lepiej nie porównujmy, bo porównanie takie okazać się może dla tych pierwszych nie zawsze wygodne.

Wszystkie niemal felietony Axera są dowcipne, niektóre bardzo nawet dowcipne. Autor *Listów ze sceny* umie operować paradoksem i zaskakującymi skojarzeniami. Wolę jednak dowcipy Axera w tekście jego felietonów niż gromadzone osobno w formie zbiorów sentencji i aforyzmów. Niech mi tego autor *Aforyzmów o prawdzie* i *Uwag o inscenizacji* nie ma za złe.

W sumie *Listy ze sceny,* których — mam nadzieję — niejeden jeszcze zbiór otrzymamy, istotnie stanowią, że przytoczę słowa autora z przedmowy do jego książki, „mimo wielu niekonsekwencji, a może właśnie dlatego — pewnego rodzaju obraz problematyki naszej sceny i dzięki temu materiał informacyjny dla ludzi zainteresowanych sprawami teatru".

Eugeniusz Żytomirski

„HAMLET“ W NOWYM SPOJRZENIU

Witold Chwalewik: *Polska w „Hamlecie“*. Wrocław 1956, Zakład im. Ossolińskich; str. 120.

W każdym zbliżeniu do tego twórcy przychodzi nieodparcie na myśl wspaniała strofa z *Kordiana* (II 76—81):

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę
Większą od góry, którą Bóg postawił.
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę
I patrzeć na świat oczyma twojemi...

Ta romantyczna „na oczach chmura“ zbyt długo przesłaniała prawdziwe oblicze poety, każąc nam doszukiwać się głębi i tajemniczości i odgadywać przeróżne zagadki, a nie pozwalając spojrzeć jego właśnie oczami na ten przedziwny twór. Toteż z satysfakcją odnotować wypada znamienny zwrot w polskiej szekspirologii. Powoduje go mała, wymieniona wyżej książeczka, wydana jakby na uczczenie minionej właśnie w kwietniu 340 rocznicy zgonu poety, książeczka przynosząca wiele nowych i niespodziewanych odkryć, które niewątpliwie zainteresują badaczy i miłośników Szekspira nie tylko w Polsce.

Zanim się im bliżej przyjrzymy, rzućmy bodaj najpobieżniej okiem na to, co się w tych domenach na świecie działo. Twórcami nowoczesnej szekspirologii są, obok Anglików, Niemcy. Wysunęli się na czoło dzięki sumiennym studiom, wartościowym przekładom, dużej ilości katedr anglistyki. Już w czasach romantyzmu rozwinęli kult Szekspira. Badania ich cechował psychologizm naukowy, który znalazł licznych zwolenników również w Anglii, począwszy od Colleridge'a. Szekspirologia niemiecka ugrzęzła jednak beznadziejnie w psychologizmie, w pogłębianiu analizy duszy bohatera, w poszukiwaniach motywacji jego czynów, w budowaniu śmiałych intereprecacyjnych konstrukcji, opartych na dowolnych, często błahych założeniach. Najgruntowniejsze studium tego psychologizmu niemieckiego, a zarazem pokaz manowców tej metody, dał Loening, mistrz Dovera Wilsona, od którego — nawiasem mówiąc — zaczerpnął świeżo Stanisław Helsztyński przeszło dwieście uwag reżyserskich do ostatniej edycji przekładu *Hamleta* przez Tarnawskiego (Biblioteka Narodowa, 1955).

Spod tych wpływów nauki niemieckiej wyzwolili się całkowicie Anglicy (którzy stworzyli olbrzymią literaturę szekspirologiczną) dopiero po drugiej wojnie światowej. Nastąpił w Anglii i Ameryce, już wcześniej rozpoczęty, zwrot ku historyzmowi, ku szczegółowym badaniom Renesansu i umieszczeniu w nim Szekspira, ku badaniom ówczesnego teatru, co rzuciło wiele światła na twórczość poety. Przede wszystkim zaś podjęto nowe badania tekstologiczne pierwszych wydań, zrewidowano teksty dotychczasowe, oczyszczając je z naleciałości i błędów różnych edytorów. Wystąpiono m. in. z postulatem interpretowania Szekspira jako tekstu przeznaczonego wyłącznie dla teatru (E. E. Stoll). Zarzucono nazbyt domyślną motywację czynów, stanów patologicznych etc., a skierowano się bezpośrednio ku Szekspirowi — poecie Renesansu, przy czym niejednokrotnie w tych rewizjonistycznych badaniach przodowali Amerykanie.

Dotychczasowa polska szekspirologia zależna była, z małymi wyjątkami, od tradycji i wzorów obcych. Popularyzowała idee niemieckie i, często bez sprzeciwu i zastrzeżeń przyjmując obce wyniki, rozwijała na nich własne pomysły. Nie stworzyła ani własnej szkoły, ani tradycji badań, szła pilnie tropami poprzedników, kultywując przestarzałe interpretacje psychologiczne, a lekceważąc badania tekstologiczne i historyczne. Mimo to trzej główni polscy angliści: Roman Dyboski, Andrzej Tretiak i Władysław Tarnawski, posiadają ogromne zasługi historyczne w rozkrzewieniu kultu poety, popularyzacji jego dzieł i wiedzy o nim oraz w zorganizowaniu podstawowych warsztatów pracy anglistycznej: katedr i seminariów. Szczególne zasługi ma Władysław Tarnawski, który życie poświęcił Szekspirowi, wiele o nim napisał i całego przetłumaczył. Przekład ten jednakże, chociaż uważał go za

główne dzieło życia, nie będzie, mimo pewnych zalet, tytułem do wdzięcznej pamięci potomności. Dawał jednak dobre analizy, rzucał trafne myśli, które się przyjęły i które podzielamy; ocenił skrupulatnie dorobek swych poprzedników, słusznie najwyżej stawiając Paszkowskiego i Ulrycha jako tłumaczów Szekspira. Nie posiadał jednak zdolności do syntezy, nie interesował się zdobyczami tekstologicznymi, a wzorem w odczytywaniu sensu poety był mu grubo już przestarzały Schlegel. Bardziej oryginalne pomysły, nie kontrolowane jednak przez tekst, miewał Andrzej Tretiak, który dążył do samodzielności w badaniach. Wrogiem szkoły niemieckiej był Wacław Borowy, entuzjasta Stolla. Nie dał się jej uwieść, przedwcześnie zmarły we Wrocławiu, Juliusz Krzyżanowski, którego studium o jednolitej metodzie badania zależności Szekspira od prototypów reprezentuje nowoczesny kierunek badań, chociaż donioślejszych rezultatów przynieść nie mogło u poety, którego cały sens twórczy koncentruje się w indywidualizacji.

Cóż więc jest hasłem dzisiejszej szekspirologii? Ogólnie mówiąc — unaukowienie i uściślenie metody badań. Fundament postępu tych badań leży w wyjaśnieniu rozumienia tekstu, przede wszystkim znaczeń renesansowych poety. Następnie, rozumienie planu budowy dramatu, wreszcie subtelniejsze uwrażliwienie na artyzm Szekspira. Te ogólne tendencje ilustruje dziełko Witolda Chwalewika, nie w sensie kontynuacji poszukiwań anglo-amerykańskich, lecz samoistnych badań, z ambicją wniesienia wkładu do szekspirologii ogólnej. Skupia uwagę na pozornie drobnej kwestii motywów polskich w *Hamlecie*, a żywi intencje rozjaśnienia spraw większych i głębszych i odsłania niespodziewane perspektywy na całość utworu.

Autor nie wyodrębnia poloników z kontekstu. Badając je najskrupulatniej w rozwoju akcji, nie traci z oczu całości, do prawdy historycznej, jak miesza pytanie, co to za typ sztuki, jak ustosunkowuje się Szekspir do rzeczywistości, do prawdy historycznej, jak miesza fantazję i historyczną analogię, jakie ma wyobrażenia o Polakach i Polsce? Pojmując więc temat jako zagadnienie szersze, przeprowadza mistrzowską analizę założeń kompozycyjnych *Hamleta*, dowodząc, że dramat stanowi ideowo i artystycznie konsekwentną strukturę, zgodną z postulatami renesansowej poetyki dla „dramatu-zwierciadła" oraz zgodną z programowymi uwagami Hamleta, wypowiedzianymi do aktorów o teatrze. W literaturze szekspirowskiej przeprowadzenie tego dowodu to istotna nowość o doniosłych naukowych konsekwencjach.

Dowód ten poprzedza rozdział, w którym autor stawia tezę zasadniczego znaczenia: „sens *Hamleta* boëcjański jest, nie senekański", to znaczy, że *Hamlet* nie jest, jak się zazwyczaj przyjmuje, dramatem zemsty, lecz że tryumfuje w nim morał o korygującym, opatrznościowym działaniu losu-przypadku, z nutą pocieszenia i nauką dla życia. Tutaj znów kapitalnie przeprowadzony dowód, i w hamletologii novum zmuszające do rewizji sądów o całym dramacie.

Podkreślić należy, że to nowe spojrzenie na *Hamleta*, nowe ujęcie jego sensu, nie jest rezultatem oderwanej spekulacji umysłowej, których mieliśmy pod dostatkiem do niedawna, lecz wypłynęło z próby nowego odczytania *Hamleta* z pełnym uwzględnieniem zmian znaczeniowych, z równoczesnym oparciem o przednią znajomość poetyki i filozofii Renesansu, jedynych źródeł do właściwego zrozumienia tego arcydzieła.

Hamlet jest więc typem sztuki, w której, zgodnie z ówczesną teorią literacką, przemieszane są elementy fikcji i prawdy historycznej umyślnie w tym celu, ażeby sens moralny dzieła był bardziej wyrazisty. Mimo struktury w zasadzie ahistorycznej, Szekspir nadał dramatowi koloryt historyczny dzięki umiejscowieniu akcji w określonej części Europy, z perspektywą na: Anglię, Francję, Polskę, i wyzyskał szereg rzeczywistych motywów historycznych, wspólnych zwłaszcza dla Danii i Pomorza Zachodniego. Autor poświęca cały rewelacyjny rozdział szczegółowemu omówieniu tych wspólnych motywów, stanowiących właściwe polonika lub kryptopolonika, nie zauważone dotychczas i nie omówione. Należą do nich m. in.: Instytucja współrządów; Obieralność tronu i wskazanie następcy przez poprzednika; Motyw nieposłuszeństwa młodego dynasty wobec starego króla; Motyw przepusz-

czenia obcych wojsk przez terytorium państwowe; Granica polsko-duńska; Sprzedaż terytorium; Wysłanie rodzimego dynasty do obcego monarchy na stracenie etc.

Ten ostatni motyw szczególnie nas interesuje przez komentarz historyczny związany z Polską. Jak wiadomo, Klaudiusz wysyła Hamleta do Anglii z tajemnym poleceniem uśmiercenia go tam natychmiast po przyjeździe. Hamlet jednak krzyżuje te plany i w rezultacie giną ci, którzy go wieźli na stracenie: Rosenkrantz i Guildenstern. Otóż cała ta sensacyjna sceneria uważana była za fantazję poetycką, bez historycznej analogii. Tymczasem autor przytacza fakt opisany w jednej z średniowiecznych kronik angielskich, dotyczący króla Kanuta Wielkiego, który „po zdobyciu Anglii i po śmierci jedynego jej obrońcy, króla Edmunda, starał się pozbyć żyjących jeszcze członków starej dynastii. Jego powiernicy namawiali go, aby dwoje dzieci króla Edmunda, Edwarda i Edmunda, zgładził tak, jak to uczynił był z innymi niewygodnymi sobie osobami. Król jednak obawiał się skutków takiego postępowania, dlatego wysłał obu chłopców do swego krewniaka i sojusznika, Bolesława Chrobrego, z prośbą o zgładzenie. Władca Polski n i e z g o d z i ł się jednak na to, pomimo istniejącego między Polską a Danią przymierza, i wysłał dzieci na Węgry, mianowicie na dwór króla Salomona. Jeden z chłopców zmarł w tym kraju po dłuższym czasie, drugi natomiast, Edward, pojął za żonę córkę cesarza, Agatę, i następnie jako ojciec trojga dzieci odegrał jeszcze rolę w historii dynastycznej Anglii i Szkocji". Autor przypuszcza, że Szekspir mógł znać odyseję tych chłopców, powtórzoną przez któregoś z kronikarzy. (Gołubiew, wtrąćmy, powinien wyzyskać, jeśli jeszcze tego nie zrobił, w swej olbrzymiej powieści ten ciekawy motyw, świadczący o szlachetności naszego króla.)

Po wyczerpaniu i wyjaśnieniu wszystkich motywów polskich w *Hamlecie*, zajął się autor współczesnymi źródłami mówiącymi o Danii, Polsce, i Gdańsku, z których przypuszczalnie mógł korzystać Szekspir przy tworzeniu *Hamleta*. Tutaj znów, oprócz znanej *Kroniki duńskiej* Saksona Gramatyka, padają nazwiska nowe (Botero, Mercator) i nowe pociągające sugestie, nowe wyjaśnienia. Ogólny zaś wniosek niezmiernie ważny dla głębszego zrozumienia utworu: „Szekspir, przynajmniej w partiach dramatu wprowadzających motywy walki dyplomatyczno-militarnej nad Bałtykiem, zbudował akcję nie tak, aby rozminąć się w ogóle z rzeczywistym przebiegiem zdarzeń dziejowych, ale tak, aby odwzorować w pewien sposób ich rytm i typowość..." To było też zgodne z programową wypowiedzią Hamleta wobec aktorów.

Na koniec pozostawił sobie autor najtrudniejszą do wyjaśnienia kwestię — Poloniuszą. Obala i odrzuca przede wszystkim hipotezę angielskiego badacza, Gollancza (1916), jakoby wzorem i inspiracją miało być dla Szekspira w tym względzie dzieło naszego Goślickiego *De optimo senatore*, rychło przełożone na język angielski i dwukrotnie wydane (1598, 1604). Przypuszcza, że imię Poloniusza miało z przyczyn cenzuralnych maskować autentyczną angielskość postaci, gdyż w żaden sposób nie wiąże się z resztą motywów polskich. Byłby to jednak przykry dysonans, dlatego autor szuka rozwiązania tej zagadki w interpretacji wewnętrznej harmonii dzieła, w symetrii, według której ukształtował poeta losy trzech synów i trzech ojców: Hamleta — syna Hamleta, Fortynbrasa — syna Fortynbrasa, i Laertesa — syna Poloniusza. Każdy z młodzieńców ma wyjechać za granicę, każdy z nich w podobnych okolicznościach traci ojca, każdy podejmuje zemstę; w końcu dramatu spotykają się; każdy z nich jest kandydatem do korony (syn Poloniusza okrzyknięty zostaje w pewnym momencie królem, jakby w karykaturalnej wolnej elekcji). Ten właśnie epizod wydaje się autorowi echem wyobrażeń o wolnej elekcji w Polsce i stąd zrodziło się, jak sądzi, imię Poloniusza. Tej własnej, oryginalnej hipotezie, w największym skrócie tutaj przedstawionej, daje autor pewne uzasadnienie naukowe.

W końcowych wnioskach zwraca autor uwagę na potrzebę r e w i z j i pewnych zastarzałych wyobrażeń o rzekomym geniuszu-ignorancie: „Czytając Szekspira przede wszystkim należałoby mieć na uwadze prawdopodobieństwo, że to a u t o r w y k s z t a ł c o n y i (na

miarę kryteriów epoki) dobrze poinformowany..."

Bardzo rzadko zdarza się spotkać u nas książkę tak twórczą, o takim bogactwie nowych myśli, pomysłów i odkryć, przedstawionych w ramach wykładu niezmiernie zwartego i jasnego. Sądząc zaś z ogłaszanych przez Chwalewika już od sześciu lat (niestety przeważnie w streszczeniach), rozpraw, jak np. o monologu *To be, or not to be; Hamlet jako krytyk teatru; Świat jako teatr; Teatr dzieci w „Hamlecie"; Szekspir i renesans,* etc., wydaje się, że omawiane dziełko stanowi jakby jedną księgę dużej monografii *Hamleta,* jakiej dotychczas nie było. Kiedyż się jej doczekamy?

Wiadomo również, że Witold Chwalewik przygotował nowy filologiczny przekład *Hamleta,* który wraz z tekstem oryginalnym oraz bardzo obszernymi komentarzami może się kiedyś ukaże pod auspicjami naszej Akademii Nauk. Nie stanowi to też tajemnicy, że artystyczny jego przekład *Hamleta* oczekuje od kilku lat na wydanie, gdy tymczasem ogłoszono już trzy przekłady mniej nowatorskie i nie oparte na wyzyskaniu nowych zdobyczy tekstologicznych.

Wreszcie jeszcze jedna, nienajmniejszego znaczenia sprawa. Cały świat kulturalny niezmiernie żywo interesuje się Szekspirem. Każda sugestia, każda nowa zdobycz w tej dziedzinie szybko obiega świat, staje się w najlepszym tego słowa znaczeniu sensacją naukową, bywa dyskutowana, omawiana, recenzowana. Naturalny i zrozumiały przeto staje się postulat rychłego udostępnienia treści tego dziełka o *Hamlecie* cudzoziemcom w wersji angielskiej.

Piotr Grzegorczyk

Z PRASY

Pewien młody krytyk powiedział mi kiedyś: „nie czytam żadnych artykułów, które nie zawierają cyfr, tabeli, zestawień".

Rozumiem tego młodego krytyka. Rozumiem nasycenie bieżącej prasy literackiej tematyką polityczno-gospodarczą. Literatura poszukuje satysfakcji na tym terenie, na którym dała się oszukać. Powiedziano kiedyś literaturze: twoją substancją winien być społeczny konkret. Twoją pasją winna być polityka. Twoją wiedzą winna być ekonomia. Twoim natchnieniem — statystyka. Tak jej powiedziano, po czym zakłamano wszystko, rozłożono rzeczywistość na fakt i jego znaczenie, zachowując dla siebie prawo tłumaczenia znaczeń. I naraz literatura ujrzała się sam na sam z tłumaczeniem faktów, z dala od nich samych. To, co miało stać się jej pasją, stało się jej rygorem, to, co miało być jej wiedzą, stało się jej przesądem, to co natchnieniem — stało się upiorem: skłamany fakt, fałszywa liczba, obłudna egzegeza. Nic więc dziwnego, że społeczny konkret, polityka, ekonomia złożyły się na kompleks naszej literatury, bez którego rozładowania nie ruszy naprzód. Szuka prawdy i wiedzy właśnie w tym zakresie, spodziewając się odzyskać godność w tym samym miejscu, w którym ją straciła.

Ale to nie może trwać długo. To może trwać tylko tak długo, jak długo jeszcze dyletantyzm będzie popłacał. Dyletantyzm w dziedzinie polityki i gospodarki na razie popłaca, ponieważ w okresie normalizowania życia nie chodzi o to, co się gada, chodzi o to, żeby nie milczeć. Uciekamy przed milczeniem, boimy się milczenia, ponieważ już wiemy, że milczenie jest więzieniem, w którym człowieka można jeszcze lepiej unieszkodliwić niż za kratkami. Gadać, gadać — oto nasze hasło. Gadamy bez odpowiedzialności za słowo, gadamy wszyscy to samo i wydaje nam się, że dyskutujemy, albo, odwrotnie, gada każdy co innego, każdy sobie, a wszyscy razem myślą, że są w zgodzie. Stąd zapewne ta podejrzana zgoda narodowa, w jakiej rozgrywa się proces odnowy naszego życia publicznego. Taka zgoda może być niebezpieczna — niezwykle łatwo zamienić ją w kierowaną jednomyślność. Wystarczy podszyć się pod ton ogólnego gadania i wykonywać odpowiednie gesty: gdy już jest chór, o dyrygenta nietrudno.

Zacznijmy się nareszcie kłócić. Ale w tym celu musi pójść każdy do swoich zajęć. Kott z Hertzem nie będą się kłócić o gospodarkę zapasami, Sandauer z Ważykiem będą zgodni co do roli rad narodowych. Kott z Hertzem mogą się kłócić o powieść, Sandauer z Ważykiem o poezję. Ale, oczywiście, będzie można wrócić do sporów literackich, jeżeli w komisjach sejmowych i w prasie codziennej rozwinie się naprawdę twórcza i naprawdę skuteczna polemika gospodarcza i ustrojowa. Społeczeństwo musi widzieć tę polemikę. Nie po to, żeby brać w niej udział. Nawet nie po to, żeby ją śledzić i rozumieć. Po to, żeby być spokojnym. Nie łudźmy się, że kiedy przy następnej sesji sejmowej całe kolumny *„Trybuny Ludu"* i *„Życia Warszawy"* zajmą referaty i przemówienia posłów, my będziemy je czytać tak od deski do des-

ki, jak podczas sesji wiosennej. Gdzież tam! Ale codziennie rano biorąc gazetę do ręki będziemy sobie mówić: kłócą się? To już dobrze. O nic innego nie chodzi. Społeczeństwo zachowuje się w takich wypadkach jak rodzice, którzy zamykają dzieci w osobnym pokoju i tylko słuchają: wrzeszczą? To już dobrze. Bawią się i są zdrowe.

A jednocześnie, kiedy opinia publiczna będzie odpowiednio nasycona społecznym konkretem, literatura musi liczyć już na inne źródła inspiracji i na inne środki oddziaływania. Dopóki sejm milczał, a prasa kłamała, byle reportaż robił karierę. Jeśli sejm nie zamilknie, a prasa nie powróci do kłamstwa, skończą się jednotygodniowe kariery spostrzegawczych ludzi.

No, i trzeba będzie na serio mówić o literaturze.

*

A jest o czym mówić. Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że od prawie dziesięciu lat nie było u nas ani jednej sensownej polemiki literackiej i że dotąd żyjemy rezultatami polemik rozegranych na samym początku dziesięciolecia — w *„Kuźnicy“* i w *„Odrodzeniu“*.

Słyszę zmieszane głosy podsuwające mi różne polemiki, których byliśmy świadkami w latach 1948—1956. Chwileczkę. Idźmy „od tyłu“. Dyskusja o krytyce z czerwca 1955? Jeżeli referat Putramenta nazwać tekstem polemicznym, to, oczywiście, tak. Jeżeli przemówienie Drewnowskiego uznać za esej, to tak. Jeżeli jednak zgodzić się na te eufemizmy, to Różański powinien zostać profesorem prawa cywilnego. Innej polemiki z artykułem Błońskiego nie zauważyłem. Może kto zauważył?

Dyskusje o schematyzmie po artykule Flaszena? Nie bądźmy śmieszni. Jeżeli jeden mówi, że łajno śmierdzi, a drugi na to krzyczy, żeby nie szkalować łajna, to pierwszy jest rozsądny, a drugiego należy spytać na osobności, jaki ma interes w tym, żeby kłamać. Ale to nie jest dyskusja.

Dyskusja o Majakowskim i o poezji z zimy 1950 roku? Przypomnijmy fakty: pewien młody poeta napisał artykuł, który bardzo rychło potem sam uznał za niemądry. Tych natomiast, którzy tak oceniali jego artykuł wcześniej, on i jego przyjaciele uznali za reakcjonistów, co im umożliwiło przeprowadzenie polityczno-personalnej rozgrywki. Trudno więc traktować serio polemikę, która miała bezsensowny punkt wyjścia i absurdalne zakończenie.

Na serio można traktować tylko te polemiki, które polegały rzeczywiście na wymianie sądów literackich i z których coś zostało. Taka była tylko jedna polemika: wielka polemika na łamach *„Odrodzenia“* i *„Kuźnicy“* ciągnąca się od 1945 roku, powoli zamierająca w roku 1948, zakończona przez nową sytuację po zjeździe szczecińskim. Była to polemika z literaturą dwudziestolecia. Analiza awangardowych kierunków poezji i malarstwa, analiza psychologizmu, katastrofizmu i surrealizmu. Polemika z klerkizmem i moralizmem. Były dziesiątki starć, dziesiątki dialogów. Dziesiątki artykułów, jakie złożyły się na jedną wielką polemikę, której inspiracją była świadomość niewystarczalności sztuki i chęć stworzenia jej nowego modelu.

Na placu boju została *„Kuźnica“* ze swoim programem literatury racjonalistycznej i optymistycznej. Ani się spostrzegła, że wysiedziała kukułcze jajo: to z jej teoretycznego programu politycy wyczarowali tzw. realizm socjalistyczny.

Dzisiaj jesteśmy w sytuacji zupełnie nowej. Wiemy, co sądzić o literaturze tzw. realizmu socjalistycznego. Nikt się na serio nie odważy posługiwać skompromitowanym terminem.

Nie wiemy natomiast, co zostało właściwie skompromitowane: zasada czy jej realizacja? Inaczej: czy wraz z kompromitacją realizmu socjalistycznego zostały skompromitowane jego teoretyczne podstawy, takie jak przekonanie o racjonalnym charakterze historii, o jej postępowym kierunku, o równoległości postępu moralnego i umysłowego w stosunku do postępu społecznego? Czy, dalej, model literatury proponowany przez *„Kuźnicę“*, ten optymistyczny i racjonalistyczny model kultury, wyprowadzony z ducha Encyklopedii, ostaje się wobec wstrząsów, które mogą zachwiać zaufaniem dla rozumu? Kto żachnie się na te słowa, niech sobie uprzytomni, że wiele faktów, którym nadawaliśmy charakter rozumnych konieczności, okazało się owocem szaleństwa.

Myślę więc, że jest czas na nową wielką polemikę, jest czas na postawienie pryncypialnych pytań, jest czas na przewartościowanie rezultatów wielkiej polemiki rozegranej po wojnie. Skończmy ze zgodą narodową na temat praworządności i demokracji. Zacznijmy się kłócić na tematy konkretne.

Andrzej Kijowski

MICKIEWICZOWSKA SESJA NAUKOWA PAN

Przez cztery dni, od 17 do 20 kwietnia, obradowała międzynarodowa sesja PAN, będąca ostatnią wielką imprezą naukową Roku Mickiewiczowskiego. Miała ona na celu zaprezentowanie w skrócie rocznicowego dorobku naszej polonistyki i zarazem umożliwienie gościom, przeważnie slawistom i polonistom, przedstawienia wyników ich badań nad naszym poetą, ze szczególnym uwzględnieniem jego zagranicznych kontaktów i recepcji wśród obcych. Wśród gości — licząc tylko referentów, bo niektórzy wybitni badacze przybyli bez referatów, głównie dla nawiązania lub odświeżenia starych kontaktów — spotkaliśmy wielu uczonych o znakomitych nazwiskach. Był więc dobrze u nas znany puszkinolog, Dymitr Błagoj, i wybitny komparatysta leningradzki, Michał Aleksiejew. Czechosłowację reprezentował oczywiście nasz wypróbowany przyjaciel, zasłużony polonista praski, Karol Krejči; Węgry — Istvan Söter. Z Włoch przybył między innymi Giovanni Maver, jeden z wielkich autorytetów międzynarodowej slawistyki, zachwycający słuchaczy swoją stylową polszczyzną, i Ettore Lo Gatto, który należy do najwybitniejszych na Zachodzie rusycystów. Jean Fabre, profesor literatury francuskiej na Sorbonie i ze szlachetnego amatorstwa naukowego najpoważniejszy chyba znawca stosunków kulturalnych polsko-francuskich XVIII i pierwszej połowy XIX wieku, przyjechał — ze wzruszeniem, którego nie ukrywał — trochę jak do siebie, był bowiem przed wojną zastępcą dyrektora Instytutu Francuskiego w Warszawie i wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Byli też wśród gości pisarze — m. in. Maksym Rylski, rumuński dramaturg, Wiktor Eftimiu, i Kinzo Asai, japoński tłumacz Mickiewicza — oraz wybitni działacze różnych organizacji przyjaciół naszego kraju.

Po inauguracyjnym przemówieniu prezesa Jana Dembowskiego, który też później sesję zamykał i podejmował jej uczestników na uroczystym przyjęciu, ogólnej prezentacji dokonał prof. Julian Krzyżanowski w referacie *Mickiewicz w Polsce Ludowej*. Referent — jeden z triumfatorów Roku Mickiewiczowskiego jako redaktor Wydania Jubileuszowego oraz inicjator i kierownik rewelacyjnie zapowiadającej się pracy zbiorowej o ludowości Mickiewicza — zaczął swój przegląd od uchwały Krajowej Rady Narodowej z 5 maja 1945 roku o Wydaniu Narodowym i dziejów tego wydania, co mu dało okazję do podkreślenia wysokości nakładów wszystkich wydań dzieł poety w latach 1944—1955: cztery i pół miliona egzemplarzy. Dalsza część tego wstępnego referatu charakteryzowała, z konieczności bardzo zwięźle, główne prace mickiewiczologiczne, które się ukazały w okresie dziesięciolecia, a zwłaszcza w związku z setną rocznicą śmierci autora *Pana Tadeusza*.

Sam dorobek roku jubileuszowego został przedstawiony na sesji w referatach syntetyzujących osiągnięcia sesji grudniowej lub rozwijających wygłoszone wtedy główne referaty. Wybór autorów i tematów był doskonały. Zofia Stefanowska, autorka studium o *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*, najlepszej z prac, które w Roku Mickiewiczowskim wyszły spod pióra badaczy młodego pokolenia, mówiła o stosunku Mickiewicza do Lamennais'go w latach 1830—1834. Prof. Henryk Batowski scharakteryzował wykłady w Collège de France jako etap w rozwoju badań nad słowiańszczyzną. Prof. Stefan Kieniewicz zreferował jeden z zasadniczych problemów ostatniego okresu życia poety — jego działalność w latach Wiosny Ludów. W ostatnim dniu sesji prof. Zenon Klemensiewicz dał przegląd bar-

dzo bogatego i solidnego dorobku rocznicowego językoznawców, a prof. Kazimierz Wyka przedstawił dalszy rozdział swojej monografii o *Panu Tadeuszu*, która, jak to już widać, będzie należała do głównych osiągnięć tej wielkiej kampanii naukowej — tym razem mówił o metodzie poetyzowania, odrealniania rzeczywistości, zestawiając w interesujący sposób poetykę Mickiewicza z koncepcjami Goethego. Historycy sztuki urozmaicili sesję wystawą Michałowskiego i referatem prof. Juliusza Starzyńskiego o malarstwie okresu romantyzmu; szkoda tylko, że ta bardzo potrzebna wstawka zepsuta była nieprawdopodobnie niedbałym przygotowaniem lokalu w Zachęcie.

Wśród referatów gości nie były reprezentowane wszystkie zagraniczne powiązania Mickiewicza, były jednak najważniejsze. W grupie słowiańskiej o stosunkach Mickiewicza z Puszkinem mówili D. Błagoj i E. Lo Gatto, o echach *Konrada Wallenroda* w literaturze czeskiej — K. Krejči; o recepcji naszego poety w literaturze serbo-chorwackiej — D. Živanović, w ukraińskiej — M. Rylski, w bułgarskiej — P. Dinekow. Referat *Mickiewicz a Niemcy* wygłosił prof. E. Koschmieder z Monachium. Berliński polonista, prof. Wiktor Falkenhahn, miał bardzo ciekawy i cenny referat o przekładach Mickiewicza na niemiecki — zajął się nie tylko oceną istniejących tłumaczeń, ale i problemami ogólnej teorii przekładu. G. Maver mówił o ważnym epizodzie z politycznej działalności Mickiewicza, mianowicie o jego zetknięciu się w r. 1848 z Mazzinim.

Jednym z najciekawszych wystąpień naszych gości był niewątpliwie referat Jean Fabre'a o związkach Mickiewicza z kulturą francuską. Był on fascynujący zarówno z punktu widzenia metody, jak też wielokrotnie pod względem materiałowym. Prof. Stefan Żółkiewski jako autor *Sporu o Mickiewicza* miał zapewne wiele satysfakcji słysząc nowe argumenty potwierdzające tezę o silnym oddziaływaniu filozofii Oświecenia na ukształtowanie się światopoglądu naszego poety. Nowe światło padło tu m. in. na znaczenie materialistycznej koncepcji uczucia i namiętności u Helwecjusza jako ważnego momentu w przełomie poety *Ballad i romansów* ku romantycznej koncepcji uczuciowości. Duże wrażenie robiły też uwagi francuskiego uczonego o roli Saint-Martina w rozwoju Mickiewicza, o zapomnianych lub nie wydanych do dnia dzisiejszego notatkach Micheleta, z których wynika, że przyjaźń obu profesorów w Collège de France obfitowała w ostre dyskusje, będące ważnym przyczynkiem do usytuowania poglądów politycznych Mickiewicza na tle europejskim. Zupełną wreszcie niespodzianką było ukazanie roli hrabiny d'Agoult w rozwoju kultu Mickiewicza na terenie Francji. Zdaniem prof. Fabre'a (opierał on się tu na wynikach przygotowywanej pod jego kierunkiem pracy doktorskiej) osobowość naszego poety, który miał wyjątkowo gorącą i wierną aż po lata siedemdziesiąte zeszłego wieku wielbicielkę w pani d'Agoult, wychowawczyni „personelu politycznego" Trzeciej Republiki, silnie oddziałała na ukształtowanie się ideałów republikańskich we Francji końca XIX w.

Wszystkich problemów poruszonych w referatach i w dyskusji nie można nawet wyliczyć w krótkiej notatce. Sesja udała się może nawet bardziej, niż tego oczekiwaliśmy. Nie miała nic z nieuniknionej powierzchowności jubileuszowych akademii. Goście wynieśli z niej jak najlepiej świadczący o rozwoju naszej nauki obraz najnowszej, marksistowskiej mickiewiczologii. Sami złożyli imponujące dowody żywotności i wysokiego poziomu studiów polonistycznych za granicą. Spotkanie było tak owocne, problemów do dyskusji znalazło się tak wiele, że trzeba żałować, iż obrady przez cały czas toczyły się plenarnie. Do nieobojętnych wyników sesji należy spostrzeżenie, które musiało się nasunąć wielu uczestnikom: większość referatów i liczne problemy sporne, które się wyłaniały w dyskusjach, należą do dyscypliny, o której na sesji nie wspomniano — zdaje się — ani razu: do literatury porównawczej, bardzo na całym świecie, ale nie u nas, rozwiniętego kierunku literaturoznawstwa, kierunku, bez którego w studiach nad związkami Mickiewicza z kulturą światową i nad jego miejscem w światowej literaturze daleko nie zajdziemy. Anonimowość komparatystyki w tej imprezie nic zresztą nie szkodzi, albowiem — jak słusznie powiedział Jean Fabre w rozmowie z reporterem Polskiego Radia — ta sesja naukowa PAN nie tylko zamyka, ale i otwiera.

Maciej Żurowski

„MOSKWA LITERACKA“

Naszą rzekomo pełną wiedzę o literaturze zmieniliśmy w ostatnich czasach z niewątpliwym pożytkiem dla siebie na znacznie skromniejszą wiedzę o tym, jaką literatura być nie powinna. Krytyka z dużym powodzeniem zbombardowała wznoszony mozolnie przez długie lata gmach estetyki normatywnej. Wszyscy powitaliśmy to z uznaniem. „Dzieło zniszczenia — jak powiada poeta — w dobrej sprawie jest święte jak dzieło tworzenia.“ Jednakże te niewątpliwe sukcesy nie zostały jak dotychczas poparte w odpowiedniej mierze osiągnięciami literatury pięknej. Czytelnik odczuwa coraz większą tęsknotę do „dzieł tworzenia“, do pełnowartościowej prozy i poezji, będącej owocem twórczych poszukiwań pisarskich.

W Związku Radzieckim sytuacja w literaturze — mam na myśli zarówno pisarzy jak i czytelników — pod wieloma względami podobna jest do naszej. I tam wciąż za mało jest dobrych powieści i wierszy. I tam czytelnik gotów jest udzielić autorom nawet dość dużego rabatu i darzy uznaniem każdy rzetelny wysiłek twórczy.

Nic dziwnego, że w tych warunkach tak poważny sukces zdobył almanach *„Moskwa Literacka“*, do którego weszły utwory niemal czterdziestu pisarzy moskiewskich. Ten pokaźny, przeszło 800-stronicowy tom ukazał się w przeddzień rozpoczęcia obrad XX Zjazdu KPZR. Nie była to zbieżność przypadkowa. Pisarze moskiewscy starannie przygotowali się do Zjazdu i przyszli nań jeśli nie z konkretnie opracowanym planem, to w każdym razie z całkiem wyraźnymi propozycjami poprawy sytuacji w literaturze radzieckiej.

Jakie są motywy przewodnie tych propozycji? Przede wszystkim — zdecydowana tendencja rozszerzenia szeregu zastygłych kanonów teorii realizmu socjalistycznego, walka o równouprawnienie różnorodnych stylów literackich i metod twórczych, o właściwe pojmowanie partyjności literatury, która zamiast ilustrowania kolejnych dyrektyw i uchwał powinna przecież sięgać w przyszłość, podsuwać społeczeństwu i partii nowe myśli i koncepcje przebudowy świata.

Wnioski tego rodzaju nasuwa zarówno lektura almanachu, jak i sam wachlarz nazwisk tam zawartych. W *„Moskwie Literackiej“* znalazło się miejsce i dla tych pisarzy, którzy przez długi okres byli przedmiotem ataków doktrynerskiej, schematycznej krytyki, zarzucającej im pochopnie formalizm, bezideowość czy wręcz kosmopolityzm. Oprócz świetnych poetów, Borysa Pasternaka i Anny Achmatowej, oraz wybitnego krytyka i prozaika, Wiktora Szkłowskiego, wymienić tu należy doskonałego poetę, Leonida Martynowa, którego piękne wiersze ukazały się niedawno na łamach naszych pism literackich, niemal zupełnie nieznanego w Polsce Nikołaja Zabołockiego — jedną z największych nadziei poezji rosyjskiej w latach trzydziestych — a z prozaików młodego pokolenia Nikołaja Mielnikowa, autora głośnego w swoim czasie i „zarżniętego“ przez krytykę opowiadania wojennego pt. *Redakcja*.

Przejdźmy jednak do kolejnego omówienia, a raczej zasygnalizowania czytelnikom ciekawszych pozycji almanachu.

Na pierwsze miejsce w prozie wybija się powieść Emanuela Kazakiewicza — *Dom na placu*. Akcja powieści rozgrywa się w radzieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech, a bohaterem jest młody oficer, komendant okupowanego miasta, jednakże poruszone przez autora problemy posiadają znacznie szersze znaczenie. Są to — naruszenie praworządności w życiu państwowym i norm leninowskich w życiu partyjnym, a więc, ogólnie mówiąc — problematyka XX Zjazdu. Kazakiewicz z dużym talentem i może ostrzej niż ktokolwiek dotychczas ukazuje dramatyczny konflikt komendanta, pułkownika Łubiencowa, kierującego się w swej działalności zdrowym rozsądkiem i sumieniem partyjnym, z bezduszną rutyną i biurokracją, konflikt, który o mały włos nie kończy się tragicznie. *Dom na placu* z pewnością zasługuje na szybkie wydanie w języku polskim.

Linię twórczych poszukiwań kontynuują w almanachu Siergiej Antonow i W. Tendriakow, którzy podobnie jak Kazakiewicz należą do młodszego pokolenia pisarskiego. Antonow wyraźnie nawiązuje w swych opowiadaniach do

tradycji czechowowskiej. Lakoniczność i oszczędność środków wyrazu, zwarta konstrukcja utworu, duży ładunek emocjonalny, subtelny i dyskretny rysunek psychologiczny postaci — oto niewątpliwe zalety utworów utalentowanego pisarza. Do tego dochodzi niezmierna aktualność tematyki. Z opowiadań Antonowa wyłania się żywy i pełnokrwisty świat dzisiejszej wsi rosyjskiej wraz ze wszystkimi jej skomplikowanymi problemami.

Zupełnie inną szkołę reprezentuje Tendriakow. Jego protoplastą duchowym — podobnie zresztą jak i Owieczkina — jest niewątpliwie znakomity pisarz rosyjski XIX wieku, Gleb Uspienski, autor wstrząsających „szkiców" o chłopie rosyjskim. Dziś ten rodzaj literacki nazwalibyśmy raczej reportażem społecznym. Wielu krytyków jest zdania, że przed literaturą tego typu otwierają się obecnie szczególnie szerokie perspektywy. Na ten temat można by się, oczywista, długo sprzeczać, trzeba jednak stwierdzić, że Tendriakow potrafi łączyć precyzyjną analizę zjawisk i typów społecznych z dużymi walorami formalnymi. Jego opowiadanie *Rycerz kubka w kubek,* rozgrywające się, podobnie jak utwory Antonowa, w środowisku wiejskim, świadczy o tym nader wymownie.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że młodzi prozaicy dali w almanachu znacznie ciekawsze utwory niż ich starsi koledzy po piórze. Ani *W Jasnej Polanie* Konstantego Fiedina (urywek z trzeciego tomu trylogii; poprzednie dwa tomy — *Pierwsze radości* i *Niezwykłe lato* ukazały się już dawno w polskim przekładzie), ani *Szóstego sierpnia* Wasyla Grossmana (opowiadanie o załodze amerykańskiego samolotu, który zrzucił pierwszą bombę atomową) — mimo swych niewątpliwych zalet artystycznych nie przykuwają uwagi czytelnika w tym stopniu, co proza młodych, podejmująca ciężkie i palące sprawy dnia dzisiejszego.

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja w poezji. Tu starsi, doświadczeni poeci zdecydowanie górują nad młodzieżą, która nie umieściła w almanachu bodajże ani jednego ciekawszego utworu. Podobne miejsce, jak powieść Kazakiewicza w dziedzinie prozy, zajmują w *„Moskwie Literackiej"* nowe rozdziały poematu Aleksandra Twardowskiego *Za dalą dal.* Stały się one przedmiotem wyjątkowo żywej dyskusji w moskiewskim środowisku literackim, co dowodzi, że „zamówienie społeczne" na odważną, nasyconą akcentami politycznymi „poezję obywatelską" jest równie duże, jak na reportaż społeczny. Szczególnie ciekawy jest rozdział pt. *Przyjaciel z lat dziecinnych,* w którym Twardowski opisuje swoje spotkanie z przyjacielem, wracającym z zesłania. Tu znowu — w almanachu wydanym przed XX Zjazdem — doszła do głosu zasadnicza tematyka zjazdowa.

Z pozostałych wierszy, oprócz wspomnianych już utworów Martynowa, Zabołockiego i Achmatowej, na uwagę zasługują znakomite przekłady z Roberta Burnsa pióra S. Marszaka oraz wzruszający wiersz Mikołaja Asiejewa, poświęcony pamięci Majakowskiego.

Ostatni dział almanachu — *Pamiętniki i notatki* — składa się z prac wprost pasjonująco ciekawych, z których każda powinna być jak najszybciej udostępniona szerszym kołom naszych czytelników. Na pierwszy plan wybijają się *Notatki o przekładach tragedii Szekspirowskich* Borysa Pasternaka, zawierające wiele niezmiernie trafnych i wnikliwych uwag o twórczości genialnego dramaturga. Jak wiadomo, Pasternak przez szereg lat ostatnich pracował nad przekładami najwybitniejszych dzieł Szekspira.

Znany poeta i badacz literatury, Korniej Czukowski, zamieszcza fragmenty wspomnień o Aleksandrze Błoku, interesujące zarówno ze względu na bogaty materiał biograficzny, jak i na analizę formalną wierszy poety.

Almanach zamykają opublikowane pośmiertnie pt. *Droga do przyjaciela* urywki z notatnika Michaiła Priszwina. Jest to zanotowana w postaci krótkich spostrzeżeń i refleksji rozmowa liryczna pisarza z czytelnikiem. Liczne partie notatnika, a zwłaszcza opisy przyrody, zasługują na nazwę poezji w prozie.

Jak widzimy, almanach jest wydarzeniem ze wszech miar zasługującym na uwagę. Świadczy on wymownie o zdrowym fermencie i twórczej atmosferze w literaturze radzieckiej i stanowi zapowiedź jej przyszłych sukcesów.

Należałoby życzyć sobie, aby nasze pisma szerzej zaznajomiły polskiego czytelnika z *„Moskwą Literacką"*, publikując celniejsze utwory almanachu.

Z. F.

KILKA GŁOSÓW PISARZY RADZIECKICH

W dyskusji toczącej się po XX Zjeździe w radzieckiej prasie literackiej zabiera głos wielu pisarzy, krytyków i czytelników. Nieomal we wszystkich tych artykułach i wypowiedziach brzmi ostry, polemiczny ton. Na łamach *„Litieraturnej Gaziety"* ukazały się 21.IV. dwa artykuły, poświęcone analizie błędów i wypaczeń w literaturze ostatnich dwóch dziesięcioleci: *Gdybyż napisać taką książkę* — poetki Olgi Bergholc i *Wielka spuścizna*, pióra historyka literatury, B. Mejłacha.

W sposób szczery i bezpośredni dzieli się Bergholc z czytelnikami własnymi przeżyciami i refleksjami po przeczytaniu uchwał i materiałów XX Zjazdu, które — jej zdaniem — zmusiły każdego pisarza do bezlitosnego przemyślenia, do krytycznej oceny własnej drogi życiowej i twórczej. Droga to była nierówna, obfitowała w błędy, ciężkie próby i wielokrotne nawroty.

Pisarze często o tym zapominali: przeszłą, teraźniejszą i przyszłą drogę narodu przedstawiali jako pewnego rodzaju — jak pisze Bergholc — „autostradę wykładaną lukrem".

Przez długi czas wielu pisarzy — czytamy w artykule poetki — było więźniami dogmatycznych schematów i doktrynerskich szablonów, usiłowało w nie wtłoczyć złożone, pełne dramatyzmu i bohaterskich wzlotów życie, charaktery i czyny ludzi.

W minionym, bardzo ciężkim dla rozwoju myśli pisarskiej, okresie panowania antyleninowskiego kultu jednostki wielu literatów i działaczy głosiło Leninowskie myśli o literaturze, przy każdej okazji cytowało wywody Lenina o konieczności zapewnienia literaturze możliwości szerokiego rozwoju, swobody dla inicjatywy twórczej, dla zamiłowań indywidualnych — jednakże w rzeczywistości najczęściej zasady te naruszano.

Zdaniem Bergholc — bynajmniej nie chodzi o to, by stale powoływać się na minioną obiektywną sytuację w literaturze i sztuce, lecz o to, by — przeanalizowawszy spokojnie i surowo własne błędy — odtąd tworzyć i pracować w myśl nakazów Lenina. Niektórymi z tych błędów poetka zajęła się bardziej szczegółowo, przede wszystkim — omówioną krytycznie na XX Zjeździe sprawą osłabienia więzi pisarzy z rzeczywistością. Liczni pisarze nie badają życia w konkretnych jego przejawach, stale, w codziennej praktyce twórczej. „Naczelne nasze zadanie — zwraca się Bergholc do pisarzy — polega na tym, ażeby o badanym i poznawanym przez nas powszednim życiu ludzi pracy pisać prawdę istotną, autentyczną, a nie odświętną, „odcedzoną", ażeby pisać prawdę o tym, co sam wraz z narodem przeżyłeś i odczułeś!"

Tego właśnie nie czyniono, w tym tkwiła przyczyna nienadążania literatury za życiem. XX Zjazd dopomógł twórcom w zrozumieniu Leninowskiej zasady, że jedynym kryterium wartości utworu literackiego jest pisanie prawdy i wysoki poziom indywidualnego kunsztu, artyzmu. „Prawo to — pisze Bergholc — nie da się pogodzić ani ze względami koniunkturalnymi, ani z asekuranctwem, ani z przybierającym pozę »odwagi« nihilistycznym malkontenctwem, ani z reliktami antymarksistowskiego kultu jednostki wraz z wszystkimi jego przejawami."

Właśnie w kulcie jednostki, który pomniejszał rolę mas ludowych i partyjnych, który lekceważył indywidualność szeregowych komunistów i ludzi pracy, krępował ich inicjatywę twórczą, pozbawiał wiary w siebie i we własne siły — poetka widzi główne zło, przyczynę zubożania, niwelowania literackich postaci prostych ludzi radzieckich. Zdaniem Bergholc — wielu pisarzy radzieckich częstokroć, wbrew prawdzie historycznej, życiowej, artystycznej — gloryfikowało, ba! podnosiło do rangi bóstwa pewne postacie historyczne. Natomiast prostych ludzi, szeregowych partyjniaków, pisarze ci prymitywizowali do tego stopnia — oburza się Bergholc — że ludzie ci „upodobniali się do istot jednokomórkowych". Nic dziwnego, że w takich „postaciach" radziecki czytelnik nie poznawał siebie.

Najjaskrawiej widoczne to jest na przykładzie literackich postaci działaczy partyjnych. Np. postać pierwszego sekretarza obwodowego komitetu partyjnego często odtwarzano jako uniwersalnego „cudotwórcę"; skinienie je-

go ręki wystarczało do rozwiązania trudnych konfliktów (nawet miłosnych i rodzinnych!), do błyskawicznego zażegnania trudności i kłopotów. „Postaci takich sekretarzy — pisze Bergholc — posiadały jedno oblicze, tworzone były na obraz i podobieństwo wzorca, postaci te były nie tylko fałszywe, ale po prostu były obrazą — zarówno dla kierowniczych działaczy partyjnych, jak i dla mas partyjnych."

Te szkodliwe w literaturze radzieckiej tendencje wyrosły ze schematyzmu i dogmatyzmu, z kultu jednostki. Zdaniem poetki — od tego „spadku" należy się zdecydowanie uwolnić. Wtedy można będzie tworzyć postaci szeregowych komunistów i przywódców partyjnych rzeczywiście zgodne z prawdą życiową i psychologiczną. „Gdybyż — kończy swą wypowiedź Bergholc — napisać taką książkę, która stanowiłaby »ostatni wyraz rewolucyjnej myśli« (wyrażenie Lenina — J. S.), to znaczy podsunęłaby partii jakąś myśl, dopomogłaby jej — a nie po prostu ilustrowała kolejną dyrektywę partyjną! I by pomoc ta wypływała już z samego artystycznego brzmienia utworu."

Mejłach w artykule *Wielka spuścizna* zajął się problemami literaturoznawstwa, w szczególności sprawą studiowania poglądów Lenina na literaturę i sztukę. Spuścizna ta stwarza teoretyczne podstawy do przeanalizowania problemów teorii i historii literatury, estetyki i krytyki literackiej. Zdaniem Mejłacha — błędy i niedociągnięcia badań literackich, o czym ostatnio coraz częściej się mówi — wypływają przede wszystkim ze złej znajomości lub słabego opanowania Leninowskich myśli o literaturze i sztuce, a niekiedy nawet z odstąpienia od zasad i wskazówek Lenina.

Na wstępie krytycznej analizy przyczyn nienadążania literaturoznawstwa za twórczością, za potrzebami życia Mejłach przestrzega przed spotykanym niekiedy, jak się wyraża, „nihilistycznym" negowaniem wszystkiego, co w tej dziedzinie osiągnięto.

Na literaturoznawstwo ujemnie wpływał dogmatyzm, ujemnie oddziaływało doktrynerstwo. Mejłach ubolewa, że w instytutach badawczych, na wielu katedrach wyższych uczelni, w komisjach i sekcjach krytyków Związku Pisarzy — nie było atmosfery śmiałych poszukiwań, brakło ożywionych i ostrych dyskusji. Autor artykułu wyraża jednak przekonanie, że od pewnego czasu w nauce, a więc i w literaturoznawstwie powstały lepsze warunki dla twórczych poszukiwań i dyskusji, poprawiła się atmosfera twórcza. Stało się to m. in. dzięki zrozumieniu szkodliwości krzykliwego krytykanctwa poniektórych krewkich badaczy. Oni — cytuję artykuł — „w przeszłości tłumili wszelką swobodną opinię, a walkę z ideologią burżuazyjną zastępowali demagogicznymi chwytami, za jedyny oręż argumentacji uznając pałkę!"

Zdaniem Mejłacha — niekiedy niewłaściwie ujmowano sam przedmiot badań literackich. „Dotychczas jeszcze — pisze Mejłach — zwłaszcza w podręcznikach traktuje się literaturę jako ilustrację do dziejów kraju, nie kusząc się o wyjaśnienie estetycznej wartości postaci i obrazów literackich." W związku z tym Mejłach przytacza jako przykład niedawno wydany II tom *Zarysu dziejów rosyjskiej literatury radzieckiej.*

Zdaniem Mejłacha — w ciągu ostatnich 15—20 lat literaturoznawstwo również odczuło złe skutki kultu jednostki. Wiele artykułów i prac Lenina o sprawach literatury i sztuki nie wydawano od dłuższego czasu (od r. 1941), natomiast dużo sił zużyto na niepotrzebne, nieistotne poszukiwania i badania w dziedzinie historii literatury. „Przecież nawet w środowisku młodzieży — czytamy w omawianym artykule — było, niestety, dość rozpowszechnione przekonanie, że »spokojniej« i »bezpieczniej« pisać dysertacje naukowe o jakimś trzeciorzędnym poecie XVIII lub XIX wieku niż poruszać »ryzykowny« temat teoretyczny."

Mejłach jest przeświadczony, że wszystkie te błędy i braki radzieckiej nauki o literaturze można będzie przezwyciężyć tylko po głębokim przestudiowaniu i opracowaniu spuścizny Leninowskiej. Tylko na trwałym gruncie nauki marksizmu - leninizmu uda się trafnie rozwiązać takie skomplikowane zagadnienia, jak: specyfika sztuki i literatury, wzajemny stosunek treści i formy, metodologia badań literackich, prawidłowość procesów twórczych, problemy realizmu socjalistycznego, zagadnienia metod artystycznych, kierunków i prądów literackich. Przestudiowanie spuścizny Leninowskiej ułatwi skuteczną walkę z przejawami ideolo-

gii burżuazyjnej w literaturoznawstwie, z reliktami wielkomocarstwowego szowinizmu i lokalnego nacjonalizmu.

Dłużej zatrzymał się Mejłach nad problemem partyjności nauki. Na przykładzie prac Lenina o Lwie Tołstoju — autor artykułu demonstruje, czym w istocie swej jest dla badacza marksistowskiego partyjność nauki o literaturze. Niestety — wywodzi Mejłach — niektórzy badacze nie tak pojmują i wcielają partyjność literaturoznawstwa, gdyż w swoich pracach naginali fakty do z góry upatrzonej, gotowej myśli. W rezultacie — poprzez sztuczną selekcję i układ faktów i zjawisk autorzy takich prac usiłowali za wszelką cenę uzyskać „aktualny" wydźwięk, „naukę zastępowali płytką agitacją".

Często zdarzały się wypadki wulgarno-socjologicznego obniżania wagi twórczości klasycznej i na odwrót — idealizowania pisarzy przeszłości, przypisywania im (np. w wypadku niektórych rewolucyjnych demokratów) cech ludowych i rewolucyjnych. Mejłach wymienia pracę S. Durylina *Pisarze rosyjscy w okresie Wojny Narodowej 1812 roku,* w której do literatów patriotycznych zaliczono znanych w owych czasach monarchistów i reakcjonistów, przytacza próby pasowania Puszkina na ideologa rewolucji chłopskiej itd., itp.

Mejłach stawia badaczom zarzut, że w niektórych wypowiedziach krytyków wypaczano Leninowską zasadę partyjności w literaturze pięknej: „Pod świadomą komunistyczną ideowość pisarza, pod jego swobodne, z wewnętrznego przekonania wypływające pragnienie ofiarowania własnego talentu pisarskiego ludowi — podstawiano przymioty formalne". O scholastycznym pojmowaniu typowości i licznych próbach przezwyciężenia tego błędu * — Mejłach tylko wspomina. Zdaniem Mejłacha — badacze po doktrynersku ujmują Leninowską teorię dwóch kultur a także naukę Lenina o trzech etapach rozwoju ruchu rewolucyjnego w Rosji. Dłuższy wywód Mejłach poświęcił sprawie tradycji literatury radzieckiej, problemowi wzajemnego stosunku i powiązania literatury realizmu socjalistycznego z dziedzictwem klasycznym.

Zdaniem autora omawianego artykułu — do problemu tego wniesiono dużo chaosu. Wychodząc ze słusznych założeń o genezie realizmu socjalistycznego, „krytycy niejednokrotnie przeoczali moment istotny: zaliczenie pisarza do zwolenników realizmu socjalistycznego nie stanowi automatycznie rękojmi wyższego w porównaniu z poprzednią literaturą poziomu artystycznego w odtwarzaniu życia. Realizm socjalistyczny otwiera m o ż l i w o ś c i (podkr. Mejłacha) stworzenia wartości artystycznie wyższych niż w epokach poprzednich, lecz urzeczywistnienie tych możliwości jest procesem złożonym".

Zagadnienie przeanalizowania istoty realizmu socjalistycznego poruszył również na łamach *„Litieraturnej Gaziety"* (z 12.IV.) powieściopisarz J. Łaptiew w *Rozmowie rozpoczętej na Uralu.* Artykuł zawiera pewnego rodzaju sprawozdanie z konferencji pisarzy uralskich, która odbyła się wkrótce po zakończeniu XX Zjazdu (Łaptiew brał w niej udział), a także refleksje natury ogólniejszej.

W sprawie analizy metody realizmu socjalistycznego Łaptiew wypowiada pogląd, że radziecka nauka „wciąż drepcze na tym samym placyku, na którym znajdowała się w okresie I Zjazdu Pisarzy". W szczególności interesuje Łaptiewa sprawa zdefiniowania istoty realizmu socjalistycznego. Jego zdaniem — nie dał jasnego sformułowania promotor tej metody, Gorki, w artykule *O realizmie socjalistycznym* (1933). Łaptiew cytuje wypowiedź Gorkiego z roku 1935: „O realizmie socjalistycznym napisano i wciąż pisze się dużo, ale jednolitego i jasnego poglądu — nie ma".

Sprawa ścisłego określenia metody realizmu socjalistycznego komplikowała się coraz bardziej. Po wielu latach próbę bliższego sformułowania dał Fadiejew. Zdaniem Łaptiewa — bardzo ogólnikową i mętną definicję metody realizmu socjalistycznego opracował W. Jermiłow przed kilku laty. Na przykładzie sprzecznych recenzyj takich utworów, jak: *Za słuszną sprawę* Grossmana, *Ku nowemu brzegowi* Łacisa,

---

* Np. w artykule redakcyjnym czasopisma teoretycznego *„Kommunist"* (nr 18/55) pt. *Przyczynek do problemu typowości w literaturze i sztuce,* w art. W. Szczerbiny *Typowe a indywidualne* (*„Oktiabr"* Nr 2/56), w art. D. Tamarczenko pt. *Cechy indywidualne a typowe,* w art. A. Bażenowej *O typie społecznym i typowej postaci w sztuce* (*„Sowietskaja Kultura"* z 19. IV.).

Światło nad ziemią Babajewskiego — Łaptiew ilustruje skutki rozgardiaszu w teorii literatury. „Najnieprzyjemniejszą rzeczą w tym zamęcie — pisze Łaptiew — jest to, że dosłownie w oczach czytelnika jedni i ci sami krytycy, zależnie od koniunktury — najpierw wychwalali, potem ganili, później znowu chwalili ten sam utwór — wciąż niby z tych samych pozycyj realizmu socjalistycznego."

Autor omawianego artykułu wyraża przekonanie, że XX Zjazd dokona przełomu również i w literaturze. Mówiąc o celności ostrej krytyki literatury i sztuki na XX Zjeździe Łaptiew wysuwa tezę, że nienadążanie literatury za szybko płynącym życiem wywołane jest tylko obluźnieniem więzi pisarzy z rzeczywistością czy też pewną ich biernością twórczą. Jego zdaniem — takim autorom, jak Babajewski lub Gorbatow, nie można zarzucić braku znajomości opisywanego środowiska (a więc jego trudności, braków). Niemniej jednak zarówno trylogia kubańska Babajewskiego, jak i film *Donieccy górnicy* (autorzy scenariusza — Gorbatow i reż. Łukow) — są utworami lukrowanymi, bezkonfliktowymi. Łaptiew jest przeświadczony, że i bezkonfliktowość, i blisko z nią spowinowacone lakiernictwo — „to tylko literacka odmiana tego, niestety, dotychczas nie do końca u nas wykorzenionego zjawiska społecznego, jakim jest mydlenie oczu".

Jeszcze jeden głos w prasowej dyskusji literackiej po XX Zjeździe, jeden z pierwszych: artykuł badaczki literatur obcych, T. Motylowej pt. *Należy studiować doświadczenia przyjaciół* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 1.III.). Za dobry znak zbliżających się przemian Motylowa uważa to, że — o ile do niedawna krytycy radzieccy dość nieśmiało mówili o metodach twórczych postępowej literatury obcej, o poszukiwaniach i odkryciach twórczych, o rodzimych tradycjach i nowatorstwie pisarzy obcych, o sekretach ich artyzmu itd. — ostatnio wzrosło zainteresowanie również i tymi problemami.

Wychodząc z założenia, opartego na tezach uchwał XX Zjazdu — że dążenia i walkę ludów o lepszą przyszłość cechują w każdym kraju swoiste i niepowtarzalne właściwości narodowe, że zatem w każdym kraju literatura postępowa rozwija się i posuwa własnymi, odrębnymi, samodzielnymi drogami — Motylowa dochodzi do takiego wniosku: „W twórczości zbliżonych do nas ideowo pisarzy zagranicznych, podobnie zresztą jak i w utworach literatów radzieckich, znajdujemy wiele takich elementów, które wprawiają w zakłopotanie dogmatyków i obalają ich zbyt prostolinijne pojmowanie realizmu socjalistycznego, ba! realizmu w ogóle".

Motylowa zilustrowała to na przykładzie metod twórczych i stylów — Nerudy, Eluarda czy Laxnessa. Owocem tej różnorodności metod i stylów jest tak różnobarwny obraz międzynarodowej literatury postępowej, wyrosłej z pnia demokratycznych tradycji własnych kultur narodowych i klasycznej literatury światowej, obraz literatury ulegającej jednocześnie i wpływom tradycji zachodniej literatury XX wieku, i głębokiemu oddziaływaniu literatury radzieckiej, która również czerpie ożywcze soki z klasycznej i współczesnej twórczości mistrzów postępowej literatury świata.

Motylowa przypomina myśl, zawartą w liście powitalnym KC KPZR do uczestników II Zjazdu Pisarzy w grudniu 1954 r.: „W walce o wysoki artyzm nasi literaci mogą i powinni w jeszcze silniejszym stopniu korzystać z cennych doświadczeń zagranicznych przyjaciół". Rozwijając tę myśl Motylowa wymienia wielu wybitnych twórców zagranicznych, których doświadczenia mogą i powinny oddziaływać ożywczo na twórczość pisarzy radzieckich: np. w dziedzinie poezji — Hikmet i Becher, w dramaturgii — Kruczkowski, Kuo Możo i Brecht, w prozie — Fučik, Pujmanova, Seghers, Bredel, Lindsay, Aragon i in.

W imię ożywczego współzawodnictwa twórczego między narodami Motylowa zachęca pisarzy i krytyków do uprawiania rozległych studiów porównawczych nad twórczością pisarzy zagranicznych, do analizowania ich osiągnięć i potknięć twórczych, do rozszerzenia horyzontów teoretycznych.

Pojęcia literatury postępowej krajów kapitalistycznych Motylowa nie zasklepia w kręgu pisarzy, bliskich pod względem ideowym i twórczym. W utworach takich pisarzy, jak: Caldwell, Hemingway, Mauriac, Remarque znajdujemy wiele gorzkiej i surowej prawdy o świecie burżuazyjnym, prawdy — jak pisze Motylowa — „osiąganej róż-

norodnymi, niekiedy bardzo subtelnymi i doskonałymi środkami artystycznymi. Działalność twórcza tych wybitnych mistrzów prozy — konkluduje autorka artykułu — abstrahując od naszego krytycznego do niej stosunku, zasługuje na jak najbardziej uważne i wnikliwe studiowanie".

Motylowa jest zdania, że nie może to być sprawą tylko wąskiego stosunkowo kręgu badaczy literatur obcych i dlatego zachęca wszystkich pisarzy do rozszerzenia zasięgu zainteresowań, do głębszego studiowania literatur obcych, co — jej zdaniem — przyniesie pożytek także przy omawianiu spraw twórczości radzieckiej — w dyskusjach literackich.

Józef Spinc

„ŚMIERĆ W RZYMIE" WOLFGANGA KOEPPENA

Powoli rozwiewa się mgła, przesłaniająca nam współczesne literatury zachodnio-europejskie. Rozwiewa się jednak nierównomiernie. Wyspy brytyjskie są jeszcze zupełnie niewidoczne, a co gorsza nie słychać, by wybierał się tam któryś z naszych wędrownych literatów. Francją za to niektórzy zdążyli już się znudzić. Do Niemiec zachodnich podróżowano wprawdzie i mieliśmy możność czytać ciekawe wrażenia stamtąd — ale o literaturze na zachód od Łaby wiadomo dotychczas bardzo niewiele. *08/15* H. H. Kirsta to bodaj jedyna powieść zachodnio-niemiecka, o której u nas wspominano parokrotnie.

Tymczasem, jak można wnioskować z dorywczych informacji, literatura Republiki Związkowej, a przynajmniej jej „lewe skrzydło", zasługuje na uwagę i tłumaczenia. Przypadkowo trafiła do moich rąk arcyciekawa powieść głośnego już pisarza, Wolfganga Koeppena, *Der Tod in Rom* *, o której chcę przekazać garść wiadomości.

Koeppen wydał już przedtem dwie powieści: *Tauben im Gras (Gołębie w trawie)* oraz *Das Treibhaus (Cieplarnia)*. O pierwszej nic nie wiem, o drugiej mówił dr Hermann Buddensieg z Heidelbergu, wielki miłośnik Mickiewicza, że to zjadliwa satyra na rząd boński i że wywołała kolosalne wzburzenie. O zainteresowaniu wzbudzonym przez *Cieplarnię* świadczą zresztą głosy, przytoczone na obwolucie *Śmierci w Rzymie*. Kirst: „bezprzykładna erupcja literacka". *„Neue Literarische Welt"*: „publiczność będzie krzyczeć: ukrzyżować go". *„Telegraph"*: „Nieprzyjemna, ale w najwyższym stopniu godna uwagi książka. *„Bücherei und Bildung"*: „Pierwszy znak życia kształtującej się niemieckiej świadomości demokratycznej." Itd. itd.

Śmierć w Rzymie nie zawodzi nadziei, obudzonych lekturą obwoluty. Akcja powieści toczy się w najbliższej współczesności, w czasie trwania „wietnamskiej" konferencji genewskiej — kończy się nazajutrz po jej zamknięciu.

Bohaterowie książki to garstka Niemców, z rozmaitych powodów przebywających właśnie w Rzymie. Samo zestawienie osób jest dość fascynujące. Nadburmistrz jakiegoś dużego miasta, Friedrich Wilhelm Pfaffrath, który w czasach hitlerowskich zajmował analogiczne stanowisko i dzielnie współpracował z reżimem. Teraz czeka na lepsze czasy, mające nadejść wraz z przyznaniem Niemcom suwerenności i powstaniem armii. Z zainteresowaniem zwiedza pola bitew z ostatniej wojny. Syn, Dietrich, przywiązany mocno do wielkich tradycji żołnierskich, ale przede wszystkim myślący o własnej karierze. Drugi syn, Siegfried, młody kompozytor dwunastotonalny, który od czasu pobytu w obozie jenieckim w Anglii zerwał z rodziną. On jest głównym bohaterem książki. W Rzymie bawi jako uczestnik wielkiego festiwalu muzyki współczesnej. Szwagier Pfaffratha, generał SS, Gottlieb Judejahn, od początku działalności Hitlera członek partii i wykonawca wyroków, podczas wojny dowódca frontu włoskiego,

* Stuttgart 1954. Scherz und Goverts Verlag.

obecnie w służbie arabskiej. Przyjechał do Rzymu zakupić broń. Żona, Ewa, zaciekła zwolenniczka Hitlera, dotąd szalejąca z rozpaczy po „zdradzonym" Führerze i zniszczonym przez spisek międzynarodowej plutokracji żydowskiej Grossdeutschland. Przybyła do Włoch, by zobaczyć się z mężem. Syn Judejahnów, Adolf, wychowanek ekskluzywnej szkoły dla dzieci dostojników faszystowskich, obecnie katolicki kleryk. Rodzice uważają go za zdrajcę. Gustav Kürenberg, światowej sławy dyrygent, emigrant z r. 1933. Jego żona Ilse, Żydówka — ojca jej zgładzono przy cichym współudziale burmistrza Pfaffratha.

Poza grupą Niemców jedna tylko postać odgrywa rolę wydatniejszą — kasjerka barowa, Laura, która wprawdzie nie umie liczyć, ale olśniewa urodą i czarownym uśmiechem.

Formą narracji zbliża się Koeppen do Joyce'a. Większa część tekstu — to długie monologi wewnętrzne, podawane z reguły (z wyjątkiem większości monologów Siegfrieda, który przemawia w pierwszej osobie) w mowie pozornie zależnej. Monologi to wiążą się ze sobą kunsztownie (np. na zasadzie kolejnego podejmowania tego samego motywu lub kontynuacji urwanego w połowie zdania przez inną osobę), to znów zamykają w odrębne całości. Splecione są ściśle z informacjami o akcji, dialogami, refleksjami autora. Ogólnie scharakteryzować by można tę prozę jako wielki monolog wewnętrzny, rozbity na głosy. Dodać trzeba, że jasność i zrozumiałość jest zawsze zachowana, pewne wahania w rozumieniu książki pojawić się mogą dopiero na płaszczyźnie ustalania znaczeń poszczególnych, wyraźnie symbolicznych wydarzeń. Bo książka Koeppena przesiąknięta jest symbolizmem, specyficznym symbolizmem w typie Tomasza Manna, polegającym na łączeniu naturalistycznej niemal relacji z ukrytym znaczeniem filozoficznym, nie naruszającym zwykłego „porządku zjawisk". Autor wyzyskuje przy tym obficie teorie Freuda. Sam tytuł książki odsyła do słynnej noweli Manna *Śmierć w Wenecji* (1912), operującej symboliką erotyczną.

Akcja powieści jest bardzo uboga, posuwa się w drobnych skrętach, małych zawęźleniach, ogranicza się prawie wyłącznie do spotkań (przeważnie przypadkowych) poszczególnych bohaterów. Zetknięcia są jednak tak dramatyczne, że zastępują z powodzeniem najżywszy rozwój wypadków. Wielopiętrowość treści, splatanie się motywów i znaczeń pochłania całkowicie uwagę.

W rozmowach i rozmyślaniach zarysowują się sylwetki psychiczne i ideowe postaci. Ujawnia się nienawiść autora do faszyzmu, zacięte dążenie do demaskowania jego pozostałości, do wykrywania w podświadomości bohaterów ciemnych śladów niezupełnie jeszcze minionej i ciągle grożącej powrotem epoki.

Sens życia Ewy i Gottlieba Judejahnów — to kult Führera i Rzeszy. Nawet ich małżeństwo było formą tego kultu. Toteż i oni, i burmistrz Pfaffrath ciągle marzą o nowej wojnie, która przyniesie odwet i przywróci Niemcom potęgę. „Czy wierzysz w wojnę? — spytał Pfaffrath Judejahna. I Judejahn powiedział, że zawsze wierzy w wojnę, w cóż innego należy wierzyć?" Na szczęście Niemcy są na dobrej drodze do zemsty i może już niedługo Judejahn będzie mógł porzucić semickie koszary na pustyni i znów wydawać rozkazy Aryjczykom.

Cały rozwój duchowy Adolfa Judejahna skupia się w przeżyciu kilkudziesięciu godzin. Kiedy w r. 1945 bombardowanie zmusiło chłopca do opuszczenia pociągu, którym ewakuowano jego szkołę, napotkał inny pociąg — z więźniami obozu koncentracyjnego. Przeraził się i uciekł. W lesie „napadł" go upiór — Żyd rówieśnik, nieprawdopodobnie wychudzony i osłabły, zażądał jedzenia. Adolf oddał mu swoją żywność i kurtkę. Następnego dnia, przypadkowo trafiwszy do kościoła, pod wpływem usłyszanego kazania postanowił zostać księdzem. Siegfried Pfaffrath myśli o nim: wolnym byłeś tylko jedną noc, nie mogłeś znieść wolności, wyobraziłeś sobie, że cię Bóg powołał.

Siegfried nie wierzy w możliwość chrześcijańskiego odnowienia Niemiec, które chce realizować Adolf. „Dwa tysiące lat chrześcijańskiego oświecenia i na końcu żyje Judejahn!" Nie wierzy w nic, jak powiada. „W cóż mam wierzyć? W siebie? Byłoby zapewne rozsądnie wierzyć w siebie, ale nie mo-

gę tego zrobić, nawet kiedy próbuję wiele razy, wstydzę się później, a przecież musi się wierzyć w siebie bez tego, by trzeba się wstydzić.“ Zwątpiały i krytyczny, męczy się dwuznacznością dobra, nie wierzy w odrodzenie demokracji w Niemczech, w sens życia ludzkiego, we własną sztukę. „Mozart był kamerdynerem Jaśnie Oświeconych — czyim ja jestem?“ Jego muzyka mówi o grozie i śmierci — ale rozumieją ją tylko znawcy i smakosze. Siegfried marzy o kraju łagodnej demokracji, dręczy go niemożność zrozumienia robotników i komunistów włoskich, połączona z przeświadczeniem, że do nich należy przyszłość.

Głęboki uraz z czasów koszmaru przejawia się u Siegfrieda nie tylko w skrajnym sceptycyzmie, jest symbolicznie ukazany poprzez motywy seksualne. Młody kompozytor jest pederastą — ale jakże odmiennym od Gustava von Aschenbacha, bohatera *Śmierci w Wenecji.* Dla Aschenbacha piękny Tadzio był ucieleśnieniem marzeń o pięknie i bujności życia, Siegfried skłania się do kontaktów z pokiereszowanymi łobuzami, jego sny o wielkiej sztuce pomieszane są ze wspomnieniami z wojska.

Powieść kończy się śmiercią Judejahna w ataku apopleksji — tuż przed zgonem generał „wypełnia rozkaz Führera“, oszalały strzela przez okno hotelu do Ilse Kürenberg. Śmierć Judejahna, uosobienia militarnej grozy faszyzmu, zbiega się — nieprzypadkowo z pewnością — z zakończeniem konferencji w Genewie. „Moja mała komunistka w czerwonym szaliku kroczy dumnie przez Rzym“ — myśli Siegfried o znajomej sprzedawczyni kwiatów.

Więc nie krytyczne zwątpienie młodego kompozytora jest finalnym tonem książki, której streścić nie podobna, tak nabita jest problemami. Koszmar faszyzmu, choć ciągle niebezpieczny, oddala się jednak. Ostatnie zdanie *Śmierci w Rzymie* brzmi: „Gazety doniosły jeszcze wieczorem o śmierci Judejahna. Dzięki towarzyszącym okolicznościom stała się ona sensacją światową, nie wstrząsnęła jednak nikim.“ Warto je porównać z zakończeniem *Śmierci w Wenecji,* mówiącym o „świecie wstrząśniętym i pełnym uszanowania“ na wieść o śmierci von Aschenbacha. To, co ginie w powieści Koeppena — w której motyw śmierci wybija się stale ponad inne — to nie są wartości godne szacunku i żalu.

O „robocie literackiej“ *Śmierci w Rzymie* można powiedzieć tylko: jest świetna, miejscami olśniewająca. Autor jest najwyższej klasy wirtuozem języka. Może nawet robota ta jest zbyt świetna wobec nikłych propozycji intelektualnych książki? To rzecz do dyskusji. Sądzę jednak, że bezspornie należy powieść Koeppena przełożyć. Warto też chyba zainteresować się ową *Cieplarnią.*

Zdzisław Najder

NIEWINNOŚĆ POLITYCZNA

Wśród pochlebnych opinii, jakimi krytyka powitała *Spokojnego Amerykanina* Grahama Greena, nie brakło głosów, że jest to jedna z najlepszych książek, jakie napisał, a na pewno najlepsza z tych, jakie ukazały się na rynku księgarskim w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Sukces finansowy był niemniejszy od literackiego. Książka ma już trzy nakłady i według słów swego wydawcy, Heinemanna, „idzie“ jak żadna dotąd książka tego autora.

Po dość długiej przerwie (ostatnia powieść w 1951 r.) — nie jest to już Green z ciemnego, obsesyjnego nurtu katolickiej problematyki. Inna jest tonacja, tematyka, a nawet sama technika pisarska. Inne jest sedno sprawy. U nas powiedziałoby się, że pisarz się upolitycznił, naszą pasją jest bowiem rozszyfrowywanie historii. Książka może jednak zaspokoić każdy rodzaj czytelnika. Zarówno amatora literatury sensacyjnej, jak miłośnika powieści psychologicznej.

Spokojny Amerykanin to opowieść o

wojnie, miłości i polityce, splecionych w awanturniczą, trzymającą w napięciu intrygę. Miejsce — Indochiny, czas — okres poprzedzający upadek Dien Bien Phu. W 1954 Graham Green przebywał jako korespondent *„Observera“* w Saigonie i wiele fragmentów jego ówczesnych korespondencji odnajdujemy na kartkach powieści. A więc świetny opis nocy spędzonej na jednej z wysuniętych placówek, migawki potyczek i nalotów, sylwetki francuskich oficerów i dziennikarzy zagranicznych, scenki z nocnego życia Saigonu. To są realia najbardziej autentyczne, chwytane na żywo. Rozgrywa się ostatni akt zmagań między siłami Vietminu a francuskimi wojskami ekspedycyjnymi, między ideą komunizmu a przestarzałymi metodami kolonialnymi. Uwaga Greena skupia się na neutralnych kibicach tych rozgrywek. Interesuje go zagadnienie amerykańskiej „niewinności“, przeciwstawione europejskiemu doświadczeniu.

Wielki racjonalista angielski, Bertrand Russel, napisał kiedyś esej pt. *Szkody wyrządzane przez dobrych ludzi.* Green pokazuje szkody wyrządzone przez „spokojnego Amerykanina“. W beznamiętnym toku opowiadania wyłania się oskarżenie niewinności, za którą kryje się prymitywizm duchowy i ślepota polityczna.

W czasie pobytu w Indochinach Green zapisuje w swoim dzienniku: „Czy istnieje tutaj jakieś rozwiązanie, które mógłby ofiarować Zachód? Dzisiejszego wieczoru bar rozbrzmiewał niewinnymi głosami Amerykanów i to budziło moje najgorsze obawy...“ Ta krótka notatka to jakby zalążek pomysłu powieści.

Stosunek Zachodu do państw kolonialnych wymaga nowej formuły politycznej. Stany Zjednoczone usiłują znaleźć bazę dla „trzeciej siły“ między zbankrutowanym francuskim kolonializmem a zwycięskim komunizmem. Dążenia te uosabia w powieści Alden Pyle, który oficjalnie pracuje w komitecie ekonomicznej pomocy Ameryki dla Wietnamu, w rzeczywistości zaś ma do spełnienia zadania bardziej konfidencjonalnej natury. Jest to sympatyczny, dobroduszny młodzieniec z szacownej mieszczańskiej rodziny, niezbyt lotny, ale szlachetny i odważny. Człowiek, który robi swoją robotę w dobrej wierze.

Przeciwieństwem jego jest „przeżyty i cyniczny“ dziennikarz angielski, Tomasz Fowler, który po rozczarowaniach życia osobistego przyjął postawę biernego obserwatora. Jedyna ucieczka od samotności to dziewczyna annamicka, Phuong, zwinięta na jego łóżku jak „pies na grobie krzyżowca“, i codzienna porcja fajek opium, które łagodzą ból życia. „Ponieważ dola człowiecza jest taka, jaka jest, ponieważ ludzie walczą ze sobą i zabijają się, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.“ — „To nie jest moja wojna“ — powtarza. Fowler wie, że dochodzenie prawdy na Wschodzie nie prowadzi do niczego, jest ono po prostu „orientalną namiętnością, jak namiętność do alkoholu“.

Pierwszą refleksją Fowlera po poznaniu Pyle'a jest: „wygląda bardziej niż kiedykolwiek nie na miejscu — powinien był zostać w domu.“ Niewinność młodego Amerykanina drażni go i rozbraja. „Pyle jest tak wyraźnie dobrym człowiekiem“. Nawet kiedy poznaje Phuong i staje się jego rywalem, zachowaniu jego czy lojalności nie można nic zarzucić. Dziennikarz nie jest człowiekiem wolnym, on zaś może zapewnić młodej dziewczynie przyszłość. „Niekiedy chciałbym, aby przynajmniej pewne pańskie pobudki były złe; miałby pan może trochę więcej zrozumienia dla istot ludzkich“ — mówi do niego Fowler.

Jeśli idzie o politykę Pyle nabił sobie głowę teorią amerykańskiego filozofa, teorią ocalenia Azji przed komunizmem przez stworzenie trzeciej siły, reprezentowanej przez narodową demokrację. Fowler ostrzega Pyle'a przed stosowaniem tej uproszczonej tezy w zawiłej rzeczywistości indochińskiej. Pyle jest przekonany, że znalazł wymarzonego przywódcę narodowej demokracji nawet wtedy, gdy okazuje się, że Thé organizuje bezsensowne, terrorystyczne zamachy, których ofiarą padają niewinni mieszkańcy Saigonu.

Historię opowiada Fowler w luźnych, retrospektywnych nawrotach. Początek powieści zaczyna się (Green z dużym powodzeniem wprowadza miejscami technikę powieści kryminalnej) w momencie, gdy policja informuje Fowlera, że Pyle został zamordowany. Historia, która odkręca się niejako wstecz, ma przynieść wyjaśnienie tej zagadki. Niemal przy końcu czytelnik dowiaduje się, że tym, który trzyma wszystkie

nici w swym ręku, jest sam narrator. On jest właściwym mordercą. W jaki sposób dochodzi do tego? Na początku stosunek tych dwu ludzi, Fowlera i Pyle'a, ma wszelkie cechy przyjaźni. Pyle ratuje Fowlerowi życie w jednej z wycieczek na wysuniętą wysepkę *„présence française"*. Widocznym powodem kontrowersji staje się rywalizacja o Phuong, nieprzeniknione, moralnie indyferentne zwierzątko o mentalności ukształtowanej przez filmy i magazyny ilustrowane. Phuong stanowi ostatnią szansę szczęścia starzejącego się Fowlera, przystań w pustce. Kiedy Phuong odchodzi do Pyle'a, który proponuje jej małżeństwo, Fowler przeżywa udręki zazdrości. Tymczasem Thé rozpoczyna terrorystyczne demonstracje. W śródmieściu wybuchają bomby, raniąc i zabijając przechodniów. Fowler, nieczuły na wszelkie ideologiczne deklamacje, doznaje wstrząsu na widok matki zasłaniającej kapeluszem szczątki dziecka. Fowler obserwuje wrażenie, jakie to robi na Pyle'u. „Był blady i przegrany, niemal bliski omdlenia. I pomyślałem — Co to jest dobro? On zawsze będzie niewinny, nie można ganić niewinnych, oni są zawsze nieskazitelni. Jedyne, co można zrobić, to trzymać ich pod kontrolą lub wyeliminować. Niewinność jest to rodzaj obłąkania."

Ale chwila słabości Pyle'a szybko mija. Nie, generał Thé nie zrobiłby tej masakry bez potrzeby. Ktoś wprowadził go w błąd, zapewne komuniści...

Taki bowiem typ jak Pyle jest szczelnie chroniony przez swoje dobre intencje, naiwność i ignorancję. Fowler dochodzi do przekonania, że ten rodzaj głupoty wyrządza w rezultacie więcej zła aniżeli najbardziej „zaangażowana" akcja, bo zła najbardziej absurdalnego, *gratis*.

Decyduje się na wyjście ze swego *splendid isolation* i ułatwia organizacji Vietminu sprzątnięcie Pyle'a. Vigot, szef policji, psycholog i znawca Pascala, podejrzewa, że Fowler ma jakiś udział w śmierci Pyle'a. Daremnie stara się jednak znaleźć jakąś szczelinę w jego zeznaniach. „Chciałbym, Vigot, aby mi pan powiedział, dlaczego sądzi pan, że jestem zamieszany w morderstwo Pyle'a. Czy chodzi o motywy? To, że chciałem odzyskać Phuong? Czy też sądzi pan, że był to rewanż za to, że mi ją zabrał?

— Nie, taki głupi nie jestem. Nie zachowuje się książki wroga na pamiątkę. Oto ona, na pańskiej półce. *Rola Zachodu*. Kto to jest ten York Harding?

— To jest człowiek, którego pan szuka, Vigot. To on zabił Pyle'a — na dłuższą metę.

— Nie rozumiem.

— To jest wyższy gatunek dziennikarza — oni nazywają ich dyplomatycznymi korespondentami. Opanowuje go jakaś idea i wtedy zaczyna zmieniać sytuację tak, aby pasowała do idei. Pyle przybył z głową nabitą ideą Yorka Hardinga. Harding zatrzymał się raz tutaj, po drodze z Bangkoku do Tokio. Pyle popełnił ten błąd, że zapragnął wcielić jego ideę w życie. Harding pisał o trzeciej sile, Pyle ją stworzył — obskurnego, małego łotrzyka z dwoma tysiącami ludzi i parą oswojonych tygrysów..."

Fowler zbudował sobie niewzruszone alibi. Jednocześnie jednak odbywa się w nim jakby sąd nad sobą samym, nigdy nie rozstrzygający się u Greena dialog dwu przeciwnych racji. Oderwany od swojego moralnego uzasadnienia, fakt zabicia Pyle'a jest malutkim epizodem nie mogącym zaważyć na losach toczących się spraw, praktycznie bez znaczenia. Takich standartowych typów, jak Pyle, produkuje Ameryka miliony. Dla Fowlera natomiast śmierć Pyle'a rozwiązuje wszelkie osobiste problemy. Phuong wraca do niego, żona niespodziewanie przysyła zgodę na rozwód, jednym słowem sytuacja osobista zmienia się całkowicie na plus. A jednak pozostaje jakiś cierń. „Od kiedy umarł, wszystkie moje sprawy ułożyły się dobrze, a jednak tak bardzo chciałbym, aby był ktoś, komu mógłbym powiedzieć, że żałuję."

Fowler zdaje sobie sprawę z tego, że wydanie rywala w ręce jego wrogów, nawet moralnie usprawiedliwione — nie jest czynem *fair*. Człowiek Greena nie jest nigdy wolny od klimatu winy i rozdarcia. Źródłem tego wewnętrznego niepokoju jest niemożność znalezienia nieomylnego kryterium czynów. Ten niepokój to cecha, a równocześnie i cena starej kultury.

Między europejskim poglądem na świat a etyką, obyczajami i filozofią amerykańską rozciąga się przepaść. Pyle pokazany jest jako pozytywny, spokojny Amerykanin, który z dwu-

wiekowej tradycji swej klasy przyswoił sobie kilka schematów myślowych. Uzbrojony w nie wypełnia swoją misję w całkowitym spokoju sumienia. Na jego przykładzie Green pokazuje, w jaki sposób cywilizacja amerykańska epoki atomowej wymija dziesiątki groźnych dla niej pytajników moralnych, społecznych i politycznych.

Akcenty niechęci, wynikające z różnicy kultur, rozrzucone są w książce dość gęsto. Np. kiedy jest mowa o Grangerze, korespondencie amerykańskim: „Przypominał emblematyczną statuę tego wszystkiego, czego nienawidziłem w Ameryce, tak pozbawiony smaku, jak Statua Wolności, i tak samo nic nie znaczący." „W okresie, kiedy dręczy go zazdrość o Phuong, stan niechęci przybiera formę obsesji." „Zacząłem — niemal nieświadomie — bezcześcić wszystko, co amerykańskie. Moje rozmowy były pełne ubóstwa amerykańskiej literatury, skandali amerykańskiej polityki, bestialstwa amerykańskich dzieci. Tak, jakby zabierał ją ode mnie naród, a nie człowiek. Cokolwiek Ameryka zrobiła, nie było słuszne. Zanudzałem wszystkich na temat Ameryki, nawet moich francuskich przyjaciół, którzy na ogół skłonni byli dzielić ze mną moje antypatie. Zachowywałem się tak, jakbym został zdradzony, nie można być jednak zdradzonym przez wroga."

Nic dziwnego, że Amerykanie uczuli się z lekka dotknięci i rewanżując się pozwolili sobie na kilka złośliwostek, które miały jakoby tłumaczyć antyamerykanizm Greena. Przypomniano wypadek odmówienia Greenowi wizy wjazdowej do Stanów Zjednoczonych na mocy prawa MacCarrana, ponieważ kiedyś, przez jakiś czas, należał do partii komunistycznej. Przy okazji wypomniano mu inne jego „wywrotowe" poczynania w okresie studenckim. Wyciągnięto nawet historię jakiegoś procesu z Shirley Temple, który zmusił go do zapłacenia wysokiego odszkodowania i wywołał prawdopodobnie pierwszy uraz na punkcie Ameryki.

Jeżeli wielu Amerykanów widziało w Pyle'u karykaturę amerykańskiej niewinności, to w osobie samego Fowlera zostaje skompromitowane również i doświadczenie europejskie. Obydwie te postawy polityczne są całkowicie bezużyteczne. Ludzki problem, to cena, jaką trzeba płacić zarówno za polityczną ignorancję jak i polityczne zaangażowanie. Mówiąc o niewinności *Spokojny Amerykanin* porusza jeden z najważniejszych problemów naszej epoki.

ab

ANGLOSASI NA ANTYPODACH

Stare, banalne prawdy to mają do siebie, że życie wciąż je potwierdza. Do takich oklepanych pewników należy ścisła zależność zjawisk z dziedziny kultury od procesów gospodarczych i politycznych. Jeśli o tym wspominam, odgrzewając utarty komunał, to tylko dlatego, że pragnę zwrócić uwagę na fakt, u nas na ogół niezbyt dostrzegany, znamiennych przeobrażeń anglosaskiej literatury (szeroko pojętej).

Jeszcze w okresie międzywojennym twórczość literacką całego bodaj brytyjskiego imperium ze znaczną dozą słuszności można było określać jako „dominialną", czyli podporządkowaną bodźcom płynącym z metropolii. Nie można temu się dziwić, jeśli zważymy, że w owym czasie nawet literatura Stanów Zjednoczonych rozwijała się w ciągłym związku z tradycjami angielskimi. A rynek amerykański był tak dalece chłonny i czuły na każdą nowość idącą z Anglii, że niemal regułą stała się jednoczesność wydań w Londynie i Nowym Jorku.

Dominia — do których potocznie zalicza się Kanadę z Nową Funlandią, Australię, Nową Zelandię i Afrykę Południową — stanowiły właściwie jeszcze

do niedawna jakieś dalekie i bardzo prowincjonalne, bardzo parafiańskie przybudówki macierzystych wysp. Coś jakby rzucone za oceany skrawki (ogromne co prawda) słonecznego Devonu czy mglistego Cheshire. Odrębność wynikała jedynie ze specyfiki klimatycznej i krajobrazowej; pod względem kulturowym tworzyła regionalizm, zamknięty w sobie, prymitywny i staroświecki. Literatura niewielką w nim znajdowała pożywkę, żyła z egzotyki obliczonej na wielkie czytelnicze potęgi w Anglii i Stanach. Wydawcy miejscowi nie mogli konkurować z miażdżącą przewagą Londynu, pisarze, rażeni blaskiem wielkich metropolitalnych gwiazd, tracili wszelką zdolność samodzielnego widzenia. Wynaturzona w ten sposób twórczość była wątła i nie wybijała się ponad miałką szarzyznę przeciętności. Rzecz ciekawa — choć ryzykowne byłyby wszelkie uogólnienia — z licznej plejady piór dominialnych sławę rzeczywiście światową zdobyły sobie, jak dotąd, dwa pióra kobiece: wielki naprawdę talent — Nowozelandka Katarzyna Mansfield i kanadyjska bliźniaczka Margaret Mitchell, autorka głośnego *roman-fleuve,* Mazo de la Roche.

Wybuch II wojny światowej stał się punktem zwrotnym i z dnia na dzień wywołał całkowity przewrót. Wszelki import z Anglii, także więc import książek i innych „narzędzi kultury", ustał całkowicie, a trwało to z górą lat pięć. Przez ten czas w dominiach powstał lub rozrósł się wielki przemysł, a odśrodkowe tendencje uruchomiły szereg procesów do dziś niezakończonych. Owych tendencji nie zneutralizowały jednocześnie przebiegające spotkania dominiów ze światem. Przeciwnie — obydwa zjawiska wzajemnie się wsparły, akcentując i przyśpieszając kształtowanie się własnej indywidualności narodów brytyjskiej wspólnoty. A podobne przemiany stały się udziałem literatur tych krajów.

Trudno było i dawniej, nie podobna zaś teraz — podciągać wszystkich dominiów pod jeden strychulec, mimo że pod pewnymi względami wykazują tożsamość rozwojowego tętna. Dla ilustracji więc dzisiejszego literackiego oblicza przyjrzyjmy się jednemu tylko z obszarów. Może najbardziej odpowiednim przykładem będą antypody: wymieniane zazwyczaj, choć nie całkiem słusznie, jednym tchem — Australia i Nowa Zelandia. Impet rozwojowy najsilniej zarysował się ostatnio w literaturze tych właśnie dwóch dominiów, choć są one najmłodsze. Najmłodsze zresztą nie tyle w sensie dominialnego statutu, co społecznego wieku.

Nie będziemy przytaczać faktów znanych chociażby z geografii. Przypomnijmy jedynie, że pierwsze osiedle białych, późniejszy port Sydney, powstało w Australii dopiero w r. 1788, kiedy przybyła tam z wysp brytyjskich pierwsza partia zesłańców, licząca, wraz z dozorcami, koło tysiąca ludzi. Taki był początek, a owa genealogia przyczyniała się niewątpliwie, na równi z oceaniczną przestrzenią, do tym większego odosobnienia i zamknięcia w sobie *Terrae Australis Incognitae.* Osadnictwo w Nowej Zelandii nie miało charakteru kolonii karnych. Za to rozpoczęło się jeszcze później: dopiero w pierwszej ćwierci XIX wieku.

■

Druga wojna światowa bezpośrednio wprawdzie Australii nie dosięgła, lecz wspomniane już fakty wtargnęły głęboko w tamtejszą rzeczywistość. Bardzo realna groźba inwazji japońskiej uświadomiła Australijczykom łączność ich losów z losami reszty świata, wyrwała ich z izolacji, w jakiej drzemali przez blisko dwa stulecia. Spora część młodzieży poszła do wojska, brała udział w kampanii afrykańskiej i włoskiej, w bitwie o Anglię. Poznała wtedy Europę, krajobraz i kulturę krajów drugiej półkuli, dla młodzieży tej egzotycznych w stopniu jeszcze wyższym niż dla nas sama Australia.

Przedtem zaś młode pokolenie — a z nim razem i młode pokolenie pisarzy — przerzucane po różnych obozach ćwiczebnych i punktach obrony przekonało się, jak mało zna kraj ojczysty, którego miało bronić. Postanowiło go poznać. Jednocześnie z tym pobyt w obozach i garnizonach wzmógł bardzo czytelnictwo, co stało się trwałą zdobyczą.

A tuż po wojnie przyszedł radykalny zwrot w dotychczasowej polityce populacyjnej. Do tego czasu Australia zamykała się szczelnie przed napływem

„obcych", robiąc wyjątek jedynie dla Brytyjczyków. Teraz imigranci zaczęli przybywać w tempie 125 tysięcy na rok, co przy ludności całego kontynentu, wynoszącej ogółem niewiele ponad 7 milionów, stanowiło bardzo poważny odsetek. Z konieczności musiały więc nastąpić dalsze i nowe, a wielkiej wagi przeobrażenia — demograficzne, socjalne i obyczajowe. Po niemal zupełnym wytępieniu „aborygenów" — pierwotnych mieszkańców kontynentu — wyłoniła się kwestia stosunku do „kolorowych" imigrantów z Azji. I chociaż nie nabrała takiej ostrości jak w Południowo-Afrykańskiej Unii, chociaż w Australii nie doszło ani do segregacji, ani do rasistowskich ustaw, jednakże niebezpieczeństwo miejscowej odmiany faszyzmu było w pewnej chwili poważne i istotne. Na jego likwidację wywarło doniosły wpływ szerokie otwarcie bram imigracji. Oczywiście, nie był to akt humanizmu czy liberalizmu. Podyktowała go ostra gospodarcza konieczność: brak rąk roboczych, niezbędnych dla rozszerzenia upraw i hodowli, a także brak rąk w przemyśle. Wszystkie te zdarzenia odbiły się na biegu polityki i znalazły wyraz w literackich nurtach.

Na takim ogólnym tle zarysował się wyraźny a pomyślny rozwój australijskiej literatury. Istniała ona i wcześniej, ale w szerokiej skali reprezentowało ją kilka zaledwie nazwisk, mało na ogół znanych poza własną ojczyzną. Do najwybitniejszych należeli zwłaszcza poeci: Chris Brennan i Bernard O'Dowd. Ale ich twórczość, mimo niewątpliwych walorów, ulegała zbyt silnie wpływom symbolistów angielskich, aby mogła się w niej zamanifestować indywidualność własna i koloryt ojczysty. Tylko z kart tytułowych można było się orientować, że nie są to wiersze wydane w Londynie. Okoliczność ta, mówiąc nawiasem, była jedną z przyczyn trwałej do dziś popularności zdecydowanie australijskiego w barwie i najbardziej głośniego poety jeszcze wcześniejszej doby, Henryka Lawsona. Zasłynął jako mistrz ballad i krótkich opowiadań, w których wielbił minione czasy, podkreślając zresztą demokratyzm opiewanej epoki i obyczajów. Jeden z pierwszych jego tomików nosił wymowny tytuł *Kiedy świat był szeroki*. Lawson umarł w 1922 r. Nad biografią tego chłopskiego syna pracuje obecnie Frank Hardy.

Dzisiaj dawny stan rzeczy uległ radykalnej odmianie i literatura w Australii nabrała własnych, mocno uwydatnionych rysów. Cechuje ją nacjonalizm, chociaż nie szowinizm. Zwalcza kosmopolityzm zarówno w jego najbardziej wulgarnej postaci masowej produkcji artystycznej tandety, z gatunku *made in Hollywood*, jak i w formie wież z kości słoniowej, w formie wyrobów hermetycznej superestetyki, dostępnych wyłącznie dla ultra-ekskluzywnej garstki wtajemniczonych. A jednocześnie przeciwstawia się supremacji białych, ich podziałowi na imigrantów „wyższych" i „niższych" narodowości oraz innym odmianom rasizmu. Niektóre grupy literackie, pragnąc wytworzyć wspólną wszystkim, a przy tym własną, australijską tradycję, próbują nawiązywać do pierwotnej, „tubylczej" kultury, istotnie bardzo swoistej i odrębnej. Niestety, była ona niezmiernie prymitywna i niska. Toteż poezja wzorowana jakoby na pieśniach aborygenów przypomina raczej surrealizm niż prymitywy.

Bez porównania bardziej przekonywające wyniki osiągnęła proza. Na podobieństwo poezji jest w olbrzymiej swojej większości postępowa, natomiast ma nad nią znaczną przewagę pod względem komunikatywności.

Tutaj już na wstępie trzeba raz jeszcze podkreślić ogromną rolę, jaką w młodych literaturach dominiów odgrywają kobiety. Lista jest długa, a pierwsze na niej miejsce zajmuje z całą pewnością Katarzyna Prichard, autorka m. in. głośnej powieści o *Burzliwych latach dziewięćdziesiątych*, osnutej na tle australijskiej gorączki złota. Szczególnie przejmująco ukazuje Katarzyna Prichard los ludności tubylczej, szybko ginącej w zetknięciu z cywilizacją białych. Obok tej świetnej pisarki wymienić należy Eleonorę Dark (*Ziemia zastygłego czasu* — również problem tubylczy — i *Mały światek* — intelektualista i wojna); Marjorie Bernard, Florę Eldershaw, Margaret Twist, Jean Campbell, a wreszcie Christinę Stead i Kylie Tennant — dwie ostatnie szczególnie popularne w Ameryce.

Z mężczyzn na miejsca czołowe wy-

suwają się znany i u nas autor *Potęgi bez chwały*, Frank Hardy, oraz zupełnie nieznany nam Alan Marshall. Jego cykl charakterów, kreślonych w toku wędrówki rzemiennym dyszlem wzdłuż i w poprzek całego kraju — *Oto mój lud* — uderza celnością rysunku, realizmem, humorem i liryką. Te same cechy noszą i później pisane przez niego serie opowiadań.

Nowelistyka australijska stoi w ogóle na prawdziwie wysokim poziomie. Mistrzostwo osiągają w niej — prócz wymienionych — marynista John Morrison, Roland Robinson, A. E. Sturges, który ukazywaniem dnia dzisiejszego poprzez pryzmat historii budzi pewne skojarzenia z Fastem (jego opis pracy w kamieniołomie wcale nie ustępuje słynnemu opisowi kamieniołomów libijskich w *Spartakusie*), Vance Palmer, Garvin Casey, przypominający niekiedy Twaina, a także pokrewny mu Vincent, wreszcie zaś talent *par excellence* satyryczny — R. S. Porteous. Z pisarzy, na których twórczości mocną pieczęć wycisnęła wojna i którzy poświęcili jej szereg opowiadań, a nawet powieści, w pierwszym rzędzie wskazać należy autora znakomitej książki o I-ej wojnie światowej, Leonarda Manna *(Mięso armatnie)*, z młodszych zaś James Aldridge'a, E. Lamberta i A. Brosnana.

Pisarze australijscy wprowadzili dobrą innowację wydawania co roku pod zmieniająca się za każdym razem redakcją jednego z nich — antologii najlepszych z ogłoszonych w danym okresie opowiadań. Tytuł powtarza się zawsze ten sam — *Coast to coast*, czyli *Od brzegu do brzegu* — i zwyczaj przerodził się już w instytucję. Jeden z takich zbiorów, jeśli nie zawodzą mnie moje informacje, ukazać się ma niebawem w polskim przekładzie. Będzie to pozycja nader pożądana i w jakimś przynajmniej stopniu wypełni dotkliwą lukę.

*

Przez długie lata Nowozelandczycy wynosili się nad swoich australijskich sąsiadów z racji gorzej niż plebejskiego, bo „kryminalnego", pochodzenia tych ostatnich. I trzeba przyznać, że niezależnie od wartości takich „atawistycznych" insynuacji Nowa Zelandia miała jeszcze niedawno wyraźną przewagę w zakresie i dobrobytu gospodarczego, i kultury. Szczęśliwsza była także jeśli chodzi o „protoplastów miejscowych": Maorysi wśród ludów pierwotnych zajmowali jedno z czołowych miejsc. Należeli do tych zupełnych wyjątków, które umiały wzbudzić coś w rodzaju szacunku ze strony napływających białych kolonizatorów. Dzięki temu nie tylko że ocaleli z kolonialnych pogromów i rzezi w dość znacznej liczbie, ale nawet wywalczyli sobie daleko posunięte równouprawnienie. Dzisiaj Maorysi pod względem cywilizacyjnym nie różnią się niczym od białych, mają rzeczywiście dosyć wysoką stopę życiową i wysoki procent inteligentów z wyższym wykształceniem. Małżeństwa mieszane z białymi mężczyznami są częste, a białe kobiety, poprzednio stosujące w tej dziedzinie rygorystyczny ostracyzm, obecnie coraz mniej się wzdragają od matrymonialnych związków ze śniadolicymi przedstawicielami tej pięknej rasy.

Mimo jednak tak bardzo korzystnego zespołu danych Nowa Zelandia pozwoliła się ostatnio prześcignąć plebejuszom z Australii i to na polu, na którym bezapelacyjnie zdawała się górować: w dziedzinie literatury i sztuki. Obecna literacka produkcja Obojga Wysp nie może się poszczycić ani jednym osiągnięciem wybitnym i wciąż jeszcze żyje dorobkiem minionej glorii. Zamiast więc omawiać mało interesujące wyniki współczesne przypomnijmy, choćby w paru słowach, ową świetną a wcale niedawną przeszłość. Przypomnieć ją warto tym bardziej, że z dwóch tytułów do chwały jednego czytelnik polski nigdy nie oglądał, o drugim zaś zdołał już bardzo gruntownie zapomnieć. A szkoda.

Angielskim Czechowem nazwano Katarzynę Mansfield, autorkę zachwycających krótkich opowiadań oraz listów, które należą do szczytów światowej epistolografii; a wreszcie — ujmującego niesłychaną prostotą i pięknem *Dziennika*. Znaczna część jej twórczości była już przed wojną przełożona na język polski. Wystarczyłoby więc obecnie zrewidować przekłady i przetłumaczyć resztę, aby zlikwidować u nas sytuację o wiele bardziej kompromitującą niż

nadrabiany gwałtownie brak wznowień takich anglosaskich arcydzieł, jak dzieła sir Arthura C.-D., Woodhouse'ów i Locke'ów. Dodajmy, że istnieje również tomik wierszy Katarzyny Mansfield, o którym w Polsce zupełnie dotąd głucho.

Inna całkowicie niż jej kameralna rodaczka była poetka i dziennikarka, zmarła w 1939 r., na samym niemal początku wojny, Iris Wilkinson, pisząca pod pseudonimem Robin Hyde. Już pierwsza jej książka, publicystyczna i autobiograficzna, ujawniła nieprzeciętny talent. Następna — *Paszport do piekieł* — stanowi jedną z najlepszych w całej literaturze Zachodu książek kobiecych o wojnie. Już w czasie, gdy nabrzmiewała „druga światówka", pisarka postanowiła wyruszyć do Anglii trasą raczej okrężną, bo w poprzek całej Azji. Wstrząśnięta tym, co ujrzała w Chinach, została tam na długo, zebrała moc doświadczeń i ujęła je w tomie *Pełznący smok*. Ale trwałe miejsce w historii literatury zapewniła sobie Robin Hyde kilku niewielkimi zbiorkami wierszy. Znaczną ich część poświęciła tematyce wojny. W jaki sposób ta wątła, delikatna dziewczyna umiała wczuć się w psychikę i przeżycia żołnierza, anonimowego bohatera okopowej wojny, pozostanie chyba na zawsze tajemnicą wielkiego talentu. Równie piękne jak wiersze wojenne są i pozostałe liryki.

Z wierszami rzecz nie jest prosta. Lecz prozę Robin Hyde warto, jak sądzę, zasygnalizować naszym wydawnictwom.

Zaczęliśmy i kończymy na twórczości kobiecej. W antypodach wyraźnie pachnie matriarchatem. Cóż, nie jest to może najgorsze. Zwłaszcza jeśli brać miarę z naszych własnych stosunków.

Julian Stawiński

WOLTERIAŃSKA ŚMIERĆ WOLTERA

Sprawa śmierci Woltera od dawna pasjonowała jego biografów. Ale nie tylko biografów. I dziś wielu ciekawi pytanie, które kiedyś nękało niemal całą Europę, w równej mierze obóz filozofów, co obóz dewotów: Czy człowiek, który uosabia najpełniej Oświecenie, wyparł się przed śmiercią swego życia i dzieła, czy też pozostał wierny postawie racjonalisty? Czy nawrócił się, ugiął przed Kościołem i przyjął za prawdę jego naukę, czy też do końca życia widział w nim wroga wolnej myśli wyrwanej spod władzy dogmatów? Kiedy 30 maja 1778 roku Wolter oddał ostatnie tchnienie, odpowiedź miała ogromne znaczenie ideowe i polityczne dla walki filozoficznej w przeddzień Rewolucji. Nic przeto dziwnego, że duchowieństwo robiło wszystko, aby Woltera moralnie zdyskredytować, zbezcześcić pamięć o nim, unicestwić „patriarchę bezbożników" po śmierci, skoro nie potrafiło tego uczynić za życia. Metody były różne w zależności od potrzeb chwili. Proceder pierwszy przeznaczony był przede wszystkim dla wiernych, a polegał na szerzeniu wieści, że pisarz umarł tak, jak przystało na publicznego grzesznika — w strasznych męczarniach, szarpany przez diabły, bluźniąc Bogu i przeklinając raz niebo, raz swych bezbożnych przyjaciół. Ta naiwna wersja stała się motywem przewodnim całej literatury umoralniającej, a także wielu klerykalnych pamfletów, pisanych w gorączce walki namiętnej, nie przebierającej w środkach. Wersja druga — obliczona na dłuższą metę — była subtelniejsza: mierzyła w Wolterafilozofa. Wolter odwołał jakoby całkowicie swoje poglądy i umarł jako wierny syn Kościoła. Wizyta księdza Gaultier, który rzeczywiście pisarza wyspowiadał dwa miesiące przed śmiercią, posłużyła klerowi za pretekst do spreparowania swoistej „legendy" popartej rzekomo dokumentami.

Legenda ta we Francji musi być do dziś dnia żywa, skoro niecałe dwa lata temu można było przeczytać w „*Le Figaro Littéraire*" [1] sensacyjny tytuł:: *Czy*

[1] Nr 433.

Wolter umarł jako dobry katolik?... Oto tekst wyrzeczenia się błędów oraz deklaracji złożonej w r. 1782 przed notariuszem przez księdza Gaultier, który go wyspowiadał w marcu 1778 r.

Komentator tych dokumentów, Jacques Donvez, sugeruje, że: 1) stanowią one dostateczny dowód, iż Wolter chciał umrzeć jako dobry chrześcijanin, pogodzony z Kościołem, 2) ks. Gaultier nieraz nawiedzał go potajemnie, 3) duchowny ten nie jest autorem memoriału ogłoszonego w r. 1781, z którego wynika, że Wolter dokonał tylko minimum czynności zapewniających mu zwykły pochowek na cmentarzu.

Tezy Donveza zostały nie tylko zakwestionowane, ale i obalone przez René Pomeau w pracy ogłoszonej w ubiegłym roku [2]. Krytyk ten z całą sumiennością i precyzją doświadczonego badacza wykazał w oparciu o nowe, rewelacyjne dokumenty, że wspomiany memoriał został rzeczywiście napisany przez ks. Gaultier, ponieważ jednak kompromitował nie Woltera, lecz autora, władze kościelne uznały wkrótce za konieczne przygotowanie deklaracji negującej prawdziwość memoriału i stwierdzającej pełne pogodzenie autora *Darczanki* z Kościołem na łożu śmierci. W świetle rozważań Pomeau obraz wypadków związanych ze zgonem Woltera staje się jasny. Spróbujemy przedstawić go tutaj w skrócie.

Po dwudziestu latach nieobecności w Paryżu Wolter, witany wszędzie owacyjnie w ciągu swej tygodniowej podróży, przybywa 10 lutego 1778 roku do rodzinnego miasta i zatrzymuje się w domu pana de Villette. Osiemdziesięcioczteroletni starzec, który twierdzi od czterdziestu lat, że jedną nogą jest już w grobie, czuje się w swoim żywiole. Przyjmuje, rozprawia, dowcipkuje. Cały Paryż spieszy złożyć hołd mędrcowi z Ferney. Tylko dwór, milczący i wrogi, z niepokojem śledzi bieg wypadków. Ludwik XVI zżyma się, że Wolter zlekceważył zakaz pojawiania się w stolicy, wydany przez jego dziada.

Męczący tryb życia w ciągu całego tygodnia wyczerpał siły starca. 17 lutego Wolter poważnie zaniemógł. Co się stanie, jeżeli umrze nie u siebie w Ferney, lecz tu w Paryżu, pod bokiem króla i arcybiskupa? To nic, że czczony jest przez cały naród. Jako publiczny grzesznik — dopóki nie wyrazi skruchy — nie będzie pochowany na cmentarzu, lecz po śmierci spotka go zapewne los Adriany Lecouvreur: ciało rzucone zostanie na śmietnik. Myśl ta musiała gnębić chorego, skoro postanowił pójść za radą d'Alemberta i wyspowiadać się jak Monteskiusz i Fontenelle dla świętego spokoju (a raczej dla świętego cmentarza). W samą porę tedy nadszedł 20 lutego list od niejakiego księdza Gaultier, który ofiarował mu swoje usługi. Nazajutrz Wolter przyjmuje swego korespondenta i dowiaduje się, że jest on księdzem z parafii św. Sulpicjusza (do której należą mieszkańcy domu Villette) i że przychodzi z własnej inicjatywy. „To porządny dureń — miał powiedzieć Wolter — uchroni mnie przed skandalem i śmiesznością."

25 lutego nastąpiło pogorszenie — chory dostaje krwotoku. Nazajutrz wzywa listownie księdza Gaultier, a prośbę ponawia niebawem pani Denis, siostrzenica Woltera. Wezwany nie zjawia się jednak, natomiast przychodzi ksiądz de Tersac, proboszcz parafii. Ale jego Wolter nie chce przyjąć, pragnie wyspowiadać się tylko księdzu Gaultier. Ten przybywa dopiero 2 marca. Gaultier nie mógł dłużej działać na własną rękę: władze kościelne musiały opracować dla niego instrukcje i zredagować „odwołanie błędów", bez którego rozgrzeszenie nie byłoby możliwe. Ks. Gaultier prosi o podpisanie „odwołania", ale Wolter odmawia i w obecności księdza i dwóch świadków sam je pisze. Czytamy w nim m. in., że „umiera w religii katolickiej, w której się narodził" (co nie oznacza, że uważa się za katolika) i że, „jeżeli obraził Kościół, prosi Boga i Kościół o przebaczenie" (co nie jest wyrzeczeniem się swoich dzieł). Gaultier przyjmuje oświadczenie, udziela absolucji i zamierza pójść po sakramenty. Wolter odmawia przyjęcia, podając za powód plucie krwią.

Warto jeszcze dodać, że kilka dni przedtem Wolter wręczył swemu sekretarzowi następującą deklarację: „Umieram wielbiąc Boga, miłując swych przyjaciół, nie żywiąc nienawiści do swych

[2] *La confession et la mort de Voltaire* d'après des documents inédits. *„Revue d'Histoire Littéraire de la France"*, Nr 3/1955.

wrogów, nienawidząc zabobonu". Prawdziwa kwintesencja filozofii wolteriańskiej!

Władze kościelne rychło oceniły przebiegłość Woltera i naiwność ks. Gaultier. Odwołanie uznały za zupełnie niewystarczające, a księdzu nakazały naprawić popełnioną gafę. Rozpoczęły się wówczas regularne wizyty do... drzwi domu Villette, posypały się listy[3] z prośbą o posłuchanie. Ale teraz Wolter miał już dość natrętnego księdza. Z kolei na widownię miał wejść proboszcz de Tersac, od którego zależało zezwolenie na pogrzeb.

Tymczasem stan zdrowia Woltera uległ poprawie, tak że 30 marca mógł wziąć udział w szóstym przedstawieniu swej tragedii *Irena*. Paryż nie widział takiego entuzjazmu od chwili wjazdu Henryka IV. Po uroczystym powitaniu przez całą Akademię Wolter udał się do Komedii Francuskiej, gdzie był świadkiem własnej apoteozy. „Chcecie, żebym umarł ze szczęścia" — powiedział wzruszony starzec.

Wśród okrzyków „niech żyje obrońca Calasa" Wolter przeniesiony został do karety na rękach ludu paryskiego. Naród francuski przyznał za życia swemu wielkiemu synowi nieśmiertelność.

Uroczystości ku czci pisarza jeszcze bardziej rozdrażniają dwór i duchowieństwo, które teraz z ambon atakuje sławnego bezbożnika. Staje się jasne, że bez nowego „odwołania" postawa Kościoła będzie nieprzejednana.

Korzystając z lepszego samopoczucia Wolter zdobywa się na szaleństwa: bywa w Akademii i u przyjaciół, przyjmuje gości, pije mnóstwo kawy pracując nad słownikiem Akademii. W drugiej połowie maja przyszedł nowy kryzys. Doktor Tronchin stwierdził raka pęcherza. Zupełnie wyczerpany, bardzo cierpiący, Wolter nie jest już w stanie walczyć o dobrą pamięć swych ostatnich dni. Zastąpi go teraz jego siostrzeniec, zacny ksiądz Mignot.

Gdy szanse na prawdziwe nawrócenie Woltera malały, władze kościelne i policja postanowiły w obawie przed gniewem ludności pójść na kompromis: umożliwić potajemne wywiezienie Woltera żywego czy umarłego do Ferney. Nieludzki to kompromis, tym bardziej że biskup Annecy otrzymał polecenie niegrzebania Woltera na cmentarzu.

A jednak Kościół do ostatniego dnia nie rezygnował z wydarcia od konającego odwołania. Rankiem 30 maja ks. Gaultier pisze raz jeszcze list do Woltera ofiarując mu swe usługi. Korzysta z tego Mignot, który wiedząc, że wuj jest na pół przytomny, prosi księdza w imieniu chorego o spowiedź. Ks. Gaultier przychodzi w towarzystwie proboszcza de Tersac. Na ich widok Wolter szepcze: „Dajcie mi spokojnie umrzeć". Księża niezwłocznie oddalają się. W kilka godzin później Wolter nie żył.

Pani Denis błaga ks. de Tersac o zezwolenie na pogrzeb. Ten jest jednak niewzruszony, wydaje tylko siostrzeńcowi pozwolenie na wywiezienie zwłok z Paryża bez żadnych uroczystości i odpis chwilowo zagubionego odwołania z 2 marca. Władze świeckie i duchowne są przekonane, że ciało będzie odwiezione do Ferney. Mogą one na to przystać, ponieważ: 1) uniknie się w ten sposób pogrzebu w Paryżu — tak niewygodnego, ba — niebezpiecznego, 2) przepisom kościelnym stanie się zadość wskutek wysłania przez arcybiskupa Paryża pisma zakazującego pochowku w Ferney.

W tej sytuacji najbliżsi zmarłego kierują karocę nie do Ferney, lecz do pobliskiego Scellières (koło Troyes), gdzie ks. Mignot piastował godność kościelną. Okazawszy swemu zwierzchnikowi dokumenty wydane przez ks. de Tersac, Mignot 2 czerwca uroczyście pochował swego wielkiego wuja. Nazajutrz przyszedł list od biskupa Troyes zabraniający pogrzebu. Taki był ostatni figiel Woltera spłatany Kościołowi.

Można sobie wyobrazić wściekłość całego obozu dewotów po tej wiadomości. Z trudem udało się uniknąć ekshumacji. Zgodnie ze zwyczajem miała odbyć się wkrótce msza żałobna za duszę zmarłego członka Akademii. Potrzebna była jednak zgoda władz kościelnych. Opinię o zmarłym wydał ks. de Tersac w ogłoszonym ostatnio memoriale.[4] Oto jego fragmenty:

---

[3] Listy te oczywiście nie zostały dołączone do wspomnianej deklaracji złożonej przed notariuszem przez ks. Gaultier.

[4] P. cyt. „*Revue d'Hist. Litt. de la France*".

„Proboszcz parafii św. Sulpicjusza ze zdziwieniem dowiaduje się, że Akademia Francuska zamierza prosić o odprawienie nabożeństwa za duszę zmarłego pana de Voltaire. Zaznacza on, że nabożeństwo to byłoby niezgodne z wszelkimi przepisami cywilnymi i kanonicznymi oraz że może być ono odprawione wtedy, gdy zostanie rozstrzygnięte pytanie, czy godzi się zmarłemu udzielić kościelnego pochowku."

Oto, jak odpowiada na nie ks. de Tersac: „Sięgnijmy do księgi obrządków miasta Paryża i do wszystkich przepisów kanonicznych: odmawia się pochowku publicznym grzesznikom, którzy umierają bez pokuty. Atoli wiadome jest nie tylko we Francji, ale i w całej Europie, że Wolter był zdeklarowanym wrogiem religii chrześcijańskiej. (...) Nie odwoławszy ani nie potępiwszy dzieł, które noszą jego imię, jest on niewątpliwie publicznym grzesznikiem pogrążonym we wściekłej bezbożności i w ostatecznej infamii. Ponad trzydziestu świadków może zeznać, że w godzinę śmierci nie okazał najmniejszej oznaki żalu. Nie przyjął ani Wiatyku, ani ostatniego namaszczenia. Jego spowiedź sprzed dwóch miesięcy jest pozorna, jest ona niczym innym jak igraszką własnej bezbożności z biednym księżyną, którego oszukał. Oświadczenie złożone po odbytej spowiedzi nie jest żadnym wyznaniem wiary; a gdyby nawet nim było — skoro Wolter nie naprawił zgorszenia wyrządzonego swymi bezbożnymi książkami — pozostałby nie mniejszym grzesznikiem publicznym, któremu nie należy się pochowek chrześcijański. Jaki wyciągnąć wniosek z tego oświadczenia? Że odbył on spowiedź po to, aby zadośćuczynić zwyczajowi, że umarł w religii katolickiej nie wierząc w nią i że obawiał się obrazy Kościoła nie należąc doń. Nie uznając żadnej religii, zamierzał jedynie poddać się zwyczajom miejsca, w którym się znalazł. To samo by uczynił w Turcji między Mahometanami albo w Indiach między Poganami. Tak więc jego oświadczenie jest jeszcze jednym skandalem."

W dalszym ciągu swego memoriału ks. de Tersac oświadcza, że nigdy nie zamierzał zezwolić na pogrzebanie Woltera i że wydane przez niego dokumenty zostały niecnie wykorzystane przez ks. Mignot.

Memoriał ks. de Tersac ostatecznie podważa prawdziwość deklaracji ks. Gaultier, jakoby Wolter pogodził się z Kościołem przed śmiercią. Zasługa René Pomeau leży w tym, że wydobył on na jaw nieznane dokumenty, zestawił je z innymi i na tej podstawie zrekonstruował fakty układające się teraz w ciąg wydarzeń logiczny i przekonywający. Wniosek narzuca się jeden. Wolter do końca pozostał sobą. Na łożu śmierci stoczył ostatnią, przedziwną walkę: o własny pogrzeb i o dobrą pamięć u potomnych. Próżne okazały się wysiłki tych wszystkich, którzy rysy umierającego Woltera chcieli zabarwić trwogą czy pokorą.

Portret filozofa z dni ostatnich nie odbiega od wizerunku utrwalonego w naszej pamięci. Poznamy go po uśmiechu — kpiarskim i dobrotliwym.

Jerzy Parvi

BUŁGARSKI PISARZ W POLSCE

W kwietniu br. bawił w Polsce na zaproszenie Komitetu Mickiewiczowskiego, a potem Związku Literatów Polskich znany krytyk, profesor uniwersytetu sofijskiego, sekretarz związku pisarzy bułgarskich, Piotr Dinekow. Profesor Dinekow jest serdecznym przyjacielem kultury i literatury polskiej, niejednokrotnie bywał w naszym kraju. Przed wojną po ukończeniu studiów w Sofii specjalizował się dwa lata na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie zaprzyjaźnił się z wieloma pisarzami, przede wszystkim z Boyem-Żeleńskim. Był stałym uczestnikiem literackich wieczorów w domu wielkiego polskiego pisarza. Piotr Dinekow jest m. in. autorem dużej pracy i wspomnień o Boyu-Żeleńskim. Jest to bodajże jedyna większa praca o Boyu w literaturze bułgarskiej. Pod redakcją Piotra Dinekowa ukazała się duża ilość przekładów z klasycznej i współczesnej literatury polskiej. Wielkim wydarzeniem w życiu kulturalnym Bułgarii był wybór utworów Adama Mickiewicza, który ukazał się również pod redakcją Piotra Dinekowa. Obok klasycznych już przekładów Iwana Wazowa znalazły się tam przekłady najwybitniejszych poetów współczesnych starszego i młodszego pokolenia, takich jak: Dora Gabe, Elisawieta Bagriana, Atanas Dałczew, Marija Grubeszwiliewa, Todor Charmandżijew, Błaga Dimitrowa, Kamen Zidarow, Katia Georgijewa, Boris Strum, Dimitr Dałczew, Aleksander Muratow i in. Kilkutysięczny nakład książki rozszedł się dosłownie w ciągu paru dni. Obecnie Piotr Dinekow przygotowuje drugie wydanie tego starannie opracowanego *Wyboru*. Piotr Dinekow pracuje nad *Antologią współczesnej poezji polskiej* oraz nad *Antologią noweli polskiej*. *Antologia współczesnej poezji polskiej* zapewne ukaże się jeszcze w tym roku.

Będąc w Warszawie Piotr Dinekow był również gościem redakcji *„Twórczości"*.

J. Ś.

PORTRET WENECKI

O tyranio wielkich nazwisk! Gdyby mnie zapytano, po co idę na wystawę portretu weneckiego (wielkoduszny, włoski rewanż za Bellotta i Gierymskiego), odpowiedziałbym, że głównie po to, aby zobaczyć Tycjana. Po żadnym innym malarzu nie spodziewałem się większych wrażeń.

Obraz widoczny był z dalekiej perspektywy, wstępowało się do niego po schodach. Wisiał na tle czerwonej kotary. Spokojny, o stłumionych barwach, portret mężczyzny w czerni — renesansowy, poprawny, dworski. A więc tylko tyle, więc to jest Tycjan?

Wystawa jest, oczywiście, bardzo zwięzłym wyborem. Siedemdziesiąt płócien ma reprezentować trzysta lat życia tej bujnej szkoły malarskiej. Pierwsze zatem pytanie, jakie nasuwa się, to pytanie o założenia tego wyboru.

Na pewno nie jest to prezentacja najwybitniejszych twórców. Tycjan, Veronese, Tintoretto reprezentowani są każdy po jednym obrazie (i to nienajlepszym). Ale za to mamy pokaz

szkoły, to znaczny szeregu świetnych obrazów mało znanych przeciętnemu widzowi malarzy. Ma to znaczenie pedagogiczne. Historia sztuki nie jest — jak to często sądzi się — zbiorem gwiazd na ciemnym tle. Epoki wielkich mistrzów są epokami bardzo wysokiego poziomu przeciętnego. Dlatego, rozczarowany „największymi", pocieszałem się prywatnymi odkryciami: Jacopo i Leandro da Ponte, Pietro Mariscalchi, Sebastiano Bombelli, Vittore Ghislandi, Giacomo Cerutti.

Bardziej może niż przemiany widzenia wystawa pozwala śledzić przemiany obyczajowe — od surowej piramidy głów Domenica Tintoretto aż do uroczego, po sternowsku ironicznego Pietro Longhi zawarł się spory kawał ludzkiej historii.

Jeśli zgłaszanie pretensji pod adresem antologii ma jakiś sens, to wolałbym, aby wybór został przesunięty o jeden wiek, a mianowicie o wiek XV. Dla widza polskiego malarstwo włoskie wieku XVIII nie jest rewelacją. Nasze muzea nie są znów aż tak bardzo ubogie w dzieła przedstawicieli klasycyzmu i rokoka. Natomiast byłoby bardzo celowe pokazanie (a może to jeszcze nic straconego) rozwoju malarstwa weneckiego od Bellinich (zwłaszcza Giovanniego) przez nieznanego u nas Giorgiona, do szerzej potraktowanego Tycjana, Veronesa, Tintoretta. Bo cóż my wiemy o pełnym i przekwitającym Renesansie — my ubodzy adoratorzy *Damy z łasiczką*.

Zresztą antologie są jak przystawki, nie sycą, ale zaostrzają apetyt. Są na pewno potrzebne i cenne z naukowego punktu widzenia, ale w pełni przeżyć malarstwo można, gdy się obcuje z kilkunastoma, kilkudziesięcioma obrazami jednego malarza. Tylko wtedy czujemy się w środku wizji, tylko wtedy doznajemy przygody zamienionych oczu.

zh

CHRISTO BOTEW — KRYTYK I POETA

Bywają w dziejach narodów postacie-meteory, które zabłysną nagle z wyjątkowym blaskiem i siłą, lecz czasem, niestety, gasną równie szybko. Taką postacią, niezwykłą i wyjątkową, był bułgarski rewolucjonista, publicysta i poeta, Christo Botew (1849—1876). Urodził się, żył i działał w nader trudnych i niepomyślnych warunkach, pod koniec pięciowiekowej niewoli. Jako ucznia usunięto go ze szkoły, a został nauczycielem, ojczyznę kochał nade wszystko, a musiał z niej uciekać, uniemożliwiono mu pracę w pierwszych bułgarskich pismach na emigracji, a on, mimo chronicznego braku możliwości i funduszów, sam założył kilka pism. Jedno z nich po paru dniach przestało wychodzić dosłownie z powodu wycieńczenia i wygłodzenia naczelnego redaktora i wydawcy, reprezentującego jednocześnie niemal całe kolegium redakcyjne, współpracowników i korespondentów z całego świata. Publicystyka, satyra, krytyka literacka, poezja — wszystko, czego się tknął, znajdowało się w powijakach, a jednak wyszedł na wyżyny, pozostając przez całe dziesięciolecie przykładem i wzorem.

Osiemdziesiąt lat temu, owładnąwszy statkiem austriackim, przerzucił się na czele oddziału powstańczego z Rumunii do Bułgarii, gdzie po kilku dniach poległ. Ucięto mu głowę, wbito na pal, a potem wrzucono do rzeki. Żył zaledwie 27 lat. W rocznicę jego bohaterskiej śmierci wspominam o nim jako o poecie i teoretyku literackim, o człowieku, który interesował się Polską i jej kulturą, przyjaźnił się z powstańcami polskimi 1863 roku.

*

Christo Botew był zdania, że literatura powinna być nie tylko wyjaśnieniem i odbiciem rzeczywistości, lecz także narzędziem jej rewolucyjnego przekształcania. Uważał, że każdy utwór literacki powinien wyrażać dążenia narodu, w którego języku jest napisany lub tłumaczony, odpowiadać potrzebom epoki, posiadać znaczenie aktualne lub ogólnoludzkie. Zdaniem Botewa nauka, literatura i sztuka ściśle łączą się z polityką i praktyką społeczną, czyli z walką rewolucyjną narodu. Domagał się więc literatury aktualnej, mobilizującej, o wyraźnym obliczu społecznym, literatury, która stanowiłaby część składową walki narodu o wolność i lepszą przyszłość. Odrzucał natomiast literaturę estetyzującą, apolityczną, jak również literaturę „obiektywną", która chciałaby

pogodzić wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Literaturę religijną uważał za wręcz zbyteczną i szkodliwą.

W swych artykułach i wypowiedziach teoretycznych niemniejsze wymagania stawiał Botew formie utworów literackich. Bezlitośnie smagał nieudane, grafomańskie płody ówczesnego piśmiennictwa, których autorzy często grzeszyli słabą znajomością języka narodowego.

Botew potępiał pisarzy frymarczących piórem, sprzedajnych oraz „szarlatanów" literackich. Uważał, że pisarza narodowego powinny cechować skromność i uczciwość, uświadomienie narodowe i obywatelskie, demokratyzm i patriotyzm, postępowy światopogląd i świadomość wielkiej odpowiedzialności społecznej. Od krytyka wymagał bezwzględnej prawdy. Sposób jej wypowiedzenia może być różny, w zależności od temperamentu piszącego: „Nie każdy może zachować zimną krew wobec zła — pisał — które z jednej strony szerzy „niewinne" głupstwa, z drugiej zaś głupie przekonanie, że głupstw tych jako niewinnych nie należy piętnować. Krytyk nie powinien liczyć się z uczuciami przyjaźni, pozycją społeczną czy też majątkową autora".

Czołowe miejsce, jakie Botew zajął w dziedzinie rozwoju myśli politycznej, historii kultury, estetyki i krytyki literackiej, zawdzięcza w dużej mierze ideom rewolucyjnym, które uzbroiły go w postępowy, walczący światopogląd. Uczył się on od współczesnych myślicieli i teoretyków: Bielińskiego, Czernyszewskiego, Hercena, Pisarjewa i Swetozara Markowicia. Znał literaturę klasyczną, rosyjską, angielską, francuską, hiszpańską i niemiecką, nieobce mu były literatura serbska i polska. Piękny język, jasność, trafność i świeżość myśli oraz różnorodność formy — nadawały wypowiedziom Botewa powagę i znaczenie, budziły zainteresowanie i silnie oddziaływały na czytelników.

*

Poezje — to ilościowo najskromniejsza część twórczości Botewa. Zachowało się zaledwie dwadzieścia wierszy, reszta spłonęła w straszliwym pożarze Starej Zagory podczas wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 roku. W utworach tych zawarty jest portret wielkiego rewolucjonisty i poety, który zawsze szedł ze swoim narodem, z uciskanym ludem.

Po pierwszych wierszach, w których brzmi nuta zwątpienia i beznadziejnego osamotnienia młodego patrioty, czułego na niewolę i cierpienia narodu (*Do matki, Do brata* — 1867—68), w utworze *Podział* (1870) odezwie się bojownik, którego trudności nie zawrócą z raz obranej drogi, który gotów jest życie oddać za ideały. Poza utrzymanym w nastroju romantycznym wierszem *Do niej* (1873), w wierszach miłosnych *Do mej pierwszej miłości* (1871) i *Poszła za nim* (1871) brzmi również nuta rewolucyjna. Liryka przeżyć osobistych usuwa się na plan dalszy, ustępując miejsca liryce protestu społecznego. W ukochanej poeta będzie szukał oparcia i podniety do walki o wyzwolenie narodu. Toteż w wierszu *Poszła za nim* nie ma rozdźwięku pomiędzy kochankami, dziewczyna idzie za ukochanym hajdukiem-powstańcem, by z nim i z jego drużyną dzielić trudy i chwałę mścicieli ludu. Wiersz ten jeśli idzie o tematykę i formę artystyczną stanowi jakby powiązanie wcześniejszej twórczości Botewa z niedużym cyklem utworów „hajduckich", do których należą *Pożegnanie* (1871), nie dokończony poemat *Hajducy* (1871) i *Nadciąga ciemna chmura* (1873). Bohaterowie tych pieśni znani są i w pieśniach ludowych. Poezje hajduckie Botewa są misterną syntezą indywidualnej liryki artystycznej i twórczości ludowej. W czasach gdy Botew je tworzył, żywiołowa walka hajduków przechodziła w fazę politycznie zorganizowanej walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. Dlatego w wierszach jego występuje nie tylko hajduk-mściciel, ale hajduk-powstaniec i *hasz* — bezdomny rewolucjonista. Po tych wierszach, w latach 1871—73 powstają utwory o wyraźnych akcentach rewolucyjnych: *Walka, Wędrowiec, Dzień św. Jerzego, Patriota, W karczmie* i *Moja modlitwa*. Poeta chłoszcze fałszywy patriotyzm kupców i bogaczy; ironię i wzgardę ma dla dezertera z frontu walki rewolucyjnej; z goryczą zarzuca ludowi, że tak bez sprzeciwu pozwala się „strzyc i rżnąć"; piętnuje etykę i obłudę drobnomieszczańską, podtrzymywaną przez religię; demaskuje boga kłamstwa i obłudy, uznając rozum za obrońcę uciśnionych, rozum,

którego dzień triumfu jest bliski; rozum i uświadomienie mają napełnić serca uciśnionych umiłowaniem wolności i uzbroić ich do walki.

Ballady: *Powieszenie Wasyla Lewskiego* (1875) i *Hadżi Dymitr* (1873) harmonijnie uzupełniają te wiersze. Widać tu, jak w twórczości poetyckiej Botewa powoli narasta i dojrzewa ideał bohatera-rewolucjonisty, bezgranicznie oddanego sprawie wyzwolenia narodowego i społecznego. Pierwszy wiersz przepojony jest smutkiem i żalem całego narodu po tragicznej śmierci organizatora walki rewolucyjnej, który zawisł na szubienicy w Sofii jako symbol niezliczonych ofiar i wołających o pomstę krzywd. Drugi — to pełna wzruszającego patosu apoteoza poległego na polu walki wojewody powstańców. Rozpoczynające balladę słowa: „Żyje on, żyje" — które rozbrzmiewają poprzez wszystkie jej strofy — symbolizują nieśmiertelność bohaterów, nieśmiertelność narodu, który walczy o wolność i o swe prawa. Dzięki ładunkowi rewolucyjnemu i wysokiej wartości artystycznej oba te utwory stanowią szczytowy punkt w dorobku poetyckim Christa Botewa.

Czerpiąc z motywów ludowych, poeta posługiwał się również formą bliską ludowym pieśniom. Czynił to świadomie, wszystkie utwory noszą wyraźne piętno jego twórczej indywidualności. Tony najczulsze przeplatają się z szarpiącymi i surowymi. Dialog, ulubiona forma pieśniarza ludowego, jest także ulubioną formą poety. Obrazowanie również podobne: oszczędne w środkach, a zadziwiające pięknem, trafnością i siłą oddziaływania.

Poeta zapożyczył z pieśni ludowej prosty, ale bogaty w epitety, porównania i metafory, żywy, dobitny język a także jej rytmikę. Poszedł jednak dalej niż nierymowana pieśń ludowa, posługując się dość często rymem i w ten sposób wzbogacając rytmikę ludową.

Podobieństwo poezji Botewa do twórczości ludowej jest zupełnie naturalne i zrozumiałe, bo tak jedna, jak druga czerpały z tych samych źródeł — z umiłowania życia i wolności. Niemal wszystkie jego utwory poetyckie bardzo szybko stały się własnością ludu. Były one nawet przedrukowywane jako bezimienne wraz z anonimowymi pieśniami ludowymi i jako takie śpiewane są po dziś dzień na odpustach, weselach itp. Niekiedy interpretator ludowy zmienia to i owo w wierszu poety, uzupełnia go nowymi obrazami, stosownie do potrzeb i nowych warunków. Na wzór wierszy Botewa powstało wiele pieśni bojowych, niejedna o nim samym...

Poetę, który opiewał cierpienia i walkę ludu, lud wsławił pieśnią.

Bronisław Cirlić

GŁOS ERENBURGA W DYSKUSJI O SZTUCE

W jednym z artykułów, poświęconych toczącej się od dłuższego czasu w środowisku plastyków radzieckich dyskusji o sztuce, J. Kołpiński („*Sowietskaja Kultura*" z 24.I.) — omawiając wzrost zainteresowania wśród malarzy tradycjami impresjonizmu i ostrzegając przed uleganiem tendencjom formalizmu i estetyzmu — uczynił Ilji Erenburgowi zarzut, że w jego przemówieniu na sesji „Międzynarodowych spotkań" w Genewie (jesienią ub. r. *) „można się dopatrzeć podobnych tendencji"; pisarz bowiem „dopuszcza możliwość bardzo wybitnych osiągnięć artystycznych w obrębie sztuki dla ludu niezrozumiałej".

Dotknięty tym do żywego Erenburg (po powrocie z podróży do Indii — 27.III) w liście do redakcji „*Sowietskiej Kultury*" wyjaśnił szerzej swoje poglądy na sztukę, rozwinął niektóre myśli, zawarte w *Szlaku stulecia* (pod takim tytułem „*Litieraturnaja Gazieta*" opublikowała genewskie przemówienie Erenburga). Bieg tych myśli kształtował temat owego „Międzynarodowego spotkania": oddziaływanie rozmaitych środków upowszechniania kultury na jej rozwój. Myślą przewodnią referatu Erenburga było udowodnienie tezy, że znamienne dla naszej epoki cechy kultury — ludowość i uniwersalność — sprzyjają jej rozwojowi.

Erenburg zilustrował to wieloma przykładami. Oto jeden z nich: „Według mego osobistego przekonania (zwrot zrozumiały ze względu na reprezentacyjny charakter przemówienia

* Bliższe szczegóły tego przemówienia — w Nrze 12 „*Twórczości*" z ub. r. (*Na widnokręgu*).

na forum międzynarodowym — J. S.) — Picasso jest najwybitniejszym artystą naszego wieku; nie przeszkadza mi to jednak przyznać, że jest bardzo wiele jego prac przystępnych dla wąskiego kręgu ludzi. Oczywiście, byłoby rzeczą nader smutną, gdyby Picasso zrezygnował z poszukiwań, znamiennych dla całej jego drogi twórczej". Znakomity artysta zawsze dążył do nawiązania kontaktu z milionami ludzi prostych i w ostatnim dziesięcioleciu stworzył wiele rysunków — w pełni oddających osobliwości jego geniuszu, zarazem jednak wzruszających i wprawiających w zachwyt nawet niewyrobionych odbiorców sztuki.

„Jestem przeświadczony — pisze Erenburg w odpowiedzi Kołpińskiemu — że poszukiwania Picassa wzbogaciły sztukę, aczkolwiek mierni i przeważnie niemądrzy malarze usiłowali mechanicznie przyswoić sobie te czy owe chwyty Picassa, tworząc najrozmaitsze krzykliwe „izmy". Sądzę też, że nie tylko artysta posiada prawo do poszukiwań, lecz że sztuce, jak zresztą i wszystkim innym przejawom ludzkiego geniuszu, swoiście właściwe są poszukiwania nowatorskie." Te twórcze poszukiwania cechują pędzel Picassa: zawiłymi ścieżkami zmierza on ku prostocie i przystępności.

Jest przecież dążeniem każdego wielkiego artysty, by rozumiało go jak najwięcej ludzi mu współczesnych. „Tworzyć niezrozumiale z premedytacji — twierdzi Erenburg — mogą tylko ci, którzy odczuwają pustkę duchową i pragnienie ukrycia, że król jest nagi." Leżąca w tendencjach naszej epoki ludowość sztuki bynajmniej nie suponuje, że wszystkie twory sztuki musi koniecznie cechować przystępność już w chwili ich narodzin. Erenburg wspiera tę tezę przykładami. Z tego, że twórczość symfoniczna przystępna jest dla mniejszej ilości odbiorców niż kompozycje muzyki filmowej — bynajmniej nie wynika, że np. Szostakowicz powinien komponować wyłącznie pieśni dla filmów. Podobnie z tego, że mniej ludzi zna i rozumie *Fausta* Goethego niż *Fausta* Gounoda, nie wypływa wniosek o wyższej randze artystycznej opery Gounoda.

Erenburg sięgnął po przykłady również do twórczości Majakowskiego. „Obecnie jego poematy, takie jak *Wojna i pokój* lub *Człowiek*, wydają się zrozumiałe dla rozległego kręgu czytelników, pamiętam jednak czasy, kiedy wielu je wyśmiewało, a krytycy mówili, że poeta pisze nie dość przejrzyście. W ciągu swego krótkiego życia Majakowski przeszedł długi szlak rozwojowy: jak każdy wielki artysta dążył do osiągnięcia prostoty. W ciągu 20—30 lat długą drogę przebyli też jego czytelnicy, rozwinęli się duchowo, ich myśli i uczucia nabrały złożoności, finezji."

Zdaniem Erenburga — niektórzy na próżno szermują zarzutem „formalizmu", gdy mowa o poszukiwaniu przez artystę formy, właściwej dla jego pomysłów i zamierzeń twórczych. „Bezcelowe — ostrzega Erenburg — są próby usprawiedliwiania nieżyciowości, pustki duchowej, fotografizmu pewnych tworów malarstwa — walką z formalizmem."

Zilustruję to jeszcze jednym przykładem, zaczerpniętym z *Odwilży*. Jak wiadomo, w powieści tej problemy sztuki, osnuty wokół nich wątek fabularny i kontrastowe postaci plastyków: Saburowa, artysty utalentowanego, pełnego twórczego niepokoju, rzetelnie ideowego, i Wołodi Puchowa, zakłamanego cynika i karierowicza, staczającego się coraz niżej autora lakierniczych kiczów „tematycznych" — zajmują wiele miejsca i nadają jej swoisty koloryt. Wiadomo też, że po ukazaniu się przed dwoma laty pierwszej części powieści najzacieklejsze spory rozgorzały właśnie głównie wokół poglądów autora i jego postaci na sprawy malarstwa, wokół dyskusji o sztuce.

Echem tych sporów jest ponowiony ostatnio przez krytyka W. Nazarenkę w jego syntetyczno-krytycznym artykule *Życie a styl* („*Zwiezda*" Nr 4/56) zarzut, że Saburow — postać bliska autorowi *Odwilży*, głosząca przeważnie własne poglądy Erenburga na sprawy sztuki — to rzekomo „formalista, wysunięty za wzór artysty". Zarzut formalizmu pod adresem Saburowa (i jego twórcy!) jest niesłuszny i krzywdzący, co potwierdza również lektura II części *Odwilży*, opublikowanej w miesięczniku „*Znamia*" w kwietniu, a więc jednocześnie niemal z artykułem Nazarenki.

W części II powieści zarysowuje się, dojrzewa przełom w poglądach mieszkańców prowincjonalnego miasta na

sztukę. Pod wpływem przodujących, uczciwych, szczerze kochających sztukę inteligentów i robotników, takich jak Sawczenko, Andriejew i inni, zaczynają oni dostrzegać i właściwie oceniać dobre obrazy Saburowa, a odwracać się od kiczów Puchowa. Pęka zmowa milczenia wobec Saburowa, któremu postawa miłośników jego talentu dodaje skrzydeł do walki, do opuszczenia artystycznego ustronia, pejzaże i portrety artysty trafiają wreszcie na wystawę. W dyskusji o niej robotnik-nowator Andriejew ostro skrytykował obraz Puchowa *Robotnicy czytają gazety*: Przy jego oglądaniu — mówił Andriejew—„ogarnął mnie smętek, ba! zgniewało mnie to: przecie to zupełna nieprawda; ludzie nie są u nas tacy, a wyraz twarzy też zmyślony. Jak u fotografa: »Proszę się przyczesać! Główkę wyżej, jeszcze minutkę, proszę się uśmiechnąć!« Nie ma w tym ani krzty piękna, ani prawdy, ani serca.“ ...Rozwścieczony Puchow wykrzyknął histerycznie: „To przeciwne naturze! Ja mówiłem w swoich obrazach językiem Andriejewa, pragnąłem, by mnie zrozumiał, a teraz on się za to na mnie mści... Nigdy w to nie uwierzę, że może mu się spodobać Saburow...“ „Saburow — to formalizm, to dążenie do wypoczynku na barwnej plamie, to wyrzeczenie się ideowości w sztuce...“ Andriejew (a przez jego usta mówi Erenburg) o malarstwie Saburowa wyraża się w skąpych słowach: „Patrzałem i nie chciało mi się odejść... Uważam, że obrazy Saburowa podnoszą na duchu“. „Oto, towarzysze, sztuka prawdziwa.“

J. S.

„NOC I MGŁA“

Rząd Niemieckiej Republiki Federalnej zażądał wycofania z festiwalu w Cannes francuskiego filmu dokumentarnego, poświęconego obozowi w Buchenwaldzie: *Nocy i mgły* Alaina Resnais i Jean Cayrola. Rząd NRF powołał się przy tym na artykuł piąty regulaminu festiwalowego, który brzmi: „Naród zapraszający zastrzega sobie prawo wycofania z konkursu — filmu, który może obrazić naród zaprzyjaźniony w jego uczuciach lub wierzeniach“. Francuski minister przemysłu, któremu sprawy filmowe podlegają — uwzględnił ów protest. Film został zaprezentowany nieoficjalnie w małej sali. Jak notuje prasa paryska, minister spraw zagranicznych, były więzień Buchenwaldu, Christian Pineau (przypadkowo tylko uratowany od śmierci w tym obozie), nie godził się na wycofanie filmu. Demonstrując swe stanowisko, Christian Pineau odwołał swój udział w tegorocznym festiwalu.

W jaki to sposób film *Nuit et brouillard* obraził uczucia „zaprzyjaźnionego“ narodu zachodnio-niemieckiego? W nocie protestacyjnej sami nawet urzędnicy rządu bońskiego przyznają, że poziom filmu jest wysoki. Alain Resnais jest jednym z najbardziej utalentowanych realizatorów francuskich. Komentarz ustny napisał były więzień Buchenwaldu, wybitny poeta i powieściopisarz, Jean Cayrol, który w roku 1947 otrzymał jedną z największych francuskich nagród literackich, Prix Theopraste Renaudot za powieść *Je vivrais l'amour des autres* (a potem: *Le feu qui prend, La Noire, Le Vent de la memoire, Demenagement*). Wszyscy krytycy zgadzają się, że *Noc i mgła* — to dzieło sztuki pozbawione jakichkolwiek akcentów nienawiści wobec Niemców. Wybitny kompozytor niemiecki, Hans Eisler, jest twórcą ilustracji muzycznej. Obraz powstał z inicjatywy Komisji Historii Drugiej Wojny Światowej, wyznaczonej przez rząd francuski. Francuskie Ministerstwo Oświaty przyznało subwencję realizatorom. Cenzura filmowa (bynajmniej nie grzesząca łagodnością) zatwierdziła film, skreślając tylko jedną scenę (rzekomo obrażającą żandarmerię francuską). Koła filmowe przyznały realizatorom nagrodę im. Vigo. Komisja wyznaczona do selekcjonowania obrazów — jednomyślnie wybrała *Noc i mgłę*.

Film ten mówi prawdę o obozie w Buchenwaldzie, w którym dziennie ginęło po kilkanaście tysięcy ludzi. Spokojny w tonie, obraz ten jest sporządzony ciekawą techniką: kolorowe obrazy ukazują Buchenwald dzisiaj, czarne — Buchenwald w okresie hitlerowskim. Twórcy filmu przestudiowali dokładnie całą historię obozów koncentracyjnych; odbyli liczne podróże, m. in. do Polski. Zaznajomili się także — z zachowanym w archiwach listem, w którym lekarze hitlerowscy składają

podziękowanie za przysłany do potwornych eksperymentów transport dziewcząt polskich i francuskich oraz charakteryzują stan tego „żywego towaru"; uwzględnili także dokumenty, dotyczące dostarczania gazu dla obozów koncentracyjnych przez wielkie przedsiębiorstwa I. G. Farben-Industrie i Bayera.

Twórcy filmu stwierdzają w prasie, że nie chodziło im tylko o archiwalne przypomnienie. Chcieli dostarczyć opinii europejskiej owego groźnego mementa, jakim jest sprawa obozów hitlerowskich. Dlatego punkt kulminacyjny filmu stanowi przybycie ministra, dr. Himmlera. Fakt, że jeden z wodzów hitleryzmu zwiedzał obóz w Buchenwaldzie i był najdokładniej poinformowany o torturach zadawanych więźniom — rzuca światło na doniosłość tej sprawy. W liście, jaki współtwórca filmu, Jean Cayrol, zamieścił w *„Le Monde"* z 11.IV. po wycofaniu *Nocy i mgły* z Cannes, czytamy znamienne słowa: „Ambasada Niemiec zachodnich zainteresowała się krótkometrażówką ukazującą rozwój i rozkład hitlerowskich obozów koncentracyjnych oraz przykładem, jaki ta sprawa poddaje nam do rozważenia i przewalczenia. Ambasada zachodnich Niemiec zareagowała z wrażliwością, która wprawiła nas w osłupienie..." „W ten sposób zadano oficjalnie nowy cios deportowanym. Przekreślono ich istnienie, zamknięto na nowo w krainie wspomnień i cierpień; nikt nie ma prawa już zbliżyć się do nich, wysłuchać ich uroczystych ostrzeżeń, zapisać na swoje konto — ich nadziei... Dla oportunistycznych powodów politycznych, na które nasz kraj mimo wszystko nie powinien sobie pozwalać, nie chcąc poświęcać tylu więźniów — wyrwano nagle z historii karty, które się komuś nie podobają; odebrano głos świadkom; staliśmy się wspólnikami potworności..."

Sprawa *Nocy i mgły* ma już, co prawda, smutne swe precedensy. W roku ubiegłym — również na żądanie Adenauera — wycofano jugosłowiańsko-norweski film fabularny *Krwawa droga*. Film ten, opracowany przez reżysera jugosłowiańskiego, Radosa Nowakowicza, oraz Norwega, Kare Bergstroma, opiera się na wydarzeniu autentycznym. W okresie wojny hitlerowcy przywieźli znaczną liczbę więźniów jugosłowiańskich do Norwegii, by ich „wykończyć" w lasach, przy budowie dróg. Wśród norweskiej ludności starano się szerzyć pogardę dla „niższej nacji" słowiańskiej; ale osiągnięto skutek przeciwny. Drwale i chłopi norwescy z narażeniem życia pomagali męczennikom jugosłowiańskim; wytworzyła się solidarność dwóch uciśnionych ludów. O tym właśnie traktuje *Krwawa droga*, film pokazujący, jak Norwegowie umożliwili młodemu Chorwatowi (którego gra Milon Milosewicz) ucieczkę z obozu i przedostanie się do Szwecji. Otóż ten film, wyeliminowany z Cannes i pokazywany tylko nieoficjalnie w małej salce na 150 osób — święci dziś triumfy w Paryżu. Ciekawe, że z Adenauerem w owym dziele eliminowania wartościowych filmów współzawodniczy gen. Franco. Na jego bowiem życzenie wykluczono w roku 1950 film Alaina Resnais *Guernica*. Gdyby taktyka taka została zastosowana konsekwentnie, nie dopuszczono by dziś, jak podnosi francuska prasa, ani *Rzymu miasta otwartego* (ze względu na egzekucję Fabrizziego), ani *Paisy*, ani *Ostatniego etapu*, ani *Bitwy o szyny*, ani chaplinowskiego *Dyktatora* (obraz Hitlera!), ani *Sześciu lat nieszczęścia* Marcariego.

Film Resnais i Cayrola został wyświetlony w Cannes — nieoficjalnie. Obecni byli na seansie najwybitniejsi filmowcy. Twórcom filmu składano powszechne gratulacje. Ivens i Jutkiewicz gorąco ściskali im ręce. Co ciekawe, delegacja Niemieckiej Republiki Federalnej zdecydowała się na opuszczenie Festiwalu wobec wyświetlenia wrogiego Niemieckiej Republice Demokratycznej filmu *Niebo bez gwiazd*. Opinia publiczna zapamiętała jednak, że w incydencie dotyczącym *Nocy i mgły*, jak poprzednio w sprawie *Krwawej drogi*, rząd Adenauera wykazał zdumiewającą solidarność, że przyznał się do wspólności uczuć — z katami obozu koncentracyjnego, z Himmlerem i jego ludźmi, z I. G. Farben-Industrie i Bayerem.

W. N.

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Kochanowski Jan — *Fraszki.* Wybór. Słowo wstępne, wybór i opracowanie: Antonina Jelicz. Tekst ustalony w oparciu o wydanie fototypiczne „Fraszek" z r. 1584. Ostatnie dwie fraszki z wydania „Dzieła polskie" opr. prof. J. Krzyżanowskiego, PIW, 1955. Przypisy według wydania „Dzieła polskie" opr. prof. J. Krzyżanowskiego. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 86, 2 nl.

Potocki Jan — *Rękopis znaleziony w Saragossie.* Tekst przygotował wstępem i przypisami opatrzył Leszek Kukulski. Tekst oparto na przekładzie Edwarda Chojeckiego z r. 1847. Obwolutę, tłoczenia i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 639, 1 nl.

Prus Bolesław — *Emancypantki.* Tom I/II, III/IV. Wstęp Henryka Markiewicza. Okładkę projektował Jan Zygmanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; tom I/II str. 524, 4 nl; tom III/IV str. 531, 1 nl.

— *Lalka.* Ilustracje Franciszka Kostrzewskiego. Wstępem poprzedził Jan Kott. Przypisami opatrzył Henryk Markiewicz. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie III; tom I str. 466, 2 nl; tom II str. 450, 2 nl.

Sienkiewicz Henryk — *Ogniem i mieczem.* Tekst oparto na zbiorowym wydaniu DZIEŁ Henryka Sienkiewicza pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, Warszawa, PIW, 1948. Wstępem opatrzył Samuel Sandler. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1955; tom I str. 411, 1 nl; tom II str. 370.

Żeromski Stefan — *DZIEŁA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Henryka Markiewicza. Powieści tom 9. *Uroda życia.* Powieść. Ilustracje Ottona Axera. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 394, 2 nl.

Klasycy literatury obcej

Balzac Honoriusz — *Jaszczur.* Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Tekst przejrzał Julian Rogoziński. Oprawę i kartę tytułową projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 238,2 nl.

Conan Doyle Artur — *Studium w szkarłacie.* Przełożył Tadeusz Evert. Okładkę i kartę tytułową projektował Bohdan Bocianowski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 145, 3 nl.

Galsworthy John — *Saga rodu Forsyte'ów.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I str. 349, 3 nl; tom II str. 349, 3 nl.

Gorki Maksym — *Matka.* Z rosyjskiego przełożyła Halina Górska. Posłowiem opatrzyła Egga Dębnicka. Ilustrował Mieczysław Majewski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydwniczy, 1956, wydnie II; str. 431, 1 nl.

Lope de Vega — *Pies ogrodnika.* Komedia. Tłumacz: Tadeusz Peiper. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Pańczatantra czyli mądrości Indii ksiąg pięcioro. Spolszczyły i opracowały Wanda Markowska i Anna Milska. Przekład opracowany na podstawie przekładów niemieckich, francuskich i angielskich. Wstęp i przypisy opracował Ludwik Skurzak. Okładka, obwoluta i ilustracje Marka Rudnickiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 238, 2 nl.

Rolland Romain — *Jan Krzysztof.* Przełożył Leopold Staff. Wstęp Zofii Karczewskiej-Markiewicz. Przedmowa autora w przekładzie Zofii Karczewskiej-Markiewicz. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie III; tom I str. 794, 2 nl; tom II str. 713, 3 nl.

Sofokles — *Antygona*. Przełożył Ludwik Hieronim Morstin. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 71, 1 nl.

Turgieniew Iwan — *Pierwsza miłość i inne opowiadania*. Tłumaczyli: Kazimierz Andrzej Jaworski, Joanna Guze, Paweł Hertz. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 432, 4 nl.

Uspieński Gleb — *Obyczaje ulicy Rastieriajewej*. Przełożył z rosyjskiego Józef Brodzki. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 245, 3 nl.

Zola Emil — *Prawda*. Przełożył Gabriel Karski. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Tom I i II. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I str. 378, 2 nl; tom II str. 358, 2 nl.

Poezja, dramat

Hartwig Julia — *Pożegnania*. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 75, 1 nl.

Iłłakowiczówna Kazimiera — *Wybór wierszy*. Wyboru dokonał Wacław Kubacki. Okładkę i kartę tytułową projektowała Teresa Wyszkowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I str. 351, 1 nl.

Marianowicz A., Minkiewicz J., Załucki M. — *Szopka satyryczna 1956*. Ilustrował Jerzy Zaruba. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 70, 2 nl.

Minkiewicz Janusz — *Sonety warszawskie i pierwsze wiersze*. Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 155, 5 nl.

Pieśni Papuszy (Papusakre gila). Wiersze w języku cygańskim. Przełożył, opracował, wstępem i objaśnieniami opatrzył Jerzy Ficowski. Okładka i opracowanie graficzne: Stanisław Andrzej Cyrano. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 171, 5 nl.

Rymkiewicz Aleksander — *Krajobrazy i ludzie*. Okładkę i kartę tytułową projektował Zenon Kubiak. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 67, 5 nl.

Tuwim Julian — *Nowy wybór wierszy*. Tłoczenia i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Zamieszczone zdjęcie Dorysa. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie II; str. 343, 1 nl.

Wirski Juliusz — *Zwycięstwo Joanny (Winnice ojca Gaureau)*. Dramat w trzech aktach. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 116, 4 nl.

Proza

Biliunas Jonas — *Smutna opowieść i inne opowiadania*. Tłumaczyła z oryginału litewskiego Anna Lau-Gniadowska. Okładkę i kartę tytułową projektował Bogdan Butenko. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 150, 2 nl.

Christie Agata— *Samotny dom*. Tłumaczyła Mira Michałowska. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 174, 2 nl.

Claudius Eduard — *Raj bez szczęścia*. Przełożył Kazimierz Rapaczyński. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 178, 2 nl.

Curwood James Oliver — *Dolina ludzi milczących*. Przełożył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 176, 4 nl.

Czekalski Eustachy — *W cieniu zamkowego zegara*. Okładkę projektował i ilustrował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 216, 4 nl.

Dimow Dymitr — *Tytoń*. Tłumaczyła Helena Bychowska. Oprawę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 854, 2 nl.

Dreiser Teodor — *Jennie Gerhardt*. Wolny przekład Józefy Zydlerowej. Posłowie napisał Wiesław Furmańczyk. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 329, 1 nl.

Gorbunow K. — *Lody ruszyły*. Przełożył Jerzy Jędrzejewicz. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 387, 5 nl.

Hołowko Andrij — *Matka*. Powieść. Tłumaczyła z ukraińskiego Maria Zagórska. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 306, 2 nl.

Iljin i Segał — *Borodin*. Tłumaczyła Alicja Stern. Okładkę i kartę tytułową projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 381, 3 nl.

Kalinowski G. — *Na szlaku ostatniej karawany*. Przełożył Ignacy Bukowski. Ilustrował Gustaw Majewski. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 215, 5 nl.

Katajew Walentin — *Samotny biały żagiel*. Przekład i przedmowa Melanii Kierczyńskiej. Ilustracje D. Dubińskiego reprodukowane z wydania radzieckiego. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie VIII; str. 353, 3 nl.

Klimowicz Adam — *Cień alei lipowej*. Powieść. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 690, 2 nl.

Kogut Bogusław — *Módl się za nami... i inne opowiadania.* Okładkę projektował: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 205, 3 nl.

Marchwitza Hans — *Powrót Kumiaków.* Tłumaczyła Zofia Petersowa. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 512.

Meissner Janusz — *Wraki.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie IV; str. 186, 4 nl.

Mikszáth Kálmán — *Jak się młody Nosty żenił.* Tłumaczył Tadeusz Fangrat. Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 464, 4 nl.

Morcinek Gustaw — *Odkryte skarby.* Ilustrował Józef Czerwiński. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 180, 4 nl.

— *Pokład Joanny.* Ilustrował Leopold Buczkowski. Rysunek na obwolutę projektował Aleksander Winnicki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 462, 2 nl.

Niekrasow Wiktor — *W mieście rodzinnym.* Tłumaczyła Wacława Komarnicka. Opracowanie graficzne: Maciej Urbaniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 310, 2 nl.

Piepka Jan — *Purtkowe stegny.* Ilustrował i okładkę projektował Ryszard Dudek. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 209, 3 nl.

Polewoj Borys — *Opowieść o prawdziwym człowieku.* Przełożył Jerzy Wyszomirski. Życiorys B. Polewoja przełożyła Gabriela Pauszer-Klonowska. Ilustracje M. Żukowa. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie VII; str. 307, 1 nl.

Pratolini Vasco — *Dziewczęta z Sanfrediano.* Przełożyła z włoskiego Zdana Matuszewicz. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 143, 5 nl.

Rolleczek Natalia — *Oblubienice.* Część druga „Drewnianego różańca". Okładkę i kartę tytułową projektował Mieczysław Kowalczyk. Rysunek na okładkę Marii Hiszpańskiej-Neumanowej. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie II; str. 211, 1 nl.

Rychlewski Janusz — *Czapka frygijska.* Powieść o gromadzie Grudziąż. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 462, 2 nl.

Stryjkowski Julian — *Pożegnanie z Italią.* Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Fotografie wykonał Ludwik Sempoliński. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 120, 4 nl.

Sujkowski Bogusław — *Bolko zapomniany.* Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 630, 2 nl.

Taddei Ezio — *Poczta dla pana, Mr Brown.* Tłumaczyła Barbara Sieroszewska. Okładka i opracowanie graficzne: Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 198, 2 nl.

Wasilewska Wanda — *Wierzby i bruk.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 66, 2 nl.

Antologie

Rekord Johna Cucu. Antologia postępowej noweli amerykańskiej. Wyboru dokonał, opatrzył przedmową i noty o autorach opracował Maxim Lieber (współpraca: Jan Aleksandrowicz). Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 405, 3 nl.

Krytyka literacka

Jastrun Mieczysław — *Wizerunki.* Szkice literackie. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 262, 2 nl.

Przyboś Julian — *Czytając Mickiewicza.* Wydanie drugie powiększone. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 277, 3 nl.

Sandler Samuel — *Reduta Ordona w życiu i poezji.* Gawęda historyczno-literacka. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 153, 3 nl.

Wspomnienia

Infeld Leopold — *Moje wspomnienia o Einsteinie.* Opracowanie graficzne: Stefan Bernaciński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 148, 4 nl.

Nagai Paweł — *Dzwony Nagasaki.* Tłumaczyła Maria Szwykowska. Obwolutę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 165, 3 nl.

Publicystyka

Sikora Józef — *Tak mówi historia.* Z dziejów antypolskiej polityki Watykanu. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Iskry", 1954; str. 141, 3 nl.

LITERATURA DLA MŁODZIEŻY

Czuła Jan — *Z pamiętnika pioniera.* Okładkę i kartę tytułową projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 307, 1 nl.

Fiedler Arkady — *Wyspa Robinsona.* Ilustrował Józef Czerwiński. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie III; str. 249, 3 nl.

Biblioteka Szkolna w Poznaniu Państwowe Liceum Kulturalno-Oświatowe

0 584003

W najbliższych numerach ukażą się:

Bohdan Czeszko

PARADA CIENI

Georg Lukacs

TRAGEDIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Rainer Maria Rilke

NOWE PRZEKŁADY

Saint Exupéry

FRAGMENT POWIEŚCI

Antoni Słonimski

WIERSZE

Adam Ważyk

PRZEKŁADY Z POEZJI FRANCUSKIEJ

Cena zł 7.–